



Reyes Monforte

# Burka miłości

Młoda Hiszpanka  
w afgańskim piekle

Świat Książki

# Monforte Reyes

## Burka miłości

**Naiwna nastolatka, Maria, ucieka z rodzinnej Majorki do Anglii. W Londynie poznaje Nasrada, znacznie od siebie starszego Afgańczyka i muzułmanina. Zakochana po uszy, wychodzi za niego za mąż. Krótki wyjazd do ojczyzny męża przeradza się w wieloletni koszmar życia w państwie talibów, w którym rządzi prawo szariat, traktujące kobiety jak rzeczy. Całą historię opisała hiszpańska dziennikarka radiowa, do której Maria, już matka trojga dzieci, dodzwoniła się jakimś cudem z prośbą o pomoc...**



CZĘŚĆ PIERWSZA

NOWE ŻYCIE

- Z Afganistanu? A gdzie to do licha jest? Na innej planecie?

Gdy Maria dowiedziała się, że mężczyzna, w którym się zakochała od pierwszego wejrzenia jak naiwna pensjonarka, urodził się w Afganistanie, nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu i kpin na temat kraju, o którym pierwszy raz usłyszała. Wydawała z siebie nerwowy, zduszony chichot, który sama nazwałaby głupim, gdyby nie to, że jego powodem było kompletne zauroczenie, jakiemu uległa już w parę godzin od chwili poznania Nasrada.

- Wiesz co, Nasrad? Nic nie wiem o twoim kraju. Nawet nie wiem, gdzie leży, z czego wy tam żyjecie, co jadacie, co śpiewacie ani jak obchodzicie wasze święta. Ale to nieważne. Nic mnie to nie obchodzi. I tak mi się podoba... bo ty mi się podobasz. I nic więcej nie chcę wiedzieć.

Maria nie kłamała. Była bardzo młoda, skończyła dopiero osiemnaście lat i pragnęła podróżować, zwiedzać świat. Chciała cieszyć się życiem, poznawać ludzi, a przy tym nie miała pojęcia o rzeczywistości panującej w tamtej części świata, o której do tej pory nic nie słyszała. Nie traciła nawet minuty na oglądanie dzienników telewizyjnych, czytanie gazet czy też słuchanie wiadomości radiowych, w których o Afganistanie zawsze się mówiło w kontekście śmierci, wojny i grozy.

Przed niespełna rokiem przyleciała do Londynu z rodzinnej Majorki. Uciekła przed presją rodziny, przed nieustannymi konfliktami z ojcem,

z którym - choć bardzo go kochała - nie potrafiła się porozumieć, zwłaszcza gdy usiłował ją przekonać, że zamiast włóczyć się z przyjaciółmi, powinna poświęcić się nauce. Rady ojca, owdowiałego, kiedy Maria miała zaledwie dwa lata, odbierała jako niepotrzebne i nudne zrządzenie.

Pozostawiła za sobą burzliwy okres dojrzewania i wybryków nastolatki, nieodpowiedniego towarzystwa i złego zachowania. Na Majorce została cała jej rodzina. Maria za wszelką cenę pragnęła pewnego dnia udowodnić swoim bliskim, że potrafi sama się utrzymać, bez cudzej pomocy. Jej świeżo uzyskana pełnoletność dawała jej upragnione od dawna prawo wyboru: gdzie, jak i z kim spędzi swoje życie.

Nie miała zatem ani czasu, ani okazji słuchać wstrząsających opowieści o afgańskich kobietach, które niemal co dnia ginęły ukamienowane tylko dlatego, że miały nieszczelnie zasłoniętą twarz. Zdarzało się także, że zabijano je w jakimś zaułku miasta, gdyż wyszły z domu same, bez towarzystwa mężczyzny. Nie wiedziała także, że czasami nieznajomi okładali na śmierć kijami szesnastolatki tylko za to, że ośmieliły się usiąść z tyłu autobusu miejskiego, w części zarezerwowanej wyłącznie dla mężczyzn, ani tego, że kobietę mogła spotkać śmierć na ulicy również z tak błahego powodu, iż odważyła się nieść w rękę książkę albo wtrącić do męskiej rozmowy. Nie słyszała też o tym, że sześć- i siedmioletnie dziewczynki zmuszono do małżeństwa z sześćdziesięciolatkami, w zamian za niewielką czasem rekompensatę wypłacaną za nie rodzinie.

Nie miała zatem pojęcia ani o ukamienowaniach, ani o gwałtach, ani o publicznych egzekucjach, zabójstwach, torturach czy okaleczeniach narządów płciowych, o karach cielesnych i innych represjach... Ignorancja i niewiedza Marii dotyczyła wszelkich nieszczęść i krzywd wyrządzanych kobietom w Afganistanie, co zresztą nadal się zdarza.

Prawdę mówiąc, nie wiedziała nic o tym kraju i może dlatego uśmiechała się bez troski, kiedy nie spuszczać wzroku z czarnych oczu Nasrada, obejmowała dłońmi filiżankę kawy. Chociaż piła ją w towarzystwie chłopaka, poznanego zaledwie parę dni wcześniej, wiedziała, że pragnie pozostać z nim do końca życia.

Spotkali się przypadkiem w biurze pośrednictwa pracy, przez które oboje zostali zatrudnieni. Maria pracowała w zakładzie pakującym zegarki przeznaczone do sprzedaży bezcłowej na pokładach samolotów, poprzednio zaś w fabryce przetwórstwa wieprzowiny i firmie handlującej słodyczami. Przez pierwsze miesiące pobytu w Londynie sprzątała u rodzin angielskich, zajmowała się ich domem i dziećmi, przy okazji ucząc się języka. Wieczorami uczęszczała na kursy angielskiego.

Tamtego dnia wpadła do biura pośrednictwa, ponieważ warunki jej pracy różniły się od tych ustalonych w umowie. Siedząc w korytarzu w oczekiwaniu na rozwiązanie swoich problemów, Maria i Nasrad szybko nawiązali rozmowę. Dziewczyna już go kiedyś widziała, ale wiedziała o nim tylko tyle, że jest muzułmaninem i pracuje jako spawacz drzwi w land-roverach.

Załatwiwszy swoje sprawy, młodzi umówili się następnego dnia na kawę. Przed tą pierwszą i niezobowiązującą randką Maria przez kilka godzin była podenerwowana. Co chwilę spoglądała na zegarek i paliła papierosa za papierosem. Przez bite trzy godziny przymierzała stroje na spotkanie z przystojnym nieznajomym. W końcu wybrała obcisłe džinsy i ulubiony, kupiony tuż po przyjeździe do Londynu T-shirt, który świetnie na niej leżał.

Oboje przyszli punktualnie. Widać było, że bardzo im zależy na spotkaniu. Początkowo opowiadali sobie o dotychczasowym życiu. Maria dowiedziała się, że Nasrad pochodzi z Afganistanu. Piętnaście lat temu, kiedy Rosjanie zajęli jego ojczyznę, uciekł za granicę. Zwierzył się jej, że utrzymuje sporadyczne kontakty z rodziną, ale co miesiąc wysyła im pieniądze, co w praktyce oznaczało, że utrzymuje wszystkich swoich bliskich. O tym Maria przekonała się zresztą sama znacznie później. Ona z kolei opowiedziała mu o swoim dzieciństwie na Majorce. Była najmłodsza, miała dwie siostry i czterech braci. Po śmierci matki oddano ją do sierocińca, bo pogrążony w depresji ojciec nie umiał zająć się małym dzieckiem. Była dobrą uczennicą i zawsze marzyła o tym, że zostanie nauczycielką lub pielęgniarką, bo lubi dzieci i uwielbia się śmiać. Wówczas też się śmiała.

Maria śmiała się jeszcze długo, dopóki życie, los, a przede wszystkim miłość, nie rzuciły jej do kraju, w którym kobiety są zupełnie nieważne, do kraju, gdzie nad ich głowami wisi przysłowiowy miecz Damoklesa, grożący im śmiercią za najmniejsze przewinienie, do kraju, w którym małe dziewczynki zmusza się do poślubiania starców, a burka stanowi jedyną ochronę kobiety, kiedy chce wyjść na ulicę i wrócić do domu żywa, jeśli ma szczęście.

Na pierwszej randce Maria nic o tym jednak nie wiedziała i uśmiechała się beztrąsko, dopóki w jej życiu nie nastąpiły noce nieutulonego szłochu i rozpacz.

Już po miesiącu od pierwszego spotkania Maria i Nasrad zamieszkali razem.

- Po co mamy żyć oddzielnie? To tylko strata czasu i pieniędzy. Przecież chcemy być razem, nie ma więc potrzeby utrzymywać osobnych mieszkań. To absurd. - Argumenty Nasrada brzmiały rozsądnie, Maria bez wahania i wątpliwości podjęła zatem decyzję.

Cały wolny czas spędzali razem. Dziewczyna nie miała zbyt wielu przyjaciół w Londynie, dlatego Afgańczyk szybko wprowadził ją w krąg swoich znajomych. Początkowo czuła się wśród nich obco, jakby nie należała do ich świata. Dostrzegала, że zarówno sposób ubierania, jak i zachowanie narzeczonych i żon przyjaciół Nasrada bardzo się różnią od jej upodobań do kusych T-shirtów, ostrego makijażu, obcisłych džinsów, papierosów, całonocnych imprez suto zakrapianych alkoholem. Tamte kobiety nosiły długie i obszerne suknie, głowy skromnie zakrywały chustami, odsłaniając jedynie twarze. Zamiast do dyskoteki wołały chodzić do meczetu i modlić się razem z mężami albo siedzieć w domu przy lekturze Koranu.

W ciągu dwóch lat narzeczeństwa Marię ogarniały czasem wątpliwości dotyczące ich związku: „Może za bardzo się angażuję. Chyba powinnam spojrzeć na nasz związek z dystansem. To nie mój świat. Dlaczego on nie próbuje zaakceptować mojego? Przecież takie życie byłoby prost-



sze, lepsze i weselsze". Bywały także i takie dni, kiedy czuła się zupełnie zagubiona. Miała wrażenie, że znalazła się w labiryncie, z którego nie może się wydostać. A jednak wystarczyło jedno wspomnienie Nasrada tuż obok niej i wszelkie wątpliwości znikły.

Zdecydowała się zerwać kontakt z nieliczną garstką londyńskich znajomych. Nie chciała przedstawiać narzeczonemu nikogo z dawnego kręgu przyjaciół, obawiając się, że zareagują niechętnie na ich związek - nie tylko ze względu na dużą, bo prawie piętnastoletnią, różnicę wieku między nią a ukochanym, ale też z powodu innego wyznania. Bała się również, że Nasrad, kiedy się dowie o jej dawnym życiu i grzechach przeszłości, potępi ją. Dlatego postanowiła oddzielić swój dawny świat od świata obecnego partnera.

Ze zdumieniem dostrzegła, jak jej życie, które jeszcze parę miesięcy temu składało się z nieustannych wypadów do dyskotek i nocnych barów oraz z całonocnych imprez, stopniowo zaczyna się ograniczać do spokojnych kolacji w gronie przyjaciół narzeczonego, spacerów czy wypraw do kina. Maria porzuciła szalone, chaotyczne życie, znajdując w Nasradzie bezwarunkowe wsparcie, które pomogło jej zerwać z dawnymi, szkodliwymi nawykami: nocnymi hulankami, zbyt dużą ilością alkoholu, mężczyznami i szaloną zabawą. Afgańczyk stał się jej najlepszym przyjacielem, powiernikiem, kochankiem, a nawet do pewnego stopnia zastąpił jej ojca. Wiedziała, że może się do niego zwrócić w każdej, nawet krytycznej sytuacji, a on zawsze udzieli jej wsparcia i pomocy. Była pewna, że zrobi dla niej wszystko. Dopuścił się nawet kłamstwa, mówiąc własnej rodzinie, że Maria jest dziewczicą nie ma za sobą żadnej przeszłości - warunek konieczny, aby mogła zostać żoną Afgańczyka i muzułmanina. Utrata dziewictwa przed nocą poślubną w tradycyjnym społeczeństwie islamskim była hańbą i wystarczającym powodem do anulowania małżeństwa oraz odrzucenia i potępienia kobiety. Wiedząc o tym, Nasrad oświadczył swojej rodzinie, bez wdawania się w szczegóły, że dzięki wieloletniej przyjaźni łączącej go z bratem dziewczyny zna ją od dziecka. Był dla niej gotów skłamać, nie obchodziła go jej przeszłość. Był też jedynym człowiekiem, który pomógł jej porzucić nieuporządkowane, peł-

ne zgubnych nałogów życie. Maria czuła się w Londynie bardzo samotna, może dlatego tak przyłgnęła do Nasrada. Szybko stwierdziła, i to z niezachwianą pewnością, że chce spędzić z nim życie.

Pewnego dnia, kiedy już mieszkali razem, narzeczony pojawił się w domu z prezentem. Nalegał, żeby natychmiast go rozpakowała. Było to ozdobne wydanie Koranu. Kilka dni wcześniej, podczas kolacji z przyjaciółmi muzułmanami, dziewczyna stwierdziła, że pragnie dowiedzieć się więcej na temat islamu, wiary wyznawanej przez jej ukochanego. Koran był pierwszą pozycją z długiej listy lektur o tematyce religijnej, które Nasrad dał Marii do przeczytania. Nigdy nie czuła zbyt dużego związku z wiarą katolicką, w której wychowali ją dziadkowie i ojciec. Prawdę mówiąc, była zupełnie obojętna na wszelkie sprawy religijne. Zaczęła ją jednak prześladować myśl, że skoro mężczyzna, którego kocha, wyznaje islam, ona z wdzięczności za to, co dla niej zrobił, oraz w dowód miłości powinna zmienić wiarę. Tak też zrobiła. Z miłości przeszła na islam.

Rzuciła palenie i picie, zmieniła radykalnie sposób ubierania, przestała jadać wieprzowinę i w towarzystwie narzeczonego zaczęła uczęszczać do meczetu. Porzuciła zatem styl życia typowy dla kobiety z Zachodu i dostosowała się do kanonów obowiązujących muzułmanki. Oczywiście musiała także założyć hidżab.

Po zaledwie dwóch latach znajomości Maria poślubiła Nasrada. Zawarli ślub cywilny w Londynie. Włożyła na siebie długą, obszerną, beżową sukienkę, która w niczym nie przypominała sukni ślubnej, o jakiej od dzieciństwa marzyła. Teraz było jej wszystko jedno, przy jej boku stał bowiem mężczyzna, którego bardzo kochała.

Udali się do urzędu stanu cywilnego w towarzystwie dwóch muzułmańskich przyjaciół Nasrada. Maria nie zawiadomiła nikogo z rodziny o swoim ślubie. Sama ze sobą stoczyła batalię dręczona mieszanymi uczuciami i rozterkami. Z jednej strony pragnęła podzielić się z bliskimi wiadomością o swoim szczęściu, powiedzieć im, że spotkała mężczyznę, z którym chce spędzić życie, urodzić mu dzieci, i pragnęła zaprosić ich na tę uroczystość. Z drugiej jednak strony po prostu się bała. Już sama myśl, że jej rodzina może być przeciwna temu małżeństwu, wzburzała ją.

Maria wiedziała, że taki związek będzie ciężkim ciosem dla jej bliskich, zwłaszcza dla ojca, który ostatecznie pogrążyłby się w rozpacz. Nie dość, że jego najmłodsza córka samowolnie wyjechała do Londynu, to jeszcze wyszła za mąż za muzułmanina, którego nie tylko nie znali, ale nawet nic o nim nie wiedzieli. Właśnie dlatego postanowiła nie zawiadamić rodziny. Jeszcze przyjdzie czas, aby o wszystkim im opowiedzieć. Nie chciała, żeby ktokolwiek popsuł jej tę chwilę - a tym bardziej rodzina, z którą rozstała się parę lat temu, opuszczając dom z silnym postanowieniem, że wróci dopiero wtedy, gdy uda jej się coś osiągnąć bez niczyjej pomocy.

Życie dwojga młodych ludzi płynęło spokojnie, bez większych niespodzianek. Maria czuła się szczęśliwa w roli świeżo upieczonej mężatki. Wspólnota muzułmańska zamieszkała w Londynie zaakceptowała ją bez wahania. Zbierali się często, aby wymienić opinie, i na zwykłe, banalne pogaduszki przy stole, na którym królowały potrawy przyrządzone zgodnie z regułami islamu. A jednak stopniowo zaczęła dostrzegać, że kobiety szybko traciły zainteresowanie rozmową, jeśli dotyczyła polityki lub religii. Ona natomiast lubiła przysłuchiwać się poważnym dyskusjom. Była bardzo ciekawa i pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o społeczności, do której należał jej mąż. Kiedy tematem stawał się Afganistan, wszyscy zgodnie podkreślali trudności gospodarcze, społeczne, polityczne i religijne, które przeżywał ten kraj, toczony chorobą, na którą, zdawało się, nikt nie próbował znaleźć lekarstwa. Rozmowy nigdy nie dotyczyły jednak sytuacji afgańskich kobiet, ich praw i potrzeb. Nie rozmawiano także o rygorach narzuconych przez reżim talibów, którzy przejęli władzę w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku; dziwnym zbiegiem okoliczności był to ten sam rok, w którym Maria postanowiła zmienić swoje życie i zamieszkać w Londynie.

W spotkaniach uczestniczyli mężczyźni i kobiety muzułmańskie, którzy opuścili swoją ojczyznę wiele lat temu, kiedy Afganistan zajęli Rosja-

nie. Gdyby podczas tych rozmów Maria poznała rzeczywistość panującą w ojczyźnie męża, być może inaczej potoczyłoby się jej życie.

Nasrad prosił ją, żeby zrezygnowała z pracy i zajęła się domem. Nie zachowywał się jednak jak typowy macho, lecz przekonywał, że jego wynagrodzenie wystarczy na utrzymanie rodziny. Uważał też, że żona będzie się lepiej czuła w domu. Maria po paru miesiącach ustąpiła, a jednak później wróciła do pracy. Pieniądzy może by wystarczyło na życie, ale nie na inne wydatki. Nasrad co miesiąc musiał bowiem wysyłać okazałą kwotę swojej rodzinie. Pomagał też siostrzeńcowi, który niedawno przyleciał do Londynu i nie zdążył się jeszcze urządzić ani znaleźć pracy. Chociaż prowadzili dom dla dwuosobowej rodziny, mieli mnóstwo wydatków. Maria postanowiła wrócić do pracy z dwóch powodów: po pierwsze, bo taką miała ochotę - zawsze była aktywna, skora do działania i prawdę mówiąc, nudziła się w domu, a po drugie, podwójna pensja była im bardzo potrzebna. Sądziła poza tym, że jeśli czymś się zajmie, zdoła się oderwać od natrętnej myśli o macierzyństwie, która prześladowała ją od paru miesięcy.

Gorąco pragnęła zająć się w ciąży. Uwielbiała dzieci. Na widok bawiących się w parku maluchów przysiadła na ławce i godzinami im się przyglądała. Wiedziała, że ma dobre podejście do dzieci, umie się z nimi dogadać, lubi się nimi zajmować, i one też to od razu wyczuwały. Maria była szczęśliwa, kiedy jakiś berbecę przybiegał do niej, żeby z nią porozmawiać albo przez chwilę się pobawić.

Pewnego wieczoru, przygotowując kolację, zwierzyła się mężowi ze swojego marzenia:

- Chcę mieć dzieci, Nasrad. Pragnę urodzić ci całą gromadkę. Chcę, żeby nasz dom rozbrzmiewał dziecięcym śmiechem.

Uznał, że to wspomniały pomysł, postanowili więc zrobić wszystko, aby urzeczywistnić wspólne marzenie. Zdecydowali, że nie będą odkładać planów powiększenia rodziny na później. Już tej samej, pełnej namietności nocy zabrali się do ich realizacji.

O tym oraz o innych osobistych sprawach Maria długimi godzinami rozmawiała z Julią, swoją jedyną przyjaciółką w Londynie, z pochodze-

nia Hinduską, co od razu można było rozpoznać po jej charakterystycznych, oryginalnych rysach twarzy. Dziewczyna szybko stała się oddaną i wyrozumiałą powierniczką sekretów, wątpliwości i lęków Marii. Mieszkały w tym samym bloku i popołudniami wpadały do siebie na plotki przy kawie czy herbacie, choć młoda Hinduska długo nie mogła się przyzwyczaić do tego tradycyjnego angielskiego napoju. Zwierzały się sobie z kłopotów, opowiadały o swoich obawach, omawiały bieżące wydarzenia. Julia była jedyną osobą, przy której Maria pozbywała się nieśmiałości, stawała się rozmowna, a nawet wylewna i rozgadana, co w towarzystwie innych osób raczej jej się nie zdarzało. Nigdy nie lubiła rozwodzić się na temat swojego życia, nie czuła się wtedy swobodnie.

Julia dużo jej opowiadała o swojej ojczyźnie, opisywała barwne szczegóły, przytaczała mnóstwo ciekawych i egzotycznych historii, których przyjaciółka słuchała z otwartymi ustami, a potem, wieczorami, swobodnie puszczała wodze wyobraźni. Hinduska otwarcie wyrażała też swoje zdanie na temat spraw, które ją niepokoiły, związanych z małżeństwem, przejściem na islam i radykalną zmianą stylu życia Marii, a przede wszystkim z jej ogromną miłością do mężczyzny, którego poznała przypadkiem w biurze pośrednictwa pracy. Julia zawsze potrafiła jednak dobrać odpowiednie słowa pociechy i dodać jej otuchy.

- Co cię obchodzi, co mówią obcy ludzie, jeśli sama czujesz się szczęśliwa? To twoje życie. Tylko ty zapłacisz za swoje błędy i tylko ty zyskasz na swoich trafnych decyzjach. Pamiętaj o tym, Mario.

W oczach młodej mężatki Julia była kobietą mądrą, wykształconą i inteligentną; zawsze umiała znaleźć właściwą odpowiedź i rozwiązanie, a przynajmniej wyjaśnić wszystkie dręczące Marię problemy. Hinduska wielokrotnie doradzała jej, żeby kontrolowała swoją miłość do Nasrada, nauczyła się tak nią sterować, aby było to najlepsze dla ich związku i życia. Nie miała jednak żadnych wątpliwości, że Maria dla swojego męża zrobi wszystko. Pójdzie za nim nawet na koniec świata. I akurat w tym wcale się nie myliła.

Julia była trzecią osobą, z którą przyjaciółka podzieliła się wspaniałą nowiną. Najpierw Maria dowiedziała się o niej od swojego ginekologa,

który potwierdził, że brak miesiączek przez dwa kolejne miesiące jest ewidentną oznaką ciąży. Spodziewała się zatem swojego pierwszego dziecka i po diagnozie lekarza poczuła się najszcześniejszą kobietą na świecie. Prawdę mówiąc, długo nie czekali z Nasradem na powiększenie rodziny. Napatrzywszy się w serialach telewizyjnych, w jaki sposób kobiety przekazują tę nowinę swoim mężom, sama też pragnęła powiedzieć mu to w uroczysty sposób. Chciała poza tym jak najszybciej podzielić się z nim radością, zrezygnowała więc z jakichkolwiek sztuczek i wybiegów. Gdy tylko Nasrad pojawił się w drzwiach, natychmiast mu się zwierzyła.

Oczywiście zaraz nastąpiły gratulacje, uściski i życzenia. Maria promieniała radością, spodziewała się przecież dziecka ukochanego mężczyzny. To było spełnienie jej marzeń. Nie miała powodu do skarg. Chciała tylko cieszyć się swoim szczęściem.

Bardzo przeżywała ciążę. Pragnęła, aby wszystko przebiegało jak najlepiej. Rozkoszowała się każdą chwilą swojego odmiennego stanu i wyobrażała sobie, jak będą wyglądać narodziny ich pierwszego dziecka. Wszystko musiało się udać. Postanowiła zatem zadbać o wszelkie szczegóły, nie zostawiając miejsca na improwizację, przynajmniej w najważniejszych kwestiach, które mogły mieć wpływ na rozwój i zdrowie maleństwa.

Po typowych dolegliwościach pierwszych miesięcy ciąży zdrowie Marii się ustabilizowało. Z radością obserwowała zachodzące w niej niemal z dnia na dzień zmiany. Bezustannie wyobrażała sobie twarzyczkę dziecka, jego rozwój w jej łonie i oczywiście płęć, bo przeprowadzone do tej pory badania lekarskie niczego nie potwierdziły.

Pewnego dnia Nasrad, tuż po powrocie z pracy, jeszcze stojąc w drzwiach, zaproponował jej niespodziewanie:

- Mario, pomyślałem, że powinniśmy pojechać do Afganistanu. Chciałbym, żebyś poznała moją rodzinę. Wiem, że nie utrzymywałem z nimi zbyt serdecznych więzi. Prawdę mówiąc, ograniczam się wyłącznie do przesyłania pieniędzy. Dzisiaj zadzwonił mój ojciec i mam wrażenie, że coś go martwi. Chyba nie czuje się najlepiej. Prosił, żebyśmy do nich przyjechali... chociaż na parę dni. Wrócimy do domu przed terminem

porodu. Zresztą jesteś dopiero w piątym miesiącu, więc chyba podróż ci nie zaszkodzi. Spędzimy tam jakieś dwa tygodnie. Co o tym myślisz? Cieszysz się? Wreszcie się dowiesz, gdzie leży Afganistan i jak wygląda moja ojczyzna. Ciągle jeszcze pamiętam, jak na naszej pierwszej randce bawiło cię, że urodziłem się gdzieś na krańcu świata.

Próbowała wmówić sobie, że to będzie wspaniała podróż, ale szczerze mówiąc, ta perspektywa wcale jej nie cieszyła, a już na pewno nie napełniała szczęściem. Nie miała ochoty na wyprawę w dalekie strony, tym bardziej w ciąży. Czuła się ociężała, bolały ją plecy i nerki, pociła się nieustannie, być może z powodu znacznego przyrostu wagi. W głębi duszy wiedziała jednak, że Nasrad ma rację, bo do końca ciąży zostało jej ponad cztery miesiące. Maria miała jedną wadę: nie umiała przeciwstawić się mężowi. Tym razem także nie potrafiła zdecydowanie mu odmówić.

Planowanie przelotu i przygotowania do podróży przebiegały szybko i sprawnie. W ciągu zaledwie paru dni wszystko było gotowe: paszporty podstemplowane, wizy załatwione, bilety lotnicze kupione. Pierwszym etapem był lot do Pakistanu. Tam mieli przekroczyć granicę z Afganistanem, a następnie, drogą lądową, dotrzeć do miejscowości, w której mieszkała rodzina Nasrada.

Na parę godzin przed podróżą Maria była bardzo niespokojna. Czuła, że wszystko dzieje się za szybko. Nie rozumiała, dlaczego mąż nie uprzedził jej wcześniej o swoim pomysle, ale nie chciała zadrezczać go wątpliwościami ani zasypywać pytaniami, gdyż mogłoby to spowodować zmianę decyzji. Wieczorem ostatniego dnia przed wyjazdem wpadła do Julii i opowiedziała jej o planowanym wyjeździe do Afganistanu oraz zwierzyła się ze swoich obaw.

- Do Afganistanu? Dziewczyno, w twoim stanie i biorąc pod uwagę warunki, jakie tam panują, oraz obecną sytuację polityczną, raczej nie powinnaś tam lecieć. W tym kraju jest bardzo nieciekawie. Szczególnie ciężkie jest położenie kobiet. Mario, tam toczy się wojna. Widziałam dzienniki telewizyjne. Czy ty, dziewczyno, nie oglądasz telewizji? Nigdy nie słuchałaś wiadomości? A w dodatku nigdy tam nie byłaś, kochana.



Marii było jednak wszystko jedno, co mówi jej serdeczna przyjaciółka. Wiedziała, że musi jechać. Pragnęła być razem z Nasradem, nie mogła sobie wyobrazić, że spędzi choćby jeden dzień bez ukochanego mężczyzny. Wolała zatem podjąć ryzyko i wcale się nie przejmować tym, co mówiła Julia.

- Szybko wrócimy. Za dziesięć, najdalej piętnaście dni będziemy z powrotem w domu w Londynie. W tak krótkim czasie raczej nie powinno się zdarzyć nic złego. Prawda, Julio? Zobaczysz, że wrócę szybciej, niż się spodziewasz. Wkrótce znowu się zobaczymy. Spotkamy się na plotki, a ja ci opowiem, co dobrego spotkało mnie w ojczyźnie Nasrada, i oczywiście, jeśli mi się uda, przywiozę ci jakiś prezent. Ale nic ci nie obiecuję.

Od momentu, kiedy Nasrad zamknął drzwi do ich mieszkania i wsiedli do taksówki, która miała ich zawieźć na lotnisko, Maria zaczęła odliczać dni dzielące ją od powrotu do domu. Nie wyjechali jeszcze z ich ulicy, a ona już tęskniła za swoim przytulnym mieszkaniem. Kurczowo trzymała Nasrada za rękę i cały czas wyglądała przez okno. Coś zmuszało ją do tego, aby przytulać się do męża. Nie rozumiała dlaczego, ale musiała ścisnąć jego dłoń i czuć, że jest blisko niej. Tak zaczynała się jej wielka podróż.

Nie bała się latać samolotami. Był to dla niej normalny sposób przemieszczania się, podróż taka jak inne. Wiele razy już latała z Nasradem i nigdy nie odczuwała strachu ani owego słynnego łaskotania w żołądku. Nie dręczył jej również strach przed katastrofą lotniczą, jaki przeżywało wielu jej znajomych. Po prostu siadała w fotelu, zamykała oczy i wyobrażała sobie, jak będzie wyglądał kraj, w którym wyląduje za parę godzin. Zastanawiała się, czym zaskoczą ją jego mieszkańcy. Tak właśnie było, kiedy jej mąż zafundował im podróż niespodziankę do Kanady. Maria nie знаła Ameryki Północnej ani Kraju Klonowego Liścia. Dużo jednak słyszała i czytała o Kanadzie. Ten kraj zawsze ją ciekawił, jakby chował w sobie jakiś sekret, który ona odkryje pewnego dnia, kiedy się tam znajdzie. Czowała się w nim szczęśliwa. Podczas lotu powrotnego przyrzekła sobie, że jeszcze raz odwiedzi rozległą kanadyjską ziemię. Pomyślała nawet, że chętnie zamieszkałaby tam na pewien czas. To ostatnie życzenie zapisała sobie na prywatnej liście marzeń do spełnienia w ciągu najbliższych kilkunastu lat.

Uwielbiała podróżować, poznawać nowe kraje, napawać się pięknem nieznanymi pejzażami, zawierać przyjaźnie z ludźmi mówiącymi w innych językach, mającymi odmienne zwyczaje, wychowanymi w różnych kulturach. „Najchętniej spędziłabym życie, podróżując po świecie - myślała. - Z plecakiem, w wygodnych trampkach, razem z moim mężem. Ni-

czego więcej nie potrzebuję do szczęścia". Sądziła, że pewnego dnia zdoła urzeczywistnić swoje marzenie. O nic więcej nie prosiła losu, tylko o możliwość podróżowania, najlepiej dookoła świata. Pragnęła dać się porwać nowym doznaniom, odkrywać nieznane dotąd lądy, a im bardziej byłyby spowite aurą tajemnicy i przygody, tym bardziej wydawały się jej ekscytujące.

Ta podróż była jednak zupełnie inna. Odkąd samolot wystartował z Londynu do Pakistanu, skąd mieli wyruszyć do Afganistanu, gdzie czekała na nich cała rodzina Nasrada, Maria przeczuwała, że będzie to szczególna wyprawa. Coś łaskotało ją w brzuchu, żołądek kurczył się ze zdenerwowania; oczywiście wiązała te dolegliwości ze swoją zaawansowaną ciążą. Według jej obliczeń powinna być w połowie szóstego miesiąca, ale wielkość brzucha wskazywała, że płód mógł się już dłużej rozwijać w jej łonie.

Podczas długiego lotu do Pakistanu, z kilkoma uciążliwymi przesiadkami, ani razu nie zmrużyła oka. Ani na chwilę nie przysnęła, chociaż jej mąż w sąsiednim fotelu zasypiał bez trudności. Wolała wyglądać przez okienko, rozmawiać z Nasradem, jeśli nie drzemał, albo pograć się w nudnej lekturze jednego z czasopism włożonych do tylnej kieszeni fotela przed nią. Przerzucała pobieżnie strony, szukając działu sprzedaży bezcłowej na pokładzie. Uwielbiała to robić. Po pierwsze, niektóre z tych towarów pamiętała jeszcze z poprzedniego etapu swego życia, kiedy godzinami pakowała zegarki, prezentowane później na stronach takich prospektów; zawsze zastanawiała się, kim są i jak wyglądają ludzie, którzy kupują artykuły na pokładzie samolotów. Po drugie, lubiła wybierać spośród szerokiej gamy produktów te przedmioty, które sama chciałaby mieć: perfumy, okulary przeciwsłoneczne, pudełko czekoladek, pierścionek, krem odżywczy lub apaszkę.

Marii wpadła w oko właśnie czerwona apaszka w czarne geometryczne wzory, prezentowana w kolorowym magazynie. Przeciągnęła dłonią po chustce zakrywającej jej włosy i szyję. Na podróż wybrała błękitną. Zwykłą, nieprzyciągającą uwagi, tradycyjną, w spokojnym kolorze. Mąż poradził jej, żeby wzięła też kilka innych, bo tam, gdzie lecą, nakrycie

głowy nie jest kwestią wyboru czy upodobania, tak jak w Londynie. Kobiety w Afganistanie zakrywają szczelnie włosy i część twarzy nie tylko ze względów kulturowych czy przez szacunek dla tradycji, ale przede wszystkim z przymusu i ze strachu. Lecąc po raz pierwszy do ojczyzny męża, Maria nie była jednak tego świadoma.

Po przylocie do Pakistanu został im do pokonania najcięższy, lądowy etap podróży. Na lotnisku czekał na nich brat Nasrada. Miał ich odebrać i przewieźć przez granicę z Afganistanem. Maria zauważyła zdumiewające podobieństwo między mężem i jego starszym bratem, chociaż przypisała je podobnemu, śniademu kolorowi skóry i długiej, zakrywającej twarz brodzie. „Chociaż nie mają takich samych rysów twarzy - pomyślała - sprawiają wrażenie identycznych”. Śmieszyło ją, że wszyscy wokół są do siebie podobni. Noszą identyczne stroje i mają zbliżone cechy fizyczne.

Gdy wysiedli z samolotu, poczuła uderzającą w twarz, tamującą oddech falę gorącego, wilgotnego powietrza. Tłumaczyła sobie to dziwne doznanie długim lotem i swoim odmiennym stanem. Miała wrażenie, że odkąd postawiła stopę na tej spalonej słońcem ziemi, ogarnęła ją straszna duchota i żar, które miały jej już nie opuszczać.

- Dobrze się czujesz, Mario? - spytał zaniepokojony mąż na widok jej nagle pobladłej twarzy.

- Tak. Tylko strasznie mi gorąco. To wszystko. Nie czujesz spiekoty? Nasrad nic nie odpowiedział. Pewnie nawet jej nie słyszał, bo zadała to pytanie właśnie w chwili spotkania braci po długiej rozłące. Obserwowała jakby z drugiego planu, jak obejmują się i całują. Długo szwargotali w niezrozumiałym dla niej języku. Poczuli się przez moment zbędni,

choć dobrze wiedziała, że Nasrad od dawna nie widział brata i może dlatego tak długo nie zwracał uwagi na żonę.

Kiedy mężczyźni przypomnieli sobie o jej obecności, usłyszała, że mąż, biorąc ją za ramię, mówi coś do brata, który z kolei uśmiecha się do niej i wypowiada kilka słów w języku zrozumiałym tylko dla obu mężczyzn. Obyło się bez pocałunków i serdecznych uścisków; nie podał jej nawet ręki. Zdobył się jedynie na zdawkowy uśmiech i miły gest zapraszający ją do samochodu. Nie wiedziała, czy Afgańczycy są tak nieśmiali, że nie okazują serdeczności przy poznaniu, czy po prostu nie należą do miłośników zbyt wylewnych powitań. Nie rozumiała jeszcze, że w tej części świata kobiety są nieważne. Nie potrafiła pojąć, dlaczego nie może przytulić się do męża, a przy powitaniu ze szwagrem jej pocałunek zawisł gdzieś w powietrzu. „Może to taki zwyczaj. Jestem w obcym kraju i panuje tu inna kultura, ale ktoś mógłby mi to jednak wyjaśnić” - pomyślała, nie przywiązując do tego wielkiej wagi.

Zajęła się obserwowaniem tłumu ludzi przewijających się po lotnisku. Szczególną uwagę zwracały szczelnie okryte niemal od stóp do głów kobiety. Ucieszyła się, że przyleciała ubrana zgodnie ze zwyczajami panującymi w tym kraju.

Przez chwilę głąskała się po brzuchu. Ten macierzyński gest zawsze podtrzymywał ją na duchu, dodawał siły i pewności siebie, a teraz tak potrzebnej odwagi i otuchy. Znowu uśmiech pojawił się na jej twarzy.

Czekała ich jeszcze nużąca, wielogodzinna podróż samochodem do granicy z Afganistanem. Mąż uprzedził Marię wcześniej, że nie pojedą do jego rodzinnej miejscowości, ponieważ sytuacja w tamtym regionie jest bardzo napięta i nie chce narażać jej na niepotrzebne ryzyko. Pragnął jedynie, aby podczas tej pierwszej podróży poznała przynajmniej jego rodziców, rodzeństwo i kilku najbliższych krewnych oraz spędziła z nimi kilka dni, najwyżej miesiąc. Potem mieli spokojnie wrócić do Londynu, aby tam, w klinice, mogła urodzić ich pierwsze dziecko.

Postanowiono zatem, że rodzice Nasrada i kilkoro rodzeństwa przyjadą do miejscowości położonej w strefie nadgranicznej sąsiadującej z Pakistanem, gdzie mieszkali jego dalsi krewni.

Przekroczenie granicy było naprawdę koszmarem przeżyciem. Maria już z daleka zauważyła tłum ludzi ustawionych w długiej kolejce i czekających na załatwienie formalności celno-paszportowych. Kiedy się znaleźli na terytorium Afganistanu, dostrzegła, jak bardzo przejście przez granicę wzburzyło Nasrada, który długo mówił coś do brata, tak jakby był bardzo zdenerwowany. Później dowiedziała się, że przy przekraczaniu granicy mąż musiał zapłacić haracz równy kosztom podróży lotniczej z Londynu do Pakistanu. Nie potrafił się z tym pogodzić.

Wkrótce dotarli do niewielkiej i opustoszałej miejscowości, w której mieli zamieszkać przez pewien czas. Maria zastanawiała się, czy to z powodu późnej pory ulice były opustoszałe. Miała wrażenie, że dom, przed którym stanęli, to zwykła wiejska chata. Nie myliła się, była to wiejska zagroda. Szybko też przekonała się, że była bardzo ubogo wyposażona i pozbawiona podstawowych wygód. Właściwie nie miała żadnych.

Tam poznała rodziców Nasrada. Najpierw przedstawiono jej ojca. Na pierwszy rzut oka stwierdziła, że jest sympatyczny, dobroduszny i miły, choć może za bardzo zamknięty w sobie, milczący i nieśmiały. Potem poznała matkę. Dobrze wiedziała, że za wszelką cenę musi nawiązać z nią dobre stosunki. Znała czarną legendę otaczającą na całym świecie teściowe, i chociaż była świadoma, że ich kontakty będą raczej sporadyczne, pragnęła mieć w niej sprzymierzeńca, a nie wroga. Poza tym była prze-

cięż matką jej ukochanego mężczyzny i w gruncie rzeczy, gdyby nie ona, Maria nigdy by się nie dowiedziała, co to jest prawdziwe szczęście.

Pierwsze spotkanie było raczej serdeczne, choć trochę sztuczne. Dla Europejki ta sytuacja była bardzo niezręczna. Miała wrażenie, że jej absolutna nieznajomość języka ojczystego męża przeszkadza w zbliżeniu się do jego rodziny. Irytowało ją to, ale musiała się z tym pogodzić.

Przez pierwsze dwa tygodnie pobytu w tej miejscowości starała się przede wszystkim zadowalać teściową i nawiązać z nią ciepłe, serdeczne kontakty. W czasie podróży Nasrad dużo opowiadał o matce, o niemal samotnej walce tej steranej życiem kobiety o przetrwanie i utrzymanie rodziny, o jej poświęceniu i pracy, jaką musiała włożyć w pokonanie trudności i przeciwności losu w czasie wojny, borykając się z permanentnym niedostatkiem, w jakim żyła ich rodzina. Maria szczerze podziwiała teściową, starała się okazywać matce Nasrada zachwyt i podziw. Nie była jednak pewna, czyjej się to udało.

Resztę czasu poświęcała mężowi. Nawet na chwilę nie chciała się z nim rozstawać. Prawie wcale nie wychodzili z domu. Potęgowało to w Marii uczucie znudzenia i przygnębienia, które towarzyszyło jej przez cały dzień, od rana do wieczora.

Na dodatek miała nietypowe symptomy związane z ciążą.

Czuła się coraz bardziej ociężała i z trudem się poruszała. Najbardziej niepokoiło ją odczuwane od ponad tygodnia napięcie w dole brzucha. Męczące ją od siedmiu dni pieczenie w żołądku, typowa zgaga ciążowa, nasiliło się, powodując niemal ciągły stan złego samopoczucia. Nie mogła się już doczekać powrotu do Londynu i rozwiązania.

Pewnej nocy bóle stały się tak silne, że nie mogła ich dłużej ukrywać. Nasrad natychmiast powiadomił brata, który był lekarzem z wykształcenia i miał wystarczającą wiedzę, aby od razu zrozumieć powagę sytuacji. Maria nie chciała niepokoić męża, ale kiedy poinformowano ją o stanie jej zdrowia, przestała się tym przejmować. Problem samopoczucia męża musiał zejść na drugi plan.

Nie mogła wprost uwierzyć w słowa, które tłumaczył jej Nasrad, chociaż próbował przedstawić wszystko optymistycznie. Niestety, nadaremnie.



- Mario, mój brat uważa, że jesteś w zbyt zaawansowanej ciąży, żeby lecieć samolotem. To może zaszkodzić dziecku. Uważa, że do porodu zostało już niewiele czasu, znacznie mniej, niż myśleliśmy. Dziecko chyba urodzi się wcześniej. Radzi nam, abyśmy aż do rozwiązania pozostali w Afganistanie. Później, kiedy odzyskasz siły po położeniu, będziemy mogli wyjechać.

Usłyszawszy tę nowinę, miała wrażenie, że nagle brakuje jej powietrza w płucach. Nie mogła oddychać, a jej serce przestało bić. Takiego rozwoju sytuacji i zmiany planów nie przewidywała. Była to najgorsza niespodzianka, jaka spotkała ją w życiu.

- Tu? Przecież to niemożliwe. Nie mogę tu urodzić dziecka, Nasra-dzie. Po prostu nie mogę. Gdyby chociaż zbadał mnie jakiś lekarz! Przecież ja nawet nie wiem, gdzie my dokładnie jesteśmy! - Maria nie wiedziała, jak to przeżyje, ale gorąco pragnęła, żeby to nie była prawda. - Nie mogę. Nie mogę i nie chcę. Muszę wrócić do domu, Nasradzie, i to natychmiast. Chcę urodzić nasze dziecko w Londynie, tak jak planowałam. Tak jak oboje tego pragnęliśmy.

Przeplakała całą noc. Przez długie godziny w samotności zadreptała się myślami o swojej dramatycznej sytuacji. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nie może natychmiast wrócić do Londynu. Nie chciała także uwierzyć w diagnozę postawioną przez szwagra.

Nie miała jednak innego wyjścia, musiała się pogodzić z faktami i uwierzyć w słowa lekarza. Zresztą po paru dniach od tej okropnej wiadomości stwierdziła, że uczucie napięcia w dole brzucha przeniosło się jeszcze niżej, w okolice macicy. Pomyślała, że może brat Nasrada ma rację i dziecko urodzi się przed przewidzianym terminem. Świadomość, że musi rodzić w obcym, nieznanym kraju, była dla niej nie tylko bolesna, ale i traumatyczna. Nie mogła jednak walczyć z rzeczywistością. Musiała w końcu ustąpić.

Maria rozmyślała bezustannie, jak i gdzie urodzi się jej pierwsze dziecko. To, że wkrótce nastąpi rozwiązanie, w dodatku z dala od domu, budziło w niej przerażenie. Pragnęła mieć przy sobie swoją najlepszą przyjaciółkę Julię. Potrzebowała jej życzliwych rad i pełnych pociechy, ciepłych słów. Chciała, żeby jej wyjaśniła, jak przebiega poród i jak powinna się zachowywać w tym tak trudnym, choć od dawna wyczekiwanym, momencie. Niestety, Julia była równie niedosiężna jak marzenia o tym, aby urodzić w Londynie. Maria nie miała wyboru, musiała porozmawiać na ten temat z mężem.

Nasrad z kolei powiedział o jej obawach swojej bratowej, żonie lekarza, obeznanej z porodami i posiadającej elementarną wiedzę medyczną, ponieważ często asystowała mężowi. Właśnie ona dbała o zdrowie wszystkich kobiet w rodzinie, mężczyznom bowiem zabraniał tego szariat - prawo religijne surowo przestrzegane przez talibów.

Pewnego dnia Maria postanowiła pojechać do miejscowego szpitala, do ginekologa, żeby sprawdzić, czy ciąża przebiega prawidłowo. Zaledwie parę dni dzieliło ją od porodu, a jeszcze nie była u położnika. Kiedy mąż przedstawił ten pomysł swojej rodzinie, wszyscy spojrzeli na niego z takim oburzeniem, jakby z jego ust padła największa obelga pod słońcem. Patrzyli na niego tak, jakby nie mogli uwierzyć w to, co usłyszeli. Wreszcie ktoś mu wyjaśnił, na czym polegał jego nietakt. Nasrad przetłu-

maczył to żonie. Z trudem dobierał odpowiednie słowa, ale wolał powiedzieć jej gorzką prawdę, niż karmić złudnymi nadziejami.

- Mario, muszę powiedzieć ci coś, co jeszcze bardziej skomplikuje nasze plany na przyszłość. Pamiętaj, bądź silna i nie zapomnij, że przez cały czas będę przy tobie. - Przełknął ślinę i zaczął tłumaczyć jej to, czego dowiedział się przed chwilą od krewnych. - Nie możesz iść do lekarza. Nie będziesz też rodzić w szpitalu. Wybij to sobie z głowy. Zapomnij o tym jak najszybciej. Jesteśmy w Afganistanie i tu panują zupełnie inne prawa i zwyczaje niż w Anglii. Kobiety mają zakaz wchodzenia do szpitala, nie mogą ich przyjmować i badać mężczyźni, a tylko oni mają prawo do praktyki lekarskiej. Odkąd talibowie przejęli władzę w mojej ojczyźnie, kobietom zakazano wykonywania tego zawodu. Nawet lekarki z wieloletnim stażem odsunięto od tej profesji. Kobietom odebrano prawo do studiowania, także medycyny. Dlatego nie przyjmie cię żaden lekarz specjalista, nie będziesz mogła również urodzić w szpitalu. Mario, w Afganistanie kobiety rodzą w domach. Nie mają możliwości wyboru, tak jak w Europie.

Nasrad na chwilę umilkł, ale na widok smutku malującego się na twarzy żony poczuł, że musi mówić dalej. Pełnym współczucia gestem ujął jej dłonie i mocno uściśnął. W ten sposób pragnął zatrzeć przykre wrażenie pozostawione przez suche, pozbawione litości słowa, dodać jej otuchy i siły.

- To niemożliwe, Mario - kontynuował. - Zapomnij o tym. Moja matka pomoże ci urodzić nasze dziecko, tak jak pomagała wszystkim kobietom z naszej rodziny. Pamiętaj, cały czas będę przy tobie. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

W końcu nadszedł dzień porodu. Maria skuliła się w pół. Czuła, jak wzburzona rzeka wypływa z jej łona, a straszliwy, rozdzierający ból nie pozwalał jej się wyprostować.

Natychmiast rzuciły jej się na pomoc kobiety z rodziny Nasrada. Zaprowadziły ją do specjalnie wyłożonego materacami i kocami pokoju, który przygotowały parę dni wcześniej.

Maria płakała, krzyczała, przeklinała, nie mogła znieść bólu, a co gorsza, wiedziała, że nie dostanie nic na uśmierzzenie cierpienia. Na próżno starała się panować nad sobą. Próbowwała słuchać rad, oddychać zgodnie ze wskazówkami szwagierek. Nie było to proste, bo nie rozumiała niemal ani jednego słowa po afgańsku. Nasrad nie mógł jej przyjść z pomocą, ponieważ wbrew jego obietnicom i zapewnieniom kobiety nie pozwoliły mu uczestniczyć w porodzie.

Starała się stosować sposoby podpatrzone na filmach. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy powinna zaczerpnąć powietrza, a kiedy je wypuścić, aby poddać się właściwemu rytmowi oddychania, jednocześnie śledząc gesty i mimikę asystujących jej kobiet.

W pewnym momencie teściowa stwierdziła, że musi ją trochę naciąć, aby ułatwić dziecku przyjście na świat. Maria wyciągnęła się na materacu, zamknęła oczy i poddała przeznaczeniu. Pragnęła tylko, aby poród skończył się jak najszybciej. Poczowała, jak nóż przecina jej ciało, ale wbrew

temu, czego oczekiwała, było to zaledwie lekkie ukłucie. Bóle porodowe były bowiem tak silne, że zagłuszyły inny. Dzięki interwencji teściowej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Właśnie wtedy, gdy położnica pomyślała, że zaraz straci przytomność, i zaczęła się żegnać z życiem, usłyszała głos matki Nasrada: „To chłopiec, Mario. Masz syna. Drobny, ale zdrowy chłopak i ma wszystko na swoim miejscu”.

Poród trwał pięć godzin, które dłużyły się Marii, jakby ciągnął się miesiącami. Okazał się znacznie bardziej bolesny, niż sobie wyobrażała. Na szczęście obyło się bez komplikacji. Teściowa położyła jej dziecko na brzuchu. Młoda matka wreszcie zobaczyła, jak wygląda jej maleństwo. Jedna z kobiet najpierw je obmyła, a potem owinęła czystą pieluszką. Wycieńczona pięciogodzinnym porodem Maria resztkami sił odsunęła tkaninę, w którą zawinięto jej dziecko, i sprawdziła, czy wszystko jest w porządku, tak jak twierdziła matka Nasrada. Wzruszył ją widok drobnutkich nóżek, rączek, i wystający pępek. Zaskoczyło ją, że synek jest taki malutki, ale pomyślała, że trudno się spodziewać, aby wcześniak był większy. Oceniała, że waży najwyżej dwa kilogramy. Wolałaby, aby urodził się w Europie. Fachowa położna zważyłaby noworodka, zmierzyła, sprawdziła i ocenił jego stan, stwierdziła, czy naprawdę wszystko jest w porządku i czy nie ma potencjalnych zagrożeń. Maria wyobraziła sobie, że położna zabiera jej dziecko i kładzie w czystej, specjalnie przygotowanej kołysce, postawionej obok łóżka matki. Marzyła, aby wykwalifikowana pielęgniarka zatroszczyła się o jej synka i zrobiła obowiązkowe szczepienia. Niestety, to było niemożliwe w Afganistanie. Tu nie było lekarzy, lekarstw ani szczepionek. Tu nie było nic oprócz przerażonej młodej matki i bezbronny noworodka. Właśnie wtedy po raz pierwszy poczuła śmiertelny strach. Była pewna, że jej dziecko zaraz umrze, że jest za małe, za słabe, zbyt kruche, aby przeżyć w takim miejscu i w takich warunkach. Chciała się rozplakać, ale zabrakło jej łez. Pocałowała maleństwo, przytuliła do siebie i pomyślała, jak bardzo szczęśliwy będzie Nasrad, kiedy się dowie, że ma pierworodnego syna. Żaden ginekolog w Londynie nie potrafił potwierdzić ze stuprocentową pewnością płci dziecka, dlatego gdy teściowa oznajmiła jej, że urodził się chłopiec, wie-

działa, że to uszczęśliwi męża. Bardzo pragnął mieć syna. Podczas podróży do Afganistanu powiedział jej, że w tradycyjnym muzułmańskim społeczeństwie, z jakiego się wywodził, córka to tylko kłopot. Nikt nie chciał mieć córek. Były nikomu niepotrzebne. Synowie natomiast, gdy dorośli, pomagali utrzymać rodzinę i dom, a na starość dbali o niedołączonych, schorowanych rodziców. Marii taki sposób myślenia wydawał się obcy i dziwny. Była wdzięczna, że nie musi żyć w kraju, w którym nie cieszą się z niemowlaka tylko dlatego, że był płci żeńskiej.

Po chwili kobiety zabrały dziecko z jej ramion, żeby się nią zająć. Nie miały nici chirurgicznych, by zeszyć nacięcie porodowe. Teściowa złączyła po prostu dwa brzegi rany za pomocą maści sporządzonej z leczniczych ziół, wody i glinki, która miała przyspieszyć szybkie zabliznienie się i wygojenie się cięcia. Położnica musiała leżeć nieruchomo ze złączonymi nogami. Co parę godzin jedna z kobiet zmieniała jej kompresy z tym specyficznym medykamentem. Maria była straszliwie wyczerpana, obolała, pragnęła tylko zapaść w głęboki sen. Wokół niej panował jednak tak wielki rozgardiasz i zamieszanie, że nie mogła zasnąć. W końcu zamknęła oczy i pomimo bólu oraz pieczenia rany usiłowała się zdrzemnąć, wyobrażając sobie, jak przebiegałby poród w Londynie, na Majorce czy w jakimkolwiek innym miejscu zamiast w Afganistanie. „Nawet w średniowieczu ludzie żyli godniej, a kobiety rodziły w lepszych warunkach niż ja” - pomyślała.

Nasrad obudził ją pocałunkiem w czoło. Poglaskał ją czule po wilgotnych od potu włosach. Maria bardzo się pociła, ponieważ miała wysoką gorączkę.

- Widziałeś swojego syna? - spytała z oczami błyszczącymi macierzyńską miłością, choć jeszcze sobie tego nie uświadamiała.

- Tak. Jest śliczny. Dziękuję, Mario. Bardzo dziękuję. Jestem teraz najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Dzięki tobie.

Po raz pierwszy widziała w oczach swojego męża łzy i ta niespodziewana reakcja, odkrycie najintymniejszej części jego duszy napełniły ją radością. Na jej pobladłych ustach pojawił się uśmiech i nie schodził aż do wieczora. Nasrad obsypywał żonę pocałunkami i pieścizotami, szep-

tał jej na ucho obietnice lepszej przyszłości, oczywiście z dala od Afganistanu. Maria kurczowo trzymała męża za rękę. Chciała być pewna, że od niej nie odejdzie. Bezustannie prześladowała ją myśl, że wszystko byłoby prostsze i lżejsze do zniesienia, gdyby był przy niej podczas porodu, pomagał jej, pocieszał. Już sam dźwięk jego głosu kołby jej ból, tak jak teraz.

A jednak czuła się szczęśliwa, pełna nadziei i wiary w przyszłość.

Najcięższe chwile już minęły. Urodziła syna. Teraz musiała tylko odzyskać siły po porodzie i zaplanować powrót do domu, tym razem we troje. Uśmiechnęła się na samą myśl, że nareszcie są prawdziwą rodziną.

To sprawiło, że na parę minut przeniosła się we wspomnieniach na Majorkę. Wyobraziła sobie, jak bardzo szczęśliwy byłby jej ojciec, dowiedziawszy się, że ma wnuka.

Przez kolejne dni połogu Maria była tak wycieńczona i słaba, że nie miała ani siły, ani ochoty do normalnego działania, a tym bardziej do świętowania narodzin, chociaż Nasrad obwieścił, że wkrótce odbędzie się uroczystość, w której ona musi uczestniczyć. Rodzina, dla uczczenia przyjścia na świat ich pierworodnego syna, przygotowała tradycyjną afgańską ceremonię. Mąż wyjaśnił jej z grubsza, na czym ta uroczystość polega. Wysłuchiwała jego słów z uśmiechem na ustach i jednocześnie szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, myśląc w duchu: „Jakie to straszne! Chcą to zrobić mojemu biednemu dziecku?”. Wiedziała jednak, że nie może przeciwstawiać się tradycyjnym zwyczajom związanym z powitaniem na świecie nowego członka rodziny.

Uczestniczyła w tym obrzędzie z niepokojem i lękiem przed nieznanym, pomimo ogólnikowych informacji dostarczonych przez męża. A może właśnie dlatego.

Zgodnie z opowieścią Nasrada krewni, tuż po urodzeniu, włożyli maleństwu pod język rodzaj pasty z daktyla, przypominającej marmoladę, a sporządzonej parę godzin wcześniej. Wyczerpana porodem Maria nie była tego świadoma. Po siedmiu dniach nastąpił kolejny etap ceremonii związanej z narodzinami. Jeden z krewnych wyszeptał do prawego ucha dziecka modlitwę w ojczystym języku zgromadzonych gości. Matka maleństwa nic nie rozumiała, ale mąż powiedział jej, że są to zwyczajowe



życzenia pomyślności i szczęścia na przyszłość. Tradycyjna modlitwa. Woląca szczegółowo nie wypytywać.

Gdy wszyscy członkowie rodziny zebrali się na modlitwę, oczywiście z tradycyjnym podziałem na mężczyzn i kobiety, które usadowiły się jak zwykle za mężczyznami, synami i braćmi, dziecko ochrzczono imieniem Abdullah, wybranym przez Nasrada, a zaakceptowanym przez jego żonę. W tym momencie zaczęło się świętowanie.

W paradnej sali pojawił się mężczyzna, którego Maria widziała po raz pierwszy. Domyśliła się, że nie jest to krewny, tylko przyjaciel rodziny. Jego zadaniem było złożenie w ofierze jagnięcia z okazji narodzin Abdullaha. Baranek miał być zarżnięty rytualnym cięciem na oczach zgromadzonych gości i rodziny.

Wizja krwi tryskającej strumieniami z poderżniętego gardła zwierzęcia budziła w niej wstręt i obrzydzenie. Obawiała się, że nie tylko przestanie nad sobą panować, ale straci przytomność. Ten widok był jednak dziecinną igraszką w porównaniu z kolejnym rytuałem; Maria nagle zrozumiała, że ten człowiek zamierza zamoczyć w jagnięcej krwi nóżki, rączki i główkę niemowlęcia. Obrzęd odbywał się na jej oczach, a ona, wstrząśnięta, czuła, że wydarzenia ją przerastają i paraliżuje przedziwna niemoc. Nie widziała już samego momentu strącania z maleństwa krzepnącej krwi, która skapując na ziemię ciężkimi kroplami, tworzyła na niej odrażający skrzep. Stosownie do wskazówek jednego z mężczyzn matka musiała dotknąć kończynami maleństwa ziemi splamionej bydlęcą juchą. Czekala jednak z umyciem dziecka. Nie chciała łamać nakazów wiary i tradycji ani urazić uczuć religijnych gości uczestniczących z oddaniem w obrzędzie powitalnym jej synka. Kiedy zebrani zajęli się przygotowaniem wystawnego, jak nigdy dotąd, posiłku - co zwróciło uwagę Marii, gdyż po raz pierwszy od przyjazdu do Afganistanu widziała takie ilości jedzenia - ona sama z dzieckiem w ramionach odeszła na chwilę, aby zmyć resztę krwi zwierzęcej, zaschniętej na rączkach i stopkach niemowlęcia. Ponieważ brakowało wody, musiała zmyć plamy własną śliną.

Tak upłynął pierwszy dzień tradycyjnego celebrowania narodzin Abdullaha. W nocy Maria spytała męża, kiedy zamierza wyjechać z Afgani

stanu. Chciała zanieść synka do pediatry, a sama zgłosić się do ginekologa. Obawiała się infekcji. Poród odbył się w prymitywnych warunkach i musiała się upewnić, że stan dziecka nie odbiega od normy. Nasrad przyrzekł, że za parę dni wyjadą do Londynu. Właśnie tyle czasu potrzebowała, żeby dojść do zdrowia i w pełni sił wyruszyć w drogę powrotną do domu.

I tak się stało.

Kolejne dni okazały się bardzo ciężkie dla Marii. Nikt nie odwiedzał ani jej, ani dziecka. Nikt się nie pojawiał, aby sprawdzić, czy się dobrze czują, i nie czuwał nad prawidłowym przebiegiem gojenia się rany po porodzie. Trzeciego dnia własnoręcznie przygotowała i nałożyła sobie przyspieszającą gojenie maść z ziół, wody i glinki. Jej szwagierki twierdziły, że sposób, w jaki jej pierwsze dziecko przyszło na świat, był najlepszy z możliwych. Pragnąc ją o tym przekonać, wspominały niezliczone przypadki kobiet, które zmarły po porodzie odbytym w asyście lokalnych znachorów czy guślarzy, którzy na rozległych, wysuszonych pustkowiach afgańskiej prowincji świadczyli tak zwane usługi medyczne, prawdę mówiąc, nie mając ani stosownej wiedzy, ani odpowiedniego przygotowania. Swoje praktyki opierali na tradycyjnych, przekazywanych na wsi z pokolenia na pokolenie, metodach. Jedna z kobiet odważyła się pokazać wielką, szpecącą szramę, przecinającą wzdłuż i wszerz jej brzuch, skutek cesarskiego cięcia przeprowadzonego przez jednego ze znachorów, który mienił się lekarzem. Tego porodu o mało nie przypłacili życiem: ona i dziecko. Pozostała blizna, która do końca życia będzie przypominała biednej kobiecie, że pewnego dnia popełniła głupstwo, zawierając swoje życie i zdrowie niedouczonemu rzeźnikowi. Widząc tę okropną szramę, Maria pocieszała się myślą, że ona przynajmniej nie cierpiała tak bardzo, jej poród przebiegł bez komplikacji, a rana, choć bolesna, była

niewidoczna. Wizyty lekarskie i niezbędne badania postanowiła odbyć po powrocie do Londynu.

W pierwszych tygodniach po porodzie teściowa pomagała jej przy niemowlęciu. Maria miała mało pokarmu, prawdopodobnie dlatego, że Abdullah był wcześniakiem i jej organizm nie zdołał jeszcze wyprodukować dostatecznej ilości mleka, żeby zaspokoić łaknienie noworodka. Matka Nasrada przegotowywała zatem kozie mleko rozcieńczone wodą, które wlewała do wyprawionego wymienia kozy, służącego za naturalny smoczek. W ten sposób wyrównywała niedobór matczynego pokarmu.

Maria na swój sposób podziwiała teściową. Ponieważ sama źle znosząc pierwszy poród, potrafiła sobie wyobrazić, ile wycierpiała ta kobieta, rodząc i wychowując dwanaścioro dzieci - dziewięciu chłopców i trzy dziewczynki - podczas nieustannych ucieczek z jednej miejscowości do drugiej przed atakami wojsk, wśród wojennych bombardowań i strzelaniny.

Karmiąc synka, Maria często myślała o swojej rodzinie. Od dawna nie rozmawiała, nawet telefonicznie, z kimkolwiek ze swoich bliskich. Nie podzieliła się z nimi nowiną o ślubie ani tym bardziej o narodzinach pierwszego dziecka. Nie znali jej adresu, nie wiedzieli, że mieszka w Londynie. Nie miała okazji opowiedzieć im, z kim się związała, gdzie przebywa ani co robi. Pragnęła zaoszczędzić im przykrości i zmartwień. Gdyby poznali jej obecną sytuację, z pewnością byłiby przerażeni.

Godzinami myślała o tym, jaki szczęśliwy byłby jej ojciec, gdyby się dowiedział, że został dziadkiem. Uczepiła się tej perspektywy ze wszystkich sił. Czerpała z niej nadzieję. Przyrzekła sobie, że jeśli tylko wydostanie się z Afganistanu, jedną z pierwszych podjętych przez nią decyzji będzie wizyta u rodziny na Majorce. Nadeszła pora, żeby unormować stosunki. Teraz, tuląc swojego synka w ramionach, rozumiała wreszcie, co to znaczy dbać i troszczyć się o rodzinę. Stwierdziła, że już zbyt długo nie widziała swoich bliskich. Miała wyrzuty sumienia, że nie poświęcała im zbyt wiele uwagi.

W końcu nadszedł upragniony dzień, kiedy Maria odzyskała siły i była gotowa do podróży. Minęły dwa długie miesiące, odkąd przylecieli do Pakistanu, był najwyższy czas na powrót. Nasrad zobowiązał się załatwić wszelkie formalności związane z wyjazdem.

Pożegnanie było krótkie i serdeczne. Maria trzymała synka w ramionach, i prawdę mówiąc, z jej twarzy nie schodził uśmiech.

Jechali tym samym samochodem, którym brat Nasrada przywiózł ich z lotniska. Młoda matka, cały czas wpatrzona w swoje dziecko, ledwie spoglądała na rozpościerający się na zewnątrz krajobraz.

Na lotnisku Maria i Nasrad pożegnali się z bratem, jedynym krewnym, który ich odprowadzał. Tym razem szwagier także nie pocałował i nie uściskał jej na pożegnanie, ale już jej to nie dziwiło. Jej ramiona były zajęte. Brakowało w nich miejsca dla innych.

Londyn powitał ich delikatną, choć intensywną mżawką. Maria odczytała to jako dobrą wróżbę na przyszłość. I znowu się uśmiechnęła.

Kolejne dni upłynęły jej na przedstawianiu maleństwa znajomym i przyjaciółom. Przede wszystkim pokazała synka swojej serdecznej przyjaciółce, która wręcz nie mogła uwierzyć, że dziecko przyszło na świat w tak prymitywnych warunkach, choć Maria umyślnie pozbawiła swoją opowieść dramatyzmu. Postanowiła oszczędzić wielu wstrząsających i drastycznych detali i tak już wystarczająco zdziwionej i przerażonej Julii.

- A nie mówiłam, że jesteś gotowa popełnić każde szaleństwo z miłości do Nasrada? Wcale się nie myliłam. - Dziewczyna uważała, że nadszedł właściwy moment, aby ponownie udzielić Marii przyjacielskich rad. - Nigdy nie znałam kogoś tak skłonnego do poświęceń jak ty. Nie sądziłam, że miłość może kogoś zaprowadzić aż tak daleko. Ostrożnie z tą miłością. Uważaj, gdzie ona cię zawiedzie.

Maria czuła się jednak szczęśliwa. Promieniała macierzyńską dumą. Była zachwycona swoją nową rolą matki. Codziennie odbywała długie spacerunki z Abdullahem. Przechadzała się parkami, ulicami, placami i skwerami, pchając przed sobą wózek. Pragnęła pokazać synkowi wszystkie ukochane londyńskie zakątki, jakby w ten sposób potwierdzała codziennie to, że jest w Anglii, a pobyt w Afganistanie był tylko dramatycznym epizodem w jej życiu. Smutnym wspomnieniem z przeszłości. Etapem definitywnie zakończonym.

Nie zapomniała o obietnicy złożonej sobie w Afganistanie. Wiedziała, że nie może ociągać się dłużej z odwiedzinami u swojej rodziny na Majorce. Tuląc synka w ramionach, bezustannie o nich myślała. „Jak się zachowa mój ojciec? Czy przebaczy mi mój wyjazd bez słowa wyjaśnienia? Pewnie, jak mnie zobaczy, wygłosi nudne kazanie na temat odpowiedzialności, i jak zwykle doprowadzi mnie tym do szału. Ale złość szybko mu minie na widok wnuczka. Oszaleje na jego punkcie! Przecież tak bardzo kocha dzieci. A moja siostra Rosie i brat Pedro... Zrozumieją mnie na pewno. Chyba już się przyzwyczaili do moich wybryków. Mają takie dobre serca. Tak bardzo pragnę ich zobaczyć”.

Maria odszukała notesik w brązowych okładkach, przechowywany w jednej z szuflad komódki w sypialni.

Wiedziała, że znajdzie tam numer swojej siostry Rosie. Wiedziała o tym przez siedem lat, od chwili przyjazdu do Londynu, odkąd postanowiła trzymać się z dala od rodziny i nie nawiązywać z nią kontaktu. Oczywiście zdarzały się i takie chwile, kiedy pragnęła otworzyć kryjący tajemnice jej przeszłości notesik, znaleźć numer i zadzwonić do siostry, ale to oznaczałoby nieuchronnie spotkanie z rodziną. Nigdy dotąd nie znalazła w sobie dostatecznie dużo siły ani wystarczającego powodu, aby

w końcu zatelefonować. Tym razem było jednak inaczej. Chciała to zrobić. Musiała to zrobić.

Pospiesznie przerzucała strony, szukając numeru siostry. Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiała, czemu to robi, ponieważ dobrze go jeszcze pamiętała. Dalej wertowała jednak notesik, być może wierząc, że odciągając tę chwilę, nabierze pewności, odpreży się i znajdzie w sobie konieczną odwagę. Nawet bawił ją fakt, że szuka informacji, którą od wielu lat ma w pamięci. W Rosie, niezależnie od okoliczności, Maria zawsze miała podporę. Siostra nigdy jej nie zawiodła.

Uśmiechnęła się, kiedy w końcu znalazła jej numer. Sprawdziła i z satysfakcją stwierdziła, że pamięć jej nie myliła. Starannie wybrała kolejne cyfry i jednocześnie przed jej oczami pojawiało się tysiące wspólnie spędzonych chwil. W słuchawce usłyszała kobiecy głos.

- Rosie? Tu twoja siostra, Maria...

Nagle zapadła długa, niekończąca się cisza. Dziewczyna przez chwilę się obawiała, że przez pomyłkę wybrała zły numer albo że po tylu latach nie należał już do jej siostry. A jednak to nie była pomyłka.

- Maria? To naprawdę ty? Nie do wiary. Maria, ile to lat minęło? Dlaczego tak długo nie dzwoniłaś? Co u ciebie słychać? Wszystko w porządku? Gdzie...?

- Nie zadawaj tylu pytań, Rosie, bo nie będziemy miały o czym rozmawiać, kiedy się spotkamy. Chcę was odwiedzić na Majorce, o ile nie macie nic przeciwko temu. Mam ci tyle do powiedzenia. Wyszłam za mąż i mam dziecko, synka.

Rosie nie wiedziała, czy składać siostrze gratulacje, czy zbesztać, że ich o tym nie powiadomiła. W końcu postanowiła wysłuchać jej spokojnie.

- Muszę go wam pokazać. Jak myślisz, mogę do was przyjechać? Starsza siostra była zaskoczona, że Maria pyta ją o zgodę, skoro dawniej robiła wszystko, na co miała ochotę, nie tłumacząc się ze swoich decyzji.

- Oczywiście. Jasne, że możesz. Powiedz tylko, gdzie jesteś? Skąd dzwonicz? Gdzie byłaś tak długo?

- Mieszkam w Londynie. Mówiłam ci, żebyś nie zadawała tylu pytań.

Posłuchaj, jeszcze dziś pójde do agencji turystycznej i kupię bilet lotniczy. Jak zabukuję lot, zadzwonię do ciebie. Jak się czuje tata?

- Świetnie. Czasem marudzi, że coś mu dolega, jak to facet. Jestem pewna, że bardzo się ucieszy na twój widok. I my wszyscy też, Mario.

- Ja też się cieszę, że was zobaczę. Wkrótce zadzwonię i powiem ci, kiedy przylatuję. Strasznie się za tobą stęskniłam, siostrzyczko.

Maria zaczęła szykować się do podróży. Stwierdziła, że najpierw pojedzie sama, tylko z synkiem, i podzieliła się tym pomysłem z mężem. Nasrad ją zrozumiał i pogodził się z jej życzeniem, a właściwie decyzją.

Wolała polecieć sama, bała się bowiem ewentualnej niechęci rodziny, a zwłaszcza ojca, w stosunku do zięcia z powodu jego rasy i wyznawanej religii. Wiedziała, że niespodzianka byłaby zbyt wielka, a nie życzyła sobie ani kłótni, ani żadnych napięć czy też wyraźnie okazywanej wrogości podczas pierwszego spotkania ze swoją rodziną po tylu latach. Z tego powodu zrezygnowała również z noszenia chusty na głowie. Nie potrafiła, a tym bardziej nie wyobrażała sobie reakcji bliskich, gdyby ją w niej zobaczyli. Zbyt trudno byłoby wyjaśniać wszystko rodzinie skonsternowanej widokiem Marii, owiniętej w obszerne stroje i ze szczelnie zakrytą głową. Musiała mieć więcej czasu i przede wszystkim chęci, aby wytłumaczyć rodzinie powód tak radykalnej zmiany. Wcale się do tego nie spieszyła. „Powoli im wszystko wyjaśnię - myślała. - Pośpiech jest niewskazany. Tak będzie lepiej”.

Postanowiła wyciągnąć z szafy swoje džinsy i T-shirty, które tak bardzo lubiła nosić po przyjeździe do Londynu; potrafiła wtedy przemierzyć pół miasta w poszukiwaniu tych najmodniejszych. Niestety, większość jej dawnych ubrań wyszła już z mody, a poza tym po porodzie Maria przytyła parę kilogramów i stare džinsy oraz podkoszulki okazały się dla niej za ciasne. Postanowiła wybrać się na zakupy, pobiegać po sklepach w poszukiwaniu nowych ciuchów, a przy okazji kupić prezenty dla rodziny.

Po kilku miesiącach od powrotu z Afganistanu znowu wsiadała do samolotu. Tym razem z dzieckiem w ramionach i z biletem lotniczym na Majorkę w ręku. Pożegnała się z Nasradem, który odwiózł ją na lotnisko, cały czas przypatrując się baczny wzrokiem jej nowemu strojowi. Nie



było to spojrzenie pełne dezaprobaty. Po prostu już od dawna nie widział żony ubranej w europejskim stylu i prawdę mówiąc, nie poznawał jej. Ale podobała mu się.

- Co będzie, jeśli nie wrócisz i zostawisz mnie samego w Londynie?  
-zażartował.

- Czy wtedy polecisz po mnie, tak jak w komediach romantycznych, i przywieziesz z powrotem? - odpowiedziała pytaniem zadaniem w tym samym tonie.

- No nie wiem. Kiedy cię widzę w takim stroju, nie jestem pewny.

Pocałowali się na pożegnanie i Maria obiecała, że natychmiast po przylocie zadzwoni. Zamierzała zatrzymać się u rodziny miesiąc, może dłużej, korzystając z ładnej letniej pogody, jaka z pewnością była o tej porze na Majorce.

Tym razem podróż trwała bardzo krótko w porównaniu z długą i uciążliwą wyprawą do Afganistanu z wielokrotnymi przesiadkami. Lot okazał się szybki i niemęczący, co bardzo ją ucieszyło, choć raczej ze względu na komfort i wygodę dziecka, a nie własną.

Ponowne spotkanie z rodziną po tak długiej rozłące było ciepłe, serdeczne i wzruszające. Przyjechali po nią Rosie i Pedro. W domu czekał ojciec, który od kilku dni źle się czuł i wołał nie jechać na lotnisko.

Już na progu Maria wpadła w jego długo wyczekiwane objęcia. Wiele razy wyobrażała sobie tę chwilę, a jednak bez wątpienia przerosła wszelkie jej oczekiwania i marzenia. Starszy pan najbardziej się wzruszył, kiedy wziął na ręce swojego wnuka. Całował go, przytulał, przemawiał do niego czule, obsypywał pieszczotami, z rozrzewnieniem obserwował gesty i miny dziecka, wsłuchiwał się w jego zabawne gaworzenie. Traktował małego jak prawdziwy dar niebios, jak najlepszą i największą niespodziankę w życiu. Ojciec Marii cieszył się nie tylko z powrotu córki do domu, ale przede wszystkim z wnuka. Chłopiec przywrócił mu zdrowie, które w ciągu kilku ostatnich miesięcy znacznie się pogorszyło. Dziadek ułożył się nawet na podłodze, żeby pobawić się z Abdullahem. Zgłosił się na ochotnika, że go wykąpie, nakarmi butelką, przebierze, a potem zawiezie w wózekczku na spacer. Był zachwycony, że ma wnuka.

Nie wzbudziła w nim natomiast entuzjazmu wiadomość - choć starał się tego nie okazywać - że jego najmłodsza i najukochańsza córka wyszła za mąż za muzułmanina. Nie był z tego zadowolony, ale starał się, aby nikt nie zauważył jego reakcji. Nie rozumiał, dlaczego ukochana córka nie wybrała sobie kogoś tej samej wiary, hołdującego tym samym obyczajom i mającego taki sam pogląd na życie i świat. Właśnie dlatego Maria, pomimo obietnic złożonych siostrze, nie była zbyt gadatliwa, nie rozwodziła się na temat swojego nowego życia. Wręcz przeciwnie, nie wspomniała o przejściu na islam, o noszeniu tradycyjnego nakrycia głowy. Oszczędziła również swoim bliskim szczegółów dotyczących wyprawy do Afganistanu i koszmarnych doświadczeń związanych z pierwszym porodem, odbytym w prymitywnych warunkach na afgańskiej wsi. Była pewna, że akurat w tych relacjach ojciec nie znalazłby nic zabawnego, chociaż opowiadał swoim znajomym i sąsiadom, pół żartem, pół serio: „Moja córka wyszła za mąż za Maura. I koniec. Poślubiła Maura, koniec, kropka”. Robił to pewnie dlatego, że chciał częściowo pozbawić tę sprawę znaczenia i mimo wszystko pogodzić się z faktem.

Tygodnie mijały błyskawicznie. Maria bardzo tęskniła za Nasradem i postanowiła nie przedłużać pobytu na Majorce. Często do niego dzwoniła. Po każdej rozmowie była smutna, przestawała się odzywać i nie miała ochoty na towarzystwo. Mąż zachęcał ją, żeby została dłużej z ojcem i rodzeństwem, jeśli tylko ma ochotę, ale ona za bardzo za nim tęskniła.

W końcu zabukowała powrotny lot do Londynu i pożegnała się z rodziną. Złożyła tysiące obietnic, że będzie do nich często dzwonić, że już nigdy nie zerwą kontaktu i wkrótce znowu się zobaczą.

Ucałowała serdecznie rodzeństwo, które odprowadziło ją na lotnisko, i zabrała ze sobą do Anglii mnóstwo paczek i paczuszek z prezentami wręczonymi przez krewnych i znajomych. Były to przede wszystkim tradycyjne hiszpańskie produkty spożywcze: precle, ciasta, sery.

- W końcu ja też odlatuję jak prawdziwa wieśniaczka obładowana tysiącami paczuszek z *ensaimadas*\*. Wszyscy pasażerowie w samolocie

\* Tradycyjne drożdżowe ciastka wypiekane na Majorce, w kształcie zawijasa, z dodatkiem smalcu (przyp. tłum.).

będą się na mnie gapić, podobnie jak ja, kiedy na pokładzie pojawiał się ktoś wiozący tysiąc i jeden tobołków!

Oczywiście, zgodnie z oczekiwaniami, najboleśniej było rozstanie ojca z „marnotrawną” córką i nowo poznanym wnukiem. Wtedy jeszcze nie rozumiała swojego wzruszenia na widok taty obcałującego chłopczyka, tak jakby to miało być ich ostatnie spotkanie. Po raz pierwszy też dostrzegła na twarzy ojca smutek i znużenie, a jego oczy wydawały jej się najsmutniejsze na świecie. Była wstrząśnięta swoimi obserwacjami. Ucałowała go i przyrzekła, że wkrótce znowu się zobaczą. Dodała, żeby się szykował do wyprawy do Londynu, gdzie będzie czekał na niego wnuczek, wspólne zabawy i spacer.

Wtedy po raz ostatni ojciec Marii widział swojego wnuka, chociaż żadne z nich jeszcze o tym nie wiedziało.

Szybko mijały kolejne miesiące i Maria zapomniała o obietnicach złożonych swojej rodzinie. A przynajmniej nie miała czasu ani zbytnej ochoty, aby dotrzymać zobowiązań. Odkąd wróciła z Majorki do Londynu, opieka nad małym dzieckiem i praca zawodowa, którą podjęła, zajmowały cały jej czas i wyczerpywały siły. Wieczorem miała tylko tyle energii, żeby wrócić do domu i usiąść w fotelu obok męża, zapominając o bożym świecie, w tym także o telefonie do rodziny. Z dnia na dzień odwlekała swoją decyzję, myśląc: „Jutro do nich zadzwonię. W końcu nie mam im nic nowego do powiedzenia”.

Nie miała nawet czasu na ploteczki z Julią, tak jak dawniej, jeszcze przed urodzeniem dziecka. Wspólne popołudnia spędzane przy herbacie i ciasteczkach na długich pogawędkach zmieniły się teraz w krótkie, nijakie spotkania, które zdarzały się coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie zanikły. Widywały się sporadycznie. Czasem wpadały na siebie przypadkiem na schodach, na przystanku autobusowym czy na ulicy i wtedy postanawiały wypić razem herbatę, opowiedzieć sobie o najnowszych wydarzeniach. Te okazjonalne kontakty w niczym nie przypominały dawnych, regularnych spotkań. Mimo to wrażenie bliskości przetrwało i chociaż rytm życia był coraz bardziej pospieszny, stara przyjaźń nie zniknęła.

Julia nic jednak nie wiedziała o rozmowie telefonicznej z rodziną w Afganistanie, która odmieniła życie jej serdecznej przyjaciółki.

Pewnego dnia do Nasrada zadzwonił jeden z jego licznych krewnych. Zdarzało się to niezwykle rzadko. Połączenia były zbyt drogie jak na bardziej niż skromną sytuację finansową jego rodziny, która z trudem zaspokajała swoje podstawowe potrzeby życiowe. Prawdę mówiąc, krewni Nasrada żyli w biedzie, która Marii wydawała się wręcz surrealistyczna. Widząc wyraz twarzy męża, który z przejęciem i niepokojem słuchał słów tajemniczego rozmówcy, od razu zgadła, że coś się stało. Coś naprawdę poważnego. Tuląc małego Abdullaha w ramionach, wpatrywała się w męża pytającym wzrokiem. Chciała, aby dał jej jakiś znak, zakrył dłonią słuchawkę i rzucił choć jedno słowo, które jej podpowie, co się stało. Milczał jednak i nie reagował na jej sygnały.

Maria była coraz bardziej zdenerwowana. Położyła dziecko na podłodze i pozwoliła mu się bawić, nie chcąc przekazywać synkowi narastającego w niej z minuty na minutę niepokoję. Przysiadła na krześle naprzeciwko Nasrada. Musiała się dowiedzieć, co się stało. Musiała poznać powód jego niepokoję. On jednak jej nie dostrzegając i nic nie powiedział, dopóki nie odłożył słuchawki.

Wpatrywała się w niego nadal spojrzeniem pełnym lęku. Nie reagował jednak na jej zaciekawiony i niespokojny wzrok. Postanowiła go zatem zapytać:

- Co się dzieje, Nasradzie? Czy coś się stało, kochanie? Widzę, że jesteś bardzo wzburzony po tej rozmowie.

- Mój ojciec umiera. Muszę lecieć do Afganistanu. Powinienem być przy nim. Muszę natychmiast wyjechać.

Maria miała wrażenie, że ziemia zapada się pod jej stopami, a ona nie może zapobiec katastrofie. Przez moment nie była w stanie zareagować. Nie potrafiła nawet logicznie myśleć. Na samo brzmienie słowa „Afganistan” przed jej oczami przewijały się tragiczne obrazy, a umysł opanowywały bolesne wspomnienia. „Boże święty, tylko nie do Afganistanu - myślała gorączkowo. - Błagam, tylko nie tam”.

Już na samą myśl, że może się tam znowu znaleźć, poczuła dreszcze. Dopiero głos Nasrada wyrwał ją z osaczającej mgły.

- Muszę jak najszybciej wyjechać, Mario. Nie wiem, jak długo będzie żył mój ojciec. Nikt nie potrafił mi tego powiedzieć. Dowiedziałem się tylko, że jest w bardzo złym stanie i rokowania nie są najlepsze. Może umrzeć w każdej chwili, a ja go nigdy więcej nie zobaczę.

Nawet nie chciała słuchać jego wyjaśnień. Nic do niej nie docierało, ponieważ nie potrafiła pogodzić się z nieuchronnym.

- Jeszcze dziś kupię bilet. Polecę tam i zaraz wrócę. W ciągu tygodnia, najwyżej dwóch, będę z powrotem w domu.

Maria wiedziała, że nie chce i nie może puścić męża samego do Afganistanu. Już od dawna nic nie słyszała o ojczyźnie Nasrada, ale była świadoma tego, że w każdej chwili może się tam zdarzyć coś, co go zatrzyma i przeszkodzi w powrocie do domu i rodziny. A na taką ewentualność nie była gotowa. Nie chciała rozstawać się z nim nawet na chwilę. Nie zniosłaby rozłąki. Woląca polecieć do Afganistanu, niż narazić się na to, że on stamtąd nie wróci. Bez wahania rzuciła:

- Jadę z tobą, Nasradzie. Nie ma mowy, nie zostanę sama z dzieckiem w Londynie. Cały czas zadreślałabym się, czy jesteś zdrowy, bezpieczny, czy nic ci się nie stało. Umarłabym z niepokoju. Nie jestem na to gotowa. Jedziemy razem z tobą.

- To nie jest dobry pomysł, Mario. Wiesz, co się dzieje w Afganistanie. Od czasu naszego pobytu sytuacja jeszcze się pogorszyła. Lepiej poczekać na mnie w Anglii. Obiecuję, że spędzę tam tylko parę dni, nie dłużej. Tyle tylko, żeby sprawdzić, jak się czuje ojciec.

Próbował ją przekonać, ale znając upór i determinację żony, wiedział, że to nic nie da.

- Nie ma mowy, Nasradzie. Lecę z tobą. Nie ma o czym gadać. Koniec rozmowy. Pójdziemy dziś po bilety, a wieczorem spakuję walizki. Przrzekliśmy sobie spędzić razem życie. I tak będzie. Nigdy cię nie opuszczę, chyba że po moim trupie. Zrozumiałeś? Po moim trupie.

Od razu kupili bilety. Nasrad zdążył jeszcze wpaść do banku, tuż przed zamknięciem, żeby wypłacić oszczędności. Nie wiedział, co zastanie w swojej ojczyźnie, nie miał pojęcia, jakie napotka trudności. Wierzył, że będzie czuł się lepiej i pewniej, mając przy sobie gotówkę, która zapew-

ni jego rodzinie względny dobrobyt i stabilizację. Bez pieniędzy byłoby to niemożliwe.

Następnego dnia rano znowu wyruszyli w podróż do Afganistanu. Tym razem nie zwierali się nikomu ze swoich planów. Zadzwonili tylko do pracodawców i poprosili o kilkutygodniowy urlop.

Maria nie mogła wprost uwierzyć, że znowu tam leci. Była jednak pewna, że chce być razem z mężem. Po odprawie bagażu przypomniała sobie słowa Julii: „Ostrożnie z tą miłością, Mario. Musisz nauczyć się ją kontrolować. Jesteś jedyną ze znanych mi osób, która z miłości gotowa jest zrobić wszystko. Pójdiesz za głosem serca nawet na koniec świata. Ostrożnie z tą miłością. Uważaj, gdzie ona cię zawiedzie”.

Maria się uśmiechnęła i poczuła się dumna ze swojej miłości do Nasrada. Była świadoma, że takie uczucie może budzić zarówno zazdrość, jak podziw i zaskoczenie.

Nie wiedziała jeszcze, że ta miłość zawiedzie ją wprost ku największej, a zarazem najbardziej niebezpiecznej przygodzie w jej życiu.

CZEŚĆ DRUGA

UWIEŻIONA W AFGANISTANIE



Po dwóch dniach podróży w zdezelowanym samochodzie szwagra, po przejechaniu setek kilometrów wyboistymi i kamienistymi polnymi drogami, zmęczenie odcisnęło widoczne ślady na ciele i twarzy Marii. Starła się jednak nie skarżyć, nie sprawiać żadnego kłopotu. Nie chciała być dodatkowym balastem dla męża. W końcu to ona nalegała i upierała się, aby ją zabrał ze sobą. Już sama myśl o rozstaniu z nim, choćby na chwilę, doprowadzała ją do rozpacz. Za wszelką cenę starła się wyglądać normalnie, tak jakby sytuacja, w jakiej się znalazła, wydawała się jej zwyczajna. Godzinami przekonywała siebie, że chodzi tylko o parę dni, najwyżej kilka tygodni; wkrótce znowu stąd wyjadą i wrócą do Londynu. „To już niedługo. Wkrótce będziemy z powrotem w Londynie i o wszystkim zapomnę. Mam prawo żyć tak, jak chcę. To zaledwie parę dni” - myślała i wierzyła w to.

Od granicy pakistańsko-afgańskiej dzieliło ich zaledwie parę kilometrów. Nagle szwagier zatrzymał się i zaparkował auto w miejscu niewzbudzającym podejrzeń. Poradził im, żeby przekraczając granicę, nie zabierali ze sobą wszystkich rzeczy, bo celnicy mogą im bezprawnie zarekwirować połowę dobytku. Taka była codzienna praktyka, dobrze znana Afgańczykom. Grabieże stały się rutyną, a żołnierze uprawiali je z taką swobodą, jakby były to naturalne czynności, takie jak oddychanie. Bez wahania czy skruchy. Dobrze wiedzieli, że za swoje przestępstwa nie

poniosą żadnej kary ze strony zwierzchników czy organów kontroli. Był to despotyzm w perfekcyjnym wydaniu. Funkcjonariusze służb granicznych zarabiali miesięcznie, w przeliczeniu, około dwudziestu euro. Mając tak skromne wynagrodzenie, nie odczuwali żadnych wyrzutów sumienia, kiedy przywłaszczali sobie niektóre dobra wwożone w tobołkach i walizkach. A jeśli to była gotówka, tym lepiej. Mogli uprawiać ten proceder pod warunkiem, że nikt nie będzie protestował, nie będzie się bronił, a przede wszystkim nie złoży skargi na taki akt bezprawia. Słowa „donieść” czy „złożyć skargę” nie istniały jednak w słowniku opisującym rzeczywistość afgańską.

Nasrad i Maria nie wątpili w przestrogi szwagra i postanowili posłuchać jego rady. W końcu to on najlepiej znał Afganistan i panujące tam zwyczaje. Mieli do niego bezgraniczne zaufanie. Wieźli ze sobą ubrania -swetry, bluzki, podkoszulki, obuwie, dżinsy - trochę artykułów kosmetycznych i do higieny osobistej. W bagażu przewozili także około siedmiu tysięcy dolarów, zaoszczędzonych i wypłaconych z banku. Pieniądze były im potrzebne na przeżycie tego krótkiego okresu, jaki planowali spędzić u rodziców Nasrada. Taka suma to prawdziwa fortuna w Afganistanie, nawet w Kabulu, a na prowincji wręcz niewyobrażalna, zwłaszcza w miejscowości oddalonej o czterysta kilometrów od granicy. „Na pewno w życiu nie widzieli takiej masy pieniędzy” - pomyślała Maria.

Były to jedyne oszczędności, jakie posiadali. W Londynie nie zostawili nic, ani jednego dolara na bankowym koncie. Pomyśleli, że pieniądze bardziej przydadzą im się w Afganistanie i że lepiej wrócić z ich resztą do domu, niż cierpieć z powodu ich braku gdzieś na krańcu świata. Mając smutne doświadczenia z przeszłości, wiedzieli, że sprawy nie zawsze układają się pomyślnie, i za wszelką cenę pragnęli uniknąć kłopotów związanych z brakiem gotówki, tym bardziej że tym razem przyjechali z małym dzieckiem. Teraz byli jednak pewni, że jeśli żołnierze na granicy zobaczą taką sumę pieniędzy, większość zarekwirują, a ściślej mówiąc, zagrabią, albo zmuszą ich do zapłacenia tak ogromnego haraczu za przewożenie dewiz, że z sumy siedmiu tysięcy dolarów niewiele zostanie.

Postanowili zatem postąpić zgodnie z radami szwagra. Prawdę mówiąc, była to codzienna praktyka. Nasrad i jego bracia stosowali ją wielokrotnie, kiedy przechodzili przez granicę, żeby kupić żywność, która w Pakistanie była o wiele tańsza.

- Co robić? Jak mamy przewieźć nasze bagaże, pieniądze i dokumenty? - wypytywała Maria, raczej z niepokojem niż z ciekawością.

- Tak jak wszyscy - stwierdził Nasrad, pokazując jej wzrokiem sporą gromadkę osób tłoczących się do grupki niespełna dwunastoletnich chłopców, którzy ze zrećznością i wprawą, jakiej nabiera się w walce o byt, oraz z beczelnością, jaką budzi głód, targali na dwukołowych wózkach ma-natki podróżnych.

- My przejdziemy przez granicę, a oni z całym naszym bagażem przemkną się przez góry, żeby uniknąć kontroli. W zamian dostaną sowity napiwek. Im więcej, tym lepiej. Poczekamy na nich po drugiej stronie. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni: oni, bo zarobią potrzebne im pieniądze, którymi podzielą się z rodziną, a my, bo unikniemy rabunku naszych rzeczy na granicy. To żaden sekret, Mario. Uspokój się, nic złego się nie stanie.

Oderwała wzrok od przedziwnej sceny rozgrywającej się na jej oczach: setki dorosłych i dojrzałych osób powierzały swoje, często jedyne, mienie smarkaczom, którzy ledwie odrośli od ziemi, wpatrującym się w swoich ufnych kontrahentów twardym wzrokiem, typowym raczej dla sześćdziesięcioletnich, doświadczonych handlarzy. Przestała się gapić na ten szczególny spektakl, ponieważ jej wzrok przyciągnęła wysoka góra, którą mieli pokonać chłopcy z ich dobytkiem.

- Nasradzie, przecież to jeszcze dzieci. Mamy im powierzyć cały nasz bagaż, ze wszystkimi cennymi rzeczami? Sądysz, że dadzą radę?

Dla niej ten pomysł był szalony, ale nie miała nic do gadania. Uciszyła więc swoje rozterki, pozbyła się wątpliwości. Darowała sobie zadawanie pytań. Stłumiła niepokój i obawy, jakie budziła w niej cała ta sytuacja. Była przecież w kraju, w którym kobieta może tylko milczeć i słuchać. Tę, które łamały to podstawowe prawo, musiały zginąć. Ginęęły nawet za drobniejsze przewinienia.

Maria przez chwilę obserwowała, jak funkcjonuje proceder związany z przemytem przez góry. Mężczyźni negocjowali cenę przeniesienia ich dobytku przez niestrzeżoną granicę z małymi chłopcami. Zauważyła, jak niezwykle w tak młodym wieku biegłość wykazywały te dzieci w pertraktowaniu i dostosowaniu ofert do oczekiwań podróżnych. Demonstrowały zaskakującą wprawę, która dziwiła wyłącznie Marię, ponieważ reszta podróżnych przyzwyczała się już do podobnych targów i odbierała je jako zwykły element codzienności. Mężczyźni targowali się z chłopcami, a kobiety biernie obserwowały tę scenę z pewnej odległości. Tak jak zawsze. Tak jak należy. Tak jak było zapisane w prawie islamskim.

Kiedy Nasrad z bratem podeszli do czeredy nieletnich przemytników, Maria poczuła się odsunięta na trzeci, a nawet dalszy plan, a jednak starała się nie stracić ani jednego szczegółu z rozgrywającego się przed jej oczami barwnego widowiska. Obserwowała, jak mąż i szwagier, lekko podenerwowani, rozmawiają z chłopakami, zwłaszcza z jednym z nich, małym, chyba najmniejszym z całej grupy, smagłym, który wydawał się jednak największym ekspertem w tym przedziwnym interesie. Gestykulowali tak gwałtownie, jakby byli czymś wzburzeni, jakby coś nie szło po ich myśli, jakby ten niewyrośnięty smarkacz, który budził wszelkie uczucia oprócz czułości, miał zamiar niespodziewanie zerwać negocjacje. „Za bardzo się unoszą” - pomyślała. W końcu napięcie osiągnęło maksimum i widać było, że dzieciak zamierza zakończyć całą sprawę z Nasradem i jego bratem. Uczynił bowiem szorstki gest, naturalny, a jednocześnie opanowany niemal do perfekcji - odwrócił się do nich obojętnie plecami i zajął innymi klientami, którzy z niecierpliwością czekali na swoją kolej.

Mężczyźni wrócili rozdrażnieni. Maria widziała, jak idą w jej stronę, dyskutując zażarcie i wymachując rękami, jakby nie mogli czegoś zrozumieć. Wyglądali na oburzonych. I byli oburzeni. Coś poszło nie tak, niezgodnie z ich planem.

- Co się stało, Nasradzie? - spytała.

- Nic dobrego. Od nas, jako turystów, chcą więcej kasy, i to dużo więcej. Kiedy zobaczyli twój hiszpański paszport, a potem ciebie, bez chus-

ty i burki, bez nakrycia głowy, a na dodatek dowiedzieli się, że przylecieliśmy z Londynu, chcą z nas wycisnąć, ile tylko się da. Przekłete szczeniaki. Żądają od nas dużo więcej niż od dwóch zwykłych Afgańczyków. Co za kraj! Nic się tu nie zmienia! Ciągle to samo!

Ostatnie słowa męża sprawiły, że zapomniała na chwilę o problemie, z jakim się zmagali tylko dlatego, że są cudzoziemcami, i zamyśliła się nad wypowiedzianym przez Nasrada zdaniem: „Nic się tu nie zmienia! Ciągle to samo!”. Opanował ją nieoczekiwany smutek, który przeplatał się z poczuciem bezsilności i niepewności, jakie ją ogarnęło. „Jak może się zmienić kraj, w którym przemytem na granicy trudnią się siedmio-, ośmio-, najwyżej dziesięcioletnie dzieci? Kiedy dorosną, będzie jeszcze gorzej. Czym skorupka za młodu nasiąknie...” - przypomniała sobie stare przysłowie.

Kiedy w końcu oderwała się od niewesołych myśli, zauważyła, że Nasrad z bratem patrzą na nią wyczekująco, jakby od pewnego czasu spodziewali się jakiejś reakcji z jej strony.

- Mario, słyszysz nas czy myślisz o niebieskich migdałach? - wypytywał mąż. - Co ty o tym sądzisz? Ja uważam, że to jedyny sposób, aby uniknąć zarekwirowania naszych rzeczy na granicy. Powiedz, jakie jest twoje zdanie.

- Wy tłumacz jeszcze raz, o co chodzi. Jestem trochę skołowana.

Tym jednym słowem w zwięzły sposób oddała swój nastrój, nie wspominając o stanie fizycznym. Naprawdę czuła się skołowana. Każda kobieta tak by się czuła na jej miejscu. Była zupełnie zagubiona, wyczerpana, niemal o krok od paniki, sparaliżowana ze strachu, przerażona, przemęczona, owładnięta ponurymi myślami, rozkojarzona, pogrążona w bezmiernej apatii, z której nie potrafiła się otrząsnąć, i wiedziała, że nikt nie może jej pomóc. Czuła się jakby oderwana od rzeczywistości, chciała wierzyć, że to się nie dzieje naprawdę. Nie potrafiła tego zrozumieć, nie wiedziała, kto jest za to odpowiedzialny, dlaczego nikt nie uwolnił jej jeszcze od panującego wokół chaosu, przywracając do spokojnego, sielankowego, jak jej się teraz wydawało, życia w Anglii, życia dwudziestolatki urodzonej i wychowanej na Zachodzie, radosnej i cieszącej się urokami młodości.

- Lepiej, żebyś uchodziła za Afgankę. Kiedy widzą cię w tym stroju, nikt nie ma wątpliwości, że jesteś cudzoziemką, a to przysporzy nam tylko kłopotów, Mario. Musisz założyć chustę i obszerniejsze suknie, które zakryją to co należy, a przede wszystkim głowę. Wtedy ani dzieci, ani celnicy nic nie zauważą, niczego nie będą podejrzewać, i w ten sposób unikniemy komentarzy. Uwierzą, że jesteś jedną z naszych kobiet, i koniec.

- Dobrze, jeśli to pomoże nam się stąd wydostać. - Spojrzała na Nasrada, szukając w jego oczach uczuć, które zawsze w nich znajdowała: zrozumienia i wsparcia. Teraz jednak były pełne niepokoju i niecierpliwości, wołała zatem nie szukać w nich pomocy. - Zaraz włożę wasz tradycyjny strój. Weź ode mnie dziecko. Będę wzbudzała mniej podejrzeń.

Udała się w stronę oddalonego o parę metrów zrujnowanego domostwa, składającego się z labiryntu na wpół zburzonych ścian, jakby specjalnie wzniesionego do nakręcenia horroru. W przyciskanej do piersi torbie miała swój nowy strój. Prześladowało ją jakieś nieokreślone uczucie strachu. Wyczuwała niebezpieczeństwo, choć sama nie wiedziała, gdzie się czai. „To tylko stres” - pomyślała.

Przebrała się błyskawicznie. Włożenie szerokiej ciemnobrązowej szaty i wygodniejszych butów oraz zamotanie na głowie hidżabu zabrało jej ledwie kilka sekund. Był delikatny, żółty. Sama była zaskoczona wprawą, z jaką go zawiązywała.

W tym momencie przyplłynęło wspomnienie, obraz z przeszłości: jej pierwszy raz, kiedy założyła tradycyjną chustę, bo poprosił ją o to mąż, a ona sama też tego pragnęła, gdy przeszła na islam. Uczyniła to - jak zwykle - z miłości. Zdarzyło się to pewnego wieczoru, kiedy zaprosili przyjaciół na kolację - dwóch kolegów z pracy Nasrada z narzeczonymi. Podczas takich spotkań rozmowy zazwyczaj dotyczyły tego samego tematu: sytuacji w ich ojczyźnie, ich rodzin, wiary, Koranu i tradycji. Właśnie wtedy jedna z kobiet spytała Marię, czy nie myślała o założeniu hidżabu. Uśmiechnięta i rozbawiona jak sześciolatka dziewczynka, którą pytają, czy ma już gotowy strój na szkolne przedstawienie, a ona odpowiada, że jeszcze nie, ale wkrótce zamierza to zrobić, odrzekła:

- Ktoś będzie musiał mnie nauczyć, dać mi kilka lekcji, bo nie chciałam wyjść na ulicę z niedbale omotaną głową.

- Mogę ci pokazać. To łatwiejsze, niż myślisz. Jeśli chcesz, możemy pójść do twojej sypialni i nauczę cię. Jesteś gotowa? - zaproponowała narzeczona jednego z przyjaciół Nasrada.

Maria nie spodziewała się, że pokaz wiązania hidżabu nastąpi tak szybko, ale nie mogła odmówić i dlatego potulnie skinęła głową.

- Oczywiście, czemu nie? Skoro to takie łatwe, jak mówisz, nie zabierze nam dużo czasu.

Obie udały się do sypialni. Tam, przed lustrem, po drobiazgowych i cierpliwych wskazówkach dziewczyny, stał się cud: Maria nagle zmieniła się w afgańską kobietę. To naprawdę nie było takie trudne. Poczuli się szczęśliwi. Spodobało jej się własne odbicie w lustrze. Wiedziała przecież, iż Nasrad będzie zadowolony, że jego ukochana kobieta nosi zasłonę, tak jak wszystkie szanowane i przyzwoite kobiety w jego kraju. Bez wątplenia będzie szczęśliwy. I o to właśnie chodziło.

- Musisz się jeszcze przyzwyczaić wkładać hidżab bez patrzenia w lustro. Wkrótce będzie to dla ciebie takie proste jak włożenie płaszcza czy zawiązanie szalika. Najważniejsza jest wprawa, Mario.

„Najważniejsza jest wprawa” - te słowa narzeczonej przyjaciela Nasrada, która nauczyła ją nosić tradycyjną chustę, przez chwilę brzmiały jej w uszach.

Uśmiechnęła się nieśmiało, jakby gratulując sobie w duszy i czując dumę z tego, że potrzebowała zaledwie paru sekund, aby chusta była zamotana tak jak trzeba, tak jakby to zrobiła każda muzułmańska kobieta. „Jeśli muszę być jeszcze jedną muzułmanką, stanę się nią i nie będzie to dla mnie żaden problem” - pomyślała.

Kiedy wychodziła ze zdewastowanego, zrujnowanego domostwa, pakując swoje europejskie ciuchy do torby, zauważyła, że na podłodze leży odłamek zbitego lusterka - mały, spiczasty i sądząc z pokrywającej go warstwy brudu, pewnie leżał tam już od dawna. Przez chwilę się wahała. Wysunęła głowę zza ściany, żeby zobaczyć, co robią Nasrad z bratem. Dostrzegła, że cierpliwie czekają, rozmawiając o swoich sprawach i szpe-

rając w kieszeniach, z których wyciągali jakieś dziwne papiery i wymieniali się nimi. Od czasu do czasu spoglądali na bagaż, tak jakby czegoś nie rozumieli. Stwierdziła, że są zajęci, i nie zauważyła, aby jakikolwiek ich gest świadczył o tym, że są zdenerwowani. Znowu schowała się za ścianą i spojrzała na szklany odłamek, który wyglądał tak, jakby ktoś specjalnie położył go w tym miejscu, kusząc ją do grzechu. Nie wiadomo dlaczego, poczuła się jak Ewa w biblijnym raju, kuszona jabłkiem przez węża. „Co za bzdura. To miejsce raczej nie przypomina raju” - stwierdziła w duchu.

Po dłuższej chwili wahania podjęła decyzję. Pozbywszy się wszystkich widm krążących po głowie, postanowiła podnieść odłamek lustra i przejrzeć się w nim. Najpierw musiała przetrzeć dłonią powierzchnię, gdyż przez warstwę brudu nie było nic widać. W końcu zobaczyła swoje odbicie: Hiszpanka zmieniona z miłości do mężczyzny w afgańską kobietę. Przez kilka minut wpatrywała się w siebie z uwagą. Nie widziała, czy jest ładna, czy brzydka, smutna czy wesoła, czy ma zadowoloną minę, czy nie, czy widać po niej zmęczenie i czy zniknęły już sińce pod oczami, które od dwóch dni nie schodziły z jej pełnej twarzy. Nie dostrzegła nawet, czy jej oczy wciąż są załzawione, bo tak było, odkąd wysiadła z samolotu w Pakistanie. Nic takiego nie zauważyła. Widziała tylko kobietę afgańską. I o to właśnie chodziło. Była zadowolona.

Pospiesznie schowała ubranie do torby, ukrywając między rzeczami kawałek lusterka. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, dlaczego postanowiła zabrać go ze sobą. Nie wiązał się z żadnym wspomnieniem, nie był też pamiątką, którą koniecznie chciała zachować. A jednak coś jej mówiło, że musi to zrobić.

Wróciwszy do męża, z zadowoleniem stwierdziła, że nastroje mężczyzn trochę się poprawiły. W oczach Nasrada nie dostrzegła już napięcia i to ją trochę uspokoiło. Pomyślała, że być może jego humor się poprawił na widok żony w tradycyjnym muzułmańskim stroju, z zakrytą głową. I tak mieli ją widzieć inni. Wizerunek w oczach innych był bowiem szczególnie ważny w kraju, którego granicę mieli właśnie przekroczyć.



- Wyglądasz teraz dużo lepiej - stwierdził. - A będzie jeszcze lepiej, jeśli zostawisz tylko odsłonięte oczy, zakrywając bardziej twarz. Popatrz, jak wyglądają inne kobiety. - Pokazał jej sporą grupkę kobiet przyodzianych w tradycyjne burki.

Ten widok przeraził Marię. „O mój Boże, to straszne - pomyślała. - Jak one mogą w tym chodzić?”. Postanowiła jednak naciągnąć chustę tak, aby zakrywała prawie całą twarz. Nic więcej jej nie obchodziło. Pragnęła tylko przekroczyć granicę, dotrzeć do rodzinnej miejscowości Nasrada, spędzić tam spokojnie kilka dni i jak najszybciej wrócić do swojego przytulnego mieszkania w Londynie.

- Wszyscy troje przekroczymy granicę razem. W ten sposób wzbudzimy mniej podejrzeń. Dokumenty i pieniądze schowamy w bagażu. Nie zamierzam dać sobie wyrwać ani jednego dolara. Za ciężko na nie harowaliśmy - oznajmił Nasrad, najwidoczniej przekonany, że wszystko pójdzie jak z płatka, i pewny, że ich plany się powiodą. - Jesteśmy gotowi.

- Uważam, że lepiej będzie, jeśli na wszelki wypadek pójdę razem z przemytnikami i z bagażem... - zasugerował szwagier.

- Nie ma takiej potrzeby. Daliśmy chłopakowi wysoką zaliczkę i wie, że jeśli zwróci nam bagaż po drugiej stronie, dostanie drugie tyle. A zresztą wiemy, kim jest i jak wygląda. Pamiętamy jego twarz. Nie ma żadnego ryzyka. Będzie lepiej, jeśli pojedziesz z nami. Już dawno nie przekraczałem granicy. Poprzednim razem przechodziliśmy przez inny punkt kontrolny, parę kilometrów stąd. Może już nie znam tak dobrze charakteru Afgańczyków, jak mi się zdaje. Będę się czuł pewniej w twoim towarzystwie, braciszku.

W końcu nadeszła ta długo wyczekiwana chwila. Moment przekroczenia granicy. Maria była zdenerwowana. Przerzął ją panujący tam chaos. Nigdy nie lubiła dużych skupisk ludzi, obawiała się też brutalności straży granicznej i celników. Cieszyła się, że ma na sobie długą, obszerną suknię, bo przynajmniej nikt nie widział, jak dygoczą jej nogi. Modliła się tylko, żeby nie dopadło jej nerwowe drżenie, które czasami jej się zdarzało, powodując szczekanie zębami. Pamiętała, jak śmiały się jej koleżanki, kiedy słyszały te dziwne odgłosy zgrzytania.

Przesuwając się z wolna w kolejce do punktu kontroli, prawie ze sobą nie rozmawiali. Może uważali, że w ciszy szybciej minie im czas. Kiedy zostało przed nimi zaledwie parę osób, Nasrad spojrział na żonę i powiedział:

- Nie martw się, Mario. Wszystko będzie dobrze. Tylko milcz, ja będę mówił za ciebie. Nawet na ciebie nie spojrzą. A jeśli szczelniej zakryjesz chustą twarz, zostawiając tylko odkryte oczy, pójdzie jeszcze lepiej. Patrz na nich spokojnie, a wszystko będzie dobrze.

Skinęła potulnie głową i posłuchała bez słowa. Nasrad nigdy się nie dowie, jak bardzo była mu wtedy wdzięczna za te słowa. Prawdę mówiąc, wolałaby przytulić się do niego, pocałować, objąć go kurczowo i nie odstępować na krok. W tamtej chwili jednak najlepszym lekarstwem dla jej udreki było jego zapewnienie: „Nie martw się, Mario. Wszystko będzie dobrze”. Chyba na całym świecie nie było lepszego środka uspokajające-

go, który mógłby przynieść jej większą ulgę niż słowa męża. Maria odetchnęła głęboko i wiedziała, że się nie pomyliła. Nie oszukało jej ani serce, ani głowa. Rozwiały się także wątpliwości nurtujące ją od wylotu z Londynu aż do przyjazdu do Afganistanu. Nasrad był mężczyzną jej życia. Człowiek, który wpatrywał się w nią czarnymi oczami, wzrokiem rozjaśniającym świat dookoła, który wielokrotnie pozbawiał ją tchu, był jej miłością. To uczucie było silniejsze niż wszelkie przeszkody, problemy i kłopoty pojawiające się na jej drodze. Maria zauważyła, jak ogarnia ją spokój, pewność i wiara w siebie.

W końcu dotarli do punktu kontrolnego. Nasrad z bratem od razu przejęli inicjatywę i odpowiadali na wszelkie rutynowe pytania, czasem podchwytliwe, a często wręcz natarczywe, zadawane przez straż graniczną. Miała wrażenie, że ci mężczyźni w wojskowych mundurach, o marsowych minach, czasem wręcz antypatyczni, dobrze wiedzieli, że już samą swoją obecnością budzą w stojących przed nimi ludziach paraliżujący strach. Widać go było wyraźnie w oczach przepytrywanych.

Obserwowała tę scenę jakby z oddali, jakby tkwiła w niewidzialnej bańce, która pozwalała jej dostrzec, co się wkoło dzieje, a zarazem chroniła skutecznie przed rzeczywistością. Czuła się tak, jakby opuściła własne ciało i patrzyła na rozgrywającą się scenę gdzieś z dala, z odległej i bezpiecznej planety. Próbowała zrozumieć rozmowę, prowadzoną przez męża i szwagra z wojskowymi na granicy, ale uniemożliwiała jej to nieznamość języka. Pamiętała, że żołnierze nie mogą się zorientować, iż nie jest rodowitą Afganką, bo wtedy zaczęłyby się prawdziwe kłopoty i żadne z ich trojga nie zapanowałoby już nad sytuacją. Dlatego ograniczyła się do skromnego spuszczenia głowy i gapienia się w ziemię, kurczowo przytulając swojego synka.

Po paru minutach wlokących się w nieskończoność wszyscy troje przeszli na wymarzoną drugą stronę. W końcu znaleźli się w Afganistanie i wszystko szło zgodnie z ich planami. Teraz musieli tylko poczekać na małego przemytnika, który miał przenieść ich rzeczy przez zieloną granicę, aby potem bezzwłocznie wyruszyć do rodzinnego domu Nasrada i dowiedzieć się, jak się czuje chory ojciec.

- Długo to potrwa? - spytała Maria z obawą w głosie, jakby z góry przewidywała, że usłyszy odpowiedź twierdzącą.

- Trochę. Tego się nie da zrobić szybciej. Spójrz na górę, Mario - pokazał jej szczyt. - Nawet bez tobołków trudno ją pokonać. A teraz wyobraź sobie, jak to jest z bagażami. Ale mały przemytnik wkrótce tu będzie. Musimy poczekać godzinę, najwyżej dwie...

Przysiedli na kamieniach, które ktoś specjalnie ułożył po obu stronach drogi. Szwagier Marii poszedł po wodę w butelkach, żeby mogli ugasić pragnienie i ulżyć sobie podczas zmudnego oczekiwania. Panowały upał, skwar i straszliwa duchota, w niczym nieprzypominające rzeńskiego klimatu Londynu, do jakiego przywykła. Kurz, wznoszony przez tłumy ludzi przekraczających granicę przez cały dzień, lepiał się do jej skóry, przedostawał do płuc i zmuszał do suchego, męczącego kaszlu. Miała wrażenie, że jej gardło zmieniło się w wielką, spaloną słońcem pustynię. Nie mogła nawet przełknąć śliny. Odczuwała też ostry, przejmujący ból, atakujący nie tylko gardło, ale i uszy. Pomyślała, że Afganistan niewiele się różni od Pakistanu: ta sama ziemia, wdzierający się bezustannie w oczy i usta piach oraz kurz, a nawet krajobraz - jeśli to, co się rozpościerało przed jej oczami, można nazwać krajobrazem - był taki sam.

Pograżyła się w milczeniu. Nasrad z bratem wymieniali od czasu do czasu jakieś słowo. Sądząc z ich lakonicznych, zdawkowych wypowiedzi, nie było to jednak nic ważnego. Czuła, jak stopniowo ogarnia ją ogromne zmęczenie. Ramiona, ciężkie jak ołów, opadły jej w dół. Nie mogła utrzymać prosto pleców. Miała ociążałe ciało, spuchnięte stopy. Bolały ją nerki i prawy bok, bo zbyt długo trzymała dziecko w ramionach, w tej samej niewygodnej pozycji. Śmiertelne znużenie sprawiło, że nie czuła ani głodu, ani pragnienia, chociaż od dawna nie miała nic w ustach. Bezskutecznie walczyła z ogarniającą ją sennością, oczy same się jej zamykały. Ze stanu otepienia wyrывał ją tylko widok niekończących się, monotonnych pielgrzymek ludzi powtarzających niezmienny rytuał: przechodzili granicę, zabierali swoje manatki, płacili małym przemytnikom i niespiesznie się oddalali, zmieniając się po kilku minutach

w niewyraźne postaci znikające powoli w chmurze pyłu, bardziej przypominające stado owiec niż grupę osób.

Słowa szwagra wyrwały Marię z letargu, w którym zastygła parę godzin temu, przynoszącemu jej ulgę.

- To nie jest normalne - powiedział z poważną miną, przeciągnawszy wielką, szorstką i zniszczoną od ciężkiej pracy ręką po twarzy, jakby chciał z niej zmasać niepokój. - Za bardzo się przeciąga. To nie jest normalne. Coś się musiało stać.

Dopiero wtedy zauważyła, że już zapadł zmierzch. Jej poprzedni stan półświadomości, wywołany śmiertelnym znużeniem, trwał dość długo i przez to nie dostrzegła, że czas mijał, a światło wokół nich szarzało.

Wróciła do rzeczywistości. Od chwili przekroczenia granicy upłynęło ponad pięć godzin. Ludzie, którzy razem z nimi czekali na swoją kolej do punktu granicznego, dawno odeszli i prawdopodobnie zbliżali się już do celu swojej wędrówki. Marię ogarnęły niecierpliwość i poczucie bezsilności. Raptownie poderwała się z wielkiego prostokątnego kamienia, na którym usiadła na wpół świadomie pięć godzin temu.

- Gdzie się podział ten chłopak? - spytała podenerwowana, wpatrując się na przemian w Nasrada i szwagra. - Gdzie są nasze rzeczy? - Poczowała jakiś natarczywy, piekący ból w brzuchu. Żołądek podszedł jej do gardła, zbierało jej się na wymioty. - Nasrad, w walizkach mamy siedem tysięcy dolarów i wszystkie nasze dokumenty, nasze paszporty. Siedem tysięcy dolarów i dokumenty. Musimy je odzyskać, jeśli nie chcemy umrzeć z głodu w Afganistanie. Chyba ten smarkacz nas nie okradł... Zabiję go! To niemożliwe! Niesłychane! - Czuła, że oczy wy chodzą jej z orbit. - Odpowiedz coś, wytłumacz, co się dzieje, zanim padnę tu trupem razem z dzieckiem, które trzymam na ręku od wyjazdu z Londynu.

- Uspokój się, Mario, pewnie coś mu się stało. Może natrafił na jakieś przeszkody na trasie. Na pewno zaraz nadejdzie. Przede wszystkim uspokój się-przekonywał ją Nasrad.

Nawet on sam nie wierzył we własne słowa, którymi próbował uspokoić żonę. To na pewno nie było normalne. Coś się stało. Coś bardzo złego. Pewnie ten niewyrośnięty smarkacz przeszukał ich bagaże, natrafił na

ogromną sumę pieniędzy, a przede wszystkim znalazł dokumenty i postanowił nie schodzić na dół i nie zwracać rzeczy ich właścicielom. Potrzeby życiowe mieszkańców obu krajów, bieda, w jakiej dorastali, i desperacja, z jaką walczyli o przetrwanie, pozbawieni środków do życia, mogły ich popychać do szukania takich rozwiązań. W ich sytuacji nie było miejsca na honor i uczciwość. To byłaby skrajna głupota. A chłopak musiałby być szalony, żeby się nimi kierować.

Z taką sumą pieniędzy, z siedmioma tysiącami dolarów, ten przyodziany w łachmany gnojek, z ciałem przeżartym brudem, pokrytym bliznami i szramami jak orderami za męstwo w walce, z dłońmi pełnymi odcisków stanowiących dowód, że jest pracowity i biegły w wykonywaniu tysiąca zleceń, w Afganistanie zostałby uznany za bogacza, a nawet milionera. Ale to nie wszystko. Ukryte w bagażu dokumenty zapewniały mu przepustkę do lepszego świata, świata, o którym marzył. Paszport w tym kraju był bezcenny. Stanowił niemal nieziszczalne marzenie. Był biletem gwarantującym wstęp do rajów. Jedynym sposobem, aby wydostać się z nędzy, uwolnić od ciężkiej pracy, ustawicznego głodu, niezaspokojonych potrzeb, niepewnej przyszłości. Otwierał nowe horyzonty i bramy do nowego, wolnego świata.

W najgorszym wypadku dokumenty oznaczały pieniądze, i to duże. Można było sprzedać paszport komuś, kto go gwałtownie potrzebował, a im bardziej był mu niezbędny, tym lepiej, bo wtedy wzrastała jego wartość i oczywiście cena. To była największa szansa w życiu bosonogiego szczeniaka, okazja, która sama wpadła mu w ręce. Z paszportem i dolarami mógł stać się kowalem własnego losu, miał szansę odmienić życie swoje i swojej rodziny, która czekała na niego w domu, żeby się dowiedzieć, czy miał udany dzień. To była najważniejsza chwila w jego życiu, czuł się bohaterem. Na pewno nie zejdzie z góry, żeby zwrócić rzeczy właścicielom. Nie potrafiliby docenić, ile oznaczała dla chłopca rezygnacja z odkrytego skarbu. Ani wdzięczność, ani żadna nagroda czy zapłata nie zrekompensowałyby mu odrzucenia tej nieprawdopodobnej szansy, niespodziewanego daru niebios. Dwunastoletni smarkacz, szczeniak, który być może był jedynym żywicielem rodziny, miał przed sobą szansę

rozpoczęcia nowego, lepszego życia. Oznaczało to jednocześnie zrujnowanie trzech innych osób: Marii, Nasrada i małego Abdulla. Ten obdarty dwunastolatek jednak o tym nie wiedział. A zresztą wcale go to nie obchodziło.

Kiedy Maria pojęła sytuację i dostrzegła brutalną rzeczywistość, nie było już miejsca na nadzieję, złudzenia czy nierealne spekulacje. Nasrad ukląkł naprzeciwko siedzącej na kamieniu żony, tulącej dziecko w ramionach, i powiedział:

- Mario, kochanie, musimy być silni. Okradziono nas. Chłopak zabrał nam wszystkie pieniądze i nasze rzeczy, a co najgorsze, paszporty. Już nic nam nie zostało oprócz tego, co mamy przy sobie. Oczywiście, to nam komplikuje życie, ale ciągle jesteśmy razem. Tyle już przeżyliśmy, skarbie, wytrzymamy także i to. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Musisz tylko być silna. Bądź taka dla naszego syna. Kocham cię -te ostatnie słowa wyszeptał jej do ucha.

Pragnęła, aby mąż na zakończenie swojej przemowy pocałował ją, ale niestety nie zrobił tego. Byli w Afganistanie. Obserwowali ich obcy ludzie. Nawet jej szwagier nie potrafił zrozumieć, dlaczego Nasrad musiał się tak długo tłumaczyć własnej żonie. Okradziono ich, to fakt, ale życie trwa nadal i koniec. Lepiej się nie zastanawiać, nie roztrząsać.

Nieświadoma tego, co ich jeszcze czeka, Maria nauczyła się wtedy akceptować los i przeznaczenie, zadowalać się tym, co życie jej oferowało, wraz ze wszystkimi przeciwnościami, trudami, problemami i absurdami. Zrobiła wszystko, żeby się opanować i powstrzymać wzbierający płacz. Przyzwyczaiła się do nieujawniania uczuć. Dopiero później, pewnej nocy, postanowiła wyrzucić z siebie wszystko. Korzystając z tego, że mąż głęboko spał, oraz z intymności, jaką stwarzały mrok i panująca cisza, rozplakała się. Płakała, dopóki nie wylała wszystkich łez, dopóki nie wyschły jej oczy. W końcu nos zatkał się jej od szlochów i pojawiło się nieznośne ciśnienie w skroniach i pośrodku czoła, odczuwane tak, jakby ją gniótł jakiś kamień. Wtedy poderwała się na parę sekund, zmusiła do normalnego oddychania, a potem się poddała i w końcu zasnęła. Tym razem nie chciała budzić męża, aby się do niego przytulić, tak jak robiła to zawsze, odkąd się poznali.

Na razie rozmyślała bezustannie o kradzieży, której padli ofiarą. Szybki, bezpieczny i bezproblemowy wyjazd z kraju bez pieniędzy i paszportów był praktycznie niemożliwy, a przynajmniej bardzo trudny. Być może będą musieli zostać w Afganistanie na dłużej. Pogłaskała po głowie synka, raz, drugi, trzeci, i ponownie rozejrzała się po okolicy, przyglądając się uważnie rozciągającej się wkoło kamienistej, nieprzyjaznej pustyni. Wzięła dziecko na ręce i ruszyła w drogę razem z mężem i szwagrem. Mieli do pokonania jeszcze wiele kilometrów zdezelowanym samochodem brata Nasrada. Czekala ją długa noc i wiele bolesnych przeżyć, których nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. Uświadomiła sobie, że porusza się ciężkim, zmęczonym krokiem, ubrana w tradycyjny, krepujący ruchy strój, a jej pozycja społeczna jest o wiele gorsza niż mężczyzn, za którymi szła, trzymając się o kilka metrów z tyłu. W tamtej chwili naprawdę poczuła się kobietą afgańską. „Teraz jestem jak rodowita Afganka. Nikt by w to nie wątpił - pomyślała. - A w końcu o to przecież chodziło”.



Nie potrafiła określić, ile godzin spędziła na tylnym siedzeniu zdewastowanego, niewygodnego, rozklekotanego samochodu szwagra, którego wnętrze było przesiąknięte zastarzałym smrodem, mieszanką odoru benzyny, spalonego plastiku i błota; fetor wdychany przez wiele godzin jazdy sprawił, że nozdrza i gardło Marii były wysuszone i czuła w nich bolesne kłucie. Próbowwała przełknąć ślinę, ale ta prosta czynność, do której zwykle nie przywiązuje się wagi, okazała się niemal niewykonalna. Kiedy w końcu jej się to udało, poczuła nieprzyjemny smak w ustach, jakby wywracał jej się żołądek, nie słuchając nakazów mózgu zalecającego spokój i rozwagę. Wyboista i kręta droga, wijąca się od granicy pakistańsko-afgańskiej aż do stolicy Kabulu, nie przyczyniła się do ustąpienia dolegliwości.

Maria postanowiła zatem nie zmieniać pozycji, nie poruszać się, nie przelikać, nie otwierać oczu. I przede wszystkim nie myśleć.

Przez wiele godzin siedziała nieruchomo. W końcu zmęczenie, zdenerwowanie i przygnębienie, spowodowane stratą pieniędzy i dokumentów skradzionych przez nieletniego obdartusa, sprawiły, że zapadła w niespokojny półsen, tak lekki, że każda dziura na drodze - a trakt do Kabulu był bardzo wyboisty - każde słowo wypowiedziane przez męża czy szwagra sprawiały, że automatycznie otwierała oczy i spoglądała przez zamazane brudem i ptasim łajnem, zakurzone okno na ziemię, która miała się stać

na pewien czas jej ojczyznę. Krajobraz, jaki miała przed oczami, tworzyły piach, skały, pył, kurz i kamienie. To wszystko. W jej odczuciu było to bezmierne pustkowie.

O świcie dotarli do Kabulu. Maria tym razem nie poświęciła uwagi szczegółom, które w innych warunkach i okolicznościach skłoniłyby ją do spojrzenia na Nasrada porozumiewawczym wzrokiem, a być może nawet do uśmiechu.

Zastygła na tylnym siedzeniu zdewastowanego samochodu jak skamieniała. Tylko kolebanie auta, w którym, sądząc po gwałtownych wstrząsach i drganiach, od dawna nie zmieniano amortyzatorów, zmuszało jej ciało do zmiany pozycji. Głowa opadała jej z jednej strony na drugą, z prawej na lewą, i z powrotem. W pewnej chwili pomyślała, że przypomina maskotkę, stawianą czasem na tylnej półce samochodu, szkaradnego plastikowego pieska, kiwającego główką w rytm drgań pojazdu.

W końcu stanęli. Maria czuła się tak samo jak w dzieciństwie, kiedy ojciec zabierał dzieci na wycieczki. Gdy zapadała na chwilę w drzemkę, zatrzymywał się czasem, żeby coś przekąsić w przydrożnym barze, a ona wolała wtedy udawać, że śpi, niż wysiąść i wypić szklanekę gorącego mleka w gwarnym lokalu, pełnym przejezdnych gości. Miała teraz to samo wrażenie, zapamiętane z dzieciństwa, ale nagle, słysząc jakiś nowy, nieznany głos, przestała udawać głęboko uspioną. Otworzyła oczy i zobaczyła, jak Nasrad z bratem rozmawiają z kimś okrytym wielką płachtą materiału, przypominającą namiot, nadającą nieznajomej osobie wygląd ducha. Ten dziwny strój w błękitnym kolorze miał na wysokości oczu prostokątną siatkę wydzierganą z grubej nitki. Zauważyła, jak tajemnicza postać ukryta pod zwojami materiału próbuje wypatrzeć przez to okienko, kto siedzi z tyłu samochodu.

Maria pomyślała, że lepiej będzie wysiąść. Czuła się skrępowana tym, że ktoś ją obserwuje. Podniosła się z trudem. Po długiej podróży w tej samej, niewygodnej pozycji czuła się odrętwiała. W końcu udało jej się otworzyć drzwiczki. Poczowała chwilową ulgę, bo jej twarz owiała fala ciepłego powietrza. Wrażenie to jednak nie trwało długo. Usłyszała bowiem

dochodzący spod obszernych zwojów materiału głos: „Musisz natychmiast wrócić do samochodu. Nie jesteś zasłonięta. Grozi ci niebezpieczeństwo. Nas również narażasz”.

Maria rozpoznała, że głos wydaje kobieta ukryta pod płachtą, ale oczywiście nie rozumiała ani jednego słowa. Poszukała wzrokiem pomocy u Nasrada, który szybko przetłumaczył:

- Mario, to moja siostra. Mówi, że lepiej będzie, jeśli wrócisz do samochodu. Nie jesteś zasłonięta i grozi ci niebezpieczeństwo. Narażasz także i nas. Lepiej będzie, jak jej posłuchasz.

Nic z tego nie rozumiała. Nie oczekiwała co prawda jakiegoś wylewnego czy uroczystego powitania, zadowoliliby ją serdeczny uścisk i pocałunek oraz zwykłe, choćby zdawkowe zdanie, na przykład: „Witaj w Kabulu! Jak minęła podróż?”. Zamiast tego usłyszała jednak ostrzegawcze słowa, pozbawione ciepła, nakazujące jej natychmiastowy powrót do samochodu, w którym spędziła już siedem godzin.

Choć nie rozumiała powodu, natychmiast posłuchała polecenia i wsiadła do środka. Znowu ogarnął ją mdlący, suchy odór, który przecisnął się do gardła i wywołał suchy, ostry kaszel. W tej samej chwili z przodu usiedli Nasrad z bratem, a kobieta szczerze zasłonięta zwojem materiału oddaliła się o parę metrów i weszła do sklepu.

Maria nie dała czasu mężowi na tłumaczenia, zasypując go gradem pytań:

- Co się dzieje, Nasradzie? O co chodzi? Nic nie rozumiem. Czy to twoja siostra? I czemu każe mi wsiąść do samochodu, skoro dopiero z niego wysiadłam? Dlaczego gdzieś sobie poszła? Powiedz, o co tu do diabła chodzi? - Sama nie wiedziała, czy ta dziwaczna sytuacja bardziej ją bawi, irytuje, drażni czy wyprowadza z równowagi, ale nie umiała dopasować do siebie części tej kuriozalnej układanki.

- Mario, to moja siostra. Jesteśmy w Kabulu. Tutaj kobiety chodzą w burkach, bo w przeciwnym razie nie tylko im grozi niebezpieczeństwo, ale też ich towarzyszom. - Nasrad przemawiał do żony spokojnym, ale stanowczym głosem, jak do trzyletniej dziewczynki, która powinna słuchać starszych, choć w gruncie rzeczy nie wiedziała, co się wokół niej dzieje,

i nic nie rozumiała. - Mario, zrozum, to inny świat. Niewiele ma wspólnego z tym, który znasz. Lepiej rób to, co ci radzą. Tak będzie bezpieczniej dla ciebie. Tutaj życie jest skomplikowane dla wszystkich, ale przede wszystkim dla kobiet. Nie martw się, musisz tylko być czujna i słuchać, co do ciebie mówią. To wszystko. Moja siostra ci pomoże.

Wypowiedziawszy te ostatnie słowa, Nasrad wyjrzał przez okienko i na widok przyobleczonej w ogromny zwój materiału, wychodzącej ze sklepu siostry kiwnął do Marii głową, żeby też spojrzała w tamtą stronę.

- Widzisz? Kupiła dla ciebie burkę.

- Kupiła dla mnie burkę? Coś takiego. I ja mam to na siebie włożyć?

- Tak będzie lepiej, Mario. To dla twojego dobra. Jeśli nie chcesz albo ciężko ci to zrobić, nie wkładaj. Ale wtedy zauważą, że jesteś cudzoziemką, i możemy mieć kłopoty, zwłaszcza ty.

W tej samej chwili szwagier powiedział coś po afgańsku, co Nasrad przetłumaczył, przypatrując się jej najpierw niespokojnym wzrokiem.

- Mój brat mówi, że w Afganistanie życie cudzoziemca staje się czasem monetą przetargową. Mogą cię porwać i jeśli nie dostaną okupu, zabiją cię. - Przez dłuższą chwilę trzymał wzrok wbity w podłogę samochodu, w końcu podniósł oczy, popatrzył na żonę uważnie i powiedział: - Mario, włóż burkę.

Miała wrażenie, że mąż nie przetłumaczył jej wszystkich słów swego brata, ale postanowiła więcej nie wypytywać i zaufać jego skrótowym wyjaśnieniom.

Siostra Nasrada wsiadła do samochodu, zajmując miejsce obok niej. Potem, rozejrzawszy się czujnie wkoło, podniosła nieśmiało zakrywający szczelnie jej twarz materiał. Wtedy po raz pierwszy Maria zobaczyła twarz swojej szwagierki. Była zaskoczona, że kobieta w niczym nie przypominała jej męża. Dostrzegła, że miała bardzo ciemną cerę, duże czarne oczy i długie ciemne włosy zebrane w koński ogon zwisający na szyi. Wyraz jej twarzy zdradzał pewną sympatię, może dlatego, że uśmiechała się ciepło i życzliwie. Wypowiedziała kilka słów w obcym dla Europejki języku i podsunęła jej zawiniątko, po czym pospiesznie zasłoniła twarz.

Chociaż Maria nie mogła się powstrzymać od patrzenia na siedzącą obok niej kobietę, musiała teraz spojrzeć na męża, który właśnie zaczął jej tłumaczyć słowa siostry.

- Mówi, że bardzo jej miło ciebie poznać. I że kupiła dla ciebie burkę, którą masz założyć. Być może nie będzie dobrze na tobie leżeć, ale siostra mówi, że nie zna twoich wymiarów. Nie martw się, będzie na to czas, zdążą ci uszyć następną na miarę.

Marii nie za bardzo spodobały się ostatnie słowa męża: „Będzie na to czas...”. Jaki czas? Czy długo mamy tu siedzieć? A jednak wołała poddać się okolicznościom, które jakby na przekór wypowiedzianym słowom wcale nie wydawały jej się niebezpieczne, tylko raczej zabawne. Z zaciekawieniem rozwinęła wręczony jej przez szwagierkę pakunek. Znajdowała się w nim burka uszyta z takiego samego materiału jak strój siostry Nasrada, w identycznym, niebieskim kolorze. Potem Maria dowiedziała się, że burki różniły się barwami: zielone dla kobiet służących w wojsku, białe dla pielęgniarek oraz dla małych dziewczynek, czarne, noszone przez wdowy, i niebieskie dla reszty kobiet - tych było najwięcej.

Maria rozłożyła strój z tyłu samochodu, na ile pozwalało na to ciasne wnętrze. Potem spojrzała uważnie na towarzyszące jej osoby, wpatrzone w nią pytającym wzrokiem. Szwagierka pokazała jej gestami, żeby włożyła na siebie obszerną szatę. Maria się uśmiechnęła, lekko skinęła głową i zaczęła wbijać się w burkę.

Gdy ją włożyła, poczuła nieprzyjemny, ostry dotyk szorstkiego materiału. Na parę chwil zastygła nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, niemal wstrzymując oddech. W końcu wybuchnęła gromkim śmiechem. - Nasrad, przecież ja nic nie widzę. Co się dzieje? Czy one cokolwiek widzą spod tych zwojów tkaniny? - mówiła głośno, próbując jednocześnie rozsunąć poły, choć pogarszało to tylko sytuację.

Ani siostra, ani brat Nasrada nie mogli zrozumieć, czemu Maria, nałożywszy burkę, zaśmiewa się głośno. Prawdę mówiąc, wyraz ich twarzy świadczył o kompletnym osłupieniu. Nawet jej mąż poczuł się skrępowany tym nieoczekiwanym wybuchem śmiechu, czego nie mogła dostrzec spod nowego stroju. Nie widziała też spojrzeń, jakie wymieniali między sobą.

- Gdzie jest ta przekłeta kratka? Przecież ja nic nie widzę! - niecierpliwiła się, mówiąc lekko rozbawionym głosem i nie przestając się wiercić pod suknią w poszukiwaniu jakiegokolwiek otworu, przez który mogłaby wystawić rękę czy chociażby wyrzeć na chwilę.

- Czekaj, kobieto, źle to włożyłaś.

Nasrad nie wiedział, w jaki sposób pomóc żonie. Jego dłonie zagubiły się wśród zwojów materiału i oboje nie potrafili sobie poradzić z burką. Wreszcie, po wielu wysiłkach, Maria wydołała potarganą głowę na wierzch. Wyglądała, jakby dopiero wstała z łóżka, z częściowo obnażonym ciałem i potarganymi włosami. Dopiero wtedy dostrzegła powagę malującą się na twarzach siedzących w samochodzie osób, w tym również jej męża.

- O co chodzi? Przecież wkładam to na siebie po raz pierwszy. Nie mam wprawy. Ktoś powinien mi pokazać, jak to się nosi.

Nasrad popatrzył na siostrę, która próbowała ułożyć pomięte fałdy materiału, w jakie zmieniła się burka, jeszcze przed chwilą idealnie poskładana i wyprasowana. Szwagierka spojrzała na Marię z wymuszonym uśmiechem, znacznie mniej szczerym niż ten, z którym wcześniej podarowała jej strój, a potem cierpliwie i spokojnie pokazała część zakrywającą głowę. Gestem wskazała miejsce, które Hiszpanka ochrzciła mianem prostokąta, a przez które można było coś zobaczyć, i w końcu ułożyła górną część burki na głowie Marii z taką swobodą i łatwością, jakby wkładała jej koronę. „Oczywiście, najważniejsza jest wprawa. Przecież ona nosi to już od lat. Dla niej to proste” - pomyślała Hiszpanka.

Tym razem Maria założyła szatę właściwie i cała sytuacja przestała ją bawić. Już nie widziała w niej nic śmiesznego. Teraz, mając burkę na sobie, wołała sobie nie wyobrażać, jak wygląda w oczach patrzących na nią ludzi. Nie zastanawiała się też nad szalejącą w jej duszy burzą uczuć. Czuła się skrepowana, uwięziona. Miała wrażenie, jakby ktoś ją wepchnął, związaną i zakneblowaną, do parcianego worka z kartoflami. Szorstki, zakrywający szczelnie jej ciało materiał drażnił skórę. Nie mogła zaczerpnąć oddechu. Brakowało jej powietrza. Czuła narastające ciśnienie w głowie, jakby ktoś postawił na niej ciężar i świadomie go nacis-

kał. Chropowata i nieprzyjemna w dotyku tkanina drapała ją. Miała uwięzione, sparaliżowane nogi i ręce, nie mogła bowiem wyciągnąć ich na wierzch. Przez chwilę pragnęła zedrzeć burkę z siebie i głęboko odetchnąć, ale coś ją przed tym powstrzymywało... Szata wydzielala jakiś dziwny, nieznany zapach, jeszcze bardziej utrudniający oddychanie.

Przez chwilę w samochodzie panowała cisza. Dopiero słowa wypowiedziane przez szwagierkę po afgańsku i przetłumaczone przez męża wyrwały Marię ze stuporu i uświadomiły, co się dzieje i w jaką sytuację się wpakowała.

- Mario, dobrze się czujesz? - spytał Nasrad i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Moja siostra mówi, żebyś się nie przejmowała. To tylko na początku jest takie trudne, potem się przyzwyczaisz. Złe wrażenie szybko minie i od pewnego momentu już nic ci nie będzie przeszkadzało.

Po raz pierwszy Maria patrzyła przez burkę i wcale jej się nie spodobał widok ukochanego mężczyzny przez gęstą, absurdalną siateczkę. Ogarnął ją niepokój. Nie wiedziała, jak się go pozbyć. W końcu szorstkim, gwałtownym ruchem podciągnęła część burki zakrywającą jej twarz i wbiła uporczywy wzrok w oczy Nasrada.

Choć nie mogła widzieć swojego spojrzenia, wiedziała jednak, że jest ono żywym odbiciem rozpaczy i rozterek, jakie ogarnęły jej duszę. Nie mogła ich powstrzymać ani opanować, wypływały z niej jak dzika, wezbrana rzeka. Wszystko by oddała za to, aby uwolnić się od narzuconych ograniczeń, choćby musiała walczyć z całym światem. W tym samym momencie Nasrad ujął jej twarz w dłonie i zaczął głaskać powoli, przeciągłym i delikatnym gestem, od policzków aż po skronie. Powtórzył to wielokrotnie, bez słowa. W uroczystej ciszy wpatrywali się w siebie jak zauroczeni. Maria już się nie śmiała. Jak zahipnotyzowana wbiła oczy w męża, który poważnym i uroczystym spojrzeniem przekazywał jej poczucie bezpieczeństwa. Nawet nie zauważyła, że zaczęła płakać, dopóki nie poczuła łez; spływały między palcami Nasrada, który delikatnie próbował je zetrzeć z jej policzków.

- Przrzekam ci, że szybko stąd wyjedziemy. Obiecuję ci to, Mario.

Będziemy się jeszcze z tego śmiali, tak jak zawsze. To wszystko wyda nam się zabawne. Przyrzekam ci. Musisz mi zaufać - powiedział.

Czuł, że ta scena nie może trwać ani chwili dłużej, i szybko przykrył głowę żony burką, po czym odwrócił się na swym siedzeniu obok kierowcy. Usłyszawszy wymianę zdań między mężem i jego bratem, z której oczywiście nic nie rozumiała, Maria oparła się powoli, jak na zwolnionym filmie, o siedzenie samochodu, które ostatniej nocy, podczas długiej podróży od granicy aż do Kabulu, musiało jej wystarczyć za łóżko.



Chociaż zapadła jakby w stan półświadomości, zauważyła jednak, że auto ruszyło. Była tak zeszywniała, że nawet wstrząsy podczas jazdy po wyboistej i kamienistej drodze nie zdołały jej poruszyć.

Czuła się coraz gorzej. Wrażenie, że zaraz się udusi, nasilało się i wydawało jej się, że to zaraz nastąpi. Wiedziała, że w każdej chwili jej organizm może zareagować, że zwymiotuje albo zemdleje. Modliła się, aby stało się raczej to drugie. Nie miała jednak szczęścia.

Próbowała znaleźć po omacku w drzwiach samochodu korbkę do otwierania okna, ale przeszkadzały jej w tym mdłości oraz ograniczająca ruchy burka. Pragnęła opuścić szybkę i zrzucić wszystko, co zalegało jej w żołądku, a potem zaczerpnąć choć haust świeżego powietrza. Oddałaby wszystko, żeby natychmiast zdjąć z siebie ten krępujący strój, ale zgodnie z tym, co wyjaśniła jej afgańska rodzina męża, mogłaby zapłacić za to nawet życiem.

Nie wiedziała, czyja życzliwa dłoń pomogła jej natrafić na korbkę, pewnie szwagierki. W każdym razie była za to bardzo wdzięczna. Wystawiła głowę przez okno i wdychała łapczywie powietrze. Wciągała je zachłannie w płuca, tak jakby jej życie od tego zależało, i jakby pragnęła zgromadzić pod burką życiodajny tlen, świadoma, że może go jej później zabraknąć.

Na dłuższą metę oddychanie stało się jednak niezbyt przyjemne, bo chociaż samochód włókł się powoli, nieutwardzona droga pełna była pia-

chu i kamieni. Pył unosił się spod kół w górę, tworząc ciężką i grubą chmurę kurzu przedostającego się do płuc.

Gdy usiłowała zaczerpnąć powietrza i głęboko oddychać, zauważyła coś bardzo dziwnego. Nie wiedziała dokładnie, co się z nią dzieje, ale miała wrażenie, że przy wzmożonym wysiłku płuc dostała nagle konwulsji i połknęła własne wymioty. Nie czuła wstrętu, obrzydzenia czy strachu, nawet niepokoju. Była skupiona na tym, aby nie wypuścić z płuc ani krztyny tlenu i zgromadzić jego zapas.

Najpierw usłyszała głos szwagierki, chwilę później męża tłumaczącego słowa siostry:

- Dobrze się czujesz, Mario? Chcesz, żebyśmy się zatrzymali na chwilę?

Otworzyła szeroko oczy i natychmiast poczuła ból i pieczenie. Wtedy zrozumiała, że płacze, choć nawet tego nie zauważyła. Ogarnęło ją przygnębienie, które z trudnością opanowała. Nie miała ochoty niczego wyjaśniać mężowi.

- Mario... - nalegał - powiedz coś. Dobrze się czujesz? Chcesz, żebyśmy stanęli?

Nie wiedziała, jak i skąd wzięła wreszcie siłę, być może dzięki zgromadzonemu w płucach zapasowi powietrza. Pozbierała się jednak i odpowiedziała zaniepokojonemu Nasradowi:

- Dobrze się czuję, kochanie. To pewnie alergia, bo wszystko wokół jest takie wyschnięte. Zabrakło mi powietrza i kapie mi z nosa. - Nie powinna kłamać i była tym zawstydzona. - A może się przeziębiam. Tak, to na pewno katar. Przeziębiam się wczoraj, kiedy czekaliśmy na małego przemytnika i nasze bagaże. Nie martw się, już wszystko dobrze. Twoja siostra ma rację, do burki trzeba się przyzwyczać. To naprawdę nic trudnego.

Poczuła, że krótka rozmowa z mężem, tak jak zwykle, uspokoiła ją, i rzeczywiście poczuła się lepiej. Dlatego postanowiła z nim porozmawiać dłużej. Tak też zrobiła. Wkrótce jednak pozostali dołączyli do rozmowy, a ponieważ Nasrad musiał tłumaczyć to, co mówili inni, straciła ona sens terapeutyczny.

Maria zauważyła, że mąż dużo więcej mówi w swoim ojczystym języku, kiedy się zwraca do siostry i brata, i miała nieprzyjemne wrażenie, że się kłóca. Z podniesionego tonu głosu wywnioskowała, że Nasrad jest wzburzony.

- Co się dzieje, kochanie? Co się stało? Jesteś zły? Coś przykrego ci powiedzieli? - spytała go po krótkim namyśle. - Czy mówili ci coś o mnie? Nie podobam im się? Śmieją się ze mnie? Czepiają się mnie?

Zaniepokoiła się, widząc, że mąż nie chce jej odpowiedzieć, tylko nadal jest zdenerwowany. W końcu usłyszała, jak mówi po angielsku, w języku, który oboje rozumieli:

- Nie, Mario. Nic podobnego. - Wydawało jej się, że mówi takim głosem, jakby był zmęczony albo smutny, a może z obu powodów. - Wręcz przeciwnie. Ponieważ rozmawiamy w języku, którego nie znają, sądzą, że się skarżysz albo ich krytykujesz. Wypytują mnie, co ci jest i po co tu przyjechałaś. Ale już im wytłumaczyłem, że wcale się nie skarżysz, tylko jesteś przeziębiona i zmęczona podróżą.

- Możesz im powiedzieć, że przyjechałam tu, bo chciałam być z tobą, bo nie chcę się rozstawać nawet na chwilę z moim mężem. Tak postanowiłam.

Maria nie mogła zrozumieć, dlaczego rodzeństwo Nasrada jest tak bardzo niewyrozumiałe wobec niej. Przecież ledwie ją znają. Uważała, że to niesprawiedliwe. Przyjechała z innego kontynentu, wychowała się w innej kulturze, wyrosła na Zachodzie, w zupełnie innym świecie. Dopiero od kilku godzin była w Afganistanie i do tej pory spotkało ją samo zło: została oszukana, obrabowana, a teraz szczelnie zasłonięta szorstkim materiałem pod groźbą, że mogliby ją porwać i zabić. „Nie wiem, dlaczego tak trudno im zrozumieć, że potrzebuję czasu, aby się przyzwyczaić do nowych warunków” - pomyślała.

W końcu dotarli do domu siostry Nasrada. Maria otworzyła drzwiczki, aby wysiąść z samochodu, ale szwagierka złapała ją za lewą rękę i uściśnęła lekko, dając jej znak, żeby na nią spojrzała. Rzuciła kilka słów po afgańsku, a Nasrad je przetłumaczył:

- Mówi, żebyś uważała, wysiadając z samochodu. Nie nadepnij skraju burki, bo możesz się przewrócić.

Maria podziękowała za ostrzeżenie. „Tylko tego brakowało, żebym upadła na ziemię i zrobiła z siebie pośmiewisko” - pomyślała.

Postąpiła zgodnie z radą szwagierki. Pomimo tego musiała poruszać się po omacku, cały czas trzymając się jedną ręką karoserii samochodu, dopóki nie stanęła przed drzwiami domu, za którymi zniknęła reszta towarzyszących jej osób. Oczywiście parokrotnie nadepnęła na brzeg burki, ale przynajmniej się nie przewróciła, a tego za wszelką cenę pragnęła uniknąć.

Przekroczywszy próg, stanęła w kompletnych ciemnościach. Miała wrażenie, że niespodziewanie znalazła się w piwnicy, czym grożono jej w dzieciństwie, kiedy była niegrzeczna. Zastygła nieruchomo. Próbowwała wyciągnąć rękę, aby natrafić na jakąkolwiek żywą istotę, najlepiej na męża. Szybko zrozumiała, że burka ogranicza jej ruchy, i wyciągając rękę, może tylko stracić równowagę i się przewrócić. W końcu zjawił się Nasrad.

- Mario, tu jestem, z twojej prawej strony. Możesz już zdjąć burkę. Jesteśmy u mojej siostry. W domu nie grozi ci niebezpieczeństwo, możesz chodzić w normalnym stroju.

Podziękowała mu z radością i natychmiast ściągnęła z siebie zwoje szorstkiego materiału. Czuła się wyczerpana, zdezorientowana i kompletnie zagubiona. Sytuacja przypominała jej bardziej sceny porwań, tyle razy oglądane na filmach, niż rzeczywistość. Razem z Nasradem weszła po stromych schodach łączących przedsionek, w którym się znajdowali, z pierwszym pomieszczeniem. Wewnątrz dostrzegła wyzierającą ze wszystkich kątów biedę. W pokoju nie było mebli. W oknach brakowało zasłon. Miała wrażenie, że szyby pomalowano czarną farbą albo zakleiono ciemnym, nieprzepuszczającym światła papierem. Na podłodze leżało kilka bawełnianych materaców, a na nich poprzecierane, stare, zniszczone koce. Szybko się zorientowała, że materace spełniają w nocy rolę łóżek, na których śpią przynajmniej po trzy osoby.

Pomimo panującej wokół, wyraźnie widocznej nędzy wszyscy domownicy już od pierwszej chwili prześcigali się w staraniach, aby niczego jej nie zabrakło, choć tak naprawdę sami prawie nic nie mieli. Siostra Nasrada, zrzuciwszy tradycyjną burkę, bez przerwy mówiła, gestami zapraszając ją, aby spoczęła na jednym z materaców i częstowała się świeżo zaparzoną herbatą oraz dziwnym chlebowym plackiem o smaku mąki z domieszką nieznannej Marii przyprawy.

Czuła się otumaniona. Miała wrażenie, że ma zatkane uszy. Powieki co chwila same jej opadały. Pragnęła się położyć, wyciągnąć wygodnie, zasnąć i śnić, że jest z dala od otaczającej ją rzeczywistości. Chciała tylko zamknąć oczy i spać. Znaleźć się z dala od tej ponurej izby. W końcu nie było to przecież zbyt wygórowane życzenie.

Gdy obudziła się rankiem następnego dnia, nie mogła sobie przypomnieć chwili, w której zapadła w głęboki sen; powieki opadły jej same, bez ostrzeżenia, nie prosząc o pozwolenie. Przez chwilę leżała spokojnie, póki się nie zorientowała, że po jej lewej stronie leży Nasrad, a po prawej synek. Przez chwilę próbowała przyjrzeć się izbie, w której spali, ale mdłe światło dzienne, z trudem wciskające się przez zaciemnione okna,

nie pozwalało jej dojrzeć szczegółów. „Czemu pokryli szyby czarną farbą? Przecież gdyby nie to, w domu byłoby widniej. Może nie chcą, żeby podglądał ich jakiś ciekawski sąsiad, albo mają potłuczone szyby i zastąpili je ciemnym papierem” - zastanawiała się.

Odkręciwszy głowę, żeby zobaczyć, co się kryje po prawej stronie pokoju, z zaskoczeniem stwierdziła, że na następnym materacu leżą trzy osoby, wśród których rozpoznała siostrę Nasrada. Były tam również dwie inne kobiety, których nie знаła i oczywiście nie przypominała sobie z poprzedniego wieczoru. Gdy już zdążyła się rozejrzeć, poczuła, że serce kurczy jej się z przerażenia. Zobaczyła, że szwagierka leży z szeroko otwartymi oczami i bacznie ją obserwuje, wprost wlepia w nią oczy. Wydawało jej się, że zaraz umrze ze strachu. Ogromne ciemne tęczęwki zdawały się ją śledzić. Nagle zauważyła, że na twarzy kobiety, jakby widmowej w półmroku, pojawia się uśmiech. Maria szybko się zrewanżowała, raczej automatycznie niż z grzeczności. Siostra Nasrada dała jej znak, żeby wstała. Podniosła się więc i udała się za nią do kolejnego pomieszczenia, którego poprzedniego wieczoru nie widziała. Pełniło ono rolę prowizorycznej spiżarni. Gospodyni za pomocą gestów i mimiki dopytywała się, czy Maria jest głodna. Skinęła głową w odpowiedzi. Szwagierka wzięła brązowe paczuszki z jakimś proszkiem, przeszła do kuchni i w ciągu niespełna godziny upiekła chleb i zaparzyła herbatę na śniadanie.

Wkrótce wstała też reszta domowników, choć na pewno nie obudziła ich krzątająca kobiety. Nie odzywały się bowiem do siebie, a Maria miała ponadto wrażenie, że siostra Nasrada porusza się w niemal uroczystej ciszy, byle tylko nie obudzić ani nie przeszkodzić śpiącym.

Wszyscy zgromadzili się na śniadanie w tej samej izbie, w której przed chwilą spali, a poprzedniego wieczoru pili herbatę. Starannie poskładali koce, złożyli materace jeden na drugim i zasiedli do wspólnego posiłku.

Maria spojrzała na przygotowany chleb i herbatę, pierwszy w tym dniu posiłek. W duchu zastanawiała się, lecz nie ośmieliła się spytać o to na głos, gdzie się podziały kawa, magdalenki, herbatniki czy tosty. Nigdy ich nie podano, a ona nigdy też o nie nie poprosiła.

Zebrani rozmawiali w ojczystym języku, a mąż tłumaczył Marii to, co mógł albo chciał. W ten sposób dowiedziała się, że spędzą tu parę dni, a potem pojedą do rodzinnej miejscowości Nasrada, gdzie już od dawna z niecierpliwością na nich czekano.

Pragnęła ze wszystkich sił, aby jego dom rodzinny był choć trochę przytulniejszy niż ten, w którym spędzili noc, chociaż, szczerze mówiąc, nie miała prawa się uskarżać na brak gościnności ze strony gospodarzy. „Jeśli ktoś się z tobą dzieli tym wszystkim, co ma, nie możesz go prosić o więcej”. Ileż razy słyszała to zdanie z ust ojca! Teraz najlepiej pojęła jego sens.

Nasrad zawiadomił ją, że po południu wybiorą się do Kabulu. Maria się ucieszyła. Chciała pójść do komisariatu policji i złożyć doniesienie o kradzieży paszportu i pieniędzy. Pragnęła jak najszybciej załatwić formalności związane z utratą dokumentów. Jej radość trwała jednak krótko. Niespodziewanie plany wyjścia na miasto zostały pokrzyżowane przez zamieszki uliczne. Z tego, co zdołała zrozumieć na podstawie min

i gestów oraz skąpo udzielanych przez Nasrada wyjaśnień - mąż nie miał czasu, a może nie chciał podsycać jej niepokoju i zdenerwowania - chodziło o to, że żołnierze zastrzelili kogoś na ulicy i teraz zastraszeni mieszkańcy woleli pozostać zamknięci w domach. Później okazało się, że chodziło o kobietę zamordowaną w najpotworniejszy i najokrutniejszy sposób: nieszczęsną zakopano do pasa w ziemi, przykryto burką i ukamienowano na śmierć. Wtedy po raz pierwszy Maria usłyszała o talibach. Od razu pojęła, że pod tym określeniem nie kryje się nic dobrego dla kobiet.

Tak jak robiła to wielokrotnie przedtem, kiedy otaczająca rzeczywistość ją przerażała, postanowiła zapaść w milczenie i nie zabierać głosu. Jej usta były jak zaklejone. Nie otwierała ich nawet dla zaczerpnięcia oddechu. Pogłębiła się w myślach, zapatrzyła w jeden punkt. W tamtej chwili świat się dla niej zatrzymał i nikt nie mógł się domyślić, co się dzieje w jej głowie.

Wkrótce zostały zrealizowane plany, które kilka dni wcześniej Nasrad przedstawił Marii, i wszyscy troje, w towarzystwie krewnych męża, wyruszyli do wioski, w której mieszkali jej teściowie. Zauważyła widoczne podenerwowanie w zachowaniu męża, niewątpliwie wywołane niepokojem związanym z ponownym spotkaniem z rodzicami po tak długiej rozłące.

Przez pierwsze godziny podróży prawie ze sobą nie rozmawiali, z wyjątkiem chwili, kiedy Nasrad się odwracał, aby spytać żonę o zdrowie. Maria podróżowała szczelnie okryta burką. Ucieszyła ją wiadomość, że w miejscowości dużo mniejszej i innej niż stolica nie będzie musiała tak się ubierać i może zdjąć uciążliwy strój, kiedy dojadą na miejsce. Poczwała głęboką ulgę.

Podróż do rodzinnej miejscowości Nasrada trwała aż trzy dni. Drogi były niebezpieczne i wyboiste, a w całym kraju obowiązywały różne ograniczenia i zakaz ruchu kołowego od godziny dwudziestej drugiej aż do rana. Jazda nocą była również niewskazana ze względu na bezpieczeństwo pasażerów. Ludzie, którzy nie stosowali się do przepisów, narażali się na nieprzyjemne przygody. Podróżni musieli zatem zatrzymać się na noc w tak zwanych hotelach. Dla Marii ta nazwa brzmiała jak kiepski żart. Nie wiedziała, dlaczego jej mąż nazywał te miejsca hotelami, ponieważ w porównaniu z tymi, w których kiedyś nocowała, nie zasługiwały na to określenie.



Dwie kolejne noce spędziła w dwóch różnych izdebkach o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, wyposażonych w dwa, rzucone byle jak na ziemię, materace. Właśnie w takich klitkach dwukrotnie nocowali: Maria z mężem i z dzieckiem na jednym materacu, a jej szwagierka z mężem na drugim.

W końcu dotarli do celu, do miejscowości rodzinnej mężczyzny, którego pokochała, dla którego przed przyjazdem do Kabulu ukryła swoje ciało pod burką i zniosła wszystko, co jej zgotował los. Gdyby wiedziała, co jeszcze ją czeka...

Ściągnęła burkę, żeby nie stracić ani jednego szczegółu z widoku domu rodzinnego Nasrada, i położyła ją obok siebie na tylnym siedzeniu, tak jak radził jej mąż. Na kompletnym pustkowiu, wśród ugorów, dostrzegła zabudowania należące do teściów, otoczone kępą wysokich, rozłożystych drzew. Nie rozumiała, jak na tak wyschniętym, kamienistym, jałowym, piaszczystym podłożu mogła wyrosnąć taka bujna zieleń. Dom rodziców męża zarysowywał się coraz wyraźniej. Był niewielki, parterowy, wzniesiony z kamienia. Pokrywał go ciemnobrązowy dach, wykonany z jakiegoś nieznanego materiału. Drewniane pale, ułożone na krzyż, tworzyły zręby konstrukcji. W budynku było wiele okien, wszystkie jednak pozbawione szyb. Właśnie przez te otwory Maria dostrzegła ludzi, którzy wyglądali przez nie i natychmiast znikali, jakby w obawie, że ktoś ich zobaczy.

W końcu się zatrzymali i wszyscy, łącznie z Marią, wysiedli z auta. Oczywiście to ona przyciągała najwięcej spojrzeń i była tego świadoma. Nie przeszkadzało jej to wprawdzie, a jednak czuła się coraz bardziej skrepowana.

Kiedy weszła do środka, zauważyła, że nie ma tam miejsca na odrobinę intymności. Dom składał się zaledwie z dwóch izb. I koniec. To było wszystko: dwa pomieszczenia. Na ziemi leżały takie same materace, jakie widziała już w innych domach, narzucone identycznymi szorstkimi kocami. Tkaniny niewiadomego przeznaczenia rozrzucono tu i ówdzie bez ładu i składu. Ze wszystkich kątów wзираła nędza, do której Maria wbrew woli zdążyła się już przyzwyczać. Zastanawiała się, na co rodzi-

na wydawała pieniądze przysyłane przez Nasrada z Londynu, mając nadzieję, że w końcu znajdzie jakąś przekonującą odpowiedź. Po chwili zawołano ją na zewnątrz.

Przed domem zgromadziła się niespodziewanie ponaddwudziestoosobowa grupa ludzi. Nasrad przedstawiał Marię kolejnym krewniakom, a ona uśmiechała się tylko nieśmiało i kiwała potulnie głową, tak jak to zwykła robić, odkąd przyjechała do Afganistanu, nie rozumiejąc ani słowa z tego, co do niej mówili, ani nie pojmując, co się wokół niej dzieje. Mąż jeszcze nie skończył wypowiadać litanii imion, koligacji i pokrewieństw oraz formułek powitalnych w obcym dla niej języku, a już wszyscy zebrani zaczęli pokrzykiwać, pohukiwać i wiwatować. Spojrzała na krąg utworzony przez ludzi, którzy jeszcze przed chwilą skupiali na niej uwagę. Zauważyła, że w środku gromady jakiś mężczyzna mocnym uchwytem trzymał jagnię za kark. Jak błyskawica przebiegła jej przez głowę myśl, że ten baranek ma zostać zarżnięty w darze ofiarnym z okazji ich przyjazdu do wioski. Jej przeczucie się potwierdziło, kiedy mężczyzna trzymający zwierzę zadął mu łeb i jednym brutalnym, błyskawicznym gestem podciął gardło. Maria nie zdążyła zamknąć oczu, aby nie widzieć tryskającej obfitym strumieniem krwi z głębokiej rany w szyi jagnięcia. Ta rytualna rzeź na powitanie przypomniała jej podobną scenę, której była świadkiem po narodzinach Abdulla. Baranek, na którego teraz patrzyła zaskoczona i zszokowana, był jednak przynajmniej trzy razy większy. Z jego otwartego gardła buchała wartkim strumieniem krew. Najbardziej zadziwiająca, a zarazem zaskakująca scena, która pozbawiła ją niemal oddechu, miała jednak dopiero nastąpić.

Maria nie zdążyła się jeszcze otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobiła na niej posoka bluzgająca z jagnięcego gardła, gdy jeden z krewnych Nasrada nabrał w dłonie zwierzęcej krwi i ruszył pewnym krokiem w jej stronę. Próbowwała się cofnąć, ale nie mogła, bo mąż trzymał ją mocno za rękę. Uczestniczyła więc w tym straszliwym widowisku, choć miała wrażenie, że jest jakby obserwatorem z zewnątrz, mimo że w gruncie rzeczy była główną bohaterką tej pełnej okrucieństwa ceremonii.

Gdy mężczyzna z dłońmi pełnymi krwi zarzniętego w ofierze zwierzęcia był już dostatecznie blisko Marii, ku jej zdumieniu, widząc, że jest zupełnie bezwolna, ochlapał jej ręce jagnięcą juchą. Obserwowała z przerażeniem, jak krew ofiarnego baranka plami jej dłonie. Poczowała ciepło lepkiej, kleistej substancji. Ciecz skapującej między palcami przywierała do skóry, wywołując w niej trudne do opanowania uczucie odrazy i wstrętu. Przerażona i oszołomiona tym barbarzyńskim rytuałem, próbując odnaleźć w nim jakikolwiek sens, dostrzegła, że mężczyzna robi to samo z jej obnażonymi stopami. Nigdy się nie dowiedziała, kiedy i w jaki sposób zdołali jej zdjąć obuwie tylko po to, aby krew jagnięcia, które do momentu jej przyjazdu spokojnie żyło, zbrukała jej stopy. Krewny Nasrada dokonujący uroczystego „obmycia” krwią wypowiedział przy tym modlitwę w języku, z którego Maria nie rozumiała ani słowa. Następnie, nie dając jej nawet czasu na otrząśnięcie się z wrażenia, uczestnicy ceremonii nakazali jej gestem, aby dotknęła rękami ziemi. Odczuła nawet pewną ulgę, kiedy jej dłonie dotknęły piaszczystej gleby, ponieważ dzięki temu część pokrywającej jej stopy i ręce krwi została przez nią wchłonięta. Nie potrafiła zrozumieć, czemu ta sytuacja jest dla niej takim wstrząsem, a ona nie umie odebrać jej normalnie, naturalnie i spokojnie, choć przecież była już raz niemym świadkiem podobnej ceremonii z okazji powitania na świecie Abdullaha. Miała jednak wrażenie, że przeżywa to po raz pierwszy.

Wydawało się, że wszyscy zebrani świętują ten wielki moment. Wiwatowali i pokrzykiwali z radości i szczęścia, prowadzili głośne rozmowy, krzycząc i wydając z siebie jeszcze inne dźwięki, których Maria nie odważyła się nawet porównywać do radosnych pieśni.

Kiedy minęło uczucie zaskoczenia i szoku, zrozumiała, że to, co przeżyła przed chwilą, to tylko uświęcony tradycją obyczaj.

Gdy do rodziny dołącza nowy jej członek, zwłaszcza kobieta, albo jeden z krewnych powraca do domu z dalekiej podróży, tak jak to było w wypadku Nasrada, reszta wita ich właśnie takim rytuałem śmierci, krwi i okrzyków szczęścia.

Ceremonia trwała cały dzień i Maria nie miała okazji, aby choć przez chwilę pozostać sam na sam z mężem. Zebrana wokół niej gawiedź nie przestawała ją wypytywać czy też zagadywać, choć prawdę mówiąc, już nikt się nie kwapił z tłumaczeniem tego, co do niej mówią. Mogli sobie pozwolić jedynie na wymienianie z Nasradem ukradkowych spojrzeń podczas uroczystości. Maria spostrzegła jednak, że on jest szczęśliwy i roześmiany, już od dawna nie widziała go w tak dobrym nastroju. Gestami zachęcał ją, aby cieszyła się świętem i podzielała ogólną radość. Nie wyjaśnił jej jednak, jak ma to robić.

Wiedziała, że została zaakceptowana przez rodzinę męża. Nie potrafiła tylko pozbyć się przykrego wrażenia, jakiego doznała, kiedy jej spojrzenie po raz pierwszy skrzyżowało się ze wzrokiem teściowej. Długo szperała w pamięci, żeby sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie uchybiła matce Nasrada w czasie poprzedniego pobytu, czy nie obraziła jej jakimś uczynkiem lub słowem. Pamiętała, jak ta kobieta pomogła jej dziecku przyjść na świat, i chociaż to przeżycie nie należało do najprzyjemniejszych, to jednak w jej pamięci nie przetrwało wspomnienie żadnej sprzeczki, zatargu czy innego powodu do urazy. Mimo to wyraźnie ją dostrzegła. To nie było przywidzenie. Maria jasno sobie uświadomiła, że matka Nasrada nigdy nie będzie jej przyjaciółką, powiernicą, oddaną towarzyszką ani tym bardziej podporą w nowym miejscu i w nieznanym jej świecie.

Zauważyła, i to nie tylko na obliczu teściowej, ale także na twarzach innych zgromadzonych osób, przede wszystkim kobiet, że patrzą na nią tak, jakby do nich nie należała, jakby była im obca, a jej obecność wśród nich, choć uroczyście uczczona ceremonią powitania zgodnie z nakazami tradycji, stanowiła dla nich wszystkich rozczarowanie i zawód. Uśmiechali się do niej serdecznie, kiwali głowami z aprobatą, kobiety klaskały, pozdrowiały ją, cieszyły się i zagadywały. Ale kiedy odwracały twarze, ich uśmiechy znikwały, a pozorna życzliwość zmieniała się we wrogi grymas. Rodzina Nasrada wiedziała, co prawda, że syn poślubił Hiszpankę, cudzoziemkę, ale nikt sobie nie wyobrażał, że tak będzie wyglądała jego żona. Maria zrzuciła burkę, zanim wysiadła z samochodu, i nie przywią-

zywała wagi do tego, jak jest ubrana: w dzinsy i T-shirt na ramiączkach. Wcale nie przypominała zatem strojem miejscowych kobiet, przyobleczonych w obszerne suknie i w chustach zamotanych na głowach. Wiele z nich nosiło burki. Rodzice, bracia, siostry i pozostali krewni wiedzieli, że Maria pochodzi z Hiszpanii, ale nigdy nie wyobrażali sobie, że kobieta może chodzić tak ubrana. Myśleli, że mimo wszystko będzie do nich podobna. Szkoda, że Nasrad nie uprzedził ich, jak wygląda osoba, którą poślubił.

Ten pierwszy dzień przyniósł wiele niespodzianek całej rodzinie, zarówno miłych, jak i przykrych.

Po skończonej ceremonii goście pożegnali się i rozeszli do domów. Na tym pustkowiu stały tylko dwa domy: pierwszy, główny, w którym mieszkali rodzice Nasrada - właśnie w nim zatrzymali się Maria z mężem i małym Abdullahem - dwaj jeszcze nieżonaci bracia i trzeci, młody żonkoś, razem z żoną; wszyscy zajmowali jedną izbę. W drugim domu, znacznie mniejszym, nie wiadomo jakim cudem mieścił się starszy brat wraz z żoną i jedenaściorgiem dzieci oraz kolejny z trzynaściorgiem potomków i ich matką. Do tego dochodziły jeszcze niezameżne kuzynki Nasrada.

Gdy mąż oznajmił Marii, że będą mieszkali w większym domu, odetchnęła z ulgą, ponieważ na widok tak licznej gromady ludzi pomyślała, że przyjdzie im nocować w namiocie, który ktoś litościwie rozstawi im na tym pustkowiu. Radość, iż będzie spała pod dachem, szybko jednak minęła, kiedy Maria przekonała się, że w domu nie ma ani wody, ani elektryczności.

Nie mogła w to uwierzyć.

- Skąd bierzecie wodę? - spytała szeptem Nasrada, tak aby nikt nie usłyszał jej słów ani nie domyślił się, o czym mówi. Nie mogła jednak powstrzymać ciekawości, skąd się bierze wodę, coś tak niezbędnego do życia.

- Czerpiemy ją ze studni położonych na skraju zagrody. Nie zauważyłaś, kiedy tu przyjechaliśmy? Mamy dwie studnie, po jednej z każdej strony. Kobiety chodzą tam codziennie po kilka razy, napełniają baniaki i przynoszą do domu. - Nasrad tłumaczył to w tak naturalny sposób, że Maria poczuła się zaskoczona, słysząc, że jej mąż, przywykły tak samo jak ona do wygód, jakie zapewniał nowoczesny, cywilizowany świat, nie przywiązuje wcale wagi do warunków, jej zdaniem pasujących raczej do średniowiecza, a nie do dwudziestego wieku.

- Nie mają kranów i nie wiedzą, co to jest kanalizacja? - wypytywała wstrząśnięta, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy na własne uszy. - Nie mają światła i nie wiedzą, co to jest elektryczność? - indagowała coraz bardziej zaskoczona, widząc, jak bracia Nasrada rozstawiają w pokojach lampy naftowe. - To niewiarygodne. Prawie jak na starych filmach.

- A czego się spodziewałaś? - odparł urażony. Szczerze mówiąc, sam nie wiedział, czy był obrażony zachowaniem Marii, czy przeważało w nim poczucie winy, że nie potrafił jej odwieść od pomysłu przyjazdu w jego rodzinne strony. - Przecież ci mówiłem, że Afganistan jest biednym krajem, a większość mieszkańców żyje poniżej granicy ubóstwa. Rzadko można tu spotkać przejawy dobrobytu.

- Dobrobytu? Czy ja dobrze słyszę? Przecież twoja rodzina nawet nie ma pojęcia, co to jest dobrobyt. Pamiętam, jak mi mówiłaś, że to biedny kraj, ale myślałam, że tu jest tak, jak było w Hiszpanii podczas wojny domowej i tuż po niej, o czym wspominali moi dziadkowie. Nie wyobrażałam sobie, że tak można żyć. - Przebiegła wzrokiem otoczenie i znowu zadała pytanie Nasradowi, tym razem nie patrząc mu w oczy: -I ty się tu urodziłeś? W takim miejscu? W takich warunkach? Jak ci się udało...?

- Mówiłem ci, żebyś tu nie przyjeżdżała, Mario. To nie jest miejsce dla ciebie, a tym bardziej dla małego dziecka. Nie rozumiesz tego? Jesteś przyzwyczajona do innych warunków. Zresztą ja też, aleja przynajmniej wiem, że istnieją takie miejsca jak to. A dla ciebie to absolutny szok. Wiem, jak się żyje na afgańskiej wsi, i zapewniam cię, że można tu przeżyć. W każdym razie mnie się udało. - Nasrad zamilkł na parę sekund. -

Nie powinnaś tu przyjeżdżać. Ani ty, ani tym bardziej mały. To był błąd. To moja wina.

Miała wrażenie, jakby wypowiadając te słowa, wbijał jej w serce nóż, wywołując nieznośny ból. Poczowała się wstrętna, egoistyczna, okrutna, rozpieszczona i źle wychowana. Żałowała swoich uwag i komentarzy. Zapomniała o tym, że to był przecież dom i rodzina jej ukochanego męża.

- Przepraszam, Nasradzie. Nie chciałam tego powiedzieć. Jestem szczęśliwa, że mogę być razem z tobą, nieważne czy tu, czy w najpiękniejszym pałacu na świecie. Pragnę tylko być z tobą, a reszta się nie liczy. Uwierz mi, proszę. Ty jesteś dla mnie najważniejszy. Zresztą - dodała Maria, pragnąc zbagatelizować całą sprawę - tu w końcu nie jest najgorzej. Przypominają mi się wyprawy na biwak, kiedy byłam mała. Może nie było dobrych warunków, ale mimo to dobrze się wtedy bawiłam. Masz rację, Nasradzie. Tu można żyć, dopóki jesteśmy razem.

Nawet ona sama nie wierzyła w słowa, które padały z jej ust. Brzmiały zbyt naiwnie, aby były przekonujące. Nigdy dotąd nie znalazła się w takim miejscu, gdzie nie mogły być zaspokojone tak elementarne potrzeby życiowe. Postanowiła jednak oszczędzić sobie komentarzy na temat rodzinnego domu męża, żeby nie przysparzać mu więcej zmartwień i nie pogarszać sytuacji. Chciała znowu być twarda, pokazać, że nic złego się nie dzieje, a jeśli nawet, to wcale jej to nie dotyka.

Pierwszą noc spędzili po ciemku, w delikatnej poświacie księżyca, który na szczęście dla Marii był w pełni, wciskając się natrętnie przez otwory okienne. Tamtej nocy mieli szczęście: rodzice pozwolili im spać z dzieckiem w osobnym pokoju. Drugie pomieszczenie zajęło, tylko tej pierwszej nocy, pięć osób śpiących na dwóch materacach. Następną noc spędzili już w towarzystwie matki Nasrada, która, ku ubolewaniu Marii, nie chciała odstępować syna.

Pierwszego ranka Maria wstała, jak zwykle, z pełnym pęcherzem. Musiała natychmiast iść do ubikacji. Starła się nie pić za dużo płynów wieczorem, żeby nie budzić się w nocy z powodu konieczności skorzystania z toalety, ale rano zwykle wytrzymała zaledwie parę sekund i musiała pędzić do łazienki.



W domu teściów sprawa nie była jednak taka prosta. Poderwała się raptownie i szukała ubikacji we wszelkich zakamarkach domu. Prawdę mówiąc, jej poszukiwania nie trwały długo, bo dom nie był wielki. Biegnąc po nim pospiesznie, nie znalazła także kuchni, którą brała przez chwilę pod uwagę jako awaryjne miejsce dla ulżenia fizjologicznej potrzeby, jeśli nie trafi na toaletę.

Szukała na próżno, wreszcie pobiegła do śpiącego męża, obudziła go i spytała:

- Kochanie, nie mogę znaleźć łazienki, dłużej już nie wytrzymam. Gdzie tu do diabła macie jakiś klozet?

Dostrzegła ślad gorzkiego uśmiechu na jego twarzy, gdy usłyszał to naiwne pytanie, ale ona, z powodu pełnego pęcherza, nie zastanawiała się dłużej nad jego znaczeniem.

- Na dworze. Jest na dworze, Mario - powiedział Nasrad, wskazując na okno.

Ostępiała, kiedy spojrzała w stronę, którą pokazywał palcem. Nie mogła w to uwierzyć. Spojrzała na niego pytającym wzrokiem, żeby się upewnić, czy naprawdę chodzi mu o to nieokreślone bliżej miejsce za oknem.

- Ale gdzie? - W jej głosie wyczuwało się pewien lęk przed odpowiedzią.

- No tam, na dworze. W pobliżu tych wysokich drzew, na które zwróciłaś uwagę wczoraj, jest wykopana w ziemi wielka dziura. Widzisz? Tam, za tą rozwaloną szopą... To jest prowizoryczny wychodek. Kiedy się załatwisz, weź szpadel oparty o drzewo i wsyp trochę ziemi do dziury.

Maria miała wrażenie, że mąż robi sobie z niej żarty albo ją nabiera. A prawdę mówiąc, tego ranka wcale nie miała nastroju na tego rodzaju dowcipy. Nawet jeśli padały z jego ust.

- Żartujesz, prawda?

- Nie, Mario. Jeśli chcesz, pójdę z tobą i ci pokażę. To wcale nie jest żart.

Wstała spokojnie i z godnością, odwróciła się i z premedytacją nie patrząc na męża, wyszła z domu. „Tylko spokojnie. Nic się nie stało. To tyl-

ko piętnaście dni. Tata mówił, że dwa tygodnie da się wytrzymać nawet w więzieniu. Trzymaj się, Mario, nic się nie stało. Nic. Absolutnie nic" -powtarzała sobie w duchu.

Im dłużej się przekonywała, tym czuła się silniejsza. Zdecydowanym krokiem szła w kierunku dziury wykopanej w ziemi, która jak widać w tym domu pełniła funkcję ubikacji. Nie przestawała jednak myśleć, jak będzie wyglądała tu kąpiel czy choćby zwykły prysznic, i przebiegł ją zimny dreszcz. Postanowiła nie zastanawiać się dłużej nad tym, lecz skoncentrować się na bieżących sprawach, a ściślej mówiąc, na dręczącej ją potrzebie.

Nasrad widział przez okno, jak jego żona pędzi pospiesznie w miejsce, które jej pokazał. Gdy tam dotarła, rozejrzała się czujnie na wszystkie strony, czy nikt jej nie podgląda. Zobaczyła, że w ziemi rzeczywiście wykopana jest dziura, a tuż obok stoi oparta o drzewo łopata. Przykucnęła, zrobiła co trzeba, podniosła się i na zakończenie wsypała uroczyście do dołu ziemię nabraną na szpadel. Próba zakończyła się pełnym sukcesem.

Kiedy wróciła do domu, rozmowa się nie kleiła, chociaż Nasrad próbował ją zagadywać.

- Lepiej?

- O, tak. Dużo lepiej. Dziękuję.

Cała rodzina zebrała się przy śniadaniu, składającym się z herbaty, cukru i chleba. Podczas wspólnego porannego posiłku Maria czuła się dość niezręcznie. Krępowały ją skierowane prosto na nią spojrzenia zgromadzonych przy stole członków rodziny, ciekawskie, pytające, a niektóre wręcz oskarżające. Na dodatek rodzice, rodzeństwo, szwagierki, a nawet bratankowie Nasrada bezustannie gadali. Maria była prawie pewna, że stanowiła temat ich ożywionej rozmowy. Parokrotnie spojrzała proszącym wzrokiem na męża w oczekiwaniu na tłumaczenie pospiesznej dyskusji. W końcu jednak zrezygnowała, ponieważ domownicy rozmawiali coraz szybciej i wszyscy, nawet Nasrad, sprawiali wrażenie rozgniewanych. Najwidoczniej się kłócili, i Maria była święcie przekonana, że to ona jest powodem rodzinnej sprzeczki. Poczuli się urażona i wyobcowana. Wiedziała, że im się nie spodobała. Świadczyły o tym ich beczelne, aroganckie spojrzenia.

Tego ranka ledwie cokolwiek skubnęła. Nie miała apetytu. Pragnęła tylko - i dała to mężowi wyraźnie do zrozumienia - jak najszybciej znaleźć się w Kabulu, aby znowu spróbować zgłosić kradzież, jakiej padli ofiarą, a potem wystąpić o nowy paszport i wreszcie wyjechać z Afganistanu. Nasrad zapewnił ją, że tak właśnie zrobią, ale najpierw Maria musi zmienić wygląd, a przede wszystkim strój.

- Jeśli będziesz chodzić tak ubrana, możemy mieć problemy. Będą cię nagabywali o pieniądze, bo pomyślą, że jako cudzoziemka opływasz

w bogactwa. Niektórzy spróbują nawet cię zabić i to niekoniecznie wzrokiem. Moje siostry i bratowe pomogą ci się odpowiednio ubrać, a potem załatwimy to, co chcesz.

Przystąpiła na taki układ. Rozumiała, że stroje, które przywiozła ze sobą, nie były odpowiednie - ani obcisłe dzinsy, ani kuse podkoszulki, ani szorty czy minispódniczki. Zresztą po kradzieży na granicy pakistańsko--afgańskiej zostało jej niewiele ubrań.

Dzięki życzliwości i przyjaźni kuzynki męża, jego siostry ciotecznej ze strony matki, Maria zaczęła się przeobrażać. Z czasem zrozumiała, że powinowactwo nie wyklucza przyjaźni, szczególnie kiedy dwie osoby łączy wspólny los. Później odkryła, że nieważny jest również wiek. Dziewczyna, z którą zdołała się porozumieć już od pierwszej chwili, miała na imię Mahtab. Nasrad wyjaśnił jej, że po afgańsku znaczy ono „księżyc”. Stały się nierozłączne, całe dni spędzały razem. Zmieniły się w najserdeczniejsze przyjaciółki i powiernice, niemal jak siostry. Były prawie rówieśnicami. Maria szybko zauważyła, że Mahtab różni się od reszty kobiet, które tam mieszkały, ma inne oczekiwania, inny charakter, inne spojrzenie na świat i ludzi, a także inne lęki i obawy. A nawet inaczej się uśmiecha. Maria przysięgłaby, że wygląd i rysy twarzy jej nowej przyjaciółki są raczej charakterystyczne dla kobiety z Zachodu, nie dla Afganki.

Dzięki nieocenionej pomocy i nieskończonej cierpliwości Mahtab, nauczyła się pierwszych słów po afgańsku. Początkowo ten język sprawiał jej wiele trudności i stanowił nieprzekraczalną barierę między nią a rodziną męża. Już pierwsze lekcje sprawiły jednak, że Maria poczuła się dużo lepiej w nowym środowisku. Zawsze była bystra, pojętna, łatwo przyswajała wiedzę.

To właśnie Mahtab, z pomocą jednej z bratowych Nasrada, uszyła dla niej długą i obszerną szatę, odpowiednią do noszenia w domu. Zamknięte w czterech ścianach kobiety nie musiały nosić burek, tylko zakrywające sylwetkę suknie oraz chusty szczelnie zasłaniające włosy i głowę. Tylko twarz pozostawała odkryta, oczywiście jeśli sobie tego życzyły. Wiele bowiem z żyjących tu kobiet, zwłaszcza pozostałe szwagierki, wolało chodzić w burkach. Maria pragnęła jednak czuć powiew świeżego powiet-

rza na twarzy, tak samo jak większość dziewczyn w jej wieku. Od przyjazdu do domu teściów nie opuszczała zresztą terenu ich gospodarstwa, nie widziała zatem powodu, aby nosić tradycyjne okrycie.

Nalegała, aby jak najszybciej pojechali do Kabulu i próbowali ustalić, gdzie się znajduje ambasada hiszpańska. Musiała zgłosić kradzież, jakiej stali się ofiarami na granicy, i przeczuwała, że im więcej czasu minie od tego faktu, tym trudniej jej będzie cokolwiek załatwić.

Dni szybko mijały. Upływał planowany uprzednio termin dwutygodniowego pobytu w Afganistanie. Maria miała zaufanie do skutecznych działań misji dyplomatycznej, chociaż podczas pierwszego krótkiego pobytu w Kabulu nie dowiedziała się, gdzie mieści się ambasada ani co powinna zrobić, aby uzyskać nowe dokumenty i odzyskać tożsamość. Musiała jednak dotrzeć do tej placówki i wyjaśnić jej pracownikom, że jest obywatelką hiszpańską, której skradziono wszystkie dokumenty, w tym także paszport oraz pieniądze, a musi natychmiast wydostać się z mężem i dzieckiem z Afganistanu.

Dlatego, a także z wielu innych powodów, z których nie zwierzyła się Nasradowi, pewnego ranka, zanim dom ogarnęła gorączkowa krzątanina, Maria poderwała się z łóżka wcześniej niż reszta, co w jej wypadku graniczyło niemal z cudem, żeby wreszcie wyjść z domu. Bała się, że to miejsce wkrótce stanie się dla niej więzieniem. Była świadoma tego, że zanim zacznie planować podróż do Kabulu, aby załatwić konieczne sprawy urzędowe, powinna pokonać pierwszą i podstawową przeszkodę: włożyć na siebie tę przeklętą burkę. W przeciwnym razie nie będzie mogła wyjść na ulicę.

Natychmiast poszła po ten znieawidzony strój. Leżał w tym samym miejscu, w którym go zostawiła tuż po przyjeździe do domu teściów. Jak zwykle towarzyszyła jej Mahtab. Istniała między nimi wewnętrzna, głęboka więź, jakby były połączone pępowiną, i kiedy jedna wstawała z łóżka, podrywała się także i druga. Z błękitną burką w ręku Maria wspomniała przykre doświadczenia przeżyte w czasie podróży do domu siostry Nasrada. Próbowwała wymazać z pamięci ten traumatyczny epizod, aby nie powstrzymał jej przed zrealizowaniem powziętej decyzji. Spojrzała na Mah-

tab. Nagle zauważyła, że wokół zgromadzili się ludzie, skupiając na niej spojrzenia. W izbie zebrali się: Nasrad, jego rodzice i rodzeństwo, szwagierki, ich dzieci, niektóre wraz ze współmałżonkami. Wydawało się, że wszyscy chcą być świadkami, jak młoda cudzoziemka, którą sprowadził tu ich krewny, zmienia się w kobietę afgańską. Maria wbiła wzrok w płachtę materiału, po czym rozłożyła ją zdecydowanym ruchem, z wprawą i swobodą, którymi sama była zaskoczona. Nie ociągając się, bez wahania włożyła burkę na siebie, tak jak uczyła ją siostra Nasrada w samochodzie, tuż po przyjeździe do Kabulu, kiedy ofiarowała jej ten tradycyjny strój.

Minęło parę sekund. Maria nie wytrzymała. „Duszę się - myślała rozpaczliwie. - Brakuje mi powietrza. Nie mogę oddychać, nic nie widzę, nie mogę mówić. Zaraz zemdleję. Nie dam rady. Nie mogę”.

Szybkim, raptownym ruchem ściągnęła burkę i rzuciła ją na ziemię z tak zrozpaczoną miną, że zaboląło to Nasrada, który przyglądał się tej scenie z niepokojem. Od paru dni, za każdym razem, kiedy spojrzał na żonę i widział, jak źle znosi pobyt w Afganistanie, prześladowało go poczucie winy.

W ciągu tygodnia Maria trzykrotnie próbowała włożyć burkę po kryjomu i bez świadków, ale jej początkowy zapał zawsze kończył się tak samo: ledwie powstrzymywaną rozpaczą, napadem astmy i ukrywanym szlochem. Usiłowała tłumić płacz, siadała na podłodze w najchłodniejszym miejscu domu, z głową opartą na kolanach i kurczowo zaciśniętymi na nich ramionami.

Czuła się śmiesznie w tej szacie. Nic nie mogła na to poradzić. Tym razem było podobnie. Znowu jej się nie udało. A przecież musiała wyjść na zewnątrz, opuścić gospodarstwo teściów. Mahtab powtarzała jej, że może to zrobić tylko w burce albo wcale. Mąż wyjaśniał, że ten haniebny i upokarzający strój będzie ją jednak skutecznie chronił przed spojrzeniami obcych oraz przed ewentualnymi napaściami. Teściowie prosili, żeby włożyła burkę dla nich, ze względu na szacunek, tradycję i aby uniknąć obmowy przez sąsiadów, a także dlatego, że się zwyczajnie bali. Maria chciała uszanować ich prośbę, byli przecież rodzicami jej ukochanego mężczyzny, jej męża.

- Daj spokój, Mario. Jutro znowu spróbujemy i zobaczysz, że się uda. Jutro włożysz burkę - próbowała ją uspokoić Mahtab, widząc, że włożenie tradycyjnego stroju staje się dla przyjaciółki męczarnią. Działo się to na oczach świadków, którzy nie chcieli stracić ani jednego szczegółu z tego widowiska.

- Nie. Muszę to zrobić teraz - odrzekła. - Nie mogę zachowywać się jak rozpieszczona, głupia Europejka. Nie tym razem. Jestem cudzoziemką i dla własnego bezpieczeństwa muszę chodzić w burce. Im szybciej mi się to uda, tym szybciej stąd wyjedziemy.

Podniosła z ziemi szatę, którą cisnęła byle jak w ataku paniki. Zaczepnęła duży haust powietrza. Zawsze starała się tak robić w trudnej sytuacji albo w stresie. To pomagało jej uspokoić stargane nerwy. Miała nadzieję, że w tej sytuacji również okaże się skuteczne. „Jak mogłam tak drastycznie zmienić swoje życie? Gdyby ktoś teraz na mnie spojrzał, nie uwierzyłby, że jestem Hiszpanką” - pomyślała.

Rzuciła Nasradowi porozumiewawcze spojrzenie. Mąż obserwował ją z rosnącym zdumieniem. Maria nie pamięta, czy w tamtej chwili uśmiechnęła się do niego, ale przynajmniej chciała to zrobić. Przez moment jej myśli poszybowały do Londynu, na plac przy Covent Garden, gdzie na swojej pierwszej randce pili razem kawę.

Wciągnęła powietrze głęboko do płuc, zamknęła oczy i włożyła burkę. Nie potrafiła stwierdzić z całą pewnością, czy upłynęły zaledwie dwie minuty, czy już dwie godziny. Wiedziała, że wytrzyma i wbrew wszystkiemu poradzi sobie z tym przeklętym islamskim strojem.

- Gotowe. Mogę wyjść z domu.

Tamtego ranka Nasrad postanowił zabrać żonę na śniadanie do pobliskiego miasteczka. Miał taką ochotę, a oprócz tego chciał w ten sposób pomóc jej i wynagrodzić trudy, za które czuł się w pewien sposób odpowiedzialny. Towarzyszyła im Mahtab z mężem, dwóch braci Nasrada z żonami i dziećmi, wśród nich Abdullah.

Tamto śniadanie było wyjątkowe i całkiem odmienne od codziennego monotonnego posiłku, składającego się wyłącznie z herbaty i kromki chleba. Przede wszystkim nareszcie wyszli z ciasnego domu, uciekli przed nudną rutyną i duszącą atmosferą. Dopiero wtedy Maria dostrzegła, jak odmienne prawa rządzą afgańskim społeczeństwem. Okazało się, że w lokalu, w którym mieli zjeść śniadanie, kobiety i mężczyźni muszą przebywać w oddzielnych pomieszczeniach. Wraz z resztą towarzyszących jej kobiet usiadła w jednej sali, a mężczyźni w drugiej, przestronniej szej, jaśniejszej i dużo chłodniejszej. Musieli jeść oddzielnie, bo tak nakazywała tradycja.

Maria nie umiała przystosować się do tych, śmiesznych jej zdaniem, praw i norm. Miała wrażenie, że przeniosła się w jakąś odległą i niezrozumiałą dla niej epokę, i ta świadomość chwilami bardzo jej ciążyła. Nie miała jednak innego wyjścia, musiała to zaakceptować, jeśli nie chciała sprawić przykrości mężowi. A tego nade wszystko pragnęła uniknąć.



Zauważyła, że w pomieszczeniu przeznaczonym tylko dla kobiet jej towarzyszki zdjęły burki, żeby swobodnie jeść. Ona jednak za bardzo się bała. Strach czał się gdzieś na dnie żołądka, powodując skurcz, który nasilał się za każdym razem, kiedy próbowała podnieść przednią część stroju. Postanowiła zatem wkładać drobne kawałki jedzenia pod nią. Czowała się poniżona, upokorzona, ale nie protestowała.

Po śniadaniu wyszła z innymi na ulicę, żeby przejść się po miasteczku. Przez drobniutkie otwory siateczki umieszczonej na wysokości oczu prawie nic nie widziała. Czowała, jak kępuje ją ten tradycyjny strój. Parę razy, niechcący nadepnawszy na skraj burki, potknęła się i została w tyle za resztą towarzystwa, także za Mahtab. Nagle zabrakło osoby, która zawsze służyła jej pomocą. Tak bardzo nie chciała jej zgubić.

Co parę kroków przydeptywała długą szatę i nie mając się czego przytrzymać, traciła równowagę. Szła niepewnym, chwiejnym krokiem. W obawie przed upadkiem, zamiast podnosić stopy w górę, szurała nimi po ziemi, wznosząc za sobą tuman ulicznego kurzu. Od czasu do czasu zatrzymywała się i kasłała.

Uspokoila się, stwierdziwszy, że nikt na nią nie patrzy. Krążyła po ulicy jak duch, niezręczny wprawdzie, ale duch. Bez oblicza, bez oczu, bez tożsamości, ślepa i głucha. Mogła się przewrócić, mogli ją popchnąć, przejechać, porwać, nawet zabić, i nikt by nie zwrócił na to uwagi. Była tylko niekształtną, anonimową postacią, niewzbudzającą żadnego zainteresowania. Obojętność ludzi wobec niej w innej sytuacji mogłaby ją irytować, a nawet oburzać, ale tamtego dnia okazała się szczęśliwym zrzędzeniem losu. Przywróciła jej paradoksalnie pewność siebie.

Nagle poczuła, że coś jest nie w porządku. Staneła. Rozejrzała się wokoło. Wykonując tę pozornie prostą czynność, musiała się okręcić. Miała wrażenie, że przypomina przyobleczonego w burkę androida. Domy, budynki, wozy i samochody, mijający ją ludzie, biegająca wokół dzieciarnia... wszystko wydawało jej się obce. Była przekonana, że osoba, za którą szła po wyjściu z kawiarni, to Mahtab. Dopiero teraz zorientowała się, że to nieznamoma kobieta. Miała ochotę natychmiast zrzucić z siebie burkę, ale znowu poczuła silny skurcz żołądka, ostrzegający przed nie

bezpieczeństwem. Na próżno próbowała wypatrzeć znajomą postać przez otworki zasłony. Nie mogła znaleźć Mahtab, która zawsze była jej pomocą, niemal jej kompasem i przewodniczką. Czuła się bezradna. Zgubiła się. Po raz pierwszy wyszła z domu teściów w burce i zgubiła się. Była sama. Cudzoziemka, bez dokumentów i bez męża, w centrum miasteczka oddalonego setki kilometrów od Kabulu. Zagubiona. Sama. Miała wrażenie, że umrze z przerażenia. Nie wiedziała, czy krzyczeć, czy płakać, błagać o pomoc, rzucić się biegiem przed siebie, czy po prostu zastygnąć nieruchomo i nie ruszać się ani o krok. Przynajmniej pozostanie niezauważona i nikt opacznie nie odczyta jej ruchów. Rozdartą rozterkami Marię ogarnął zniewalający strach. Nie potrafiła zapanować nad tym uczuciem.

Nagle ktoś chwycił ją za rękę i pociągnął. Po chwili, kiedy była już krok od zawału serca, usłyszała znajomy, wytęskniony głos Nasrada.

- Mario, gdzie się włóczysz? Myślisz, że to Londyn? - wypytywał, nie mogąc zrozumieć, dlaczego żona oddaliła się od rodziny i spaceruje sama w obcym miejscu.

- Zgubiłam się, Nasradzie. Nic nie widzę. Myślałam, że tamta kobieta to Mahtab, i cały czas szłam za nią, a kiedy w końcu się zorientowałam, że to nie ona, zostałam sama... Przecież wszystkie kobiety są tak samo ubrane. Skąd miałam wiedzieć! - Pod czułym dotykiem dłoni męża Maria zaczęła oddychać spokojniej. - Na szczęście znalazłeś mnie. Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Poznałem po butach, Mario. Oczywiście, że zorientowałem się tylko po obuwiu, a zresztą szłaś tym swoim niezgrabnym, kaczym chodem - zakpił z niej. - Mario, musisz zawsze patrzeć na buty, jeśli nie chcesz się zgubić. To musi być twój punkt odniesienia, przynajmniej dopóki się nie przyzwyczaisz. - Nasrad mówił teraz ciepłym, życzliwym głosem, jakby rozumiał, że ona tego potrzebuje. - Śmiertelnie mnie przestraszyłaś.

- Wyobraź sobie, jak ja się bałam.

Marię przerażyło to, że zgubiła się w obcym mieście. Oprócz strachu poczuła się także przez moment samotna i opuszczona. Sądziła, że jest

silniejsza. Lubiła udawać przed światem twardą i nieustraszoną. Chciała być taka również w sytuacji, w jaką wpakowała się dobrowolnie z powodu wielkiej miłości do męża. Nie mogła go zawieść. Nie zniosłaby myśli, że mógłby ją uznać za zbędny balast, tym bardziej że to ona nalegała, aby ją zabrał ze sobą. Dlatego postanowiła trzymać się dzielnie, wytrzymywać kolejne życiowe próby, chociaż z każdym dniem stawały się one cięższe i dotkliwsze. Warto było jednak zrobić to dla Nasrada.

Maria patrzyła z przerażeniem, jak kolejne dni mijają bez żadnych nowin na temat rychłego wyjazdu ze wsi. Wygrała pierwszą batalię, pokonując niechęć do burki, ale to nie przybliżyło jej do Kabulu. Potężne zamiecie śnieżne, które tego roku zaskoczyły wszystkich, utworzyły ogromne zasy na drogach. Jedyna szosa łącząca ich ze stolicą była nieprzejezdna. To jeszcze bardziej skomplikowało i tak już niełatwą sytuację. Maria uświadomiła sobie, że spędzi w Afganistanie więcej czasu, niż pierwotnie zamierzała. Postanowiła zatem pogodzić się z tym, stwierdzając, że im szybciej jej się to uda, tym lepiej. Nie miała przecież innego wyjścia.

Mahtab w dalszym ciągu była dla niej jedyną podporą w czasie częstych nieobecności Nasrada, który wraz z bratem wyjeżdżał w poszukiwaniu pracy, aby zdobyć pieniądze na utrzymanie rodziny. Od przyjazdu do wsi teściów byli na łasce rodziny, co wcale im się nie podobało. Maria czuła się bardzo skępowana, prosząc o cokolwiek, nawet o rzeczy pierwszej potrzeby. Podczas długich, często parodniowych nieobecności męża starała się nie rozstawać nawet na chwilę z Mahtab.

Właśnie ona stała się wszechwiedzącą nauczycielką, która uczyła Hiszpankę wykonywania obowiązków domowych.

Pokazała jej, jak należy gotować ryż, ich podstawowe pożywienie. Ta potrawa w niczym nie przypominała ryżu, jaki Maria przygotowywała

w domu, ale było to jedyne znane i dostępne na wsi afgańskiej jedzenie. Cała rodzina spożywała je kilka razy dziennie. Mahtab wyjaśniła jej skomplikowany sposób, w jaki należy rozniecać ogień w wielkich piecach na drewno, aby móc gotować posiłki i ogrzać dom, zanim zapadnie zimowa noc i temperatura drastycznie spadnie. Pokazała jej także, gdzie znajdują się studnie, z których czerpie się wodę pitną i do mycia, chociaż ta ostatnia czynność nie była zbyt popularna wśród członków rodziny Nasrada.

Mahtab nauczyła ją, jak każdego dnia należy wykonywać kilka wypraw z pięcio-, dziesięcio-, a nawet dwudziestolitrowymi baniakami, a potem z pełnymi wracać do domu. Oznaczało to półgodzinną wędrówkę z dużym obciążeniem. Wyjaśniła także, jak i gdzie należy prać ubrania, pokazując ogromne balie, w których moczono odzież domowników. Poinstruowała Marię, jak trzeba prać tony rzeczy, żeby się nie zmęczyć, przestrzegając, że od ciężkiej pracy i tarcia najbrudniejszych sztuk drętwieją ręce i bolą plecy. Brakowało mydła, ale szczerze mówiąc, nikt się tym specjalnie nie przejmował. Właśnie kwestia higieny osobistej stała się powodem pierwszych scysji i nieporozumień między Marią a jej teściową.

Hiszpanka miała zwyczaj codziennie brać prysznic, co dla miejscowych było dziwnym i zgoła niezrozumiałym zwyczajem. Zużywała część wody, nabieranej do baniaków i przywożonej na taczkach, do prysznic. Podgrzewała wodę na piecu i każdy dzień zaczynała od szybkiej kąpieli. Matka Nasrada nie rozumiała tego i pewnego dnia Maria stała się świadkiem, jak teściowa krytykuje przed synem egoistyczne jej zdaniem zachowanie jego żony. Sytuacja była zgoła absurdalna. Nawet ojciec Nasrada, mąż kobiety, która właśnie dała dowód, że nie cierpi synowej, stanął w jej obronie, pytając żonę, jaki to problem, że dziewczyna codziennie rano bierze prysznic, skoro sama chodzi po wodę i ją podgrzewa, a zatem nie robi tego kosztem innych domowników. Maria szczerze kochała teścia, który zawsze traktował ją ciepło i życzliwie. Rozumiał ją i uwielbiał opowiadać znajomym i sąsiadom, że dobrowolnie przyjechała do Afganistanu z miłości do jego syna. Przybyła na to niegościnne pustko-

wie, bo nie chciała się rozstawać z Nasradera. Zrezygnowała z wygód, mieszkania w Londynie, wyrzekła się wszystkiego, co miała. Szkoda, że ojca nie było prawie przez cały dzień w domu. Gdyby częściej tam był, sytuacja Marii wyglądałaby inaczej.

Teściowa dalej ją krytykowała. Wrzeszczała, wymachiwała rękami, robiła miny, jakby miała zaraz paść z oburzenia.

Dziewczyna nie mogła wręcz uwierzyć w to, co widzi. Przecież za wszelką cenę starała się jej przypodobać, zdobyć zaufanie i zasłużyć na jej względy. Niestety na próżno. I prawdę mówiąc, nie rozumiała dlaczego. Nie potrafiła także pojąć, dlaczego Nasrad nie umie przeciwstawić się matce, przekonać jej, że się myli i niepotrzebnie zacierzwia z powodu skądinąd naturalnego i normalnego zachowania synowej. I wreszcie dlaczego nie staje w obronie żony, choć prawdę mówiąc, nie zrobiła nic takiego, żeby musiał jej bronić. Maria wierzyła, że jego bierne zachowanie jest spowodowane zmęczeniem całodzienną ciężką pracą. Razem z bratem wychodził z domu wczesnym rankiem w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy i wracał późno w nocy, zmęczony, często zniechęcony i rozgoryczony, z pustymi rękami i bez grosza. Nie potrafił zdobyć środków finansowych na utrzymanie rodziny. Czuł się bezwartościowy, do niczego niezdatny. Dręczyła go świadomość, że nie potrafi zarobić pieniędzy, a od dzieciństwa wpajano mu, że mężczyzna powinien zapewnić byt rodzinie. Rozumiała, że w takiej sytuacji nie może obarczać męża kłopotami. Wystarczyło, że teściowa spychała na niego wszystkie problemy. Maria zatem kolejny raz milczała i znosiła upokorzenia z pokorą. Znowu z miłości. Znowu dla Nasrada.

Nie chciała także opowiadać mężowi o swoich niezaspokojonych potrzebach ani skarżyć się na poniżenia, jakich jej nie szczędziła teściowa, zwłaszcza że niechęć, jaką do niej czuła ta kobieta, była zupełnie bezpodstawna.

Od przyjazdu do domu rodziców męża Maria nosiła tę samą suknię. Ciągle pamiętała dzień, w którym Mahtab i reszta kobiet nakłoniły ją do przywdziania stroju, który praktycznie zasłaniał całe jej ciało. Już na pierwszy rzut oka widziała, że suknia jest dla niej za szeroka, za długa

i że będzie krępowała jej ruchy. I rzeczywiście tak było. Tamtego dnia jednak, targana mieszanymi uczuciami i pełna smutku, pożegnała się z ulubionymi dzinsami, T-shirtami i minispódniczkami.

Od tamtej pory nosiła tylko tę obszerną szatę, w której czuła się niezgrabna i brudna. Marzyła, żeby ktoś podarował jej jakąś suknię na zmianę, a ona w tym czasie wyprałaby swój jedyny strój. W zasadzie był to obowiązek teściowej, ale ta wcale nie była skora zaspokajać potrzeb Marii.

Mężczyźni zazwyczaj przywozili kobietom ze swoich wypraw zwoje materiałów, które kupowali, jeśli oczywiście starczyło im pieniędzy po nabyciu niezbędnych artykułów żywnościowych. Wiedzieli, że każdy skrawek materiału zostanie wykorzystany do uszycia rzeczy niezbędnych w domu i ubrań dla kobiet. Wszystkie przywożone do domu tkaniny trafiały jednak do rąk matki Nasrada, która ukrywała je skrzętnie w wielkim kufrze zamykanym na klucz, z miną oznaczającą, że nie zamierza dzielić się z nikim swymi skarbami. Zdarzało się, że nachodziły ją chwile łaskawości, i wtedy wręczała w prezencie którejś z kobiet skrawek materiału. Wszystkim oprócz Marii. Kiedy ta musiała wyprać swoją jedyną suknię, nie miała co na siebie włożyć. Wielokrotnie była zmuszona owinać się czymkolwiek albo prosić o pożyczenie ubrania jedną ze szwagierek. Nie było to wcale takie proste, bo po pierwsze, nosiły różne rozmiary, a po drugie, teściowa dostawała ataków wściekłości, kiedy widziała, że kobiety w rodzinie pomagają Marii. Doprowadzało ją to do furii. Nie potrafiła się opanować. Konsekwencje jej złości ponosiły potem pozostałe kobiety.

Pewnego dnia zdarzyło się, że Maria musiała włożyć świeżo wypraną, jeszcze mokrą suknię, i wtedy przekonała się, jaką satysfakcję sprawiło to jej teściowej. Nie był to odosobniony wypadek. Najgorsze chwile przeżywała jednak podczas okresu. Zamiast podpaski musiała używać skrawka materiału, który prała co parę godzin. Oczywiście nie mogła rozwieszać go razem z resztą prania na słońcu, ponieważ był to jej jedyny podkład. Używała zatem mokrego gałganka, co jeszcze bardziej zwiększało jej dyskomfort. Wstydziała się zresztą prać przy wszystkich tę

prowizoryczną podpaszkę i starała się to robić w ukryciu. Pierwsze dni miesiączki, w jej przypadku zazwyczaj bardzo obfite, były zatem dla niej prawdziwym piekłem. W dodatku nie mogła się z nikim podzielić swoimi udrami.

Pewnego dnia szwagierki, świadome tego, co się dzieje między Marią a jej teściową, w niezwyklej gościnności podarowały jej sztukę materiału na uszycie tak niezbędnej sukni. Nawet w tym wypadku pojawiły się jednak trudności, ponieważ dziewczyna nie znała się na szyciu, tym bardziej ręcznym. Teściowa dysponowała wprawdzie starą maszyną, ale nie chciała jej udostępnić. Maria musiała wymykać się chyłkiem do domu szwagierek, aby pomogły jej szyć. Wielokrotnie krążyła z płachtą materiału od domu do domu, ponieważ kobiety kolejno odmawiały jej pomocy, bojąc się reakcji i zemsty teściowej, jeśli się o tym dowie. Obawiały się, że wyleje swoją złość na nich tylko dlatego, że wyciągnęły pomocną dłoń do młodej Hiszpanki.

Matka Nasrada natomiast zgadzała się z tym, a nawet sama na to nalegała, żeby koniecznie uszyć nową burkę dla synowej. Niezgoda teściowej na coś znacznie praktyczniej szego, na przykład na nową suknię, wydawała się Marii nadmiernym okrucieństwem, ale stara nalegała na uszycie kolejnego tradycyjnego stroju. „Musi być skrojona na twoją miarę. Tylko dla ciebie. Będzie należała wyłącznie do ciebie, a ty do niej” - twierdziła. W takich chwilach dziewczyna nienawidziła swojej teściowej. Argumentem wysuwany przez nią było to, że burka, którą Maria nosiła do tej pory, za długo schła. To prawda. Mokra burka, nawet rozwieszona na słońcu czy przy piecu, schła ponad jeden dzień. Prawdą było jednak również to, że synowa bardziej potrzebowała nowej sukni niż burki.

Przez kilka kolejnych dni Maria musiała zatem znosić tortury związane z braniem dokładnych wymiarów, a potem przymierzaniem nowego stroju. Najpierw uszyto część zakrywającą głowę, co było dopiero początkiem męczarni. Ten fragment burki przypominał czepek - ciasny, dopasowany, a na dodatek ciężki, uciskający głowę. Potem stopniowo się rozszerzał i łączył z dołem zakrywającym całe ciało, aż do stóp. Nowa burka Marii była niebieska, tak jak poprzednia, ale do jej uszycia zużyto



aż pięć różnych skrawków materiału, co sprawiało wrażenie, jakby była patchworkiem wydzierganym ze starych, niepotrzebnych szmat, wyrzuconych przez inne kobiety.

Podczas miary Maria miała okazję przejrzeć się w lusterku. „Kurczę, wyglądam jak przebieraniec - pomyślała. - Na szczęście ta cała afery niedługo się skończy i wrócę do Europy, bo jeśli nie, to się wykończę. Nie wiem, jak Afganki mogą to nosić przez całe życie". Znowu spojrzała w lusterko. Nie poznawała siebie, a przecież lustrzana tafla odbijała jej wierny wizerunek. „Będę o tym jeszcze opowiadać wnukom - przyszła jej do głowy zabawna myśl. - Wszyscy się wtedy uśmiejemy".

Burka, która miała przede wszystkim zakryć jej ciało, została uszyta w ciągu tygodnia. Natomiast na nową suknię, dzięki której byłoby jej znacznie wygodniej i praktyczniej ze względu na higienę, musiała czekać miesiącami.

Podobnie było z innymi rzeczami przywożonymi przez mężczyzn. Wszystko trafiało do wielkiego kufra teściowej i nikt nie mógł niczego ruszyć, chyba że ona sama rozdzielała swoje skarby z despotycznym i pełnym egoizmu wyrazem twarzy, znakomicie odzwierciedlającym jej charakter.

Maria była świadkiem, jak ta kobieta z odrażającym skąpstwem skrętnie ukrywa przywożone do domu kostki mydła. Robiła to szybko i ukradkiem, jakby się bała, że ktoś zobaczy, co dostała, a potem ją o to poprosi. Zostawiała za ledwie kawałek mydła do wspólnego użytku przez wszystkich mieszkańców domostwa. Dla Marii ta scena była szczególnie żalosa. Podobnie zresztą jak to, że nie może się doprosić nowych skarpetek czy majtek. Wszystko należało robić po kryjomu przed teściową. Młoda kobieta wielokrotnie gorzko ukradkiem płakała. Nie mogła zrozumieć, jak doszło do tak niezrozumiałej sytuacji, w której podpaska, tampon, kostka mydła, skarpetki, majtki czy dwa metry materiału stały się towarami luksusowymi. Była jednak niemym świadkiem tej dziwnej i strasznej rzeczywistości.

Z trudnością przywoływała uśmiech na twarz. Pamiętała niekończące się godziny spędzone na płaczu i szlochach, natomiast ledwie mogła so-

bie przypomnieć nieliczne chwile beztroskiego śmiechu, zwierzeń, ploteczek, snucia marzeń i swobodnych, radosnych pogawędek.

Takie momenty jednak także się zdarzały, choć bardzo rzadko. Były to chwile spędzane wspólnie z kobietami z rodziny Nasrada, z jego siostrami, bratowymi, siostrzenicami, bratanicami i kuzynkami, a zwłaszcza z Mahtab. Ale nigdy z teściową. To się nie zdarzyło.

Maria znakomicie potrafiła się porozumieć z młodszymi kobietami z rodziny męża, należącymi do jej pokolenia. Ulubionym tematem ich rozmów była bielizna. Najbardziej fascynowały je figi, staniki i halki przywiezione w bagażu podręcznym Hiszpanki, która potrafiła snuć długie i szczegółowe opowieści o różnych wzorach i modelach produkowanych, sprzedawanych i reklamowanych w Europie. Miała przed sobą wierne audytorium i wiedziała, że nic nie odciągnie uwagi zasłuchanych kobiet. W takich chwilach czuła się podziwiana, wyróżniona, najważniejsza, najmądrzejsza. Stała się niedościgłym wzorem dla innych kobiet. W tej afgańskiej wiosce tylko nieliczne z nich mogły nosić bieliznę, i to kupioną okazjonalnie, często używaną. Opowieści Marii oraz demonstrowanie tych nielicznych egzemplarzy, które ocalały z kradzieży, były zatem dla nich autentyczną przyjemnością i luksusem.

Właśnie z nimi Maria miała czasami okazję się pośmiać, zwłaszcza wtedy, kiedy się zbierały, żeby poplotkować na temat jej teściowej. To były jedne z najmilszych chwil spędzonych wspólnie. Każda z tych kobiet miała w zanadrzu jakieś historie o udrękach, poniżeniach i zniewagach, jakich zaznały od matki Nasrada. Takie wspólne wyznania, kiedy mogły opowiedzieć dramatyczne historie o jej okrucieństwie, stanowiły dla nich doskonałą terapię. Podczas tych rzadkich momentów wytchnienia teściowa Marii stawała się wdzięcznym tematem kpin.

Czasem na swych babskich spotkaniach młode kobiety snuły plany, które później realizowały. W ten sposób, puszczając wodze fantazji, udawało im się często stworzyć klimat luzu i zabawy. Zdarzało się, że ośmielały się wyciągać ubrania teściowej, aby się w nie przebierać, i naśladowały ją, przedrzeźniając, strojąc miny i imitując karykaturalną, odrażającą postać.

Pewnego razu, kiedy Maria i cztery inne kobiety, wśród nich oczywiście Mahtab, zebrały się, aby pomalować jeden z domów, któraś z nich chwyciła pędzel i naszkicowała na ścianie groteskowy profil matki Nasrada. Potem każda domalowywała jakiś nowy karykaturalny szczegół, ośmieszający tę okropną staruchę. Nie zauważyły, że zbliża się jej mąż. Kiedy przyłapał je na tej zabawie, porządnie zbeształ, ale wcale nie za to, że kpiły z jego żony, bo prawdę mówiąc, potrafił to zrozumieć, tylko za marnowanie farby, gdyż na to nie było ich stać. Mężczyzna odszedł, a one nie potrafiły się powstrzymać od wybuchu głośnego, serdecznego śmiechu. Później natychmiast zabrały się do roboty, szybko zamazując karykaturę teściowej, na co zużyły jeszcze więcej farby.

Maria zastanawiała się wielokrotnie, co pomyślałaby matka jej męża, gdyby wiedziała, że te same kobiety, które tak bardzo poniżała i dręczyła, wyśmiewają się z niej za jej plecami. Wtedy przed jej oczami pojawiał się obraz rozwścieczonej teściowej, kiedy to zaskoczyła Mahtab i Marię, chlapiące się dla zabawy i ochłody wodą podczas prania. Mimo setek niesprawiedliwych zniewag i afrontów, jakich doświadczyła z jej strony młoda kobieta, ta wizja dodawała woli przetrwania.

Długie zimowe miesiące okazały się ciężkie, nie tylko z powodu dotkliwego chłodu, który Maria źle znosiła. Prawdę mówiąc, w porównaniu z szykanami ze strony matki Nasrada zimno było mniej dokuczliwe. Jej relacje z teściową były coraz gorsze. Tymczasem nieobecność męża, który o świcie razem z bratem wyjeżdżał z domu ciężarówką i wracał dopiero po zmroku, stawała się coraz dłuższa, a obowiązki domowe narzucane przez ich matkę kobietom, w tym oczywiście Marii, nie należały do lekkich i miłych.

Teściowa bezustannie zarzucała jej, że miga się od pracy, nie przykłada się i nie wkłada w nią tyle wysiłku co reszta domowników. Wielokrotnie oskarżała synową przy wszystkich, że marnuje czas na leniuchowanie, wysypia się do południa i zrzuca trudniejsze prace na inne kobiety. Maria się denerwowała, irytowały ją niesprawiedliwe oskarżenia, wiedziała, że zarzuty teściowej są nieprawdziwe, ale nic nie mogła zrobić. Nigdy wcześniej nie miała tylu obowiązków i brakowało jej wprawy, jaką miały jej szwagierki, przyzwyczajone do prac domowych przez całe życie.

Matka Nasrada tymczasem narzekała na wszystko. Synowa jej zdaniem nie umiała na przykład rozpalać ognia. Początkowo rzeczywiście dolewała zbyt wiele paliwa, przez co dym zasnuwał cały dom, a rozwieszane na sznurach ubrania, pozostawione na powietrzu do wyschnięcia, przenikał nieznośny smród spalenizny.

Teściowej nie podobał się także sposób, w jaki Maria prała. Zarzucała jej, że za lekko trze brudne rzeczy, że ich nie dopiera. Wielokrotnie nakazywała jej prać to samo po raz drugi, przedtem brudząc specjalnie wyprane ubrania, aby udowodnić innym, że synowa nic nie potrafi.

Zarzucała również Marii, że za późno wstaje. Rzeczywiście, dziewczyna miała zwyczaj spać dłużej niż reszta rodziny i wstawała ostatnia, co doprowadzało matkę Nasrada do szału i oczywiście wywoływało liczne reprymendy.

Mahtab i szwagierki, a nawet bracia Nasrada, radzili młodej kobiecie, żeby puszczała mimo uszu gderanie teściowej i nie zwracała na nią uwagi, bo ona postępowała podobnie ze wszystkimi. A jednak Maria zauważyła, że stara zachowywała się szczególnie perfidnie wobec niej, i tym samym stara trafiła na pierwsze miejsce listy najbardziej znienawidzonych przez nią osób.

Ta sześćdziesięcioletnia kobieta, którą synowa nawet podziwiała za to, że zdołała urodzić, wychować i utrzymać dwanaścioro dzieci, wśród nich jej ukochanego męża, po prostu jej nie znosiła i za wszelką cenę próbowała zniszczyć jej życie, a przynajmniej je utrudnić. Jakakolwiek próba zbliżenia i porozumienia między nimi okazała się zupełnie niemożliwa. Maria była świadoma, że stała się głównym wrogiem teściowej, ponieważ jej małżeństwo z Nasradem pokrzyżowało snute od lat plany rodziny, żeby syn poślubił jedną z miejscowych dziewcząt, którą on wybierze, a jego matka zaakceptuje, a potem wykorzystają, każąc się wyryczać w obowiązkach domowych i usługiwać sobie. Ta kobieta wiedziała, że z Marią tak łatwo jej nie pójdzie. Nie o takim mariażu dla syna marzyła.

Najgorsze było to, że swoje żale i pretensje wylewała często przed nim. Obwiniła jego żonę i besztowała ją w obecności Nasrada. Oskarżała również i jego, że ożenił się z leniwą i do niczego niezdatną dziewczuchą, która nie potrafi nic robić. Zachęcała go otwarcie, a nawet błagała, aby poślubił jedną ze swoich kuzynek, z którą zaręczył się dawno temu, chociaż w swoim czasie jego rodzina zapłaciła wymagane odszkodowanie za zerwanie narzeczeństwa, kiedy chłopak podczas okupacji so-

wieckiej uciekł z kraju i stwierdził, że nigdy nie wróci. Matka nakłaniała go do zawarcia tego małżeństwa, bo chociaż był mężem Marii, w Afganistanie, zgodnie z prawem talibów, mógł mieć nawet siedem żon. Chciała go zmusić do tego kroku na wypadek, gdyby obecna żona postanowiła wyjechać, a on razem z nią. Wtedy teściowa zostałaby z jego drugą żoną, która spełniałaby rolę jej pomocnicy, a nawet służącej. Kiedy Maria usłyszała tę propozycję, musiała się opanować, żeby nie wybuchnąć i nie wyrzucić z siebie wszystkiego, co do tej pory przemilczała i tłumiała.

Jeden z najgorszych momentów przeżyła podczas długiej nieobecności męża, który wyjechał w poszukiwaniu pracy na osiem dni. Śnieg zasypał wszystkie szlaki komunikacyjne, łączące wioskę rodziców z miejscowością, w której przebywał, toteż przez ponad tydzień nie mógł wrócić do domu. Przez ten czas Maria właściwie nic nie jadła, ponieważ teściowa wydzielala jej zepsutą żywność oraz resztki pozostawione przez innych członków rodziny. Według starej tylko to jej się należało, a jeśli uważała to za niesłuszne, mogła poskarżyć się mężowi po jego powrocie. Matka Nasrada zawsze wykorzystywała ten argument, ponieważ dobrze wiedziała, że Maria nie chce zawracać mu głowy i psuć humoru opowieściami o zniewagach i afrontach, jakich stawała się ofiarą.

Znacznie bardziej niż ewentualną śmiercią z głodu młoda kobieta martwiła się jednak zachowaniem teściowej wobec małego Abdulla. Ta nie okazywała mu bowiem żadnych uczuć; nie było czułych gestów, pieszczot, babcinej troski, tulenia ani głaskania, absolutnie nic, co można by uznać za przejaw miłości babki do wnuka. Ta obojętność bolała Marię znacznie bardziej niż jakakolwiek wyrządzonej jej przykrość. Tego naprawdę nie mogła wybaczyć. Szlochała po kryjomu i tuliła syna w ramionach. Szeptala mu na ucho, jak bardzo kocha go dziadek ze strony matki, który co prawda mieszka daleko, ale na pewno kiedyś się spotkają, a wtedy przytuli chłopca, zabierze go na długi spacer, pobawi się z nim. Opowiadała małemu o zabawkach i słodyczach, które dziadek mu kupi, o ty-

siącach bajek, jakie mu opowie, a także o tym, że pokaże mu świat i wiele fascynujących rzeczy. Płakała całymi nocami, rozpaczając przez długie bezsenne godziny, pozbawiona wsparcia, czułości, kojącej obecności męża obok siebie.

Jej synek cierpiał głód i chłód. Źle sypiał, chociaż Maria robiła wszystko, co mogła, aby mały czuł jej miłość i czułość.

Gdy Nasrad wracał do domu, jego matka doznawała nagłej metamorfozy, nieoczekiwanie zmieniając się w kochającą i czułą babcię, troszczącą się o wnuka. Bezustannie zasypywała go pocałunkami, tuliła i głaskała, obdarowywała słodyczami, obdarzała czułością i pieśczoćkami. Maria aż się trzęsła z oburzenia, kiedy była świadkiem takiego pokazu cynizmu ze strony teściowej, która po aktorsku odgrywała te sceny tylko po to, aby zwieść Nasrada. To pełne hipokryzji widowisko było dla niej odrażające, fałszywe, obłudne. Spięta i zdenerwowana usiłowała wyrwać syna z tych rzekomo czułych objęć. Zdziwiony i wystraszony chłopiec zanosił się bowiem od płaczu w objęciach babki, która nigdy przedtem go nie przytulała.

Z powodu scysji z teściową Maria po raz pierwszy pokłóciła się poważnie z Nasradem. Przysięgała mężowi, że naprawdę się stara, tylko jego matce nie sposób dogodzić. Tymczasem on prosił ją, żeby wkładała więcej wysiłku w wykonywanie obowiązków domowych i próbowała zadowolić jego matkę. To oczywiście oburzało ją i złościło. Nie mogła uwierzyć, że mąż bardziej ufa matce niż jej tylko dlatego, że to jego rodzicielka. Maria postanowiła nie zwierzać się więcej Nasradowi i zdusić w sobie wszystkie żale, a także zapomnieć o afrontach i zniewagach wyrządzanych przez teściową. Wiedziała bowiem, że nic nie może na to poradzić.

Dopiero po wielu tygodniach, a nawet miesiącach, Nasrad dostrzegł, co się naprawdę dzieje między jego żoną i matką. To bracia i bratowe uświadomili mu, że matka kłamie i na wszelkie możliwe sposoby utrudnia życie Marii.

- Twoja żona przeżywa piekło, jakiego sobie nawet nie wyobrażasz.

Musimy ci o tym opowiedzieć. Posłuchaj, Nasradzie, bo to prawda -oznajmiła bardzo poważnym głosem bratowa, podczas gdy jej mąż, a brat Nasrada, słuchał i skinieniem głowy potwierdzał każde jej słowo. - Twoja matka codziennie rano wstaje z łóżka owładnięta tylko jedną myślą: jak uprzykrzyć życie Marii. Żona kocha cię ponad wszystko. Widziałam, jak płakała, wytrzymywała ból, znosiła upokorzenia, udawała, że nie słyszy kpín i drwin teściowej, tyrała jak wół, głodowała, zadrećzała się w samotności, nie skarżąc się, żeby cię nie martwić i nie zranić. Przeżywała piekło tylko po to, abys ty spokojnie żył. Dzieje się tak, ponieważ twoja matka nie potrafi Marii docenić, nie widzi, że żona naprawdę cię kocha i jest gotowa zrobić dla ciebie wszystko. Czy ty niczego nie dostrzegasz, Nasradzie? Wszystko dzieje się na twoich oczach, a ty tego nie zauważasz. - Bratowa wiedziała, że jest dla niego za ostra, choć bardzo go kochała. Była jednak pewna, że musi powiedzieć mu wszystko, aż do końca, jeśli chce go skłonić do jakiejś reakcji. Nabrała powietrza, spojrzała na swojego męża, a potem złapała Nasrada za ręce i znowu zaczęła do niego szeptać: - Zabierz ją stąd. Wywieź ją stąd jak najprędzej, zanim czyjaś zła wola i złe języki nie zniszczą waszej miłości. Uciekajcie stąd jak najszybciej.

Kiedy bratowa skończyła swoje szczere wyznanie, w którym zawarła całą prawdę, Nasrad miał wrażenie, że podczas tej rozmowy zestarzał się o dziesięć lat. Nie mógł uwierzyć w to, że jego żona musiała znosić w milczeniu upokorzenia i zniewagi. Z ciężkim sercem dowiedział się, że był ślepy. Zadrećzał się myślą, że jest złym mężem i po powrocie do Afganistanu stracił dawną wrażliwość. Zerwał się, jakby owładnięty jakąś niezwykłą siłą, podziękował bratowej i bratu za podyktowane dobrą wolą informacje i poszedł do domu, gdzie czekała na niego Maria, jak zawsze z uśmiechem na ustach i z dzieckiem w ramionach. Zauważył, że nie tylko on się gwałtownie zestarzał; dotyczyło to również jego żony. W jednej chwili podjął decyzję.

- Wyjeżdżamy do Kabulu, Mario. Już najwyższy czas, prawda? - Nasrad poczuł się szczęśliwy, widząc, jak twarz żony się rozjaśnia pod wpływem tej nowiny. - Przyjechaliliśmy prawie rok temu, a teraz trzeba sko-



rzystać z dobrej pogody, żeby wyruszyć do stolicy i spróbować załatwić to, czego nie mieliśmy czasu zrobić do tej pory.

Maria nie mogła uwierzyć w słowa męża. Od przyjazdu do domu teściów marzyła o chwili, w której oznajmi jej, że jadą do Kabulu. Była pewna, że jej los się odmieni, kiedy znajdzie się w stolicy, pójdzie do ambasady hiszpańskiej i zgłosi sprawę skradzionych dokumentów.

Przytuliła się do Nasrada, a on obsypał ją pocałunkami, starając się okazać, jak bardzo kocha ją i dziecko. Nie powiedzieli sobie ani słowa. Nie było potrzeby. Każde z nich wiedziało, że drugie jest szczęśliwe, i właśnie o to chodziło.

Tamtej nocy Nasrad poznał część prawdy o przykrościach, jakie jego matka sprawiała Marii. Doznane przez nią upokorzenia nie mogły jednak zniszczyć tego jedyne szczęśliwego momentu, w którym znów byli razem. Oboje pospiesznie zjedli kolację, bo nie mogli się doczekać chwili, kiedy pójdą na wspólny spacer albo przytulą się do siebie w łóżku. Pragnęli porozmawiać o tylu sprawach. Zamierzali zrobić plany i nie chcieli, aby ktoś obcy, a zwłaszcza teściowa, dowiedział się o tym. Ta chwila należała wyłącznie do nich i nikt nie mógł jej zniszczyć.

- Gdzie się zatrzymamy? Z czego będziemy żyli? Przecież nie mamy pieniędzy, ubrań ani dokumentów. Jak sobie poradzimy? Przecież nie jesteśmy sami. Mamy małe dziecko. - W słowach Marii było więcej ciekawości niż niepokoju. Była taka szczęśliwa, że takie słowa jak „problemy” czy „komplikacje” nie przychodziły jej na myśl.

- Nie martw się, Mario. Wszystko zaplanowałem. Mam rodzinę w Kabulu: siedmiu stryjów ze strony ojca i pięciu wujów, braci matki. Nie są co prawda bogaci, raczej przeciwnie, ale w miarę możliwości wszyscy nam pomogą. Udziela nam pomocy, a my tymczasem poszukamy ambasady hiszpańskiej i opowiemy o naszych kłopotach. Poszukamy szczęścia w Kabulu. A potem zobaczymy. Wszystko będzie dobrze. Mam takie przeczucie. Wiem, że wszystko się ułoży i już nigdy więcej nie będziemy musieli tu wracać.

Nasrad zatoczył ręką krąg, pokazując całe obejście. Tu się urodził i tu także przyszedł na świat jego syn. Rozumiał, że chociaż tu zaczęło się

jego życie, nie jest to miejsce odpowiednie ani dla niego, ani dla jego żony, ani tym bardziej dla ich dziecka.

Maria przyjrzała się uważnie chałupie, która przez ostatnie miesiące była jej domem. Nie czuła jednak do niej żadnego sentymentu. Zamknęła oczy i zapragnęła, aby już nigdy więcej nie oglądać tego miejsca. Chciała, żeby to było ostateczne pożegnanie. Tamtej nocy gorąco się o to modliła.

Jak można się było spodziewać, wiadomość o rychłym wyjeździe syna do Kabulu wcale się nie spodobała matce Nasrada.

- Co chcecie robić w Kabulu? Życie w wielkim mieście jest dużo trudniejsze niż na wsi, a nam są potrzebne ręce do pracy. Przecież to jakaś bzdura, Nasradzie. Przynajmniej ja tak myślę. Musicie zrezygnować z tej idiotycznej i niepotrzebnej wyprawy.

Maria pomyślała, że nigdy nie zapomni nieprzyjemnego tembru głosu teściowej. Poznałaby go wśród miliona innych. Nienawidziła tego tonu, jej słów, gróźb w nich zawartych, szczerze mówiąc, nie cierpiała wszystkiego, co się wiązało z tą kobietą. Nauczyła się jednak ukrywać swoje reakcje, wyciszać emocje i udawać, że nic nie słyszy.

- Musimy wyjechać, mamó. Trzeba załatwić urzędowe sprawy. To tylko parę dni. Przy okazji przywieziemy coś ze stolicy - tłumaczył Nasrad, nie przywiązując zbytnej wagi do słów matki. - Marii będzie łatwiej załatwić cokolwiek w ambasadzie hiszpańskiej osobiście, niż nie ruszając się ze wsi. Wkrótce wrócimy. Nie martw się, szybko będziemy z powrotem.

- No cóż, mam nadzieję, że to prawda. Przede wszystkim zależy mi na tym, żebyś ty wrócił i mój wnuk. - Maria, nie patrząc nawet na teściową, wiedziała, że ta, mówiąc te słowa i niby niechcący nie wspominając o synowej, patrzy na nią nienawistnym i niechętnym wzrokiem. Zawsze kie-

dy rozmowa schodziła na temat hiszpańskiej synowej, w oczach tej kobiety malowała się niechęć! Ale tym razem dziewczyna wcale się tym nie przejęła. Prawdę mówiąc, rozkoszowała się tą sceną. - Dobrze wiesz, jakie potrafią być kobiety rozpieszczone, tak jak twoja żona, Nasradzie. Kiedy napotkają przeciwności, nie potrafią sobie poradzić i porzucają wszystko. Uważaj na to, co ona robi. Pamiętaj, kto rządzi w twoim małżeństwie. Nie zapominaj, że to ty jesteś mężczyzną, a ona kobietą. Pamiętaj o tym.

Nasrad spojrział porozumiewawczo na Marię.

- Jasne, mamó. Nie przejmuj się. Zawsze o tym pamiętam. Pożegnali się z resztą rodziny i przyrzekli, że szybko będą z powrotem.

Maria nie zamierzała jednak wrócić na wieś. Modliła się, aby podczas pobytu w Kabulu zdołali załatwić wszystkie swoje sprawy. Wtedy przy odrobinie szczęścia nigdy więcej nie wróci do domu teściowej. Nikt jednak nie wiedział, czy im się uda. Nawet ona sama. Mogła tylko snuć plany i mieć nadzieję. Poprzedniej nocy Nasrad ją uprzedził:

- Mario, jedziemy do Kabulu, żebyś miała okazję poprosić o pomoc w swojej ambasadzie. Ale jeżeli nie uda nam się uzyskać jej od razu i nie będziemy mieli za co żyć, być może nie unikniemy powrotu do rodziców. Musisz o tym pamiętać. Nie chcę, żebyś się łudziła nadaremnie.

Zrozumiała to. Nie chciała jednak, żeby ktokolwiek odbierał jej prawo do marzeń.

- Pamiętaj, Mario - powiedziała Mahtab, przytulając ją na pożegnanie - przywieź mi jakąś ładną bieliznę z Kabulu, taką, jaką nosicie w Europie. Taką, jaka doprowadza mężczyzn do szału. Znasz mój rozmiar. Przywieź mi wszystko, co znajdziesz. Przyrzekasz?

Maria nigdy nie potrafiła zrozumieć fascynacji młodych Afganek bielizną damską. Na początku nawet nie udawała, że to wzmożone zainteresowanie halkami i majtkami ją bawiło i skłaniało czasami do beztraskich wybuchów śmiechu. Później zmuszono ją, aby udzielała informacji, więc z poważną miną odpowiadała na wszelkie pytania na temat różnych modeli, kolorów, kroju, fasonów i materiałów, z których produkowane były staniki, majtki, figi, stringi czy legginsy. Zmieniła się mimowolnie w praw-

dziwą ekspertkę od spraw eleganckiej damskiej bielizny, a także wysokich obcasów. To ciekawe, że mieszkając na Zachodzie, nigdy nie zwracała zbytniej uwagi na damskie fatałaszki, zwłaszcza na bieliznę czy szpilki, natomiast na Wschodzie stała się prawdziwą specjalistką w tej dziedzinie, a ten temat okazał się najważniejszy.

- Przyrzekam, Mahtab. Obiecuję.

Znowu się objęły jak dwie siostry, bo naprawdę się kochały. Przypomniały sobie wspólnie przeżyte chwile, zarówno te dobre, jak i złe. Wiedziały, że nie zapomną ich do końca życia.

- Kocham cię, Mahtab.

- Ja też cię kocham, Mario.

Kabulska przygoda Marii trwała zaledwie miesiąc. Zabrakło jej szczęścia podczas wędrówek po ulicach i zaułkach stolicy w poszukiwaniu ambasady hiszpańskiej. Wszędzie udzielano jej sprzecznych informacji. Nikt nie potrafił powiedzieć nic konkretnego ani dać jej choć krztyny nadziei, wlać w jej serce otuchy, zachęcić do dalszych prób powrotu do domu. Dwadzieścia zmarnowanych, straconych nadaremnie dni. Nic nie zyskali, natomiast stracili resztki swoich skromnych oszczędności i uszczuplili niewielkie zasoby finansowe rodziny Nasrada, która przyjęła ich pod swój dach.

W ciągu tych przepełnionych beznadzieją dni Maria miała ochotę płakać z powodu przesładującego ich pecha. Nie tylko nie znaleźli ambasady hiszpańskiej, ale wszyscy ludzie, którzy ich informowali, twierdzili, że wcale jej nie ma w Kabulu, co jeszcze bardziej pogrążyło dziewczynę w rozpacz. Na dodatek od paru dni źle się czuła. Miała mdłości i ciągle zawroty głowy. Przypisywała to kiepskie samopoczucie zmęczeniu i zniechęceniu po przeżytym zawodzie. Czuła się przybita, załamana i prawdę mówiąc, miała ku temu powody.

Po dwudziestu dniach sama zaproponowała mężowi powrót do domu teściów. Chociaż zupełnie nie miała na to ochoty, dłuższy pobyt w Kabulu bez pieniędzy i żadnego wsparcia nie miał sensu.

- Musimy stąd wyjechać, Nasradzie, albo zupełnie zwariujemy. Spróbujemy kiedy indziej. Może to nie jest właściwy moment. Posłuchaj,

przez pewien czas byliśmy z dala od twojej matki, a to właśnie było mi potrzebne. Teraz wracajmy. Mam nadzieję, że sytuacja zmieniła się trochę na lepsze.

Mąż, doceniając jej rozsądek, zgodził się z tą propozycją.

W ciągu dwóch dni wrócili na wieś. Maria nie mogła się pozbyć myśli o teściowej. Jak ją przyjmie? Czy już jej przeszła nienawiść, którą do niej czuła? Czy będzie zadowolona z ich powrotu? Wolała nie żywić zbytnich złudzeń co do zmiany charakteru matki Nasrada.

Obawy Marii sprawdziły się. Już od kilku dni dziwnie się czuła. Ciało miała wrażliwsze niż zwykle, była przeczulona i drażliwa. Spóźniał jej się okres. W jej przypadku nie był to wprawdzie symptom wskazujący na ciążę, ponieważ niedożywienie, zła woda oraz niski poziom życia sprzyjały zaburzeniom miesiączkowania i Maria zdążyła się już do nich przyzwyczaić, ale nieprawdopodobnie wzrósł jej apetyt.

Praktycznie przez całą dobę czuła wzmożone łaknienie. Nawet tuż po zjedzeniu miseczki ryżu czy grochu jej żołądek domagał się więcej. Sama była zaskoczona, kiedy po kryjomu szła do spiżarni, aby znaleźć cokolwiek, co mogłaby gryźć lub żuć, aby zaspokoić nieustanny głód. Kiedy buszowała w kuchni, nie potrafiła pozbyć się ciągłego skurczu żołądka, który był reakcją na potencjalne niebezpieczeństwo nagłego wtargnięcia teściowej. Maria bała się, że tamta może przyłapać ją na podjadaniu. Wołała sobie nawet nie wyobrażać tej sceny. Niejednej nocy śniła natomiast koszmary. Budziła się wtedy zlaną potem, dygotała, próbowała obudzić Nasrada, aż w końcu, roztrzęsiona, wyrywała go ze spokojnego snu.

Okres spóźniał się jej już siedem tygodni, co nie było normalne. Maria była w ciąży, spodziewała się drugiego dziecka. Miotły ją sprzeczne uczucia: znowu chciała być matką, pragnęła mieć więcej dzieci z Nasradem, ale nie tu. Nie umiała pogodzić się z myślą, że jej drugie dziecko także urodzi się w Afganistanie, i wołała nie wyobrażać sobie, iż znowu



odbędzie się to w tak złych warunkach higienicznych jak podczas narodzin pierworodnego syna. Właściwie czuła się szczęśliwa, ale coś ją powstrzymywało od pełnego przeżywania radości z powodu tej wspaniałej nowiny, tak jak tego pragnęła. Wiedziała, że to nie jest właściwy moment na ciążę, a wiadomość o przyjściu na świat kolejnego dziecka może przysporzyć całej trójce mnóstwo problemów. Przede wszystkim obawiała się złości teściowej, która bez wątpienia dostanie furii, kiedy się o tym dowie, ponieważ wkrótce zabraknie do pracy jednej pary rąk, których według niej ciągle było za mało.

Maria postanowiła więc przez pierwsze miesiące zachować nowinę w sekrecie. Nie chciała nikomu mówić o ciąży. Woląла się skoncentrować na snuciu planów i obmyślaniu rozwiązań, zanim wiadomość wyjdzie na jaw. Nie zwierzyła się nawet Nasradowi, ojcu swoich dzieci, mężczyźnie swego życia, bo nie chciała, aby niechcący, w przyływie szczerości powiedział o tym matce. To tylko mogłoby skomplikować sytuację.

Maria postanowiła ukrywać swoją drugą ciążę, nie mogła zatem zdradzić żadnych jej oznak. Chociaż ogarnął ją wilczy apetyt i niemal rzucała się na postawione przez teściową jedzenie, przy stole starała się jeść mniej niż zwykle. Po chwili jednak pędziła do kuchni i pochłaniała wszystko, co wpadło jej w ręce, na przykład pół surowej cebuli, choć w innym wypadku nawet by jej nie ugryzła. Nie lubiła cebuli, odstraszał ją sam jej zapach, tym bardziej surowej. Teraz bez chwili wahania rzucała się na nią z taką samą łapczywością, z jaką kiedyś wbijała zęby w jabłko. Przeżuwała z nieposkromionym apetytem każdy kęs surowej cebuli i nawet nie czuła jej ostrego smaku i drażniącej woni. Oczy jej łzawiły od nieprzyjemnego zapachu, więc tarła je dłońmi, co jeszcze bardziej pobudzało ją do łez. Mrugała rozpaczliwie powiekami, jednocześnie nie spuszczać wzroku z drzwi do kuchni, gdyż bała się, że zaraz zjawi się w nich teściowa i nakryje ją na podjadaniu.

Te potajemne wyprawy do kuchni przydarzały jej się podczas pierwszych miesięcy ciąży. Robiła to zazwyczaj głęboką nocą, kiedy dom zdawał się pogrążony w spokoju, tak upragnionym, jak tarcza ochronna przed wszelkim złem.

Podczas pierwszej ciąży Maria nie miała żadnych zachcianek. Tym razem miała je niemal bezustannie, być może pod wpływem szoku albo dlatego, że kolejne ciąży nigdy nie są do siebie podobne.

Teraz miała niepohamowaną ochotę na ser. Marzyła, czasem nawet śniła, że przeżuwa kawałek żółtego sera. Już sama wizja tego produktu pobudzała jej kubki smakowe, i to tak intensywnie, że ślinianki zmieniały się w maszynki do wydzielania śliny w niewyobrażalnych ilościach. Apetyt na ser trudno było jednak zaspokoić w rodzinnej wsi Nasrada. Po prostu go tam nie było. Maria musiała sobie radzić w inny sposób. Podczas pierwszych miesięcy ciąży zgłaszała się na ochotnika do oporzędzania krów i kóz, choć do tej pory unikała tego jak ognia. Tylko wtedy miała jednak szansę na zdobycie odrobiny mleka. Potem podgrzewała je i zbierała tłusty, gęsty kożuch z wierzchu. Pospiesznie i nerwowo wrzucała go do ust, rozglądając się bacznie na boki, czy nikt na nią nie patrzy. Tę sekretną czynność powtarzała wielokrotnie. Kiedy wreszcie jej usta rozkoszowały się smakiem śmietankowego kożucha, tej szczególnej zachcianki, przypominała sobie ojca, który robił coś podobnego, chociaż trochę inaczej. Miał mianowicie zwyczaj zbierać kożuch z wrzącego mleka, po czym rozsmarowywał go delikatnie na długiej, cienkiej kromce chleba i obficie posypywał cukrem. Wtedy ta potrawa nie wydawała się Marii czymś szczególnie kuszącym i nawet dziwiła się, że ojciec pochłania ją jak łakome dziecko. Teraz jednak zmieniła zdanie. I poczuła się jeszcze bliższa ojcu.

Musiała ciągle coś przeżuwać i podjadać. Żołądek bezustannie domagał się jedzenia. Czasami podnosiła z ziemi jakiś zgniły owoc, zeskrobywała z niego brud i natychmiast wkładała do ust. Wszystko nadawało się do jedzenia.

Niestety, nieuchronnie nadszedł dzień, kiedy nie mogła dłużej ukrywać ciąży, tym bardziej że przybrała na wadze znacznie więcej niż za pierwszym razem. Musiała więc przyznać się mężowi wcześniej, niż zamierzała. Pewnej nocy postanowiła mu się zwierzyć.

- Jestem w ciąży - oznajmiła. Nasrad, usłyszawszy wyznanie żony, popatrzył na nią ni to zmieszanym, ni to zdziwionym wzrokiem. Maria,

nie doczekawszy się od niego ani słowa odpowiedzi, mówiła dalej. Nie chciała, aby cisza stała się przytłaczająca i wzrosło jeszcze wiszące w powietrzu napięcie. - Jestem w czwartym lub piątym miesiącu. - Znowu zamilkła. - Czemu nic nie mówisz?

Bała się, że mąż niechętnie przyjmie wiadomość o jej kolejnej ciąży. Dobrze wiedziała, że nie jest to najlepszy moment. Będzie im trudno utrzymać dwoje dzieci, skomplikują się także ich dalsze plany. Drugie dziecko było już jednak w drodze. Mogli zrobić tylko jedno: postarać się przyjąć je jak najlepiej na tym świecie.

- Nie cieszysz się? Przecież chciałeś mieć więcej dzieci....

- Oczywiście, że tak, Mario. Jasne, że się cieszę. Tylko nie sądziłem, że to będzie tak szybko. - Podczas rozmowy z żoną Nasrad zerkał na boki, jakby szukał tam jakiegoś rozsądnego wytłumaczenia, które mu umykało. - Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? To dlatego tak źle spałaś, miałaś koszmary i łatwo się męczyłaś przy pracy? Czemu będąc w ciąży, tak mało jadłaś? Nie rozumiem. Przecież właściwie musiałem cię zmuszać do jedzenia.

- Nie chciałam, żeby twoja rodzina się na mnie złościła. Bałam się, że jeśli się przyznam do ciąży, wściekną się, bo przybędzie im jeszcze jedna gęba do wyżywienia. A zresztą twoja matka... - Wolą umilknąć. Nie chciała przeżywać goryczy i przygnębienia, jakie mogła w niej wywołać nowa dyskusja na temat zachowania i charakteru teściowej.

- Ależ, Mario, przecież to zawsze jest wspaniała nowina. Dobrze wiem, że to nie jest najlepszy moment. Nie ma tu odpowiednich warunków do wychowywania dzieci. Ale najważniejsze, że jest już w drodze.

Nasrad przytulił żonę i pocałował. Nie wyobrażał sobie, ile ten gest dla niej znaczył. Przez tyle miesięcy starała się zachować tajemnicę, która ją krępowała, obciążała jej sumienie. W końcu ją zdradziła i teraz w czułym uścisku męża pozbyła się całego nagromadzonego napięcia.

Gdy Nasrad ogłosił nowinę o drugiej ciąży Marii, w całej rodzinie zapanowała powszechna radość. Wszyscy jej gratulowali, cieszyli się. Ona widziała jednak minę teściowej w momencie, kiedy ta usłyszała wiadomość. Na twarzy starej kobiety pojawił się wtedy oschły, nieprzyjemny grymas, pozbawiony cienia czułości, radości czy empatii. Nie było w nim ani śladu miłości czy próby zrozumienia nowej sytuacji. Synowej nie zaskoczyła taka reakcja. Nie spodziewała się innej.

Miesiące, które pozostały jej do końca ciąży, były szczególnie ciężkie. Teściowa, zamiast ją oszczędzać, jeszcze dorzuciła jej obowiązków. Twierdziła, że dzięki temu dziecko urodzi się silniejsze i zdrowsze, a afgańskie kobiety nie przestają pracować tylko dlatego, że są ciężarne. Maria czuła się z każdym dniem coraz bardziej zmęczona. Drżały jej nogi, bolały plecy, a serce łomotało pospiesznie. W dodatku przez cały czas była głodna. Nie mogła zaspokoić łaknienia. Przeczuwała, że jej drugi poród będzie dużo bardziej skomplikowany niż pierwszy. I wcale się nie pomyliła.

Kiedy nadszedł ten dzień, była przygotowana. Starła się przynajmniej pocieszać tą myślą. Wierzyła, że doświadczenia pierwszego porodu, który też przeżyła w Afganistanie, dodadzą jej pewności siebie, bo już wie, co ją czeka. Pamiętała, że teściowa pomogła przy narodzinach jej pierwszego dziecka, tyle że stosunki między nimi były wtedy dużo lepsze. Do-

piero się poznały. Kiedy Maria przyleciała z mężem z Londynu, już była w ciąży, a rozwiązanie nastąpiło dwa miesiące przed terminem. Wtedy matka Nasrada wystąpiła w roli położnej. Miała doświadczenie, gdyż pomagała przyjść na świat większości dzieci w rodzinie.

Okoliczności towarzyszące drugiemu porodowi przerosły jednak Marię.

Akcja porodowa zaczęła się wczesnym rankiem. Ciężarna z trudem wytrzymywała ból w dole brzucha nasilający się od dwóch dni, ale nie skarżyła się, żeby nie słyszeć wrzasków teściowej, która przy każdej okazji wyzywała ją od egoistek i rozpieszczonych panna. W końcu cierpienie stało się nie do zniesienia. Chwytnąjąc rączki taczki, na której wiozła baniak z wodą, Maria poczuła ostry, przeszywający ból, jakby coś w niej pękło. Chwytnąjąc oburącz brzuch, niechcący wywracając naczynie, które z takim trudem napełniła. Spojrzała na ziemię i zobaczyła, jak woda, która miała zaspokoić potrzeby rodziny, miesza się z innym płynem wyciekającym spomiędzy jej nóg. Przestraszyła się.

To był jej drugi poród, ale w niczym nie przypominał pierwszego, jedyne, z którego mogła czerpać doświadczenie. Nawet nie była pewna, czy ma normalny przebieg. Zresztą przejmujące uczucie rozrywania nie pozwalało jej myśleć. Z trudem wydobywając głos, zawołała Mahtab, która szła przed nią, dźwigając w obu rękach baniaki z wodą.

Słyszając swoje imię, wykrzyczane nieludzkim, przeraźliwym głosem, odwróciła się przerażona. Zobaczyła swoją przyjaciółkę zgiętą wpół, niemal leżącą na ziemi i obejmującą kurczowo sterczący brzuch. Natychmiast rzuciła na ziemię baniaki i bez wahania pobiegła w jej stronę.

Pomogła jej wstać i powoli ruszyły do domu. Nie było to proste. Maria upierała się, że nie da rady zrobić ani kroku, gdyż czuje parcie. Wcale nie żartowała. Nie był to też kaprys rozpieszczonej pannicy z Europy, co zazwyczaj zarzucała jej teściowa.

W końcu łagodną perswazją Mahtab zmusiła ciężarną do marszu i powoli sunęły do głównego domu. Gdy zbliżały się do drzwi, młodsza z dziewcząt zawołała o pomoc, żeby matka Nasrada wiedziała, że jest im potrzebna. Ta stanęła w drzwiach i bez pośpiechu nakazała reszcie kobiet

zagrzać wodę, przygotować pieluchy i ścierki, a potem poleciła zaprowadzić synową do obory. Mahtab dostrzegła przerażenie przyjaciółki i zrozumiała myśli kłębiące się w jej głowie. Wytłumaczyła jej spokojnie:

- Tam rodzą wszystkie kobiety, Mario. Nie bój się. W oborze, przy zwierzętach, jest dużo cieplej, bliżej do sągów drewna i do studni. Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Oddychaj głęboko i nie martw się.

Maria miała płonną nadzieję, że kiedy wyciągnie się na ziemi, poczuje ulgę. Chociaż jej szwagierki przygotowały legowisko z siana narzuconego na rozciągnięty na żerdziach brezent, ona nie poczuła żadnej ulgi, kładąc się na tym prowizorycznym łożu. Bóle porodowe rozdzierały jej ciało. Nigdy nie wyobrażała sobie, że może cierpieć podobne męczarnie. Czowała się strasznie i bardzo tęskniła za Nasradem. Oddałaby pół życia za to, aby teraz był przy niej, dodawał jej otuchy, trzymał za rękę i szeptał na ucho czule słowa ciepłym, życzliwym głosem, który działał na nią kojąco. Niestety, to było niemożliwe. Mąż wyjechał i miał wrócić dopiero w nocy. Maria parła, płakała, krzyczała, przeklinała po hiszpańsku, żeby nikogo nie obrazić. Słuchała słów, którymi zebrane wokół kobiety próbowały ją pocieszyć i przekazać jej, co ma robić. Do uszu rodzącej doszedł wreszcie suchy, stanowczy głos teściowej, wydającej ostre polecenia: „Poczekaj, przyj, przestań, oddychaj, przyj, trochę lżej, wytrzymaj, jeszcze nie”. Maria widziała, jak okładają jej czoło, szyję i piersi wilgotnymi ręcznikami, ale nie czuła ulgi. Coś było nie tak.

Posłańcem złych wieści była oczywiście jej teściowa. Po długich, wlokących się niemilosiernie godzinach, kiedy usiłowała wyciągnąć dziecko spomiędzy nóg Marii, wytarła pot z czoła i stwierdziła bez ogródek:

- Źle jest z twoim dzieckiem. Nie wiem, co będzie.

- Co się dzieje? Co to znaczy, że źle jest z moim dzieckiem? O co chodzi? - Synowa spojrzała na nią resztę otaczających ją kobiet. Czekwała na wyjaśnienie, na słowa otuchy i nadziei. Nie doczekawszy się ich, znowu zaczęła wypytywać, tym razem głośno i stanowczo: - Powiedzcie, co to znaczy? Dlaczego źle jest z moim dzieckiem? Czy coś mu się stało?

Co się dzieje? Niech ktoś mi to wreszcie powie! - Czuła, że za chwilę wybuchnie.

- Nie unos się, Mario, uspokój się, bo zaszkodzisz dziecku - powiedziała oschle teściowa. - To poród pośladowy. I już. Muszę odwrócić płód. Chyba nie chcesz, żeby noworodek się udusił albo rozerwał cię na kawałki.

Na te słowa Maria wybuchła płaczem. Nie do końca zrozumiała usłyszane słowa, ale wiedziała, że dzieje się coś złego.

- Uspokój się i współpracuj. Bez twojej pomocy poród będzie trwał jeszcze długo i nie wiem, jak się skończy.

Nic nie rozumiała. Miała złe przeczucia. Nie wiedziała, co robić. Czuła się bezbronna, bezużyteczna, upokorzona. Była świadoma, że od paru godzin leży w tej samej pozycji, z rozrzuconymi szeroko nogami. Nie wiedziała, jak pomóc dziecku przyjść na świat i skrócić swoje cierpienia. Nagle spostrzegła, że teściowa gdzieś odchodzi. Za chwilę wróciła, dźwigając wielki głaz, który położyła na wielkim, ociekającym potem brzuchu rodzącej.

Maria była przekonana, że stara chce ją zabić. Nie znajdowała innego wytłumaczenia na to, co widziała. Jej mózg przestał funkcjonować logicznie.

- Sprawię ci ból - usłyszała. - Ale to jedyny sposób, aby nacisnąć brzuch. Wtedy twoje dziecko się przekręci i przyjdzie na świat żywe. Musisz wytrzymać. - Teściowa mówiła tak pewnym głosem, że prawie zdołała ją uspokoić. Ale nie do końca. - Wytrzymaj i krzycz, ile chcesz. To ci pomoże - padły krótkie polecenia.

Przedstawiona jej wizja raczej nie przemawiała do wyobraźni Marii. Naciskanie i ugniatanie brzucha kojarzyło jej się z jakimś horrorem, niemal dantejską sceną, zupełnie oderwaną od rzeczywistości i obcą jej pojmowaniu świata. Nie mogła wręcz uwierzyć, że to się jej przydarza. Ocknęła się, słysząc wrzaski starej kobiety:

- Przyj, Mario! Musisz przeć! Mocniej, kobieto, z całej siły, bo dziecko nie może wyjść. Czy ty nawet przeć nie potrafisz?! - donośny krzyk teściowej dudnił jej w głowie, rozsadzał czaszkę. - Przyj z całej siły! Jeszcze mocniej! O tak!

Pomimo wysiłków położnicy dziecko nie chciało przyjść na świat.

Matka Nasrada się poderwała. Tym razem odeszła na dłużej i wróciła z wielkim, ostrym nożem w dłoni. Maria wpatrywała się w nią oczami rozszerzonymi grozą, z podobnym przerażeniem jak wcześniej, kiedy stara wróciła, dźwigając w ręku wielki kamień.

- Muszę cię naciąć, Mario. Twoje dziecko nie chce przyjść na świat. Trzeba mu trochę pomóc. Wdychaj powietrze głęboko, a potem powoli je wypuszczaj. Zobaczysz, nawet tego nie poczujesz.

Miała wrażenie, że teściowa rozkoszuje się tą chwilą, ale prawdę mówiąc, wcale się tym nie przejmowała. Pragnęła tylko i modliła się żarliwie o to, żeby jej dziecko przyszło na świat całe i zdrowe, bez żadnej wady. Z trudnością wydusiła z siebie słowa, że jeśli mają wybierać między jej życiem a życiem dziecka, niech wybiorą maleństwo.

- To sami wiemy, Mario. A teraz oddychaj spokojnie.

Nawet nie zabołały jej słowa teściowej. Niczego innego się nie spodziewała.

Podczas wlokącego się niemiłosiernie porodu kilkakrotnie traciła przytomność, co jeszcze bardziej komplikowało całą akcję. W końcu, po wielu godzinach, drugie dziecko Marii przyszło na świat. Dziewczynka ważyła ponad pięć kilo. Położnica była wykończona psychicznie i fizycznie. Nie mogłaby znieść więcej cierpienia. Parę razy w ciągu ostatnich godzin miała wrażenie, że umiera. Nawet nie spytała, jak długo trwał poród, ale zauważyła, że na dworze zapadł już zmrok, a pierwsze bóle zaczęła odczuwać wcześniej rano.

Drugi poród był znacznie trudniejszy niż pierwszy. Maria nie znalazła w sobie dość siły, żeby pogłaskać i przytulić do siebie dziecko, tak jak pierworodnego syna.

Kobiety zajęły się dziewczynką. Obmyły ją z resztek krwi pokrywającej jej drobne ciało. Zawinęły w świeżą pieluszkę. Położnica poczuła, że ktoś nakłada na ranę tę samąziółowapastę, jaką smarowali jąprzy pierwszym porodzie. To była ostatnia rzecz, jaką pamiętała. Śmiertelne zmęczenie, ból i smutek, że Nasrada nie było przy niej podczas tych trudnych chwil, sprawiły, że zapadła w głęboki sen. Spała przez wiele godzin.



Długo dochodziła do siebie po drugim porodzie. Rana ciągle krwawiła, nie chciała się zabiżnić tak szybko jak poprzednim razem. Maria miała wciąż wrażenie, jakby sączyły się z niej jakieś płyny i inne dziwne substancje. Czuła się obolała i poraniona. Działo się z nią coś złego. Połóg w niczym nie przypominał pierwszego, po którym błyskawicznie odzyskała siły. Była zaniepokojona.

Teściowa wcale nie była skora do pomocy, wręcz przeciwnie. Następnego dnia po porodzie kazała jej zwlec się z łóżka i zabrać do pracy.

- W domu jest mnóstwo obowiązków. Mężczyźni wyjechali i brakuje rąk do pracy - oświadczyła sucho. - Urodziłam dwanaścioro dzieci i zawsze następnego dnia po ich przyjściu na świat zabierałam się do roboty. Nie mogłam sobie pozwolić na luksus próżnowania. Nie byłam taka delikatniutka jak inne. - Spojrzała z przyganą synową.

Maria nie mogła wprost uwierzyć, że ta kobieta mówi poważnie. Nie minęła nawet doba od ciężkiego porodu. Czuła się koszmarnie, rana krwawiła, coś się z niej sączyło, a teściowa chciała ją zmusić do zamiatania, zmywania, chodzenia po wodę, prania i gotowania. Nigdy nie sądziła, że tyle podłości i zła może się mieścić w jednym człowieku. Nie było jednak innego wyjścia, musiała się z tym pogodzić. Miała wrażenie, że oszaleje.

Zwlekła się z łóżka i zabrała do wykonywania codziennych obowiązków domowych. Pozostałe kobiety, które również nie potrafiły pojąć de-

cyzji matki Nasrada, próbowały jej pomóc. Dźwigały za nią ciężary, wyręczały ją, pozostawiając dla niej tylko takie czynności, które mogła wykonywać na siedząco.

Maria nie rozumiała, dlaczego po tak trudnym i skomplikowanym porodzie musiała zerwać się do pracy, podczas gdy jedna z jej szwagierek, która parę miesięcy wcześniej urodziła córeczkę, za przyzwoleniem teściowej wylegiwała się ponad miesiąc. „Przecież to jasne. Ta kobieta mnie nienawidzi - myślała. - Uwzięła się na mnie. Cóż ja jej w końcu takiego zrobiłam? Zakochałam się tylko w jej synu i kocham go ponad życie. Żyję i oddycham wyłącznie dla niego”.

Czuła się bezradna i bezsilna wobec okrucieństwa starej kobiety. Oprócz tego bardzo cierpiała, ból przeszywał jej ciało. Martwiła się, że rana się jeszcze nie zabiłżniła. Nie przestała krwawić, i to obficie. Szczerze mówiąc, życzyła śmierci... albo sobie, albo teściowej. Pragnęła, aby ktoś wreszcie położył kres tej niehumanitarnej i niegodziwej sytuacji.

Niestety jedyny człowiek, który mógł to zrobić - jej mąż - wyjechał ciężarówką razem z bratem do pobliskiego miasteczka wczesnym rankiem w dniu porodu. Nie miała okazji nic mu powiedzieć. A nawet gdyby miała, nie poskarżyłaby się, bo nie chciała przysparzać mu zmartwień.

Minęły trzy dni. Marię dziwiło, że mąż jeszcze nie wrócił do domu. Bała się, że coś mu się stało, a brak komunikacji telefonicznej między wioskami sprawiał, że nie miała od niego żadnej wiadomości. Dopiero po dwóch tygodniach, które upływały jej na ciągłym lęku, rozpaczach i szlochach - co doprowadziło ją niemal do odwodnienia - ktoś z sąsiadów wpadł z wiadomością, że Nasrad z bratem zostali praktycznie odcięci od świata w sąsiedniej miejscowości przez silną zamieć i zaspę śnieżną.

Ta wieść tylko na krótko uspokoiła Marię. Bardzo tęskniła za mężem. Nigdy nie rozstawała się z nim na tak długo. Rozłąka doprowadzała ją do rozpaczach. W dodatku była w okropnym stanie. Rana ciągle krwawiła, nie mogła się zabiłżnić, a teściowa postępowała wobec niej coraz bardziej bezwzględnie.

Kolejnym jej krokiem było odebranie matce noworodka. Nie pytając nawet nikogo o zdanie, postanowiła, że Nuria, bo tak nazwali małą, bę-

dzie razem ze swoją babką. Twierdziła, że robi to dlatego, aby synowa mogła lepiej pracować, z większym zaangażowaniem poświęcić się obowiązkom domowym, które ostatnio, jej zdaniem, bardzo zaniedbała, a dziecko będzie widywała tylko w porach karmienia.

Nie pozwoliła jej nawet sypiać z małą, dlatego Maria nigdy się nie dowiedziała, jakim przeżyciem jest opiekowanie się nowo narodzoną córeczką.

Nocami rozpaczała i szlochała. Sama, bez męża, na głuchej afgańskiej wsi, bez swojego maleństwa, kątem u teściowej, która postawiła sobie za cel uprzykrzyć jej życie.

Pracowała całymimi dniami. Zrywała się bladym świtem i po skromnym śniadaniu doprowadzała dom do ładu. Składała pościel, rozpaliała ogień, chodziła po wodę do studni i z mozołem ciągnęła wózek z dziesięcio- i dwudziestolitrowymi baniakami. Każda wyprawa po wodę trwała prawie półtorej godziny. Potem grzała wielkie gary z wodą, szykowała śniadanie, wyrabiała ciasto na chleb, parzyła herbatę. Następnie zabierała się do prania ubrań wszystkich domowników. Około południa robiła sobie krótką przerwę na posiłek i znowu wracała do pracy. Kolejny raz wyruszała po wodę i zmywała naczynia. Później szła do obory i stajni, żeby oporządzić i nakarmić bydło. Doiła krowy, sypała proso kurom i sprawdzała, jak się niosą. Całe popołudnie spędzała wśród owiec, kóz i królików. A kiedy jej znużone ciało domagało się wypoczynku, musiała znowu iść po wodę, żeby przygotować kolację i zaparzyć herbatę. O dziesiątej wieczorem była wykończona, zła i podenerwowana. Czasami w ciągu dnia nie znajdowała ani jednej wolnej chwili, żeby doprowadzić się do ładu - umyć, uczesać - czy choćby trochę odpocząć. Rzadkie i krótkie momenty, kiedy teściowa przynosiła jej córkę do karmienia, były dla niej jedyną nagrodą i pociechą. Ale to trwało zaledwie parę minut. Później stara znowu wyrывała małą z jej ramion, Maria zaś pogrążała się w jeszcze większej rozpacz i depresji, z której nie potrafiła się wydobyć.

Rana w dalszym ciągu nie chciała się zabiżnić. Nawet po upływie dziewięciu miesięcy od porodu młoda matka dalej krwawiła, i to tak obficie, iż czasem myślała, że to miesiączka. Wytężony wysiłek wkładany

codziennie w wykonanie obowiązków domowych, niedostateczne pożywienie i duża ilość krwi, jaką traciła, sprawiały, że czuła się coraz bardziej osłabiona. Do skrajnego wyczerpania dochodziły jeszcze rozpacz i ból, wywołane rozstaniem z córką. Prześladowały ją myśli, że z małą Nurią będzie tak samo, jak stało się z nią w dzieciństwie. Jej matka umarła, gdy Maria skończyła zaledwie dwa lata, a ojciec, nie radząc sobie z małym dzieckiem, oddał ją na wychowanie do sierocińca, a potem do swoich rodziców. Długo z nimi mieszkała, aż pewnego dnia ojciec usłyszał, jak córeczka mówi do dziadka „tato”. Opowiadał potem, że poczuł wtedy zarówno ból, jak i gniew, dlatego natychmiast postanowił zabrać małą od dziadków.

Maria nie mogła znieść myśli, że jej malutka Nuria będzie nazywała mamą tę okropną kobietę, która fatalnym zrzędzeniem losu była jej teściową. Już samo przypuszczenie, że może się to zdarzyć, doprowadzało ją do szału.

Dreńczył ją ból. Brak wypoczynku i snu nie sprzyjał odzyskaniu sił. Z apatii, w jakiej tkwiła, mógł ją wyrwać tylko Nasrad, który nadal nie dawał znaków życia.

Któregoś dnia Maria zwierzyła się ze swoich kłopotów ze zdrowiem szwagierce, żonie brata Nasrada, który był lekarzem. Kobieta nauczyła się od męża pewnych pojęć medycznych i postępowania w chorobach, dzięki czemu pomagała w potrzebie kobietom z rodziny - nie było bowiem takiej możliwości, aby zbadał je lekarz mężczyzna.

Maria powiedziała jej, że od porodu cały czas krwawi i trudno jej to już wytrzymać. Podczas badania szwagierka nie mogła wręcz uwierzyć w to, co widzi. Rana ciągle jeszcze była niezagojona i wszystkie symptomy świadczyły o tym, że proces zapalny zaatakował organy płciowe. Stało się to prawdopodobnie z powodu braku właściwej opieki lekarskiej, niedostatecznej higieny oraz wielu innych przyczyn, których nie chciała wymieniać szczegółowo, widząc zrozpaczoną minę młodej kobiety.

- Mario, najpierw będę musiała zszyć ranę, a potem wyleczę stan zapalny. Inaczej wykrwawisz się i umrzesz z powodu infekcji.

Maria nie rozumiała przyczyn wyraźnie widocznego niepokoju na twarzy szwagierki i poprosiła ją o wyjaśnienie.

- Chodzi o to, że nie mam znieczulenia. Będę musiała cię zszyć na żyw-

ca, bez środków przeciwbólowych, a to będzie bardzo bolało. Ale to jedyne wyjście. Musisz mi zaufać. Rana nie wygląda dobrze. Trzeba ją zszyć.

Chora odetchnęła głęboko i zgodnie z poleceniem kuzynki położyła się na łóżku. Czuła wyraźnie każde ukłucie igłą, każdy szew zakładany w najwrażliwszej części jej ciała. Dokładnie wiedziała, kiedy igła je przebija. Potem nitka przyciągała i łączyła dwa brzegi rany, niemogącej się dotąd zrosnąć, wywołującej krwawienia, trwające od miesiący, od dnia porodu. Męczyła się. Cierpiała okropnie. Z oczu trysnęły jej łzy, ale nie wydobyła z siebie ani jednego jęku czy okrzyku bólu. Bała się, że usłyszy ją teściowa i wpadnie z obelgami, że obie kobiety przerwały domową pracę. Gdy szwagierka skończyła zszywać ranę, Maria się poderwała. Nie mogła jednak utrzymać się na nogach. Miała zawroty głowy i oblał ją zimny pot. Nie miała wyboru, musiała wrócić do łóżka i pogodzić się ze swoim stanem. Kiedy znowu otworzyła oczy, uświadomiła sobie, że straciła przytomność. Ta zaimprovizowana operacja, przeprowadzona bez przygotowania i znieczulenia, sprawiła, że Maria zapadła w śpiączkę, prawdopodobnie spowodowaną wysoką gorączką.

- Ile godzin minęło? - spytała zaniepokojona. - Długo już tu leżę?

- Parę godzin. Z bólu prawdopodobnie straciłaś przytomność. Ale nie przejmuj się, zagadałam teściową i nie będzie cię dręczyć. Myśli, że po-szłaś po wodę, choć to Mahtab i reszta kobiet postanowiły cię wyręczyć, żeby stara niczego nie zauważyła. Leż spokojnie. Najgorsze minęło. Teraz musisz dojść do siebie. Zobaczysz, że od tej pory przestaniesz krwawić.

Maria, zanim wstała i wyszła z pokoju szwagierki, wypila kilka łyków ciepłej herbaty. Szczęśliwym trafem lekarz z żoną mieszkali w drugim domu i teściowa o niczym się nie dowiedziała. Dziewczyna powoli sunęła do wyjścia. Kiedy znalazła się na dworze, z ulgą poczuła powiew świeżego, chłodnego powietrza. Pomyślała wtedy o Nasradzie: „Gdzie jesteś? Kiedy wrócisz? Chyba oszaleję bez ciebie. Dłużej nie wytrzymam. Musisz wrócić”.

Długo stała na progu domu, zamyślona, ze spojrzeniem utkwionym w dal. Nawet nie zauważyła, że z okna sąsiedniego domu patrzy na nią

oskarżającym i nienawistnym wzrokiem matka jej męża. Kiedy Maria sobie to uświadomiła, nie spojrzała nawet w kierunku teściowej, co pewnie jeszcze bardziej ją rozjuszyło, gdyż szczerze nienawidziła swojej synowej. Jej było już jednak wszystko jedno.

Wolnym krokiem poszła do domu. Dosyć się nacierpiała przez starą. Teraz chciała wyjaśnić sprawy do końca. Weszła do chaty i udała się prosto do jej pokoju.

- Gdzie jest moja córka? - zapytała stanowczo.

- Bezpieczna i zdrowa. Nie martw się o nią. Ja się nią najlepiej potrafię zająć. Ty masz za dużo pracy. Masz ją tylko karmić - odpowiedziała oschle teściowa.

Maria wzięła dziecko na ręce. Codziennie dostrzegała, jak Nuria się zmienia, staje się coraz bardziej obca. Z bólem zauważała, jak szybko rośnie, jak się rozwija, i brak jej troskliwej opieki matki i czułych objęć. Podjęła decyzję. Tak dłużej być nie może. Kiedy skończyła karmić dziecko, podeszła do teściowej z takim spojrzeniem i wyrazem twarzy, że ta zwykle niewzruszona kobieta cofnęła się kilka kroków.

- Jutro zabiorę ci moją córkę. Od tej pory będzie ze mną, tak jak należy. I lepiej się nie sprzeciwiaj.

Idąc do drzwi, zauważyła, że całą tę scenę bacznie obserwuje jej teść. Zatrzymała się na chwilę i spojrzała na niego. Przez moment wpatrywali się w siebie w milczeniu i wtedy ten starszy, sterany trudami życia mężczyzna, który zawsze dobrze ją traktował, a nawet obdarowywał czasem jakimś cukierkiem, kiedy jego żona tego nie widziała, skinął z aprobatą głową, jakby uważał za słuszne słowa, które przed chwilą padły z jej ust. Poczuli się podniesiona na duchu. To nieme przyzwolenie teścia dodało jej odwagi i wiary w siebie. Wyszła na dwór jeszcze bardziej przekonana o swojej racji. Jeszcze nie wiedziała, jak to zrobić, ale była gotowa za wszelką cenę skończyć z tą absurdalną i bezsensowną sytuacją rozdzielania jej z dzieckiem w pierwszych miesiącach życia maleństwa.

Następnego dnia Maria obudziła się opanowana jedną myślą. Musi odzyskać córkę, zabrać ją i nie rozstawać się z nią nawet na chwilę. Złożyła materac i koc, pod którym co noc bezskutecznie próbowała chronić się

przed zimmem, i nagle zauważyła, że w drzwiach staje ktoś, za kim tęskniła i o kim marzyła od przeszło pół roku. Tak długo nie było Nasrada.

Zastygła jak sparaliżowana, wpatrzona w męża. Nie mogła się ruszyć w obawie, że to tylko sen, przywidzenie lub halucynacja.

- Chyba się wcale nie cieszysz na mój widok, Mario.

Nie czekał na odpowiedź, lecz podszedł do niej i przytulił. Dopiero obejmując żonę, stwierdził, że schudła, zmizerniała, stała się wiotka i krucha. A przecież przed jego wyjazdem była silna i pulchna.

Spostrzegł, że jego ukochana bardzo źle wygląda. Błada, z wielkimi sinymi cieniami pod oczami, sprawiała wrażenie, jakby czas płynął dla niej szybciej niż dla niego. Nie potrafił odnaleźć znajomego błysku w oczach Marii. Nawet jej uśmiech nie był już taki sam. W niczym nie przypominała kobiety, którą zostawił pół roku temu, kiedy widział ją po raz ostatni.

Skończywszy się jej przypatrywać, Nasrad rozejrzał się wkoło. Nagle zmienił się na twarzy.

- A mała? Gdzie jest nasza córka?

- Lepiej spytaj o to matkę. Powie ci, co z nią robiła, kiedy wyjechałeś z domu.

Nie wytrzymała napięcia i wybuchnęła płaczem. Mąż nie wiedział, co o tym myśleć ani tym bardziej co robić. Nie spodziewał się takiego powitania. Zbyt wielu spraw nie potrafił zrozumieć, nie chciał też czekać dłużej na wyjaśnienia. Maria musiała mu opowiedzieć, co się stało. Jak zwykle ominęła najbardziej drastyczne i nieprzyjemne szczegóły.

Dowiedziawszy się o piekle, jakie matka zgotowała jego żonie, Nasrad pobiegł wprost do niej. Radość na jej twarzy na widok syna, który po wielu miesiącach wrócił cały i zdrowy, prędko zmieniła się w wyraz niepokoju i powagi, kiedy dostrzegła, jak bardzo jest wzburzony.

- Dlaczego zabrałaś naszą córkę? Czemu rozdzieliłaś ją z matką? Czy ty do reszty oszalałaś, mamó? Co się z tobą dzieje?

Maria za żadne skarby świata nie chciała stracić tej sceny, dlatego podczas kłótni trzymała się jak cień Nasrada. Teściowa zaklinała się i przysięgała, że trzymała u siebie małą kosztem wielkiego zmęczenia i wysiłku, co zresztą zrujnowało jej zdrowie. Cynicznie twierdziła w



obecności zdziwionej i roztrzęsionej Marii, że ta długo chorowała i nie tylko była niezdatna zająć się dzieckiem, ale także nie robiła nic w domu. Opowiadała, niemal lejąc krokodyle łzy, że zamiast podziękować jej za to wszystko, co zrobiła dla niej i jej dziecka, synowa była dla niej niegrzeczna i niewdzięczna, a na dodatek zachowywała się jak rozpieszczona, rozkapryszona pannica z miasta.

Takich kłamstw oskarżana niesłusznie kobieta nie mogła tolerować. Wyszła z cienia, w jakim miała się kryć, odkąd zamieszkała w tym kraju, i odważnie stanęła naprzeciwko teściowej. Nasrad, widząc zdeterminowaną minę żony i jej zdecydowanie, przestraszył się, że Maria w ataku szału zabije jego matkę.

- Kłamiesz! Zawsze łągałaś jak z nut! Kłamiesz, bo nic innego nie potrafisz. Uprzykrzałaś mi życie, odkąd przyjechałam do tego przeklętego domu. Nie doceniałaś, że starałam się pracować więcej od reszty, że do szaleństwa kocham twojego syna i dlatego nie chciałam się z tobą kłócić ani na ciebie skarżyć. Za wszelką cenę chciałaś, żebym cierpiała, im bardziej, tym lepiej. Nic cię nie obchodziło, że nie miałam nawet siły zwlec się z łóżka tuż po urodzeniu dziecka i błagałam, żebyś nie zmuszała mnie do pracy, kiedy nie minęła nawet doba od ciężkiego porodu. Nie obchodziło cię to. Cieszyłaś się nawet, kiedy widziałas, jak się wykrwawiam, jak mdleję. Musiałam czołgać się po podłodze, żeby podołać obowiązkom domowym. Nie dawałaś mi jeść, odebrałaś mi dziecko, i to wcale nie dlatego, że tak bardzo pragnęłaś się opiekować swoją wnuczką, ale po to, aby sprawić mi ból. Jesteś najgorszym potworem na świecie. Będziesz się smażyć w piekle.

Nasrad nie mógł uwierzyć w lawinę oskarżeń i grad wyzwisk, które wyrzucała z siebie żona. Nigdy jej takiej nie widział. Zdarzyło się to pierwszy raz. Przez moment pomyślał, że Marię opanował jakiś demon. Kiedy wreszcie doszedł do siebie i mógł zareagować, jego żonę dzieliło od matki zaledwie kilka centymetrów. Podeszedł, chwycił ją za ramiona i delikatnie odsunął od teściowej, która próbowała się bronić przed zarzutami. Nie pozwolił jej jednak na to.

- Lepiej milcz, mamó - przerwał jej. - Wyrządziłaś nam już wystarczająco dużo zła. Nie chcę więcej słyszeć ani jednego słowa, tym bardziej

przeciwko mojej żonie. Rozumiesz, matko? Czy dobrze mnie zrozumiałaś, kobieto?

Maria pomyślała, że opłacało się znosić męczarnie tylko po to, żeby zobaczyć twarz teściowej w owej chwili. Czuła, że wreszcie wojna została zakończona, i to ona wyszła z niej zwycięsko. Wiedziała, że wraca do domu z tarczą. Nagrodą było odzyskanie córki i powrót męża.

Kiedy wreszcie zostali sami, przytuliła się do Nasrada. Godzinami trwali w objęciach, a przynajmniej tak jej się zdawało.

W końcu odsunął ją od siebie, popatrzył na nią i wyszeptał:

- Jedziemy do Kabulu, Mario. Wyjeżdżamy stąd. Nie pozwolę, żebyś dłużej znosiła upokorzenia z mojego powodu. Dosyć. Zabieramy dzieci i zaczynamy nowe życie.

Wiele razy słyszała podobne słowa od męża. Nie chciała jednak, żeby cokolwiek zepsuło jej tę chwilę, jakakolwiek zła myśl pozbawiła złudzeń. Uśmiechnęła się zatem i pomyślała: „Być może tym razem to prawda. Teraz musi się nam udać”.

Dzień w dzień omawiali plany wyjazdu. Zastanawiali się, pod jakim pretekstem opuścić dom, żeby nie wywołać lawiny protestów ze strony rodziny, a zwłaszcza matki. Rozważali, jak się urządzić w stolicy, przypominali sobie imiona krewnych, którzy mogliby pomóc, zastanawiali się, do których drzwi powinni zapukać i kto im z pewnością je przed nimi otworzy. Najmniej uwagi poświęcali - w obawie, że ktoś ich podsłucha, i mając jeszcze w pamięci zakończoną niepowodzeniem wyprawę do Kabulu sprzed kilku miesięcy - sprawom urzędowym, jakie powinni załatwić w ambasadzie. Podczas poprzedniego, pospiesznego i źle zorganizowanego, wyjazdu nie udało im się nic uzyskać. Uświadomili sobie tylko, w jak trudnej są sytuacji i jak ciężko będzie im zdobyć nowe dokumenty tożsamości. To właśnie najbardziej martwiło Marię. Odkąd znalazła się w Afganistanie i skradziono jej paszport, wiedziała, że ambasada hiszpańska jest jej jedyną szansą. Ufała jej pracownikom i wierzyła, że pomogą jej wydostać się wraz z rodziną z ojczyzny Nasrada. Niestety, po ostatnim pobycie w stolicy nie miała już żadnych złudzeń. Wiedziała, że to nie będzie proste.

Nie zamierzała jednak poddawać się tak łatwo. Jeszcze nie tym razem. Nocami, kiedy przymykała oczy, tuż przed zaśnięciem obmyślała, jakie muszą podjąć kroki i co zrobić, żeby jak najszybciej wrócić do domu.

Odkąd postanowili wyjechać do Kabulu, Maria spędzała bezsenne noce. Trudno jej było zasnąć, a w końcu, kiedy jej się to udawało, nie potrafiła się odprężyć. Po raz kolejny miała napięte nerwy. Po raz kolejny snuła plany. Po raz kolejny karmiła się złudzeniami.

Znowu była bliska spełnienia marzeń. Nie mogła, a przede wszystkim nie chciała z nich zrezygnować. Przysięgła sobie, że tym razem wszystko musi się udać.

Tamtej nocy Maria nie mogła spać. Nie pierwszy raz. Od paru dni nasłuchiwała odgłosu dalekich strzałów, świadczących o wzmożonych w ostatnim czasie działaniach wojennych. A przynajmniej tak jej mówiono. Potem spała aż do południa, budząc się przy każdym głośniejszym wybuchu bomb i znowu zapadając w sen przy odgłosie głuchych i coraz bliższych detonacji. Może to straszne i okrutne, ale wolała wyobrażać sobie cudze nieszczęścia spowodowane bombardowaniem, niż ciągle zadrećcać się własną sytuacją, a przede wszystkim okropnym położeniem swoich dzieci. W jej głowie powstawały dramatyczne wizje. Wyobrażała sobie, jak bomby, których daleki odgłos eksplozji jeszcze dudnił w bębenkach jej uszu, niszczą domy i mieszkania, gdzie żyją ludzie tacy sami jak oni. Oczami wyobraźni widziała ojca z niemowlęciem na rękach biegnącego wśród ruin i zgłiszczy, i na próżno błagającego o pomoc, ponieważ wszyscy wokół przeżywali taki sam, a może jeszcze większy, dramat. Potem nasunął jej się kolejny obraz: rozpaczająca matka, klęcząca przed poranionymi zwłokami czternastoletniej córki, szlochająca, wyjąca w rozpacz, całująca i przytulająca skrwawione, podziurawione kulami karabinu maszynowego ciało, i krzycząca coś niezrozumiałego. Słów można się było tylko domyślać. Ból, śmierć, krew, rozpacz, cierpienie, rozdzielone rodziny, trupy dzieci, okaleczeni ojcowie, oszalałe matki, zdruzgotane życia... I wszystko to działo się w odległości zaledwie paru

kilometrów od miejsca, w którym Maria spokojnie spała wraz z mężem, dziećmi, teściami, szwagrami, szwagierkami i ich potomstwem...

Wydawało się jej, że odgłosy wojny i zniszczeń nie są już tak odległe jak poprzednich nocy. Słyszając kolejny wybuch, poderwała się. Zrzuciła koc, rozejrzała się po ciemnym pokoju i próbowała znaleźć jakieś wyjaśnienie tego, że detonacje słysząc coraz bliżej. Spojrzała na Nasrada, który dalej spał, i nie mogła się powstrzymać od lekkiego uśmiechu wywołanego czułością. Popatrzyła na teściów, którzy leżeli parę metrów dalej. Oni także sprawiali wrażenie, jakby niczego nie słyszeli. Maria wstała, żeby sprawdzić, czy dzieci się nie obudziły. Nieświadoma niczego córeczka Nuria spała z uśmiechem na ustach. Abdullah natomiast leżał z szeroko otwartymi, czarnymi jak węgiel oczami, takimi jakie miał jego ojciec. Przymykał powieki i zaraz je otwierał, wtedy jego oczy ogromniały. Przestraszyła się, widząc, że chłopiec patrzy na nią z przerażeniem. Była pewna, że jeszcze śpi.

- Abdullah, dlaczego nie śpisz? - spytała.

- Nie wiem - odpowiedział chłopczyk.

- Zamknij oczy i spróbuj zasnąć. Jest jeszcze noc - przekonywała go matka, otulając kocem i całując na dobranoc.

- A ty dlaczego nie śpisz, mamó?

Popatrzyła na syna. Pomyślała, że chciałaby, aby jej trzyletni syn był starszy, miał dwadzieścia lub trzydzieści lat. Wtedy mogłaby mu wyznać, że nie może spać, bo się boi, że słyszała odgłosy bombardowania zbyt blisko domu i teraz paniczny strach nie pozwala jej zamknąć oczu.

- Nie wiem, Abdullahu. Ja też tego nie rozumiem - skłamała. - A teraz oboje spróbujmy zasnąć. Chodź, skarbie. Ukołyszę cię do snu.

Otuliła go starannie kocem i pogłaskała czule po głowie. Wstała z podłogi i wróciła do pokoju, w którym spał jej mąż. Chciała jeszcze sprawdzić, czy któraś ze szwagierek czegoś nie słyszała, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. „Pewnie to tylko urojenia, bo ciągle jestem roztrzęsiona i bezustannie wyobrażam sobie straszne rzeczy. Oszaleję, jeśli nadal będę tak reagować. A najgorsze, że bez powodu mogę wystraszyć innych” - pomyślała, kładąc się obok spokojnie śpiącego męża.

Nie zdążyła jeszcze przyłożyć głowy do poduszki, kiedy mocny i głuchy odgłos wstrząsnął czterema ścianami domu. Tym razem usłyszeli go wszyscy i zerwali się na równe nogi.

Po donośnej detonacji w całym domu zapanowała cisza, trwająca przez kilka niemiłosiernie wlokących się sekund. Wszyscy patrzyli na siebie przerażeni, sparaliżowani, szeroko otwierając ze zdziwienia usta, wstrzymując oddech i nie odzywając się ani słowem. W ich oczach malowały się strach i niepewność.

Wydawało się, że żaden dźwięk nie zmaćci tej przeraźliwej ciszy. Nagle rozległ się rozdzierający płacz Nurii. Cisza została przełamana. W ciągu zaledwie ułamka sekundy dom jakby zmienił się w szpital wariatów: wszyscy przytulali się do siebie nawzajem, mówili jednocześnie, krzyczeli, miotali się wśród czterech ścian, popychani obawą i paniką. Szamotali się, jakby sam diabeł ich opętał. Drżące i roztrzęsione dzieci zanosily się od płaczu, przyciskając drobne piąstki do uszu, jakby nie chciały już nigdy więcej usłyszeć huku i wiedziały lepiej od dorosłych, że te dźwięki to rodzaj tunelu, przez który zagrożenie, strach i śmierć wciskają się natrętnie do ich pozornie bezpiecznego świata. Kobiety nakłaniały mężczyzn, aby podeszli do drzwi lub okien i sprawdzili, co się dzieje na zewnątrz.

One same pocieszały się wzajemnie i uspokajały dzieci. Maria milczała. Miała wrażenie, że ma sklezione usta, że została pozbawiona zdolności mówienia i wyzbyta z myśli, tak jak powinna się zachowywać afgańska kobieta zgodnie z prawami islamu. Tuląc do piersi obydwójce dzieci, patrzyła, nie mrugnawszy okiem, na bratanicę Nasrada, która zachowywała się tak samo: zapadła w głębokie milczenie. Głuche i przerażające. Maria kochała tę dziesiętnastolatkę jak własne dziecko albo młodszą siostrę. Dziewczyna przypominała ją samą. Miały takie same marzenia, złudzenia, dręczyły je te same niepokoje i myśli, dzieliły swoje poglądy i snuły wielkie plany. Obie nie lubiły wyznaczania granic, a w ich projektach na przyszłość nie istniały takie pojęcia jak strach, zakazy, nakazy, narzucone prawa. A przede wszystkim obydwie chciały wydostać się z Afganistanu. Młoda Afganka pragnęła uciec z tego miejsca, wyrwać się z tradycyjnej

społeczności, podróżować po świecie, uczyć się, studiować, pracować, zarabiać pieniądze, włóczyć się po sklepach, chodzić do kina i wyjść na kolację z przyjaciółmi, stworzyć prawdziwą rodzinę... Po prostu żyć swobodnie i cieszyć się życiem. Uwielbiała słuchać opowieści o tym, jak jest w Europie, jakie są demokratyczne prawa. Chciała należeć do wolnego świata, o którym tyle słyszała od starszej kuzynki. Maria próbowała teraz dodać jej wzrokiem otuchy i odwagi. Miała nadzieję, że jej się udało.

Kiedy Nasrad i pozostali mężczyźni wrócili do domu, natychmiast kazali kobietom spakować niezbędne rzeczy i jak najszybciej uciekać w bezpieczne miejsce.

- Co się dzieje? Co tam się stało? Widziałeś coś? - pytała Maria męża niemal błagalnym głosem.

- Pakuj się. Schowamy się do ziemianki. Tam będziemy bezpieczni. To nasz jedyny ratunek.

- Ratunek przed czym? - wypytywała z wyraźnie wyczuwalną prośbą w głosie, nie wypuszczając z ramion dzieci.

- Front jest coraz bliżej. Krążą już nad nami samoloty i pewnie zaraz zaczną się bombardowanie. Chyba zamierzają zburzyć wioskę, a nas pozabijać. Mario, musimy uciekać. - Nasrad nie miał czasu na udzielanie dłuższych wyjaśnień. - Uciekamy. Pomogę ci spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Weź przede wszystkim ubrania i żywność. Szybko, nie mamy czasu.

Miała wrażenie, że zaraz umrze ze strachu. Przez chwilę sądziła, że rozdygotane nogi odmówiają posłuszeństwa i zostanie w domu jak przy-murowana do podłogi. Na szczęście, niemal podświadomie, uwolniła się z kokonu bezsilności i niemocy, i zaczęła pakować do wielkiej płachty ciepłe ubranka dla dzieci, buty, koce, butelki z wodą. Na nic więcej nie było ani czasu, ani miejsca.

- Mario! Szybciej! Uciekajmy! Tu jest niebezpiecznie! - krzyczał Nasrad, chwytając syna w ramiona. - Chodźmy, szybko! Bierz Nurię i uciekamy! Wszyscy są już na dworze.

Obrzuciła jeszcze szybkim spojrzeniem dom, w którym spędziła prawie dwa lata swego życia. Nigdy nie przypuszczała, że może jej brako-



wać tych czterech ścian, niemych świadków tylu przeżyć: zarówno dobrych, jak i złych, nawet tych najgorszych. Tu pozostały jej krew, pot i łzy. Wiele przelanych łez. Ale także śmiech. Marzenia i koszmary. Beztrioskie pogawędki ze szwagierkami i bratanicami oraz nieporozumienia i kłótnie z teściową. W tym walącym się, pełnym chaosu domu pozostały jej marzenia o lepszej przyszłości, smutne wspomnienia, miłość i czułość. Tu pozostawiała za sobą chwile pełne ciepła i tkliwości, spędzone z mężem, oraz trudne momenty, dzielone z innymi członkami rodziny. Tu urodziła się jej córeczka. Tu został kawał jej przeszłości i teraźniejszość. Czy mogło się zdarzyć coś jeszcze gorszego? Co jej przyniesie przyszłość? Co jej zgotuje los? Czy czeka ją jeszcze więcej cierpienia i biedy? Gdzie się podzieją?

Rozmyślała. Jeszcze parę dni temu snuli z mężem plany, jak się wyrwać z tego domu, wyjechać do Kabulu i rozpocząć nowe życie. Nie oczekiwali tak nagłego rozwoju wydarzeń. Ta nowa sytuacja zupełnie ich zaskoczyła. Chcieli uciec z tego miejsca, ale nie w taki sposób i nie po to, aby szukać schronienia gdzieś na niegościnnym pustkowiu.

Maria przygotowała toból z ubraniami i już miała wychodzić, kiedy jej wzrok padł na niewielki kawałek lustra znaleziony na granicy pakistańsko-afgańskiej. Weszła wtedy do zrujnowanego domu, aby zgodnie z życzeniem męża zasłonić twarz chustą i przeobrazić się w prawdziwą kobietę afgańską. Błyszczał w promieniach słońca, kiedy postanowiła go zabrać ze sobą i schować w torbie, właściwie bez powodu, pod wpływem irracjonalnego impulsu. Teraz, tak jak poprzednio, znowu powodowana niezrozumiałym bodźcem, złapała odprysk lusterka leżący spokojnie na półce i wepchnęła go pospiesznie do tobołka.

- Idziesz czy mam cię siłą wyciągnąć? Można wiedzieć, co tam jeszcze robisz? - Po raz pierwszy w życiu Nasrad na nią krzyczał.

Pobiegła do męża. Nawet nie zwróciła uwagi na ton, jakim przed chwilą do niej mówił. Jej myśli poszybowały zupełnie gdzie indziej, choć prawdę mówiąc, sama nie wiedziała gdzie. Kiedy wychodziła z domu, zobaczyła, jak panujący wokół niej mrok kontrastował ze snopami światła, które rażąc jej oczy, opadały w dół. Cały widnokrąg był rozświetlony,

ale nie blaskiem naturalnego światła, tylko oślepiającymi błyskami spadających pocisków.

Biegła niezdarnie tuż za mężem, on z kolei próbował nadażyć za resztą rodziny. Nawet nie czuła ciężaru wypchanego tobołka, który dźwigała w lewym ręku, nie ciążyła jej też córeczka, kurczowo obejmowana prawym ramieniem. Nic nie czuła, nie cierpiała, nic jej nie bolało, o niczym nie myślała, jakby nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje. Nie był to czas ani miejsce na rozmyślanie. Bezwolnie dała się unosić nogom. Tylko to potrafiła. Biec za swoim mężem.

Dużo później, kiedy przypominała sobie tamte chwile panicznej ucieczki do zaimprovizowanego schronu, widziała siebie, jakby uczestniczyła w scenach z zapamiętanych filmów wojennych. Miała przed oczami łapanki Żydów - ściganych, prześladowanych i mordowanych przez hitlerowców. Bez wahania porównała siebie, uciekającą z domu teściów, z wizerunkiem widzianej kiedyś na zdjęciu małej, nagiej Wietnamki, z ranami na całym ciele; samoloty amerykańskie i Wietnamu Południowego zrzucały wówczas napalm na wieś Trang Bang. Zdarzyło się to ósmego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Dziewczynka pewnie nie była świadoma tego, jak wygląda ani co się naprawdę dzieje, a nawet gdzie jest. Tak samo czuła się Maria podczas panicznej ucieczki do ziemianki.

Miała pewnie takie samo zagubione i obojętne na rzeczywistość spojrzenie jak ci ścigani Żydzi albo wietnamska dziewczynka.

W końcu dotarli do kryjówki.

Maria nie wiedziała nawet, jak długo biegła z domu teściów do zaimprovizowanego schronu. Czuła tylko, że pospiesznie bije jej serce, a ramiona omdlewają pod niesionym ciężarem. Obawiała się, że dłużej nie zdoła dźwigać małej oraz tobołka z zabranymi z domu rzeczami. Oddychała szybko. Miała wrażenie, że zaraz padnie jak rażona gromem. Na szczęście dobiegła do Nasrada. Mąż kazał natychmiast wskoczyć do dziury jej i dzieciom. Maria przyjrzała się otworowi w ziemi, przerażającej, czarnej, ponurej czeluści, jakby bez dna. Nie był to jednak właściwy moment na wątpliwości czy wahania. Mąż stanowczym gestem zepchnął ją w dół. Spadała bezwolna i nieświadoma tego, co się zdarzy w ciągu następnych sekund. Opadała, ocierając się i uderzając o ściany, aż wreszcie, po długim locie, dotarła na dno. Podczas gdy jej ciało odbijało się jak piłka od napotykanych po drodze przeszkód, mózg ogarnęła jedna myśl: wizja Alicji z Krainy Czarów. Przypomniała sobie, jak bohaterka jej ulubionej lektury z dzieciństwa, podczas gonitwy za Białym Królikiem, który bezustannie spoglądał na swój zegarek kieszonkowy, bojąc się, że nie zdąży na czas, wpadła do króliczej nory i leciała w głąb, mijając po drodze półki pełne dziwacznych przedmiotów.

Brutalne zderzenie z ziemią i z rzeczywistością, oznaczające, że właśnie dotarła do dna czeluści, wyrwało Marię z tej baśniowej scenerii. Nie była Alicją ani tym bardziej nie znajdowała się w krainie czarów.

Na dole zobaczyła stłoczoną całą rodzinę oraz jakichś obcych ludzi. Miała niejasne wrażenie, że już ich kiedyś widziała, ale prawdę mówiąc, wcale jej to nie obchodziło.

Słyszając nad sobą jakiś hałas, zerwała się i szybko odskoczyła na bok, żeby zostawić wolne miejsce. Bała się, że kolejna szukająca schronienia osoba spadnie jej na głowę. To był Nasrad, który niewątpliwie osuwał się na dół szybciej i z większą wprawą. Rodzina była już zatem w komplecie. W sumie jakieś dwadzieścia kilka osób. Mężczyźni, kobiety i dzieci ściśnięci razem, upchani wbrew własnej woli na ciasnej, ograniczonej przestrzeni pod ziemią. Mieli tak mieszkać wspólnie przez kilka tygodni, choć wtedy nikt z nich jeszcze o tym nie wiedział.

Ta pierwsza noc była jedną z lepszych spędzonych w ukryciu, jakie Maria zachowała w pamięci. Pozostałe dni i noce okazały się bowiem równie straszne, jak niezapomniane. Na początku wszyscy byli przerażeni, zmordowani. Bały się dzieci, bali się dorośli, wyczerpani mozolnym biegiem oraz zmęczeni paniką i niepewnością, co się z nimi stanie. Pomimo bombardowań i hałasu, który sami robili, część z nich zdołała zasnąć na parę godzin. Inni woleli czuć ze wzrokiem wbitym w ziemię, a wielu z nich po prostu żarliwie się modliło.

Maria szukała wsparcia fizycznego i psychicznego w mocnych objęciach Nasrada. Przysnęła na parę minut, nie wypuszczając z kurczowych objęć swoich dzieci. Pomyślała, że może byłoby lepiej, gdyby właśnie w tym momencie zabiła ich bomba. Zginęliby razem, przytuleni do siebie. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogłaby oczekiwać lepszej śmierci. Wyobraziła sobie nawet tę scenę, tak jak stawały jej przed oczami tragiczne obrazy, kiedy leżała obok Nasrada w domu teściów, czując jego miarowy, spokojny oddech, i nasłuchiwała odgłosu wybuchających w oddali bomb.

Czuła się rozdarta, pokonana, zmęczona, zmordowana. Pocieszało ją tylko to, że siedzi tuż obok męża, trzymając w ramionach swoje dzieci. Z tej nieoczekiwanej rodzinnej sceny próbowała czerpać poczucie bezpieczeństwa.

Pierwszej nocy spędzonej w kryjówce nikt nie miał siły przełknąć ani

kęsa. Nikt nie miał też ochoty rozmawiać, płakać czy rozpaczać. Niepokój i strach przed tym, co przyniesie przyszłość, całkowicie zawładnęły ludźmi stłoczonymi w prowizorycznym schronie.

Po kilku godzinach pojawiło się wątle światło świtu. Maria rozbudzała się powoli, stopniowo, w nieśmiało przenikających z góry promieniach słońca rozpoznawała tymczasowe schronienie. Błyskawicznie przypomniała sobie, gdzie jest, oraz wypadki minionej nocy - paniczną ucieczkę, swój lot do podziemnej kryjówki, którą ktoś kiedyś wykopał na wypadek, gdyby niekończąca się wojna w Afganistanie dotarła do rodzinnej miejscowości Nasrada, tak jak to się stało parę godzin temu. Maria stwierdziła, że jest wciąż w tej samej pozycji, w jakiej zasnęła, trzymając kurczowo w objęciach swoje dzieci. Jednak coś się zmieniło. Zamiast męża leżał obok niej wypchany tobolek z odzieżą, zabrany z domu w nocy. Ogarnął ją niepokój. Przestraszyła się, że Nasradowi coś się stało. Już otworzyła usta, żeby go zawołać, ale na próżno próbowała wydobyć z siebie głos. Pomyślała z przerażeniem, że straciła zdolność mówienia.

W końcu zdobyła się na wąty krzyk, jednocześnie uważnie rozglądając się po kryjówce.

- Nasrad, Nasrad! Gdzie jesteś?

- Tu jestem, Mario. Spokojnie. Wszedłem tylko na chwilę po wodę dla ciebie i dzieci, ale już jestem z powrotem - mówił opanowanym głosem mąż.

Uspokoila się tak jak dziecko, kiedy coś mu dolega, a matka tuli je, żeby mu ulżyć w cierpieniu. Słowa wypowiedziane przez męża jak zwykle podziałały na nią kojąco.

- Przestraszyłam się, Nasradzie. Nigdy więcej nie wychodź bez uprzedzenia, proszę cię o to. O mało nie umarłam, kiedy obudziłam się sama.

- Mario, będę musiał wychodzić na górę razem z innymi mężczyznami po wodę i żywność. Przecież musimy coś jeść. Chyba to rozumiesz?

- Jak długo będziemy się tu ukrywać? - spytała, bojąc się, że odpowiedź sprawi jej zawód.

- Sam nie wiem. Mam nadzieję, że niezbyt długo - odrzekł, nie patrząc jej w oczy.

Niespodziewanie Maria przypomniała sobie, że mąż odpowiedział jej takim samym tonem, używając podobnych słów i z tym samym wyrazem twarzy, kiedy prawie dwa lata temu czekali na małego przemytnika, który miał dostarczyć ich bagaż z pieniędzmi oraz dokumentami, a przepadł na zawsze, oczywiście razem z ich rzeczami. Teraz, w tym prowizorycznym schronie, Nasrad miał takie samo spojrzenie i mówił tak samo bez przekonania.

Nie był to jednak właściwy moment, aby pograżyć się w smutnych i pesymistycznych myślach, choć Maria nie znajdowała zbyt wiele otuchy w otoczeniu. Wreszcie mogła przyjrzeć się kryjówce. Co prawda słabe, z trudem wciskające się światło nie pozwalało jej dostrzec szczegółów, ale zauważyła, że ziemianka ma około siedemdziesięciu metrów kwadratowych powierzchni i mniej więcej dwa metry wysokości. Trudno to było jednak ocenić przy tak dużej liczbie stłoczonych tam osób.

Dostrzegła, że wydzielono miejsce dla każdej rodziny, a w samym środku znajdowała się wspólna przestrzeń, przeznaczona na gotowanie posiłków i pranie.

Maria patrzyła z podziwem, jak kobiety zagospodarowywały w miarę możliwości tę skromną powierzchnię. Przypominały jej mrówki. Dysponując ciasnym i ograniczonym miejscem, urządzały je tak, aby było wygodnie: po jednej stronie układały koce i ubrania całej rodziny, z drugiej zaś naczynia kuchenne, garnki i talerze oraz mydło do prania brudnych rzeczy.

Obserwując ich starania i wysiłki, aby wszystko znalazło swoje miejsce i było pod ręką, Maria doszła do wniosku, że ich pobyt w tej dziurze w ziemi nie będzie trwał krótko. Obiecała sobie, że nigdy więcej nie spyta, ile czasu tu spędzą. Wołała złudne nadzieje od niezachwianej pewności.

Nagle mąż podszedł do niej z kubkiem gorącej herbaty oraz kromkami chleba dla niej i dzieci, przerywając jej rozmyślenia.

- Chleb jest trochę czerstwy, ale zamoczysz go w herbacie i gotowe. Niedużo tego, ale mamy niewiele zapasów. Będziemy musieli wyjść i poszukać czegoś do jedzenia. Nie mamy wyboru - powiedział.

Słowa Nasrada okazały się brutalną prawdą. Maria co dzień zostawała z dziećmi sama w ziemiance, a jej mąż z innymi mężczyznami wracał do schronu dopiero późną nocą. Wtedy jedni kończyli swoje poszukiwania, a pozostali udawali się na zewnątrz, aby przynieść dla swych rodzin to wszystko, co uda im się zdobyć: odrobinę mąki, woreczek ryżu, fasolę, a przede wszystkim wodę do picia i gotowania, bo prawdę mówiąc, do mycia już jej brakowało. Maria próbowała oszczędzić trochę wody na codzienne, przynajmniej powierzchowne ablucje, ale było to niemal niemożliwe. Nadrzędnym celem było przetrwanie, a nie kąpiel i pranie ubrań, przynajmniej przez kilka tygodni.

Irytowała ją ta ogólna niechęć do zachowania higieny osobistej. Być może powinna się była do tego przyzwyczaić, ale nie mogła. Nie chciała, żeby jej dzieci przypominały resztę dzieci z ich kryjówek, były brudne, śmierdzące, z zapaćkanymi rączkami, umorusanymi buzią i niedomytymi nogami. Próbowala rozczesać im włoski choćby palcami, obmyć je, przeprać ubranka, nie dopuścić, żeby wydzielały ten straszliwy smród, jaki aż zionął od pozostałych dzieci. Z każdym dniem stawało się to jednak trudniejsze. Dysponowała tylko jedną kostką mydła i w miarę upływu czasu musiała dokonywać cudów, żeby go nie zabrakło, żeby ona sama i jej rodzina mogli się umyć. Kiedy kawałek mydła stał się tak cienki i przezroczysty, że Maria bała się go włożyć do wody, aby zupełnie się nie rozpuścił, próbowała go trzeć i skrobać, wykorzystując jak najbardziej ekonomicznie. W ten sposób uzyskała kupkę wiórków mydlanych. Część z nich postanowiła użyć na spełnienie swojego kaprysu. Ciągle sobie czegoś odmawiała i miała już tego dosyć. W końcu zasługiwała na trochę przyjemności. Postanowiła więc zużyć kilka wiórków mydlanych na własne potrzeby.

Jak poszukiwacz złota przetrząsała tobolek z rzeczami i w końcu znalazła kawałek lustra, swoją zdobycz wyniesioną z ruin domu na granicy pakistańsko-afgańskiej, gdzie się przebierała. Zabrała go wtedy ze sobą, a potem instynktownie wrzuciła do bagażu podczas panicznej ucieczki z domu teściów. Skrajem burki przetarła lustrzany odłamek. Z trudnością usunęła warstwę brudu, bo prawdę mówiąc, jej ubranie również nie nale-

zało do najczystszych. „To ciekawe, że burka może się do czegoś przydać, przynajmniej w tym grajdole” - pomyślała i uśmiechnęła się.

W wytartym do czysta lusterku mogła wreszcie dojrzeć własne odbicie. Przysiadła na uboczu, kryjąc się przed ciekawskimi spojrzeniami obcych ludzi, i spojrzała na siebie. Początkowo się przestraszyła, widząc swoją twarz. Nie odłożyła go jednak, tak jak zamierzała. Już od dawna nie widziała swojego odbicia w zwierciadle i z pewnością ten widok nie należał do przyjemnych. Chociaż próbowała myć się codziennie, a przynajmniej przecierać twarz, nie zawsze jej się to udawało. To nie brud był jednak najgorszy. Na jej obliczu odbiło się cierpienie, głód, zmęczenie, zniechęcenie, osłabienie. Tak jakby pobyt w ziemiance dodał jej przynajmniej dwadzieścia lat. Patrzyła na swoją twarz jak na obcą, nieznaną osobę, chociaż rozpoznawała ukryte pod warstwą brudu rysy. Dostrzegła sińce pod oczami, żółtawozieloną skórę, która straciła naturalny kolor z powodu braku świeżego powietrza i słońca. Zauważyła, że ma spierzchnięte, wyschnięte, bezbarwne wargi, świadczące o niedożywieniu przez ostatnie dwa lata. Jej skóra była sucha i napięta. Mimo wszystko to była bez wątpienia ona, ta sama kobieta, która z miłości do męża zniosła i nadal zniesie wszystko, co zgotuje jej los.

Maria poruszyła nieznacznie lusterkiem z góry na dół, przełożyła je z lewej ręki do prawej, dopóki nie przyzwyczaiła się do swojego widoku. Przeciągnęła dłonią po twarzy, żeby się przekonać, że to naprawdę ona. Trzymając teraz lusterko w lewej ręce, włożyła palce prawej do ust i tak długo je lizła, aż pokryły się śliną. Potem starała się umyć twarz i przywrócić jej choć trochę dawnego piękna. Zawsze, już od dzieciństwa, miała jasną, promienną cerę. Dorośli często powtarzali: „Jak ty pięknie i zdrowo wyglądasz, Mario!”.

Wzięła kilka startych z resztek mydła wiórków i próbowała rozmiękczyć je w palcach. Przetarła tą mazią czoło, potem oczyściła skórę pod oczami, serdecznym palcem przygładziła brwi, próbowała przemyć płatki nosa, następnie brodę i skończyła na szyi. Dwa razy powtórzyła ten zabieg, póki roztarte wiórki zupełnie nie zniknęły. Potem rozczesała sobie palcami włosy i zakryła je szczelnie chustą.



Ponownie przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze i jeśli nawet nie do końca była z siebie zadowolona, wiedziała jednak, że wygląda znacznie lepiej, a przynajmniej tak się czuła.

Schowała lusterko w dawnym miejscu, na samym dnie tobołka, kładąc je w zakładce burki, tam gdzie nikt nie będzie sięgał. W ziemiance żadna z kobiet, z wyjątkiem najstarszych, nie nosiła tego niewygodnego stroju, a zatem był to najlepszy schowek.

Kobiety modliły się całymi dniami, haftowały, gotowały, piekły chleb. I oczywiście zajmowały się dziećmi. Maria szybko zrozumiała, że jeśli chce przeżyć w tym strasznym miejscu i nie oszaleć, musi stać się jedną z nich, wykonywać te same czynności co reszta kobiet. Jeśli chce, żeby traktowały ją jak swoją, musi nauczyć się zachowywać jak one. Pragnęła, aby Afganki z rodziny Nasrada obdarzały ciepłem i otaczały względami ją i jej dzieci. Podstawowe potrzeby ludzi w ziemiance, oprócz jedzenia i picia, to przede wszystkim ciepło i troska. Mąż Marii często opuszczał schron w poszukiwaniu żywności, zostawiając ją samą z dziećmi. Jej oparciem były wtedy bratowe i bratanice Nasrada. Reszty nie znała. Oczywiście była tam także teściowa. Na nią nie mogła jednak liczyć.

W kryjówce Maria nauczyła się haftować i szyć. Wcześniej nigdy nie lubiła ręcznych robótek, nie miała do nich ani serca, ani cierpliwości. Siedząc w schronie, jeśli chciała zaprzyjaźnić się z innymi kobietami, nie miała wyjścia. Przypomniła sobie, jak jej ciotki z Barcelony i z Ciudad Real wyszywały wzory i inicjały na ręcznikach i pościeli. Podczas tego zajęcia opowiadały, jak w szkole prowadzonej przez zakonnice uczono je haftu i dziergania. Twierdziły, że w dawnych czasach żadna dziewczyna z dobrego domu nie wyszła za mąż, jeśli nie nabyła tych podstawowych umiejętności. Opowieści ciotek wydawały się Marii staroświeckie, ale teraz, kiedy ona sama była o dwadzieścia lat starsza, straciły ten aspekt archaiczności.

Piekła chleb, haftowała, szyła, w miarę możliwości prała ubrania, choć raczej z miernym skutkiem, modliła się razem z mężem, bawiła z dziećmi, gawędziła ze szwagierkami, a nocami, kiedy mąż wracał do domu i kończyło się jej wielogodzinne czekanie, rozmawiała z nim. Planowali,

co zrobią, kiedy wyjdą z ziemianki. Właśnie podczas takich nocy, kiedy Nasrad snuł marzenia i opowieści, poczuła żal. Nie żałowała jednak samej siebie, tylko współczuła nieszczęsnym mieszkańcom Afganistanu. Nie potrafiła zrozumieć, że ten bogaty i ciekawy kraj, przez nieodpowiedzialne postępowanie rządzących, którzy pragnęli za wszelką cenę utrzymać się u władzy, mógł popaść w tak skrajną nędzę. Zawsze pamiętała o słowach, wielokrotnie powtarzanych jej przez Afgańczyków, że ich ojczyzna ma chore serce i na zawsze pozostanie w ciężkiej, a nawet beznadziejnej sytuacji. Nie ma na to rady. Było już za późno na szukanie odpowiedniego remedium. Mówiąc innymi słowami, rak toczący ten kraj rozrósł się i dał przerzuty na wszystkie organy. Chory musiał umrzeć.

Pewnego wieczoru Nasrad wrócił zdenerwowany. Miał szczególnie ciężki dzień. Przyszedł zły na cały świat, a przede wszystkim na siebie. Maria próbowała go uspokoić, jak najlepiej zadbać o niego, choć niewiele mogła zrobić. Zauważyła, że to miejsce źle wpływa na nich i na ich związek. Nie chodziło o łączącą ich miłość, tylko o sposób okazywania czułości. Zjedli byle co - wodę gotowaną z odrobiną roślin i kilkoma pływającymi na wierzchu ziarnami fasoli. Do tego kromkę chleba. Z tego składał się ich jadłospis. Jeśli oczywiście mieli szczęście i Nasrad znalazł fasolę.

Po tym skromnym posiłku Maria pozmywała naczynia. Nauczyła się to robić tak, żeby zużywać jak najmniej wody. Wkładała brudne talerze do beczki z pomyjami, zlewany przez kilka dni, wyciągała, strzepywała i suszyła na powietrzu albo wycierała kawałkiem ścierki. Skończywszy domowe obowiązki, położyła się obok męża. Tamtej nocy nie mieli ochoty rozmawiać, więc nic nalegała. To nie był stosowny czas ani miejsce ku temu.

Już zasypiała, kiedy usłyszała poważny głos męża. Szeptał jej coś na ucho, wyrywając ją z półsnu, w jakim była pogrążona.

- Musimy się stąd wydostać - stwierdził stanowczo.

Otworzyła szeroko oczy i na chwilę wstrzymała oddech. Nie chciała nic mówić. O nic go nie pytała. Wpatrywała się bez słowa w jeden punkt

na suficie ziemianki. Przeczowała, że mąż będzie mówił dalej. Podejrzewała, a raczej życzyła sobie, żeby się jeszcze odezwał. Nasrad jednak milczał. Pomyślała więc, że się przesłyszała, że to był tylko sen lub wytwór jej wyobraźni. A jednak nie. Mąż znowu się odezwał spokojnym, lecz zdecydowanym głosem.

- Nie będziemy tu dłużej tkwić. To może trwać lata, a może całe wieki. Muszę was stąd wyciągnąć, ciebie i nasze dzieci. To moja wina, że się tu znalazłaś. Nie mogę pozwolić, żeby to dłużej się ciągnęło.

Maria przekreśliła się na bok i wbiła wzrok w oczy męża, dając do zrozumienia, że go pilnie słucha, jakby chciała mu przekazać: „Mów dalej, kochanie. Słucham cię”.

- Co chcesz zrobić, Nasradzie? Jak się stąd wydostaniemy? Mogą nas zabić...

- Uciekniemy pieszo, w nocy. Bez bagaży, bez żadnych tobołków. Wyruszymy do Pakistanu albo do Iranu. Dotrzemy do granicy, przedrzemy się nocą na drugą stronę i wystąpimy o status uchodźców.

- A dzieci?

- Ucieczka z dziećmi byłaby zbyt niebezpieczna. Musimy zostawić je u mojej rodziny. Oni się nimi zajmą.

- Nie, Nasradzie. Wykluczone. Nie zostawię moich dzieci, a tym bardziej z twoją matką. Wybacz, ale ja bez dzieci się stąd nie ruszę, tak samo jak nie wyjadę bez ciebie. Raz już powierzyłam córkę twojej matce i dobrze wiesz, jak na tym wyszłam. To się więcej nie zdarzy. Albo wyjedziemy wszyscy, albo nikt.

- Jest tylko jeden problem - dodał Nasrad.

- Jaki?

- Jeśli wybierzesz status uchodźcy, nie będziesz miała prawa starać się o paszport hiszpański. W każdym razie będzie ci dużo trudniej odzyskać obywatelstwo. Nie mamy jednak innego wyjścia. Tu zginiemy marnie. Żyjemy jak bydło albo jeszcze gorzej.

Kiedy Maria usłyszała słowo „uchodźca”, zobaczyła oczami wyobraźni, jak rozwała się jej domek z kart. To nie mieściło się w jej planach. Przeżywała już różne nastroje: od złudzenia, że wkrótce wyjadą z Afga-

nistanu, a ona powróci do wygodnego i spokojnego życia w Londynie, aż do pogodzenia się z brutalną rzeczywistością, że pozostanie tu na zawsze jako jeszcze jedna anonimowa kobieta i szybko się zestarzeje. Jeśli wybierze status uchodźcy, już nigdy nie będzie mogła ubiegać się o odzyskanie obywatelstwa hiszpańskiego, a tym samym zrezygnuje z upragnionego celu. To było dla niej zbyt wiele. Jakby zgasła ostatnia iskierka nadziei, dzięki której snuła marzenia i która podtrzymywała ją na duchu, kiedy ogarniały ją depresja i rozpacz.

Nie musiała wyjaśniać mężowi, dlaczego takie rozwiązanie nie wchodzi w rachubę, przynajmniej w tym momencie. Przekazała mu tylko swoje obawy, wątpliwości i lęki, a on to zrozumiał. A przynajmniej tak mówił.

Nie rozmawiali o tym, tak jakby zapanował między nimi pakt milczenia. Ten temat stał się zakazany. Był dla nich zbyt bolesny. Dla Nasrada, ponieważ obwiniał się o to, że Maria znalazła się w tragicznych warunkach: zamknięta w brudnej, śmierdzącej ziemiance, pozbawiona wszelkich wygód, gdzieś na krańcach Trzeciego Świata, w samym środku konfliktu zbrojnego, który nic ich nie obchodził. Jej zaś ciężko było widzieć męża w takim nastroju. Nie chciała, żeby się obwiniał. W końcu to ona podjęła decyzję o wyjeździe razem z nim do Afganistanu. Cierpiała, widząc, że Nasrad się zadrecza. Wiedziała, że nie daje sobie rady w tej rzeczywistości. Nie był przecież taki jak inni. Inaczej go ukształtowało życie, miał szersze plany na przyszłość, inne perspektywy niż reszta jego rodziny. Nie zgadzał się też z typowym dla Afgańczyków traktowaniem kobiet. Nie mógł pogodzić się z myślą, że mały Abdullah i Nuria będą dorastać i wychowywać się w takich warunkach jak inne afgańskie dzieci, które były pozbawione szansy na lepszą przyszłość, a być może wiele z nich nie zdąży nawet dorosnąć. Nie zgadzał się z polityką prowadzoną przez lokalnych watażków, polegającą na skrajnej interpretacji praw islamu, tylko z czysto politycznych, ekonomicznych i społecznych względów albo przez zwykłą złośliwość. Tym bardziej nie mógł znieść, kiedy dotyczyło to jego rodzinę, Marię i dzieci.

Nigdy więcej nie podjął tematu ucieczki i szukania azylu w Pakistanie lub Iranie. Nie rozmawiali o tym, choć oboje spędzili bezsennie dwie kolejne noce, rozmyślając o tej sprawie. Mimo że nie spali, żadne z nich nie podzieliło się z drugim swymi myślami. Nie było takiej potrzeby. Wszystko zostało już powiedziane.

Czas mijał, chociaż dla ludzi mieszkających w ziemiance jakby stanął w miejscu. Zdarzały się dni, kiedy nie słychać było huku samolotów. Wtedy stłoczonych w schronie uciekinierów ogarniał optymizm i dobry nastrój. Nie na długo jednak. Wielokrotnie była to tylko cisza przed burzą. Podczas jednego z tych dni zwodniczego, złudnego spokoju jedna z kobiet, wierząc, że jest bezpieczna, postanowiła wyjść z kryjówki razem z dzieckiem, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza oraz załatwić swoje potrzeby fizjologiczne na zewnątrz zamiast w dusznej, śmierdzącej ziemiance. Ostrożnie się wspięła i powoli wysunęła głowę, żeby sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz. Z pozoru wszystko wyglądało normalnie. Kobieta nabrała odwagi i wyszła razem z dzieckiem. Jej ostrożność i rozwaga na niewiele się jednak zdały, ponieważ natychmiast rozległ się przeszywający świst strzałów i głuchy odgłos detonacji. Cofnęła się przerażona z zapłakanym, zawodzącym ze strachu dzieckiem, niemal na skraju hysterii.

Czas mijał powoli i monotonnie. Marii, stłoczonej w ciasnej przestrzeni z rodziną i gromadą obcych ludzi, dni wlokły się niemiłosiernie, tak jakby czas stracił swój realny wymiar, sekundy zmieniały się w wieczność. Nie panowała już nad nerwami, nie rozumiała, co się z nią dzieje, czuła, że się dusi. Kiedy nie miała nic do roboty, siedziała ze wzrokiem utkwionym w wyjściu z ziemianki. Wpatrywała się w ten otwór jak za-

hipnotyzowana, opętana. Widząc ją w tym stanie, można by stwierdzić, że oszalała.

W kryjówce panował niewyobrażalny smród: mieszanina brudu, wilgoci, gnijących resztek jedzenia i odchodów ludzkich - bojąc się strzałów snajpera lub bomb, ludzie nie opuszczali jej nawet w celu spełnienia potrzeb fizjologicznych. W schronie należało się zachowywać ostrożnie i cicho. Dzieci często nie potrafiły wytrzymać napięcia i załatwiała się pod siebie.

Brak odpowiednich warunków higienicznych utrudniał normalne relacje międzyludzkie. W nocy trudno było zasnąć, a w ciągu dnia skoncentrować się na jakiegokolwiek czynności.

Nie istniały takie pojęcia, jak intymność czy prywatność, a kłótnie i zatargi jeszcze bardziej komplikowały już i tak trudną sytuację. Ograniczona powierzchnia sprzyjała powstawaniu napięć.

Najgorsze były chwile, kiedy dzieci wybuchały płaczem i łkały rozpaczliwie całymi godzinami. Nie można ich było uspokoić, aż w końcu wyczerpane zasypiały. To samo zdarzało się także kobietom. I oczywiście Marii.

Często prześladowała ją pewna natrętna myśl: że jej życie dobiegnie kresu w tej śmierdzącej dziurze. Umrze w ciasnej ziemiance, i to tak młodo. Nigdy więcej nie wróci do Anglii, nie zobaczy Hiszpanii, swojej rodziny, rodzeństwa. Nie przejdzie się po Londynie i nigdy więcej nie polecą do Kanady. W wieku dwudziestu siedmiu lat zakończy swoje życie.

Te myśli narastały i kłębiły się w jej głowie. Kiedy słyszała dźwięk przelatujących nad nimi samolotów i wiedziała, że zaraz rozlegnie się huk bomb, miała wrażenie, że za chwilę sprawdzą się jej najgorsze przewidywania. Wtedy przytulała dzieci i modliła się. Modliła się cicho i szlochała. Potem wybuchała głośnym płaczem. Modliła się bezustannie, żeby jej mężowi nic się nie stało, żeby nie zginął od strzału snajpera albo odłamka bomby. Błagała Boga, aby w razie czego zabrał ich oboje, żeby zginęli razem. Będzie wtedy mniej problemów. Dzieci zostaną na łasce krewnych, którzy się nimi zajmą i je wychowają.

Marię przerażała wizja, że Nasradowi coś się stanie, kiedy będzie daleko. Wtedy cały jej świat się zawali. Nie będzie umiała żyć sama. Nie



będzie też chciała żyć. W Afganistanie samotna, owdowiała kobieta nie miała żadnych perspektyw. Ani ona, ani jej dzieci nie miałyby szans na przetrwanie. Nikt z ludzi ukrywających się w ziemiance nie przejąłby się wdową, cudzoziemką, na dodatek obarczoną dwojgiem dzieci. Zostałaby odtrącona, porzucona, nikt nie przejmowałby się jej losem. Nikt by się nimi nie zajął. Oczywiście bracia męża zainteresowałiby się nimi, ale tylko na początku. Tak już było w tym kraju. Takie było życie i takie prawa. Ona nie mogłaby nic zmienić. Prędzej by ją zabili.

Parę tygodni spędzili w tej klaustrofobicznej ziemiance, prawie bez jedzenia i bez wody, spodziewając się w każdej chwili śmierci.

Pewnego dnia, gdy Maria gniotła ciasto na chleb, niespodziewanie Nasrad wrócił wcześniej niż zwykle. Nie wiedziała, ile czasu minęło, ale wydawało jej się, że dopiero niedawno wyszedł z innymi mężczyznami na poszukiwanie żywności i wody. Był wzburzony. Ze zdenerwowania nie mógł wydusić z siebie słowa. Podszedł do niej i przez chwilę próbował odzyskać spokojny oddech.

- Co się stało, Nasradzie? Czemu tak szybko wróciłeś? Dlaczego jesteś taki zdenerwowany? Co się stało?

- Wyjeżdżamy stąd, Mario - wydukał z trudem. - Pakuj nasze manat-ki, bierz, co ci potrzebne, i wychodzimy.

- Gdzie idziemy? - spytała. Sama nie wiedziała, czy ma się cieszyć, że wychodzą, czy raczej obawiać najgorszego, skoro nie mieli dokąd się udać.

- Wyjeżdżamy, Mario. Naprawdę wyjeżdżamy. Spędzimy parę dni w domu u moich rodziców, a potem jedziemy do Kabulu! Do Kabulu! I tym razem przysięgam ci, że będzie inaczej. Musi nam się udać. - Był stanowczy. Z determinacją objaśniał swoje plany. - Tylko uważaj, nikt się nie może o tym dowiedzieć. Powiemy, że mała jest chora, od kilku dni kaszle, i musimy zawieźć ją do lekarza w Kabulu. To będzie nasza szansa, być może nasz los się odmieni. Załatwisz swoje sprawy w ambasadzie, a przy odrobinie szczęścia twoi rodacy pomogą ci wydostać się z Afganistanu. Tobie, mnie i naszym dzieciom. Być może będziemy mieli szczęście, Mario.

- Nie możemy opuścić ziemianki. Jak mamy dotrzeć do Kabulu?

- Ludzie mówią, że bombardowania się skończyły. Sytuacja powoli wraca do normy. Możemy już wyjść z kryjówek.

- Co zrobimy w Kabulu? Z czego się utrzymamy? Gdzie będziemy mieszkać? Czy już zapomniałeś o naszej ostatniej, nieudanej wyprawie? - dopytywała się, pakując niekształny tobołek, ten sam, który przygotowała przed ucieczką do schronu.

- Doskonale pamiętam, Mario. Nie mieliśmy szczęścia, to wszystko. Musimy znowu spróbować. Być może zawinił pośpiech albo brak pieniędzy. Tym razem będzie inaczej. Musi się udać. Posłuchaj, mam w Kabulu siostrę, a także przyjaciół, którzy w razie czego nam pomogą. Najważniejsze to uciec stąd jak najszybciej. Na razie jest spokojnie, ale nie możemy tracić czasu. Nie cieszysz się? - Mąż spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Ależ Nasradzie. Jestem skołowana, nie potrafię się cieszyć. Sama już nie wiem, co myśleć. Nie chcę znowu niepotrzebnie się łudzić - odpowiedziała, ale natychmiast zmieniła ton i postarała się przywołać na twarz minę wyrażającą szczęście, a na usta szeroki i szczery uśmiech. - Oczywiście, że się cieszę, Nasradzie. I to bardzo. Tym razem na pewno będziemy mieli szczęście. Teraz naprawdę nam się uda, kochany.

Przytuliła się do męża. W takiej chwili było jej wszystko jedno, czy ludzie się na nich gapią i czy są zgorszeni. Miała już dosyć hamowania impulsów, powstrzymywania emocji, ukrywania oznak czułości i miłości. Zbyt długo udawała. Zasłużyła, przynajmniej tego dnia, na odrobinę swobody w wyrażaniu uczuć.

Oczywiście eksplozja czułości nie trwała długo, bo nie był to czas ani miejsce ku temu, ale odkąd przyjechała do Afganistanu, zdążyła się do tego przyzwyczaić. Spakowała zatem pospiesznie skromny dobytek zabrany do schronu podczas panicznej ewakuacji. Uwinęła się z tym szybko, bo po pierwsze, bardzo pragnęła jak najszybciej opuścić to miejsce, a po drugie, rzeczy było niewiele. Ubranka dzieci, koce i burka, która miała być jej potrzebna w kolejnym etapie życia. Kiedy wkładała ją do płachty, usłyszała, że coś wypadło spomiędzy fałd. Był to kawałek lustra,

ukryty w zakładce szaty, której w ziemiance na siebie nie wkładała. Nie wiedziała dlaczego, ale lubiła mieć ten odprysk szkła zawsze przy sobie. Sama tego nie rozumiała. Traktowała go jako rodzaj amuletu albo uważała, że może jej się kiedyś przydać. Tak czy owak nie mogła go zostawić na ziemi. Należał do niej. Tym razem także ukryła go skrzętnie na dnie tobołka.

- Pamiętaj, nikomu nie zdradzaj naszych planów. Nikt nie może się dowiedzieć, że jedziemy do Kabulu. To byłoby ryzykowne - z uporem powtórzył jej mąż.

Skinęła posłusznie głową. Miała wrażenie, że zachowuje się jak mała grzeczna dziewczynka, i to ją bawiło. Zawsze była buntowniczką, postępowała zgodnie z zasadą: „A ja i tak mam inne zdanie”. Nigdy nie słuchała rad i poleceń, szczególnie jeśli padały z ust kogoś z jej rodziny, ojca czy którejś z siostr. Nie znosiła podporządkowywać się nakazom, nie cierpiała wykonywać rozkazów. Ledwie mogła uwierzyć, że tak potulnie zgadza się na wszystko.

Poczuła się jednak szczęśliwa. Nie chciała psuć sobie nastroju smutnymi myślami. Jeszcze przyjdzie czas na refleksje. Teraz opanowała ją nieoczekiwana euforia, radość, spokój i pogodny nastrój. Szczerze mówiąc, nigdy nie przypuszczała, że powrót do domu teściów wzbudzi w niej takie uczucia. Miała wrażenie, że uśmiech nie schodzi jej z ust, i musiała się pohamować, aby ktoś nie zauważył jej niespodziewanego wybuchu radości.

Dom teściów sprawiał jeszcze gorsze wrażenie niż przed ucieczką. Szczęśliwym trafem ocalał przed bombami, ale panował w nim potworny bałagan i brud. Nie zachęcał do zamieszkania. Ściany przetrwały, więc kobiety musiały jedynie pozamiatać podłogę, wyrzucić śmieci i wałające się w całym domu rupiecie oraz pozbyć się zalegającego we wszystkich kątach kurzu i piachu.

Wieczorem Maria była wykończona. Miała wszystkiego dosyć. Straciła apetyt, a nawet siły, żeby jeść. Nie miała ochoty rozmawiać ze szwagier-kami ani reagować na ordynarne zaczepki teściowej. „Niewiarygodne -pomyślała - tej kobiety nic nie zmieni, ani wojna, ani bombardowanie, ani długi pobyt w ziemiance”. Przez chwilę zrobiło jej się żal starej kobiety. „Czy ona nigdy nie czuła się szczęśliwa?” - przyszło jej do głowy.

Tej nocy nic jej nie obchodziło. Wiedziała, że zaśnie głęboko, bo wyczerpanie i ból we wszystkich mięśniach, zwłaszcza w plecach i nogach, podziałajana niejaki środek usypiający. Zresztą miała ważniejsze sprawy na głowie: wyprawę do Kabulu i nowe życie. A przede wszystkim szansę na załatwienie formalności i zdobycie nowego paszportu. Tym razem jej się uda.

Po raz pierwszy od dawna śnił jej się ojciec.

Kilka dni po opuszczeniu schronu Marię obudziły jakieś głosy. Dochodziły z drugiego pokoju. Szybko się zorientowała, że to jej mąż rozmawia

z matką. Nie kłócili się, nie sprzeczekali, nie mówili podniesionymi głosami. Nie sprawiali wrażenia rozzłoszczonych. Domyślała się, że chodzi o coś ważnego. Wstała i podeszła ostrożnie, cichutko do ściany łączącej oba pokoje i przywarła do niej uchem, jednocześnie czujnie wpatrzona w wyświechtaną i szkaradną zasłonę pełniącą funkcję drzwi, oddzielającą te dwa pomieszczenia. Starła się uważnie wsłuchać w dobiegającą zza ściany rozmowę.

- Najwyżej na parę dni, mamó - spokojnym głosem wyjaśniał Nasrad.  
- Martwię się o małą. Już od dawna kaszle i coś jej chrobocze w płucach. Gorączka jej nie spada, nie ma apetytu. Musi zobaczyć ją lekarz. A przy okazji obejrzy także i chłopca. Wtedy się uspokoimy. Zresztą po tak długim czasie, który spędziliśmy w schronie, należy tak zrobić.

Czy twoja żona na pewno musi jechać? Przecież ja nie mam ludzi do pracy, dodatkowa para rąk by się przydała. Nie możesz pojechać sam z dziećmi do Kabulu? Niech ona tu zostanie. Wtedy szybciej wrócisz.

- Nie, mamó. Maria musi z nami pojechać, ze względu na dzieci i na mnie. Obiecuję, że szybko wrócimy. Powtarzam ci, że to kwestia dwóch, najwyżej trzech dni.

- Wcale mi się to nie podoba, Nasradzie. Nie podoba mi się, że po tych wszystkich naszych przeżyciach wyjeżdżasz sobie z żoną i z dziećmi do Kabulu. A jeśli coś ci się stanie? Co będzie z nami? - głos matki Nasrada był pełen przygany, pozbawiony cienia niepokoju o los syna i jego dzieci.

- Nic nam się nie stanie, mamó. Nie ma o czym gadać. Mała jest chora i musi ją zobaczyć lekarz. Jutro wyjeżdżamy. Musisz się z tym pogodzić, lepiej nie komplikuj sprawy - stwierdził kategorycznie.

Ta rozmowa zaczęła bawić Marię, chociaż jednocześnie denerwowała ją ustepliwość, jaką jej mąż okazywał wobec matki. Tak jakby miał dziewięć lat i musiał ją okłamywać, żeby wymknąć się z domu i pograć w piłkę, przekonać ją, że już odrobił wszystkie zadane do domu lekcje. Wiedziała, że mąż kocha swoją matkę, dlatego ona też za wszelką cenę próbowała ją polubić. Teściowa zachowywała się jednak okropnie i niestety, wszelkie przyjazne gesty ze strony Marii były przez nią nie tylko

źle odbierane, ale i odrzucane. Można by jeszcze zrozumieć, że matka Nasrada pragnie zatrzymać go tylko dla siebie - wtedy żadna kobieta nie byłaby dla syna dostatecznie dobra. To jednak nie do końca była prawda. Ona nie lubiła Marii, ponieważ chciała, żeby syn poślubił kilka kobiet, założył cały harem. Potrzebowała całego tabunu kobiet, które traktowałyby jak swoje służące, wykonujące wszystkie jej rozkazy. Mogłyby je zmuszać do pracy, upokarzać, wykorzystywać, tak jak zachowywała się wobec innych ze swojego otoczenia.

Maria pamiętała o dziewczynie, która od dzieciństwa była przeznaczona na żonę dla Nasrada. Tłumaczył jej, co prawda, że to niemożliwe, bo już poślubił inną kobietę, Hiszpankę, a więc ona jest wolna, może sobie urządzić życie po swojemu i wyjść za mąż za innego Afgańczyka. Miejscowi odbierali jednak to inaczej. Ta kobieta ciągle na niego czekała, łudziła się, że pojmie ją za żonę i założą rodzinę. Nawet gdyby wybiła sobie ten pomysł z głowy i próbowała znaleźć innego mężczyznę, lokalna społeczność nigdy by tego nie zaakceptowała i nie pozwoliła na ślub.

Szczerze mówiąc, Maria współczuła dziewczynie, która stała się nieszczęsną ofiarą zwyczajów społeczeństwa, w którym dominowali mężczyźni. Biedaczka będzie żyła z piętnem porzuconej aż do śmierci. Na nic się zdały pieniądze, które rodzina Nasrada musiała jej zapłacić jako odszkodowanie za zerwane zaręczyny i za straty moralne. Za pieniądze nie można było kupić sumienia i zmienić mentalności sąsiadów, którzy wytykali ją palcami, szeptali, kiedy ich mijiała, a nawet gardzili nią, ponieważ nie umiała wymóc dotrzymania obietnicy małżeństwa na mężczyźnie, który był jej przeznaczony na męża.

Nie trzeba dodawać, że matka Nasrada nigdy nie wybaczyła Marii, iż to przez nią, przez kogoś tak słabego i kruchego z wyglądu, kobietę leniwą, dziwną i obcą, nie trafiła jej się inna, bardziej pracowita służąca, którą nazywałyby synową.

Maria na palcach wróciła do łóżka. Nie chciała, żeby mąż się dowiedział, iż podsłuchiwała jego rozmowę z matką. Kiedy wszedł do pokoju, składała starannie koce, pod którymi spali w nocy. Nie potrafiła się jed-

nak powstrzymać i zadała pytanie, które natychmiast zdemaskowało jej pozorną obojętność.

- I jak to przyjęła? - spytała.

- Tak jak słyszałaś... - Nasrad przeciągnął ostatnie słowo, nie ukrywając znaczącego uśmiechu. - Tak jak słyszałaś, nie miała wyboru. Sądzę, że niczego nie podejrzewa. Jest zła, że wyjeżdżamy, i wściekła, że nie potrafi nas zatrzymać. Musisz bardzo uważać, Mario. Nie możesz się niczym zdradzić przy moich braciach, bratowych czy bratanicach. Nic nie mów dzieciom, bo mogą niechcący wypaplać. - Nasrad zamilkł i spojrzał na nią. - A ty jak się czujesz?

- Jestem zdenerwowana, oszołomiona, niespokojna... ale szczęśliwa. Cieszę się, że jestem z tobą, i niczego nie żałuję. A nawet zrobiłabym to samo, pomimo tych wszystkich strasznych przeżyć.

Nasrad spojrzał na nią z tą samą miłością i czułością, z jaką patrzył na pierwszej randce na tarasie kafejki na Covent Garden, gdzie siedzieli, schroniwszy się przed chłodem pod ogromną szklaną kopułą - wówczas nowość w ogródkach kawiarnianych - pobudzeni dawką kofeiny, która skłoniła ich do pierwszego pocałunku. Pogłaskał i pogładził żonę po twarzy i znowu ją pocałował. Maria przytuliła się do niego i zamknęła oczy. Nigdy nie przypuszczała, że dla tego mężczyzny zrezygnuje ze wszystkiego i tak wiele poświęci. A jednak była z nim właśnie tu, na prowincji afgańskiej, w zrujnowanej chacie. Bohaterka historii, w którą trudno będzie kiedyś uwierzyć jej wnukom. Oczywiście najpierw opowie ją swojej rodzinie i to będzie znacznie trudniejsze. Jeszcze się nie zastanawiała, jak to robi, a jednak przeczuwała, że nastąpi to wkrótce.

Dzień poprzedzający ich wielką ucieczkę do Kabulu - bo tak nazywała w myślach ich wyjazd - upłynął normalnie, jak każdy inny, tylko Maria była bardziej milcząca niż zwykle. Na pewno powodowała ją obawa, że wymknie się jej jakieś słowo, które ich zdradzi, i przez swoje gadulstwo zrujnuje powzięte plany. Na podwórku, kiedy kobiety prały bieliznę w balii, Mahtab podeszła do niej i spytała, czy coś się stało, ponieważ wygląda jakoś inaczej i jest dziwnie cicha.

- Nic mi nie jest. Nie martw się. Wszystko w porządku. Niepokoję się tylko o małą. Ciągłe kaszle, coś jej chrobocze w oskrzelach i ma takie dziwne oczy. Szczerze mówiąc, nie wiem, co jej dolega - skłamała Maria swojej ulubionej kuzynce. Wiedziała, że po kilku dniach, widząc, że nie wracają, dziewczyna domyśli się, co się stało. - Chcę, żeby obejrzał ją lekarz i stwierdził, co jej jest, Mahtab. To wszystko.

- Rozumiem, to normalne. Nie martw się. Zobaczysz, że nic jej nie dolega, i wkrótce będzie się beztrudnie bawić.

Maria wcale o tym nie marzyła. Potwierdzały to jej półuśmiech i charakterystyczne pociągnięcie nosem. Właśnie tego nie chciała widzieć: swojej córki baraszkującej w zaniedbanym domu teściów i siebie patrzącej na nią podczas prania razem ze szwagierkami stosów ubrań, pod czujnym i krytycznym spojrzeniem teściowej.

- Na pewno tak będzie - odpowiedziała jednak.

Zerwali się o świcie, żeby zdążyć dojechać do Kabulu. Podróż była długa i męcząca, ale brat Nasrada zaproponował, że ich zawiezie. Żołądek Marii nie był w stanie przyjąć nawet cieniutkiej porannej herbaty i kromki świeżo upieczonego chleba, chociaż usilnie próbowała udawać obojętność i przynajmniej zwilżyć gardło łykiem ciepłego płynu. Chleb postanowiła oddać dzieciom, ale one o tak wczesnej porze także nie chciały nic jeść. Nasrad musiał zatem zjeść podwójną porcję, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń.

Pożegnawszy się z całą rodziną, która przekazała im listę zakupów, przede wszystkim artykułów żywnościowych, a także materiałów, z których kobiety pragnęły uszyć nowe suknie, skończyli pakować rzeczy do samochodu. Nie było tego wiele, ale postanowili zabrać także ciepłe ubrania na wypadek, gdyby zima i chłód zaskoczyły ich w Kabulu.

W miarę jak zbliżała się pora wyjazdu, Maria była coraz bardziej zdenerwowana. Nie mogła powstrzymać myśli o możliwych komplikacjach, które przeszkodzą im wyjechać: „A jeśli nie zapali samochód, a jeśli teściowa nagle uda, że jest chora, albo mała przestanie kaszleć... Co będzie, jeśli znowu zacznie się bombardowanie albo wymknie mi się jakieś nieopatrzne słowo w ostatniej chwili. Co będzie, jeżeli...”. Na szczęście bur-



ka szczelnie ukrywała pełną niepokoju twarz Marii. Nigdy nie cieszyła się, że ma ją na sobie, tak bardzo jak wtedy. Członków rodziny może zaskoczyło to, że włożyła ją na siebie tak szybko, zanim wyszła ze swojego pokoju, ale pomyśleli pewnie, że w końcu się przyzwyczaiła i dostosowała do wymogów życia kobiety afgańskiej.

Kiedy usłyszała terkot samochodu szwagra, miała wrażenie, że to aniołowie w niebie dla niej grają. Nie wsłuchiwała się w rżenie silnika, nie przywiązywała wagi do duszącego smrodu spalonej benzyny i gwałtownych drgań starego wozu, który sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł się rozpaść na kawałki. Nie obchodziło jej to. Nie zamieniłaby go wtedy na żaden inny pojazd, nawet bardziej luksusowy. To był dla niej wyjątkowy wehikuł, jak dynia zamieniona w czarodziejską karocę. Miał ją bowiem zawieźć wprost ku szczęściu.

Maria zmusiła się, aby uważnie rozejrzeć się wkoło i zapamiętać wszystko, co zostawia za sobą. Pragnęła zachować wszelkie szczegóły zgromadzone i zapisane na twardym dysku jej pamięci, do którego mogłaby sięgać, gdyby kiedyś chciała przypomnieć sobie ten tragiczny etap swojego życia. Pragnęła się upewnić, że już nigdy nie dotknie stopą tej ziemi ani nigdy więcej nie zamieszka kątem u teściowej, że nie będzie musiała chodzić po wodę ani rozpalać ognia. Na chwilę zamknęła oczy, jakby broniąc się przed napływem nowych informacji; zgromadziła ich już wystarczająco dużo i nie chciała obciążać pamięci. Nasrad obserwował ją w lusterku wstecznym samochodu i uznał, że zasnęła. Ucieszył się. „Niech lepiej odpocznie, zbierze siły przed tym, co nas czeka w Kabulu” - pomyślał.

CZĘŚĆ TRZECIA

POBYT W KABULU

Podróż do stolicy trwała ponad sześć godzin. Maria przyglądała się widokowi za oknem oczami ciekawskiego dziecka, które znalazłszy się w wesołym miasteczku, nie chce przegapić żadnej atrakcji ani przeoczyć żadnego szczegółu. Porównywała afgańską wieś teściów z tym, co pojawiało się za szybą samochodu. Po raz pierwszy się uśmiechnęła - i sama była tym zdziwiona - na widok sklepów, prawdziwych sklepów, a nie obwoźnych kramów, do jakich przyzwyczaiła się w rodzinnej wiosce męża. Normalne sklepy - z witrynami, wystawami, manekinami, ładnie ułożonymi towarami, przyciągającymi wzrok potencjalnych klientów, oraz wielkimi afiszami oferującymi promocje i przeceny. Samochód szwagra poruszał się wolno po zatłoczonych ulicach Kabulu, obrazy przesuwaly się zatem przed oczami Marii jak w zwolnionym tempie: sklepy z konfekcją, spożywcze, ze sprzętem domowym i radiowo-telewizyjnym, z obuwem, poczty, kabiny telefoniczne, banki, restauracje, kina. Dostrzegła nawet zakład fryzjerski handlujący artykułami do układania włosów. „Zakład fryzjerski. Cóż za absurdalny wydatek. Coś takiego” - pomyślała, podnosząc brwi ze zdziwienia. Wyobrażała sobie, jak wchodzi do tych wszystkich sklepów, ogląda towary, dotyka, maca, wybiera, przymierza, a nawet coś kupuje.

W ciągu paru minut zauważyła ogromną przepaść dzielącą miejscowość, w której mieszkała do tej pory, od Kabulu. Natychmiast zaczęła

snuć plany o nowym, lepszym życiu. Już od dawna pragnęła tu przyjechać i w końcu jej marzenie się spełniło. Pamiętała jeszcze krótką, nieudaną eskapadę sprzed paru miesięcy, ale postanowiła szybko wymazać to wspomnienie, ponieważ przeszkadzało jej patrzeć w przyszłość z nadzieją i optymizmem.

Gdy opuścili centrum Kabulu - które, jak dowiedziała się później, było nastawione głównie na turystów i ludzi zamożnych - czekały ich jeszcze dwie godziny jazdy samochodem.

Dom, w którym mieli przenocować, znajdował się na przedmieściach. Należał do wuja Nasrada. Chcieli się u niego zatrzymać na trzy dni i przez ten czas przyzwyczać do nowego miasta, a przy odrobinie szczęścia znaleźć jakieś lokum bądź wynająć pokój przy rodzinie. Dopiero wtedy mogli zacząć nowe życie.

W domu wujostwa zgotowano im życzliwe i serdeczne przyjęcie. Krewni cieszyli się z ich przyjazdu i przez cały czas starali się okazać im radość i czułość, przede wszystkim dzieciom. Pierwszego wieczoru częstowano ich przysmakami, jakich, przyzwyczajeni do niedostatku żywności na wsi, od dawna nie jedli. Ciotka podała duszone mięso z ziemniakami, ryżem i warzywami - to danie smakowało wszystkim - do tego typowe afgańskie orzeszki, które Maria uwielbiała, oraz chleb, słodkie placki, daktyle i owoce. Na dodatek jedli kolację przy świetle elektrycznym, od którego już niemal odwykli. Ta niespodziewana jasność przywróciła im wiarę w lepsze jutro. Krewni wyjaśnili, że w Kabulu włączają wieczorem prąd na parę godzin, co wystarczy, żeby ugotować, zjeść, porozmawiać, posprzątać dom, umyć się i zrobić inne niezbędne rzeczy.

Maria słuchała tego zafascynowana, miała wrażenie, że śni na jawie. „Kilka godzin dziennie światła elektrycznego. Mój Boże, jestem coraz bliżej cywilizacji. Trwało to prawie dwa lata, ale w końcu mi się udało” -myślała z nadzieją.

Po kolacji położyła dzieci do łóżek i zasiadła wraz z mężem do herbaty z nowo poznanymi krewniakami. Po raz pierwszy od kilku lat piła powoli herbatę i czuła, jak przepełniają szczęście.

Następnego dnia, po spokojnie przespanej nocy, wstała pełna zapału do organizowania nowego życia. Wiedziała, że sama, bez męża czy innego mężczyzny z rodziny, nie może wyjść na ulicę, przekonywała zatem Nasrada, żeby jak najszybciej wyruszyli na poszukiwanie jakiegoś niezależnego lokum. Okazało się, że już o tym pomyślał i za radą wuja pójdzie najpierw z mężczyznami, aby obejrzeć parę mieszkań do wynajęcia. Tak też zrobili.

Maria przez całe popołudnie siedziała w domu, zajmując się dziećmi. Chciała wyrzucić przez okno, ale żona wuja ostrzegła ją, że to niebezpieczne. Dopiero wtedy spostrzegła, że szyby okienne pokryte są czarną farbą i zasłonięte grubymi, gęstymi zasłonami. Gdy spytała dlaczego, ciotka wyjaśniła, że to spadek po surowych rządach talibów; kobiety nie mogły się pokazywać w oknach. Prawdę mówiąc, nie zdziwiło to nawet Marii. Wiedziała już, że Kabul nie jest rajem dla kobiet, a to był tylko kolejny dowód. Postanowiła jednak przestrzegać tego zakazu, żeby uniknąć jakiegoś nieszczęścia.

Nowo poznana ciotka Nasrada zauważyła, że na twarzy młodej kobiety pojawia się smutek. Postanowiła zatem opowiedzieć jej, jak naprawdę wygląda życie kobiet w Kabulu.

- Chodź, Mario. Zaparzymy herbatę i porozmawiamy spokojnie. Sądzę, że jest wiele spraw, o których powinnaś wiedzieć, żeby przeżyć w tym mieście - powiedziała ciepłym macierzyńskim tonem. - Nie przejmuj się za bardzo. Musisz tylko zapamiętać to, co ci powiem, żeby uniknąć kłopotów. To nie jest Hiszpania czy Londyn ani nawet miejscowość, z której przyjechałaś. Życie w Kabulu oznacza drastyczną zmianę dla ciebie i twojej rodziny.

Pijąc herbatę i objadając się typowymi miejscowymi przysmakami, Maria stała się widzem szczególnego spektaklu, a właściwie słuchaczem dramatycznej opowieści. Ciotka opowiadała, że w Afganistanie, po dwudziestu pięciu latach wojny i pięcioletnich rządach talibów, podstawowe prawa kobiet są właściwie utopią. W ogóle przestały istnieć. Nikogo to nie interesowało, nikt nie walczył ani nie zabiegał o równouprawnienie.

Gdy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku do władzy doszli talibowie, kobietom odebrano wszelkie prawa do wolnego i godnego życia. Musiały siedzieć zamknięte w domach i usługiwać mężczyznom. Na ulice mogły wychodzić wyłącznie za pozwoleniem i w towarzystwie mężczyzny z rodziny. Zabrano im prawo do pracy, nauki, spotykania się. Przy mężczyznach musiały milczeć, nie mogły nawet wydawać żadnego dźwięku mogącego rozdrażnić mężów czy innych członków rodziny, oczywiście płci męskiej. Nie mogły oddychać za głośno, a jedynie bezszelestnie przemykać się w miękkich kapciach, aby pod żadnym pozorem im nie przeszkadzać. Każdy nieuzasadniony hałas mąż mógł potraktować jako bezczelną zaczepkę. A mężczyzn nie należało prowokować.

Zabroniono kobietom wstępu do urzędów i instytucji publicznych, nie mogły pracować ani nawet samodzielnie załatwiać spraw. Nie wolno im było studiować na wyższych uczelniach. Większość szkół dla dziewcząt zamknięto, na skutek czego drastycznie spadł poziom wykształcenia kobiet - tylko pięć procent żeńskiej populacji potrafiło czytać i pisać. Dla talibów szkoła była jak otwarta brama do piekła i tak ją nazywali. Wyrzucono ze szkół nauczycielki, ze szpitali lekarki, z sądów prawniczki. Kobiety nie mogły zajmować się pisaniem ani polityką. Nie wolno im było również wykonywać zawodu inżyniera czy technika. Nie mogły prowadzić samochodów. Zabroniono im dostępu do usług medycznych, przez co drastycznie wzrósł wśród nich poziom śmiertelności. Wielu wypadków śmierci można było uniknąć, gdyby w porę udzielono im pomocy lekarskiej. Krążyły opowieści, stanowiące czarną legendę reżimu talibów, o kobietach, które stały się ofiarami wypadków drogowych i umierały z upływu krwi albo z powodu odniesionych ran, bo szpital, do którego zostały przewiezione, odmawiał im pomocy; lekarze mężczyźni nie mogli dotykać nieczystego kobiecego ciała. Diabetyczkom nie podawano insuliny czy innych lekarstw ratujących życie. Dla kobiet nie warto było marnować leków. Nie opłacało się.

Brak opieki lekarskiej sprawił, że Afganistan znalazł się na drugim miejscu, jeśli chodzi o wskaźnik śmiertelności okołoporodowej, jeden

z najwyższych na świecie. Oznaczało to, że co roku ponad piętnaście tysięcy kobiet umierało z powodu powikłań ciążowych oraz podczas porodu, i nie były to dokładne dane.

Ciotka Nasrada snuła swoją pełną tragizmu opowieść, a Maria z trudnością przełykała herbatę. Mało się nie zachłysnęła, kiedy usłyszała, że dziewięćdziesiąt procent afgańskich kobiet rodziło w domach, tylko przy pomocy domorosłych znachorek, matek lub kuzynek. Rzadko trafiały do szpitali, przede wszystkim z powodu braku dostępności oraz braku pieniędzy. Wskaźnik śmiertelności wśród położnic należał do najwyższych na świecie. W tym momencie rozmowy - a raczej monologu ciotki - Maria przypomniawszy sobie dwa swoje porody i zrozumiała, że ostatecznie miała więcej szczęścia, niż mogła to sobie wyobrazić. Głęboko współczuła tym wszystkim kobietom, którym się nie udało. Sama poczuła się niemal szczęściarą.

Z dalszych słów ciotki wynikało, że jeśli jakaś kobieta próbowała złamać któryś z zakazów albo przyłapano ją na słuchaniu muzyki, czytaniu książek, oglądaniu bądź robieniu zdjęć lub oglądaniu telewizji, była torturowana, prześladowana, dręczona, a nawet zabijana. Nie było dla niej ani współczucia, ani przebaczenia.

Te informacje przeraziły Marię. Wstrząśnięta ogromem krzywd i nieprawości, o których usłyszała, dostała skurczu gardła. Nie mogła nawet przełknąć śliny. Wszystkimi zmysłami chłoneła dramatyczną opowieść. Wsłuchiwała się w tragiczną relację o niewyobrażalnych dla niej sprawach.

Kiedy pieczenie w wyschniętej krtani stało się nie do zniesienia, zdołała wreszcie przełknąć ślinę i zwilżyć gardło. Dopła herbatę, mając wrażenie, że zamiast płynu przełyka ciernie. A jednak przyniosło jej to niespodziewaną ulgę.

Najgorsze miało jednak dopiero nastąpić, gdy ciotka Nasrada przeszła od suchych faktów do opowiadania o tragicznych losach kobiet, które znała osobiście. Były to prawdziwe historie, o osobach z krwi i kości, sąsiadkach i znajomych, które nadawały wiarygodności suchym, przerażającym danym statystycznym. I właśnie to było najstraszniejsze.

Ciotka miała przyjaciółkę, z zawodu nauczycielkę. Odebrano jej książki i materiały dydaktyczne, wyrzucono na ulicę, pozbawiono pracy, prawa do wykonywania zawodu, a tym samym środków do życia. Na ulicy została dotkliwie pobita, zagrożono jej publicznym sądem i skazaniem, jeśli kiedykolwiek i gdziekolwiek, nawet w domu, ośmieli się przekazywać wiedzę choćby własnym dzieciom. Właśnie na dzieciach talibowie skupili swoje groźby. Zagrożono, że jeśli nauczycielka nie postąpi zgodnie z rozkazem nowych władz, dzieci zostaną poddane torturom, a potem zamordowane, tylko z powodu niesubordynacji ich matki. Cały ten tragiczny spektakl miał się odbyć na jej oczach. Straszono, że potem ją także zabiją, tak jak jej potomstwo.

Ciotka opowiedziała też o swojej sąsiadce, która mieszkała tuż obok, drzwi w drzwi. Była młoda, ładna i pomimo delikatnego zdrowia miała wielką wolę życia. Skończyła dwadzieścia sześć lat, a zatem była prawie rówieśnicą Marii. Bardzo kochała swego męża, z którym była w ciąży. Wydawało się, że odmienny stan dodał jej zdrowia i siły, choć zawsze była słaba, krucha i chorowita. Jej mąż nie miał pracy, nie był w stanie zapewnić utrzymania rodzinie. Całe dni spędzał poza domem, szukając jakiegokolwiek zajęcia. Kiedy kobieta nie znalazła już w domu nic do jedzenia, postanowiła wyjść do sklepu czy na bazar, chociaż dobrze wiedziała, co ryzykuje: mogła zostać przyłapana przez talibę, który w najlepszym wypadku wychłoszcze ją, póki starczy mu siły, i porzuci ranną i zakrwawioną gdzieś w zaułku, a w najgorszym przypadku porwie, zgwałci i podda torturom, a w końcu zabije w niewyobrażalnie okrutny sposób. I oczywiście nie zostanie o nic obwiniony ani oskarżony. Wręcz przeciwnie.

Sąsiadka miała „szczęście”. Mężczyzna, który przyłapał ją samą na ulicy, bez towarzystwa męża czy krewnego, zadowolił się brutalnym pobiciem, po czym zostawił ją, posiniaczoną, pokrwawioną i z krwotokiem z macicy. Gdy mąż ją odnalazł, bał się odwieźć kobietę do szpitala. Lękał się, że będzie musiał opowiedzieć, iż jego żona złamała prawo i wyszła sama na ulicę, dlatego zaniósł ją do domu. Jej siostra ją opatrzyła, zbadała i stwierdziła, że ich nienarodzone dziecko zmarło z powodu brutalne-



go pobicia. To był pięcioipółmiesięczny płód. Po dwóch tygodniach znaleziono tę kobietę martwą w domu. Wybrała samobójstwo, tak jak setki, tysiące afgańskich kobiet, dla których było ono jedyną ucieczką od uciemnienia, niesprawiedliwości i krzywd.

Ciotka Nasrada z trudem mówiła dalej. Zbyt wiele wspomnień przywołała. Za dużo wywołała emocji i uczuć niemożliwych do wyciszenia, do stłumienia. Trudno jej było o tym wszystkim opowiadać, ale za przykładem Marii przełknęła łyk herbaty i ciągnęła swoją wstrząsającą relację.

Tym razem dotyczyła ona kobiety, której samo wspomnienie sprawiło, że ciotka zatopiła wzrok w fusach z herbaty zalegających na dnie filiżanki, poruszając je łyżeczką mechanicznie, bezwiednie.

Tej kobiety nikt w bloku tak naprawdę dobrze nie znał, a jednak wszyscy wspominali ją, jakby była ich dobrą znajomą. Historia dotyczyła drobnego potknięcia, głupiego, trwającego może pięć, najwyżej sześć sekund, niedopatrzenia, potraktowanego jednak jako poważne wykroczenie, a nawet przestępstwo, którego konsekwencje okazały się tragiczne. Kobieta stała przy jednym z ulicznych straganów na placu targowym. Wyszła z domu w towarzystwie dwóch nieletnich synów. Żaden z nich nie przekroczył jeszcze dziesięciu lat. Nie chciała wychodzić na ulicę bez towarzystwa mężczyzny, więc dzieci płci męskiej miały stanowić dla niej ochronę. Wiedziała jednak, na jakie ryzyko się naraża, i nie chciała prowokować sytuacji, która wywołałaby gniew jakiegoś przechodzącego obok taliba.

Kiedy robiła zwykłe zakupy, podmuch wiatru obnażył jej rękę, odkrywając ją na ułamek sekundy. Nie zdążyła nawet zauważyć, co się dzieje, i poprawić burki. Zanim ściągnęła podwinięty przypadkowo materiał, zakrywając szczelnie ciało, już stało przed nią dwóch talibów. Na oczach dwóch małych synów kobieta została śmiertelnie pobita, zatłuczona na śmierć. Chłopcy zaniemówili, zdumieni i przerażeni okrutną karą wymierzoną ich matce przez obcych mężczyzn. Nie potrafili zareagować. Również inni ludzie, świadkowie tego wydarzenia, ograniczyli się do biernego patrzenia. Nikt nie odezwał się słowem. Nikt nie stanął w jej obronie. Nikt nie próbował jej pomóc, bo ludzi stojących w obronie niewinnej

ofiary potraktowano by z takim samym okrucieństwem, nawet gdyby to byli mężczyźni.

Talibowie odeszli. Chłopcy, pozbywając się wreszcie paralizującego strachu, jaki ich ogarnął podczas brutalnej sceny bicia, płacząc, przypadli do bezwładnego, nieruchomego ciała matki. Nie dawała żadnych oznak życia. Po jakimś czasie przyszło trzech mężczyzn z ich rodziny. Zabrali dzieci oraz zwłoki kobiety, którą przez pozornie niewinny powiew wiatru skazano na okrutną, bezlitosną śmierć.

Kolejny przypadek to oskarżenie, jakie jeden z sąsiadów rzucił na siedemnastoletnią dziewczynę, pomawiając ją o nieprzyzwoite zachowanie. Chociaż był oskarżycielem, wolał pozostać anonimowy, a sąd wyraził na to zgodę i mężczyzna nie musiał nawet zeznawać. Dziewczyna mieszkała tylko z matką, wdową, taką samą jak trzydzieści tysięcy wegetujących w Kabulu owdowiałych kobiet. W ich najbliższym otoczeniu nie było żadnego mężczyzny oprócz szwagra, który od czasu do czasu odwiedzał je i przynosił im żywność, bo zgodnie z surowym prawem talibów nie mogły wyjść same na ulicę.

Dziewczyna nie zrobiła nic złego prócz tego, że wyszła wieczorem z domu, co dla sądu było przekonującym dowodem, iż zajmuje się prostytutką albo dopuściła się cudzołóstwa czy innego przestępstwa o charakterze seksualnym. Nieistotne, że w jej wypadku te zarzuty były absurdalne i niepotwierdzone. Uwierzono sąsiadowi, mężczyźnie, który pewnie miał obsesję na jej punkcie albo czuł się urażony, bo nie odwzajemniała jego uczuć.

Pewnego wieczoru, kiedy dziewczyna wracała do domu razem ze szwagrem z wyprawy po żywność, nieoczekiwanie zatrzymało ich kilku mężczyzn. Nawet nie wyjaśnili, o co im chodzi. Brutalnie pobili próbującego ich powstrzymać szwagra. Otrzymał ciosy w brzuch i w głowę, po czym długo nie mógł odzyskać przytomności.

Niewinną dziewczynę najpierw poddano karze publicznej chłosty. Potem zaciągnięto ją, bijąc po drodze metalowymi pałkami, szturchając kolbami karabinów maszynowych, kopiąc i maltretując, do domu, w którym ci sami mężczyźni przez kilka dni ją gwałcili. Później, krańcowo wyczer-

paną, okaleczono, pozbawiając narządów płciowych. Kiedy sądziła, że już nic gorszego jej nie spotka, okryto ją szczelnie burką, wywieziono na pustkowie i tam ukamienowano. Miała zaledwie siedemnaście lat. Z jej ust nie mogła paść ani jedna skarga, usprawiedliwienie czy słowo obrony. Ani jedno. Może w ostatnich chwilach życia przypomniała sobie werset, tyle razy słyszany w meczecie, do którego chodziła w towarzystwie wuja, kiedy kobiety mogły się tam jeszcze modlić: „Kobieta to kwiat, który powinien pozostawać w domu, w ciszy i spokoju, hojnie podlewany, aby mężczyzna po powrocie mógł się napawać jego aromatem i cieszyć urokiem”. Może wtedy zrozumiała, że lepiej było umrzeć w domu z głodu i wycieńczenia, niż zostać zgwałconą, pobitą, okaleczoną i w końcu ukamienowaną. Ale na wnioski było już za późno.

Ta ostatnia opowieść przypomniała Marii historię kobiety, którą podobno jako pierwszą skazano na śmierć w publicznej egzekucji. Było to w Kabulu, kilka lat po przejęciu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku władzy przez talibów. Zdarzyło się dokładnie dwudziestego trzeciego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, a więc w tym samym roku, w którym Maria wyszła za mąż za Nasrada. Tej daty nie mogła zapomnieć.

Kobieta imieniem Zarmeena miała siedmioro dzieci. Została oskarżona o zamordowanie własnego męża. Zgodnie z oświadczeniem sądu talibów skorzystała z okazji, że mąż śpi, i zatłukła go młotkiem. Oskarżenie postawił jeden z żołnierzy talibów, którego nazwiska nigdy nie ujawniono. Zachowano także w tajemnicy wszelkie szczegóły mogące zdradzić jego tożsamość, tak aby kobieta nigdy się nie dowiedziała, kto ją oskarżył. Była zdaniem sądu winna, ponieważ tak oświadczył i postanowił jakiś nieznany z imienia talib. Inne dowody czy próba obrony były nieistotne.

Zarmeeneę wepchnięto do suki więziennej i przewieziono na stadion miejski. Strzegły jej dwie policjantki. Trzymały ją mocno, żeby nie zasłabła z przerażenia i nie upadła, a przede wszystkim aby zapobiec jakiegokolwiek próbie ucieczki czy samookaleczenia, chociaż żaloszny stan fizyczny i psychiczny kobiety raczej to wykluczał. Policjantki zaciągnęły Zarme-

enę na środek stadionu, na którym kiedyś ludzie gromadzili się po to, żeby oglądać mecze czy inne imprezy sportowe.

Widowisko, w którym mieli uczestniczyć tamtego dnia, miało jednak zupełnie inny charakter i bardziej przypominało okrutne igrzyska rzymskie niż zawody sportowe.

Na samym środku stadionu policjantki kazały Zarmeenie usiąść, a w zasadzie brutalnie pchnęły ją na ziemię, dając wyraźnie do zrozumienia, kto decyduje, a kto musi słuchać.

W przeciwieństwie do tysięcy ludzi zebranych na trybunach i przypatrujących się z uwagą egzekucji Zarmeena raczej wyczuła, bo nie mogła tego widzieć, że z tyłu podchodzi do niej żołnierz i mierzy z kałasznikowa w jej potylicę. Właśnie wtedy, pod wpływem impulsu, a może instynktu, który podpowiedział jej - jak osaczonemu zwierzęciu, na kilka sekund przed strzałem przeczuwającemu śmierć - co ją czeka, kobieta próbowała się poderwać. Ten zamiar udaremnił jednak żołdak, zadając jej cios kolbą w głowę, choć nie na tyle mocny, żeby ją zabić. Nie zginęła od uderzenia w głowę.

Żołnierz był być może niedoświadczony, a może pragnął się trochę rozerwać podczas wykonywania tego makabrycznego zadania, odczekał bowiem jeszcze kilka sekund, zanim oddał dwa strzały z karabinu w głowę Zarmeeny, odbierając jej życie. Ale nie od razu. Widzowie tej pierwszej publicznej egzekucji, którzy znieruchomieli na swoich miejscach, żeby nie stracić ani jednego szczegółu spektaklu, widzieli, jak ciało konającej kobiety - szczelnie zakryte burką, na której ogromniały dwie czerwone plamy, wsiąkając w błękitny materiał - ogarniają spazmatyczne drgawki i przedśmiertne konwulsje. W końcu znieruchomiało. Wtedy licznie przybyła publiczność wstała i skierowała się do wyjść. Niektórzy wznosili okrzyki: „Allah jest wielki”, i komentowali na głos szczegóły egzekucji. Były tam kobiety, mężczyźni i dzieci. Wielu z tych ludzi zostało zmuszonych do uczestnictwa w tym okrutnym widowisku tylko po to, aby na zawsze zapamiętali, jakie są prawa talibów. „Oto sprawiedliwość talibów”-mówili jedni. „To najczystsza interpretacja islamu, najwierniejsze pojmowanie treści Koranu” - dodawali inni. „Zabiła swojego męża i za-

służyła na to, żeby tak zginąć" - twierdziły kobiety, które przed paroma minutami szukały miejsca, z jakiego najlepiej byłoby widać egzekucję. Ale wielu, a nawet większość, wychodziło w milczeniu. Tak jak przyszli. Tylko z nowym obrazem wyrytym w pamięci, obrazem, którego nie da się wymazać.

Koniec igrzysk. A przynajmniej tamte skończyły się owego ranka w Kabulu. Takie same egzekucje odbywały się jednak w innych miejscach Afganistanu. I to przez wiele lat.

W pewnej chwili Maria poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma. Wezbrały w niej pytania bez odpowiedzi, powstrzymywane emocje i łzy, wreszcie bezsilność. Nagromadzone uczucia ją przerosły i musiała się od nich uwolnić.

Nie chciała dłużej słuchać opowieści ciotki, nie wiedziała tylko, jak jej o tym powiedzieć i czy ma do tego prawo. Była poruszona i wstrząśnięta relacjami przekazywanymi jej przez całe przedpołudnie. Jej rozmówczyni również ciężko to przeżywała, ale była przekonana, że musi o tym opowiedzieć, aby Maria zachowywała się ostrożnie i rozważnie, i wiedziała, że przezorności nigdy nie jest za wiele.

Ona zaś, kiedy przestała się skupiać na słowach krewnej, pomyślała, że pomysł ucieczki do Kabulu w poszukiwaniu nowego, lepszego życia nie był, być może, najlepszy ani najszcześniejszy. Uświadomiła sobie, że w rodzinnej miejscowości męża musiała znosić tylko szykany teściowej, a jej obawę budziły jedynie wybuchy gniewu, złości i furii starej kobiety oraz kłamstwa, jakie wymyślała na temat synowej. Nie było tam jednak takich zagrożeń jak w Kabulu, o których właśnie dowiedziała się od ciotki. Prawdę mówiąc, Maria rzadko opuszczała cztery ściany domu teściów, dlatego myśli o sytuacji panującej w kraju nie zaprzętały jej głowy.

Kobiety nawet nie zauważyły, kiedy minęło przedpołudnie i nadeszła pora obiadu. Zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych przywrócił je do

rzeczywistości. Pograżeni w ożywionej rozmowie Nasrad z wujem wracali do domu. Spojrzały na siebie. Odetchnęły głęboko i uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo, mając świadomość posiadania wspólnego sekretu, choć dalekie były od prawdziwej radości.

- Lepiej weźmy się do gotowania obiadu, pewnie wrócili głodni - zaproponowała ciotka, wstając i zbierając filiżanki po herbacie. Spojrzawszy na Marię, wyszeptała: - Pamiętaj o wszystkim, co ci opowiadałam. Pewnego dnia może ci to uratować życie. - Mówiła te słowa z uśmiechem, pod którym kryła się jednak powaga malująca się na jej twarzy przez cały ranek.

Nasrad powrócił ze znakomitą nowiną: znalazł dla nich odpowiednie lokum, pokój do wynajęcia. W Kabulu było to normalne - w cztero- lub pięciopokojowych mieszkaniach każde pomieszczenie zajmowała inna rodzina. Ich nowy dom znajdował się zaledwie dwie godziny drogi od centrum i był idealny dla całej czwórki.

- Co się z tobą dzieje, Mario? Nie cieszysz się? Myślałem, że tego właśnie chciałeś - powiedział Nasrad, nie dostrzegłszy żadnej oznaki radości na twarzy żony.

Brak ożywienia z jej strony nie miał jednak związku z dobrą wiadomością, jaką przyniósł. Ciągle jeszcze czuła się wstrząśnięta i przerażona relacją ciotki. Obawiała się, że te dramatyczne historie z tragicznym finałem, których słuchała przez całe przedpołudnie, mogą wpłynąć na jej plany rozpoczęcia nowego życia wraz z mężem i dziećmi w Kabulu.

- Ależ oczywiście, Nasradzie. Wspaniale. Jestem taka szczęśliwa.

- Kto by pomyślał? - odparł, próbując doszukać się na twarzy żony jakichkolwiek oznak szczęścia czy radości. - Czy coś się stało, Mario? Dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że tak. Jestem tylko trochę zmęczona po tylu emocjach i zaskoczona nowinami - próbowała wyjaśniać. - Kiedy pokażesz mi nowe mieszkanie?

- Za dwa dni się przeprowadzamy. Potrzebne są nam dwa materace, koce, stół i kilka krzeseł. Trudno będzie to zdobyć, bo nie mamy pieniędzy. Mam nadzieję, że ktoś nam pomoże.

- To nie będzie trudne. Po południu wybierzemy się odwiedzić kilku moich krewnych i przyjaciół, i spróbujemy zebrać niezbędny sprzęt. Na pewno coś dostaniemy. Afgańczycy są hojni, zwłaszcza ci biedni - zapewnił wuj.

Dwa dni później Maria zagospodarowywała niewielką powierzchnię, wykorzystując każdy skrawek podłogi pokoju, który miał być ich nowym domem. Pomieszczenie nie miało więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych, ale dla niej był to prawdziwy pałac. Ściany nie nosiły śladów grzyba czy wilgoci, do których Maria nigdy się nie przyzwyczaiła w domu teściów. Nie czuła też przenikliwego zimna, prawdopodobnie z powodu natłoku ludzi w jednym niewielkim lokum.

Pomimo wstrząsających opowieści zasłyszanych od ciotki przed dwoma dniami, była pełna optymizmu i nadziei na lepszą przyszłość. Być może dlatego, że w ciągu ostatniej doby doświadczyła wiele dowodów życzliwości i hojności ze strony Afgańczyków, i to tych biednych, o których wspomniał wuj Nasrada. Krewni podarowali im dwa materace. Przyjaciele i znajomi zdobyli koce, garnki, rondel, cztery szklanki, talerze i sztucce. Ofiarowali im również trochę pieniędzy.

Historia się powtarzała. To był początek nowego życia, i zarówno Maria, jak i Nasrad wiedzieli, że nie będzie ono łatwe. Pomoc otrzymana od krewnych i znajomych bardzo im ułatwiła ten start, dodała otuchy oraz sił koniecznych do pokonania trudności i zaakceptowania zmian.

Nowi sąsiedzi przyjęli ich życzliwie i chociaż wszyscy żyli w nędzy, tak jak większość mieszkańców Kabulu, nie wahali się dzielić z nimi żywnością, zwłaszcza podczas pierwszych dni po zasiedlinach, kiedy nowi lokatorzy nie mieli pracy.

Życzliwość i pomoc otrzymywana od obcych ludzi zawsze zaskakiwały Marię. „Jak to jest, że dzielą się z nami wszystkim, dają chleb naszym dzieciom, a nawet mleko dla całej naszej czwórki, skoro sami mają tak mało?” - zastanawiała się. Nie była pewna, czy ona sama zdobyłaby się na taki gest. Woląла myśleć, że tak. Pojęcie egoizmu już dawno przestało dla niej istnieć. Wśród powszechnej nędzy nie było na nie miejsca.



Po tygodniu spędzonym w Kabulu Maria musiała przyznać, że życie było tu trochę łatwiejsze niż w domu teściów. Nie musiała wyprawiać się po wodę ani ogrzewać cebrzyka w promieniach słońca, jeśli potrzebowała ciepłej. Nie musiała, tak jak na wsi, rozpalać ognia pod kuchnią. W nowym, miejskim domu znowu odkryła dobrodziejstwo elektryczności, choć światło padało tylko z jedynej żarówki zwisającej na kablu z sufitu. Mogła wreszcie spojrzeć swoim dzieciom w oczy. Jej rodzina przestała być grupą spowitych mrokiem cieni, tak jak u teściów, gdzie po zachodzie słońca w całym domu zapadały ciemności.

Na podłodze nie gromadziła się wilgoć, na ścianach nie było grzyba. Oprócz światła elektrycznego i bieżącej wody kolejnym luksusem, którym się cieszyli i pozwalali sobie nań od czasu do czasu, było mleko. Kiedy tylko było ich na to stać, kupowali przynajmniej kwartę. Wtedy Maria podawała dzieciom szklanekę mleka. Mimo że musiały się nim dzielić, było rarytasem. Patrząc na nie, jak piją ten odżywczy biały płyn, miała wrażenie, jakby to ona sama odnosiła z tego korzyść. I w pewnym sensie tak było. Dzień po dniu syciła się widokiem jedzących dzieci.

Dni mijały i stopniowo topniała hojność krewnych i znajomych. Wszyscy byli bardzo uprzejmi i szczerzy, pomagając nowym sąsiadom w urządzaniu się, ale w końcu Nasrad i Maria musieli zacząć żyć na własną rękę. Tak też zrobili.

Nasrad zatrudnił się przy myciu samochodów: pucował szyby, koła, czyścił wnętrza. Odważył się nawet na mycie silników, którą to umiejętność zawdzięczał wieloletniej pracy w fabryce Land-Rovera w Londynie. Pracy nie było jednak za dużo, wręcz przeciwnie. Pracował tylko kilka godzin dziennie, bo chętnych było mnóstwo, a samochodów do mycia mało. Nasrad martwił się tą sytuacją, zdarzało się, że wpadał w skrajną desperację. Wiedział, że ze swoimi umiejętnościami i doświadczeniem zasługuje na lepszą pracę i wyższe wynagrodzenie, które zapewniłoby im dostatnie życie zamiast skromnej wegetacji. Ta konieczność poddania się losowi oraz poczucie bezsilności, że nie może polepszyć warunków bytowych swojej rodziny, sprawiły, że wracał do domu przybity, pokonany, ze spuszczoną głową, bez apetytu. Najbardziej martwiło Marię to, że nie

miał nawet ochoty odzywać się do niej. Na próżno próbowała wyciągnąć z niego choć parę słów albo przynajmniej do paru minut przedłużyć rozmowę.

Nawet obecność dzieci nie poprawiała mu nastroju i nie mogła wyrwać ze stanu wewnętrznej izolacji, w której tkwił. Noc także nie przynosiła ukojenia. Leżąc obok męża w łóżku, Maria widziała, że dręczy go niepokój. Przez pierwsze noce myślała, że Nasrad nie może przyzwyczać się do materaca, ponieważ długo sypiali na kocu rozłożonym na podłodze. Szybko jednak przestała się łudzić. Wiedziała, że coś jest nie tak. Sądząc z zachowania męża oraz widząc, że ciągle brakuje im pieniędzy na najpilniejsze wydatki, zorientowała się, że dzieje się coś złego. Dochody nie wzrastały i wkrótce zaczęło brakować jedzenia. Dzieci tego nie odczuły, ale ich rodzice tak. Maria nic z tego nie rozumiała, bo mąż wychodził o świcie i wracał późnym wieczorem, już po zmroku. Całe dni spędzone poza domem, w pracy, nie przynosiły jednak owoców. Coś tu nie pasowało. Postanowiła podzielić się z nim wątpliwościami. Wtedy Nasrad się przed nią otworzył. Wyrzucił z siebie poczucie winy, które dręczyło go od tygodni, a nawet od miesięcy. Nie wytrzymał dłużej napięcia i wybuchnął.

- Mario, wszystko idzie źle. Nie ma pracy. Szukałem wszędzie i nie znalazłem. Mam dość wychodzenia codziennie o świcie, pełen złudzeń, które powoli ulatniają się podczas dnia, a ja tracę nadzieję. Mam przecież odpowiednie kwalifikacje i doświadczenie zawodowe. Okazuje się jednak, że w mojej ojczyźnie nie ma to żadnego znaczenia, wręcz przeciwnie. Biorą mnie za cudzoziemca, nie szanują i nie dają mi najmniejszej szansy, żebym udowodnił, ile jestem wart.

Podczas tego niespodziewanego wybuchu Nasrad podniósł głos i przybrał dramatyczny ton, co wcale nie poprawiło Marii nastroju. On natomiast dalej wyrzucał z siebie pełne gorzkości słowa:

- Jestem do niczego, do niczego niezdatny. I pełen winy. Wiem, że to wszystko przez mnie. Jestem winny temu, co się z tobą dzieje, i to mnie wykańcza. Nie mogę tak dłużej żyć. Kocham cię, Mario. Kocham cię ponad życie, chociaż takich uczuć nie wpojono mi w domu. Kocham cię

i pragnę dla ciebie wszystkiego co najlepsze. Odkąd cię poznałem, pragnąłem dać ci wszystko. Chciałem troszczyć się o ciebie, chronić cię, dbać, abyś miała wszystkiego pod dostatkiem... A teraz czuję się zupełnie do niczego. - Nasrad mówił tak wzburzonym głosem, że spodziewała się najgorszego. - Muszę cię stąd wyciągnąć, Mario. Będę walczył, żebyś ty z dziećmi wyjechała z Afganistanu. Zaslugujecie na lepszy los. Należy wam się dostatnie życie, a ja nie mogę wam tego zapewnić. - Chwycił się obiema rękami za głowę, tak jakby się bał, że zaraz mu pęknie. - Co ze mnie za mężczyzna, Mario? Jaka ze mnie głowa rodziny, skoro nie potrafię utrzymać ani ciebie, ani naszych dzieci? - Wciąż się obwinał, nie dając jej dojść do głosu. - Nie powinienem się zgodzić, żebyś przyjechała ze mną do Afganistanu. Od tamtej pory wszystko idzie źle. Zobacz, jakie życie ci zapewnilem! Patrz, w jakich warunkach dorastają nasze dzieci! To nie jest sprawiedliwe. Nie powinienem był ci tego robić. To wszystko moja wina. Wszystko przeze mnie.

Maria stała cicho w kącie pokoju i z przerażeniem słuchała słów męża. Przez chwilę myślała, że oszalał, a ona nie potrafi wydusić z siebie ani jednego słowa, które wydobyłoby go z otchłani rozpaczony i dodało otuchy.

W końcu odzyskała panowanie nad sobą i równowagę, z której wytrącił ją pełen goryczy i samooskarżeń monolog męża. Zebrała w sobie resztki sił, stanęła naprzeciwko niego i próbowała przeciwstawić się jego samokrytyce. Nie podobało jej się zachowanie i głębokie poczucie winy Nasrada.

- Co ty mówisz? Nie poznaję cię. - Szybko zrozumiała, że zupełnie nieświadomie zaczęła mówić zbyt ostrym tonem, i postanowiła go złagodzić. - Oboje przechodzimy ciężkie chwile, a nawet bardzo trudne, ale nie masz prawa tak łatwo się poddawać. Nie pozwolę ci na to. Kocham cię, Nasradzie. Bardzo cię kocham. I to ja sama, z własnej woli, zdecydowałam się pójść za tobą nawet na koniec świata. Do niczego mnie nie zmuszałeś, do niczego mnie nie namawiałeś. I jeśli ten koniec świata jest tu, w Kabulu, w tych czterech ścianach, to niech tak będzie. Przecież to ja cię błagałam, żebyś pozwolił mi z sobą pojechać. To ja nie mogę bez cie-

bie żyć. To ja nie mogę przeżyć ani jednego dnia, nie widząc cię i nie mając pewności, czy wrócisz do domu. To ja winię siebie, że nie umiem odwdziżyć ci się za to, co dla mnie zrobiłeś. - Maria obawiała się, że wzruszenie nie da jej wypowiedzieć zdań, które pragnęła przekazać mężowi. Z trudem dobierała odpowiednie słowa. - Kiedy widzę cię w takim stanie, Nasradzie, rozumiem, że jestem odpowiedzialna za twój nastrój, za twoją rozpacz i lęki. To ja nie potrafię zachować się jak dobra żona. To ja, kiedy widzę, jak się obwiniasz, czuję się bezsilna i do niczego.

Łzy i cichy szloch nie pozwalały Marii mówić dalej. Miała jeszcze tak wiele rzeczy do powiedzenia mężowi, przepelniały ją gwałtowne uczucia, a jednak nie umiała ich uzewnętrznić.

Ten niespodziewany wybuch emocji wyczerpał ich obydwoje. Przytulili się do siebie w rozpaczliwym, kurczowym uścisku i nie potrafili od siebie oderwać. Maria pragnęła, aby ten uścisk trwał całą wieczność, aż do śmierci. Nagle zeszywniała jednak, wyprostowała się, ujęła twarz męża w dłonie i patrząc mu prosto w oczy, z determinacją oświadczyła:

- Nie chcę, żeby cokolwiek nas rozdzieliło. Ty też nie możesz do tego dopuścić, Nasradzie. Jutro zobaczymy wszystko w innym świetle. A jeśli nie jutro, to za parę dni zaświeci dla nas słońce. Nie możesz o tym zapominać. Nigdy. Niezależnie od sytuacji.

Już od dawna Maria nie mówiła do męża z taką pewnością siebie i z takim przekonaniem. Nie dlatego, że nie umiała albo brakowało jej odwagi, tylko okoliczności temu nie sprzyjały.

- Posłuchaj, twoja siostra zaproponowała mi, żebym pomagała jej pracować. Wiesz, że jej mąż jest chory, nie może pracować ani zarabiać na utrzymanie rodziny. Teraz on się zajmuje czworgiem dzieci, a ona wychodzi rano do pralni. Zaproponowała mi, żebym jej pomagała, i ja się zgodziłam. Zapewniłam ją, że nie będziesz się sprzeciwiał i na pewno nie będziesz robił problemów. Przeciwnie, powiedziałam, że jesteśmy wdzięczni, iż dała nam taką szansę. - Dostrzegła na twarzy męża wyraz niezadowolenia, więc pospiesznie mówiła dalej, nie dając mu dojść do głosu. - Nasradzie, w Londynie zawsze pracowaliśmy oboje, nawet kiedy nie było takiej potrzeby. Ja wiem, że tu kobiety nie mogą pracować,

ale pranie nie jest uważane w Afganistanie za poważne zajęcie, a my możemy mieć z tego pieniądze. Z twoimi i moimi zarobkami jakoś sobie poradzimy. - Maria zamilkła na chwilę, ale tylko po to, aby zaczerpnąć powietrza. - Pomyślałam też, że w okresie, kiedy nie będziemy mieli pracy, mogę wypiekać chleb i przyrządzać posiłki, a ty będziesz je sprzedawał na ulicy. To nam pomoże przetrwać. Co o tym myślisz, Nasradzie?

W ciągu następnych miesięcy nastroje trochę się poprawiły. Marii udało się zrealizować plany: kiedy Nasrad miał mało pracy albo gorzej płatną, ona chodziła prać bieliznę razem ze szwagierką albo wypiekała w domu chleb, który potem mąż sprzedawał na ulicy. Zawsze dobrze gotowała i teraz mogła się wykazać swoimi umiejętnościami, choć robiła to raczej ze względu na zysk niż z zamiłowania. Nie był to szczególnie intratny interes, najczęściej dochód był znikomy, a zdarzało się, że porównując nakłady na produkty do wypieku chleba i przyrządzania posiłków w domu oraz dochody z ulicznej sprzedaży, stwierdzali, że ledwie uzyskiwali zwrot kosztów.

W Kabulu ciężko było związać koniec z końcem. Maria była tego świadoma. Byli biedni. I mieli mnóstwo pilnych wydatków. Czasami oboje chodzili spać bez kolacji, ale dla dzieci zawsze musiało być coś do jedzenia. Ciotka Nasrada dokładnie wyliczyła Marii, że czteroosobowa rodzina mogła przeżyć w Kabulu za mniej więcej sześć tysięcy rupii, co odpowiadało sumie stu euro. Taka kwota była potrzebna na miesiąc do zaspokojenia podstawowych potrzeb, bez większych luksusów: mieścić się w tym czynsz i koszty żywności - ryżu, fasoli, oliwy, wody...

Sprzedając pięć bochenków chleba wypiekanego rano w domu, Nasrad zarabiał około pięćdziesięciu rupii. Drugie tyle, handlując na ulicy oliwą. Maria wyliczyła, zebrawszy przedtem opinie znajomych i sąsiadów na te-

mat cen, wydatków i zarobków w Kabulu, że jej czteroosobowa rodzina przeżyje za kwotę około pięćdziesięciu pięciu rupii dziennie, co w przeliczeniu daje około dziewięćdziesięciu eurocentów, a zatem mniej niż za jedno euro.

Najwyższe wynagrodzenie w tym mieście wynosiło trzysta dolarów. Ludzi zarabiających takie pieniądze uznawano za bogaczy. Takie zarobki były jednak nieosiągalne dla zwykłych śmiertelników, takich jak ona i jej mąż, a także dla ich sąsiadów, znajomych i krewnych. Tylko wojskowi, i to wyższej rangi, otrzymywali tak wysokie żołdy, a potem rozbijali się po mieście samochodami terenowymi, z bronią w ręku - aroganccy, dysponujący władzą, pieniędzmi i autorytetem. Każdym gestem, miną i uczynkiem demonstrowali, kto tu rządzi. Tylko tacy ludzie dostawali pensję w wysokości około trzystu dolarów, a drugie tyle mogli jeszcze zarobić na boku.

Maria czasami oddawała się marzeniom i przez parę minut, a czasem i godzin, wyobrażała sobie, co by zrobiła z tak ogromną sumą pieniędzy, co by za nie kupiła. Przede wszystkim myślała wtedy o żywności. Oczami wyobraźni widziała stoły uginające się pod jedzeniem, półmiski pełne jagnięcych kotletów, tace owoców, talerze jarzyn i rozmaitych potraw z ryżu. W marzeniach kupowała przyprawy korzenne, płatki śniadaniowe, łąkocie dla dzieci, sery, chleby i bułki rozmaitych kształtów i rodzajów, no i oczywiście mleko w nieograniczonych ilościach, a także soki, jogurty i inne napoje... Dałaby dzieciom spróbować napojów gazowanych, sama je bowiem uwielbiała, a po raz ostatni piła je w Anglii i niemal zapomniała, jak smakują. Wyobrażała sobie przestronny dom, w którym mieszkałaby z rodziną, zamiast ciasnego pokoiku we wspólnym mieszkaniu, choć zdołali się już przyzwyczaić do tych warunków. Widziała ogromne małżeńskie łóże, tylko dla niej i Nasrada, przytulne pokoiki dziecięce z kolorowymi łóżeczkami, łazienkę, całą w kafelkach, z prysznicem z ciepłą wodą, o której codziennie marzyli. Śniła jeszcze o czystych, puszystych ręcznikach kąpielowych, delikatnej jedwabnej pościeli, dywanach i chodnikach, stołach i stolikach, wyściełanych krzesłach, wykańczanych mereżką obrusach i serwetkach do kompletu...  
Wie-

le bezsennych nocy spędziła, marząc o pieniądzach i dekorując w wyobraźni swój dom. Kończyło się to jednak na marzeniach...

Rano pozostawały tylko niejasne, odległe wspomnienia snów minionej nocy. Znowu trzeba było zerwać się z łóżka i zabrać do codziennej, mozolnej harówki.

Maria postanowiła zająć się sprawą nowych paszportów. Była pewna, że ktoś musi jej pomóc. Miała obywatelstwo hiszpańskie, a w Kabulu musiała przecież istnieć ambasada czy wydział konsularny, który pomagałby Hiszpanom w kłopotach. Nikt jednak nie wiedział, gdzie taka placówka się mieści. Nikt nie potrafił podać jej adresu.

Nie było to takie proste. Żeby znaleźć ambasadę hiszpańską, Maria musiała wyjść na ulicę. Ta prosta i banalna w każdym innym miejscu na świecie sprawa w Kabulu stawała się kwestią życia lub śmierci. Musiał jej towarzyszyć jakiś mężczyzna należący do rodziny, a Nasrad nie zawsze mógł. Poświęcając całe przedpołudnie na poszukiwanie budynku misji, nie mógłby bowiem pracować i zarobić pieniędzy niezbędnych na kupno żywności. Pomoc ze strony kogoś z wujów lub szwagrów Nasrada wiązała się z podobnym problemem w ich rodzinach. Z tego powodu Maria wciąż odwlekała decyzję o rozpoczęciu poszukiwań ambasady swojej ojczyzny, co było pierwszym krokiem zmierzającym do wydostania się z Afganistanu.

Prawdę mówiąc, tyle się zmieniło w jej życiu, że czasem dochodziła do wniosku, iż Kabul nie jest najgorszym miejscem do mieszkania i jeśli sytuacja kobiet ulegnie poprawie, stanie się całkiem przyjemnym miastem. Brała to pod uwagę, że może właśnie taki, a nie inny los jest jej przeznaczony, skoro powrót do Hiszpanii jest tak skomplikowanym przedsięwzięciem. Co prawda od kilku lat marzyła o innym życiu, ale skoro tak jest zapisane w gwiazdach, to może powinna się z tym pogodzić.

Pod wpływem tych myśli Maria starała się, aby dzieci jak najszybciej przywykły do życia w Kabulu i do miejscowych zwyczajów. Robiła wszystko, aby uczestniczyły w lokalnych świątkach, poznawały tutejsze obyczaje i tradycje. Pilnowała, aby w każdy piątek wkładały czyste, wyprane ubranka, bo mówiono jej, że tak robią wszyscy dobrzy muzułma-



nie. Dla rozrywki, a także dla zachowania tradycji, pozwalała im pokrywać henną dłonie. Nie chciała, aby uznały ten zwyczaj za dziwaczny albo żeby je raził. Postępowała tak głównie dla ich dobra i bezpieczeństwa, ale również dlatego, że nie wiedziała, czy kiedykolwiek wyjadą z Afganistanu.

Prawdę mówiąc, Maria świetnie się czuła w towarzystwie kobiet afgańskich. Miała wrażenie, że z dnia na dzień jest z nimi coraz bardziej zżyta, a także coraz mocniej zintegrowana ze światem muzułmańskim. Lubiła siedzieć wśród kobiet zawiniętych w chusty, z twarzami zasłoniętymi kwefem, okrytych obszernymi szatami. Wszystkie były do siebie podobne - miały okrągłe oblicza i niezgrabny chód. Spotykała się z sąsiadkami z tego samego bloku, mieszkającymi w Kabulu kuzynkami męża - jego siostrami, bratowymi, ciotkami, bratanicami i siostrzenicami. Prawdę mówiąc, nie miała okazji poznać innych ludzi. Uczestniczyła w babskich plotkach, zdarzało się nawet, że wybuchała śmiechem, kiedy obgadywały inne kobiety, a nawet - o zgrozo! - wyśmiewały jakiegoś mężczyznę z rodziny. Oczywiście działo się to wyłącznie w wąskim gronie, bo w przeciwnym razie narażałyby się na śmierć. Chętnie brała udział w pogawędkach przy herbacie. Dobrze wiedziała, że afgańskie kobiety niewiele mają do roboty - mogą tylko siedzieć w domu i czekać na powrót mężów. Ich jedyną rozrywką, i na dodatek rzadką, były ukradkowe spotkania we własnym gronie. Musiały się umawiać potajemnie, żeby uniknąć kłopotów.

Traktowała to jako swoisty wentyl bezpieczeństwa. Kiedy mogła obgadywać swobodnie teściową i niektóre z jędzowatych szwagierek, rozluźniała się, pozbywała nagromadzonego napięcia, nie robiąc nikomu krzywdy. Nawet polubiła te spotkania w gronie samych kobiet. Niejednokrotnie dochodziła do wniosku, że gdyby miała wystarczająco dużo pieniędzy, mogłaby zostać w Afganistanie do końca życia. Kiedy nachodziły ją takie myśli, nagle przed jej oczami pojawiały się obrazy z Hiszpanii i z Londynu. Wtedy z jej ust znikał uśmiech, a w oczach pojawiał się smutek. „Jak się miewa moja rodzina? - zastanawiała się. - Jak się czuje ojciec, moja siostra Rosie, brat Pedro, ciotki? Co sobie o mnie myślą

moje koleżanki z pracy w Londynie? Tak nagle zniknęłam... Co się dzieje z Julią? Czy ktoś coś robi, żeby mnie odnaleźć?"

Pod wpływem tych wspomnień nastrój Marii się zmieniał. Natychmiast traciła humor, nawet nie próbowała tego ukryć, bo nawet najlepsza aktorka na świecie nie potrafiłaby tego zrobić. Ona zaś nigdy nie umiała się maskować i udawać uczuć.

Pewnego dnia Maria postanowiła wybrać się z Abdullahem na spacer. Uznała, że syn staje się małym mężczyzną i w jego obecności będzie bezpieczna, jeśli cokolwiek nieprzewidzianego zdarzy się na ulicy. Był, co prawda, jeszcze bardzo małym, ale bądź co bądź mężczyzną. Przed wyjściem pomyślała jeszcze, że nie zwierzyła się ze swoich planów Na-sradowi. Wpadła na ten pomysł dopiero rano, kiedy mąż wyszedł z domu, nie miała więc okazji, żeby mu o tym powiedzieć. Wspomniała tylko o swoim zamiarze współlokatorce w nadziei, że doda jej to pewności siebie. „Uważaj, Mario. Dobrze wiesz, co się dzieje na ulicach. A obecność chłopca nie zapewni ci bezpieczeństwa. Bądź bardzo ostrożna” -przestrzegły ją.

Skinęła głową, podziękowała za radę i trzymając synka za rękę, szybko wyszła z domu. Idąc po schodach, bezustannie myślała o wstrząsających historiach, które opowiadała jej ciotka Nasrada następnego dnia po ich przyjeździe do Kabulu, o tragicznych losach kobiet porwanych, torturowanych, dręczonych, lżonych i zabijanych bez skrupułów na ulicach tylko z powodu drobnego niedopatrzenia albo dlatego, że wyszły same bez opieki i towarzystwa krewnego płci męskiej. Spostrzegła, że zbiega po schodach tak szybko, iż mały ledwie może za nią nadążyć. Zwolniła nieco kroku.

Zatrzymała się dopiero przed bramą wyjściową. Poczowała, że pod burką

pot zalewa jej twarz i spływa po karku. Spostrzegła, że ma przyspieszony oddech, a serce o mało nie wyskoczy jej z piersi. Uchyliła bramę i postanowiła wyjść na ulicę. Była tak spięta, że nawet nie zdawała sobie sprawy, jak kurczowo ściska rękę synka.

- Mamusiu, boli. Nie trzymaj mnie tak mocno, nie ucieknę - poskarżył się chłopiec, nieświadom prawdziwych powodów zachowania matki. Nie rozumiał jeszcze, że ona sama jest przerażona i zdenerwowana.

Uszli zaledwie kilka metrów, kiedy Maria nagle zawróciła do domu. Strach nie dawał jej myśleć logicznie, nie pozwalał zachowywać się rozsądnie, a przede wszystkim paraliżował ją i nie mogłaby się skupić na poszukiwaniach ambasady.

- Co się stało, mamu? Dlaczego wracamy?

Kiedy weszła z powrotem w bramę, zaczęła stopniowo odzyskiwać spokój. Zsunęła burkę z głowy, odsłoniła twarz i próbowała pozbyć się paniki oraz oddychać miarowo. Powoli dochodziła do siebie. Spojrzała na małego Abdullaha i z trudem się uśmiechnęła. Była wciąż spięta, niepokój malował się na jej twarzy.

- Wszystko w porządku, kochanie. Mama źle się poczuła, dlatego wróciliśmy do domu. Ale wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

Chłopczyk dalej wpatrywał się w matkę. Pewnie nie rozumiał, dlaczego wciąż nie puszcza jego dłoni.

Weszli po schodach i dotarli do mieszkania. Abdullah pobiegł bawić się z dziećmi. Jedna z matek zdziwiła się, że tak szybko wrócili.

- Mama źle się czuje - wyjaśnił. - Strasznie się spociła i mocno trzymała mnie za rękę. Idę się bawić.

Mały powiedział to beztróskim tonem i po paru minutach zapomniał o tym, co się stało.

- Co się dzieje, Mario? Czy ktoś ci coś powiedział? Czy coś ci zrobili?  
- spytała najbardziej zżyta z nią sąsiadka. - Myślałam, że całe przedpołudnie spędzisz poza domem...

- Nic, to głupstwo - odpowiedziała Maria, próbując zbagatelizować całą sprawę. - Po prostu się zdenerwowałam. Chyba przeraziły mnie te opowieści o napadniętych kobietach i zachowałam się jak małe dziecko.

Ale naprawdę już wszystko w porządku. Dzisiaj zostanę w domu, wyjdę jutro. Poproszę Nasrada, żeby poszedł ze mną. Nie martw się. Dziękuję za troskę.

Weszła do pokoju, ściągnęła burkę i przysiadła na materacu. Potem się położyła. Zamknęła oczy i zaczęła wolno, głęboko, miarowo oddychać. Kiedyś powiedziano jej, że to najlepszy sposób na odprężenie. Próbowwała zająć czymś myśli i starała się przypomnieć sobie, kto ją nauczył tej metody. Nagle stanęła jej przed oczami paczka dawnych przyjaciół z Majorki. Właśnie oni, podczas całonocnej imprezy, powiedzieli, co należy robić, żeby serce znowu zaczęło bić miarowo. Metoda okazała się bardzo skuteczna. Po prostu należało głęboko wciągnąć powietrze, napęłnić nim płuca, a potem wypuszczać je powoli. Później, kiedy pracowała w Londynie, stwierdziła, że jej koleżanki z pracy stosują tę samą metodę, żeby się uspokoić, szczególnie przed rozmową z szefem.

W końcu zaczęła oddychać spokojnie, a jej serce zaczęło bić rytmicznie. Wstała i przez chwilę siedziała na materacu. Nie umiała powiedzieć, jak długo dochodziła do siebie, ale synek nie zdążył jeszcze wrócić do ich pokoju, a córeczka spała spokojnie w łóżeczku.

Maria niecierpliwie czekała na powrót Nasrada. Nie zamierzała mu opowiadać, co się stało, ale chciała go poprosić, żeby towarzyszył jej w poszukiwaniu ambasady.

Wkrótce mąż wrócił. Abdullah, widząc ojca w drzwiach, jak zawsze podbiegł do niego, przytulił się i chodził za nim krok w krok. Gdyby mógł, spędzałby z ojcem całą dobę. Podziwiał go, chciał być taki jak on, kiedy dorośnie. Nasrad był dla niego wzorem i ideałem mężczyzny. Tego dnia było tak samo. Mały porzucił zabawę i zmienił się w nieodłączny cień ojca.

- Co słyhać, Mario? - spytał mąż. Zdjął wierzchnie ubranie i włożył zwitek pieniędzy do blaszanej puszki. Maria nie zdążyła zobaczyć ile.

Zanim otworzyła usta i odpowiedziała na pytanie, Abdullah uprzedził matkę i swobodnie, z niewinną minką, odpowiedział ojcu, nawet na niego nie patrząc:

- Mama źle się czuje. Wyszliśmy na dwór i natychmiast musieliśmy

wrócić. Strasznie mocno mnie trzymała. Pokażę ci, tatusiu... - Podbiegł do ojca, chwycił go za rękę i uścisnął z całej siły.

W pokoju zapadła cisza. Nasrad szukał wzroku żony. Wbrew beztrudnej relacji małego poważnie potraktował to, co się wydarzyło.

- Co się stało, Mario? - spytał niespokojnym głosem, z zatroskaną miną.

- Nic, Nasradzie. Wyszłam z chłopcem, aby załatwić sprawy w ambasadzie hiszpańskiej, i nie wiem, co mi się stało. Nagle się zdenerwowałam i wołałam wrócić do domu.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Skąd ci wpadł do głowy taki głupi pomysł, żeby wyjść sama na ulicę i szukać ambasady? Musiałabyś pytać o drogę obcych ludzi, a to niebezpieczne. Mogło ci się coś stać, Mario. Przecież nie znasz miasta. Jak mógł ci wpaść do głowy taki idiotyczny pomysł?

- No właśnie. Dlatego tak prędko wróciłam. Byłam na ulicy może minutę. Muszę jednak znaleźć moją ambasadę, i to jak najszybciej. Nie mogę dłużej czekać. Musisz pójść ze mną jutro. Obiecuj.

- Oczywiście, że pójdę z tobą. Znajdziemy ambasadę. Tylko proszę, nigdy już nie wychodź sama, i to bez uprzedzenia. Chodzi o twoje dobro i bezpieczeństwo. Twoje i dziecka. Jeśli musisz wyjść, powiedz, gdzie się wybierasz i co chcesz zrobić. To nie są żarty, Mario. Nigdy więcej tego nie rób. Zrozumiałaś?

Pokiwała głową. Wiedziała, że mąż ma rację, chociaż wołała, żeby się nie dowiedział, co się stało. W końcu to nic strasznego. Zwykły atak paniki. Gdyby przydarzył się gdzie indziej, w ogóle nie zwróciłaby na to uwagi.

Z drugiej strony cieszyła się jednak, że tak się stało, bo dzięki temu Nasrad pójdzie z nią poszukać ambasady. Był najodpowiedniejszą do tego osobą, bo nie chcieli się nikomu zwierzać, że szukają hiszpańskiej misji dyplomatycznej, aby załatwić nowe paszporty i wyjechać z Afganistanu. Taki wyjazd nie był dobrze widziany, a zawsze mogli się znaleźć ludzie, którzy za nagrodę albo inną rekompensatę doniosą do urzędu bezpieczeństwa lub na policję o ich planach. Lepiej nie ryzykować.

Po południu poszli razem do siostry Nasrada. Zostali zaproszeni na herbatę. Chcieli się też dowiedzieć, jak się czuje jej mąż. Maria bardzo lubiła tę kobietę, która zawsze była wobec niej miła, hojna, pełna macierzyńskich uczuć. Właśnie u niej po raz pierwszy rozmawiali o konieczności wyrobienia nowych dokumentów na miejsce paszportów skradzionych na granicy pakistańsko-afgańskiej.

Następnego dnia Maria pierwsza zerwała się na nogi. Znowu opanowała ją nieprzeparta wola działania. Postanowiła bezzwłocznie wziąć się do roboty.

Sprzątnęła pokój i ułożyła rzeczy, potem zostawiła dzieci u sąsiadki. Przez chwilę się zastanawiała, czy zabrać je ze sobą, ale stwierdziła, że będzie lepiej, jeśli zostaną w domu. Tym razem wyszła na ulicę w towarzystwie męża. Szła wolno u jego boku, myśląc o tym, co powie urzędnikom, kiedy dojdą na miejsce. Właściwie знаła wszystkie słowa na pamięć, bo tyle razy powtarzała je w myśli: „Dzień dobry. Mam na imię Maria. Jestem Hiszpanką, chociaż ostatnio mieszkałam w Londynie. Skradziono mi dokumenty. Musicie mi pomóc wrócić do kraju”.

Nasrad już wcześniej się dowiedział, w jakiej dzielnicy znajdują się urzędy państwowe, instytucje rządowe i misje dyplomatyczne. Wiedzieli więc, dokąd iść, nie błąkali się, nie gubili w wielkim, pełnym chaosu mieście. Po paru godzinach dotarli na miejsce. Był to jednak zaledwie połowiczny sukces. Pracownicy innej ambasady poinformowali ich, że hiszpańska misja dyplomatyczna jest na razie w trakcie organizacji. Istnieje natomiast wydział konsularny, zajmujący się sprawami i problemami obywateli hiszpańskich.

Biuro, w którym się znaleźli, nie zrobiło na Marii dobrego wrażenia. Wydawało się, że właśnie szykują się do przeprowadzki i panuje rozgar-



diasz. Długo czekali, aż ktoś ich przyjmie. W końcu Nasrad odezwał się pierwszy:

- Moja żona jest Hiszpanką. Okradziono nas, między innymi straciliśmy dokumenty i paszport hiszpański żony. Chciałaby załatwić formalności niezbędne do wystawienia nowego.

Jeden z pracowników biura spojrzał nieufnie na Marię, która stała parę kroków dalej, szczelnie okryta burką. Przypomniała sobie wtedy, że ma na sobie tradycyjny strój afgańskich kobiet, i szybkim ruchem zrzuciła część burki zakrywającą głowę. Zorientowała się, że urzędnik, nie widząc jej twarzy, może pomyśleć, iż pod zasłoną kryje się jakiś brodaty terrorysta. Potem podeszła do kontuaru i powiedziała:

- Mam na imię Maria. Jestem Hiszpanką, z Majorki. Ukradziono mi dokumenty. To jest mój mąż. Mamy dwoje dzieci urodzonych w Afganistanie. Planowaliśmy krótki pobyt, ale niespodziewanie się przedłużył. Nie mogę stąd wyjechać, bo nie mam paszportu. Mam nadzieję, że panowie pomogą mi załatwić nowy.

- Oczywiście - odpowiedział urzędnik. - Ale najpierw będzie nam potrzebna kopia zeznania, jakie pani złożyła na policji w sprawie kradzieży paszportu.

- Chodzi o to, że nic takiego nie mam, ponieważ w żadnym z komisariatów, do których się zgłaszałam, nie chciano spisać zeznań. Twierdzili, że nie są pewni, czy mówię prawdę, i kazali mi przedstawić jakiś dowód, że jestem Hiszpanką. A ja nie mogę im przedstawić żadnego dokumentu, bo wszystko mi skradziono na granicy z Pakistanem.

- Kto was okradł? - dopytywał się pracownik.

- Jakiś miejscowy chłopak - odparła, niepewna, czy powinna o tym mówić.

- Chłopak? - Urzędnik nie rozumiał, o co chodzi. - Jakiś chłopak ukradł wam dokumenty?

Maria spojrzała na Nasrada pytającym wzrokiem, ponieważ nie wiedziała, co ma powiedzieć. Przekroczyli przecież granicę, nie deklarując wszystkiego, co wwożą, gdyż bali się, że funkcjonariusze straży granicznej ich okradną. Jej paszport był wśród przemycanych rzeczy, a ona wje-

chała do Afganistanu tak jak wszystkie miejscowe kobiety - ukryte pod czadorem albo pod burką, stąpając skromnie, ze spuszczoną głową, tuż za swoim mężem, bez własnej tożsamości i dokumentów.

Nasrad popatrzył na nią i skinął głową, dając jej wyraźnie do zrozumienia, aby opowiedziała wszystko, z detalami. W końcu było to jedyne miejsce, w którym ktoś mógł im pomóc.

- Przekroczyłam granicę jako kobieta afgańska. Byłam okryta chustą i nikt mnie nie pytał o dokumenty. Nasze paszporty znajdowały się w walizce, którą daliśmy małemu przemytnikowi, aby ją przeniósł do Afganistanu przez zieloną granicę. Dzięki temu nie musieliśmy deklorować niczego na granicy i celnicy nie przywłaszczyli sobie naszych rzeczy. - Maria na chwilę zamilkła. - Ale to nie był dobry pomysł -kontynuowała, próbując opanować zażenowanie. - Cała ta eskapada źle się dla nas skończyła. Okradziono nas bardziej, niż zrobiliby to żołnierze na granicy. Możecie mi pomóc?

- Najpierw musimy sprawdzić, czy naprawdę jest pani osobą, za którą się pani podaje. Nawet sobie nie wyobrażacie, ilu ludzi tu przychodzi i opowiada rzeczy, które okazują się wierutnym kłamstwem.

- Ale ja naprawdę jestem Hiszpanką. Urodziłam się na Majorce. Możecie to sprawdzić. Zadzwońcie do mojej rodziny. Porozmawiajcie z nimi. Przekonacie się, że potwierdzą, iż stamtąd pochodzę. - Maria momentami wpadała w rozpacz. Nigdy nie sądziła, że tak trudno jej będzie udowodnić, kim jest, jak się nazywa i skąd pochodzi. - Zresztą mówię biegle po hiszpańsku. Jeśli chcecie, możemy porozmawiać. Znam geografię i historię Hiszpanii, zwyczaje, tradycje oraz ludzi. Sama nie wiem, co mogę wam jeszcze powiedzieć ani jak dowieść, że mówię prawdę. Jak mam udowodnić coś tak oczywistego? - Czując, że traci kontrolę nad sytuacją. Nie mogła wprost uwierzyć, że to się jej przytrafiło. Jak zawsze, kiedy potrzebowała zrozumienia, spojrzała na męża. Na szczęście był z nią Nasrad, który samym spojrzeniem, cokolwiek by się stało, zawsze potrafił dodać jej otuchy i uspokoić. Maria znowu zwróciła się do urzędnika. -Spytajcie ludzi w Londynie, którzy nas znają. Oni mogą potwierdzić, że mówimy prawdę.

- Proszę posłuchać - postanowił przerwać stanowczo, choć grzecznie, pracownik konsulatu. - Proszę się uspokoić. Przecież nikt nie twierdzi, że pani kłamie. Ja pani wierzę. Ale sama pani wie, czym jest biurokracja, zwłaszcza w takim kraju jak ten. Domagają się papierów, żądają dokumentów i póki nie przedstawimy wszystkich wymaganych dowodów, nic się nie da załatwić. Nie możemy wydać paszportu, póki nie przedstawi pani zaświadczenia, że złożyła pani na policji doniesienie o zgubie lub kradzieży dokumentów. Proszę zdobyć także jakiś papier, zaświadczenie czy oświadczenie kogoś, kto może stwierdzić, że pani faktycznie jest Hiszpanką i osobą, za którą się podaje. Wtedy zaczniemy załatwiać formalności. - Urzędnik przerwał na moment, żeby przełknąć ślinę, i kontynuował swoje wyjaśnienia: - Mówi pani, że mieszkaliście w Londynie i tam są ludzie, którzy was znają. Wobec tego proszę się zwrócić o pomoc do ambasady brytyjskiej. Być może tam uda się załatwić wszystko szybciej i łatwiej. Możecie też spróbować w naszej ambasadzie lub w konsulacie angielskim w Pakistanie. Jeśli coś w tej sprawie załatwicie, proszę przyjść do nas i wtedy spróbujemy wam pomóc.

Słowa urzędnika, chociaż uprzejme i przekazane miłym głosem, wcale nie dodały Marii otuchy. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Tak długo czekała na tę chwilę i w końcu cała sprawa okazała się znacznie bardziej skomplikowana, niż myślała. To miał być początek końca jej cierpień, a okazało się, że to zaledwie kolejny etap na długiej i ciernistej drodze powrotnej do Hiszpanii.

Gdy wyszli z biura, poczuła na twarzy podmuch gorącego powietrza, w ustach kurz, a jej uszy atakował przenikliwy zgiełk uliczny. To ją wyrwało ze stanu apatii, w jaki wprowadził Marię mierny rezultat pierwszej wizyty w hiszpańskiej misji dyplomatycznej.

- Spróbujemy szczęścia w innych urzędach. Może w ambasadzie Wielkiej Brytanii pójdzie nam łatwiej - powiedział Nasrad, starając się pocieszyć żonę. - Nie martw się, Mario. Przynajmniej pierwszy krok mamy już za sobą.

- Skoro oni mnie nie chcą i nie wierzą mi, i wcale ich nie obchodzi, co się stanie z Hiszpanką w Kabulu, to oni też mnie nie obchodzą – fuk-

nęła wściekle. - Już nie chcę wracać do Hiszpanii. Nie chcę słyszeć o tym kraju.

Sama była zaskoczona tym nagłym przyływem niechęci do wszystkiego, co miało związek z jej ojczyzną. Czuła się odrzucona, zdradzona, jak małe dziecko, któremu mówią, że porzucili je rodzice i nie chcą o nim słyszeć.

- W takim razie ja też ich nie potrzebuję. To koniec - dodała.

Nasrad wiedział, że te pełne goryczy słowa wywołane są chwilową złością. To była normalna reakcja pod wpływem wzburzenia, dlatego postanowił nie nadawać temu znaczenia ani więcej na ten temat nie dyskutować.

Przed powrotem do domu zaproponował Marii, żeby spróbowali po raz ostatni złożyć doniesienie o kradzieży na policji. Próbowali już wielokrotnie, przynajmniej dziesięć razy, ale reakcja była zawsze taka sama: policja żądała dowodów. Maria musiała udokumentować, kim jest i skąd przyjechała. I po to były potrzebne te przekłete dowody. Zresztą komisariaty w Afganistanie w niczym nie przypominały tych, jakie znała w Europie. Wystarczyło wejść do poczekalni i już człowiek zmieniał się w podejrzanego, zwłaszcza gdy wchodziła kobieta.

Po przekroczeniu progu komisariatu Maria od razu wiedziała, jak ma się zachować. Nie mogła się odzywać ani zwracać się do dyżurnego policjanta. Jeśli chcieli, aby ich wysłuchano, musiał mówić za nią Nasrad. Tak było lepiej i bezpieczniej. Powtórzyła się ta sama scena, która miała miejsce w misji dyplomatycznej. Policjant domagał się tego, czego nie mieli: dokumentów, dowodów, zaświadczeń, deklaracji. Maria czekała na męża w pomieszczeniu obok. Nie słyszała wyraźnie jego słów, nie wiedziała, co mówi policjantowi, ale z wyrazu twarzy obu mężczyzn domyśliła się, o co chodzi. Funkcjonariusz nawet nie raczył na nią spojrzeć. Zresztą ukryła znowu twarz pod burką. Policja nie zamierzała im niczego ułatwiać. I Maria o tym wiedziała.

Po kilku minutach Nasrad odwrócił się i podszedł do żony.

- Nic - powiedział, potwierdzając jej najgorsze obawy. - Na policji nic nie możemy załatwić. Domagają się od nas tego samego, o co my zabiegamy. Mamy udowodnić, kim naprawdę jesteśmy. Na nic się zda tłu-

maczenie tego samego po raz enty. Albo są głusi, albo nie chcą nas słuchać. I prawdę mówiąc, nie wiem, co jest gorsze.

Tym razem to Nasrad był wyraźnie wzburzony. Wcale mu się nie podobała wizyta w komisariacie policji. Nikt nie chciał im pomóc, a co gorsza, nawet nie próbował.

W drodze powrotnej do domu oboje milczeli, ale wiedzieli, że myślą o tym samym. W takich chwilach Maria czuła się jeszcze bliższa mężowi i oddałaby wszystko, żeby go objąć i mocno się do niego przytulić, nawet na środku ulicy. Ale nauczyła się już czekać.

Po powrocie do domu postanowiła się nie poddawać. Całe życie walczyła i teraz też nie zamierzała tak łatwo rezygnować. Chodziło nie tylko o nią, ale o Abdullaha i Nurię, jej dzieci. Nie mogła ich zawieść ani pozbawić szansy na lepszą przyszłość. „Za wszelką cenę muszę się stąd wydostać - powtarzała sobie. - Skoro moja ambasada nie chce mi pomóc, poszukam innego wyjścia. Nie zamierzam tu umrzeć. Nie pozwolę też zginąć tu mojemu mężowi. Nikt nas nie zniszczy. Nie poddamy się bez walki”.

Przez parę dni prześladowała ją jakaś niejasna, nieokreślona myśl. Nie umiała jej sprecyzować, a raczej nie chciała. Przez kilka nocy śnił jej się ojciec i siostry. To ją skłoniło do kolejnego kroku: musi poprosić ich o pomoc. „Tylko oni naprawdę mnie znają i mogą potwierdzić, kim jestem” -pomyślała.

Maria wiedziała, że niewłaściwie postępuje wobec swojej rodziny. Przez siedem długich lat tylko raz raczyła zadzwonić do siostry. Oznajmiła jej wtedy, że wybiera się na Majorkę, aby spędzić z nimi parę dni. Po tym krótkim pobycie znowu zamilkła. Żadnego telefonu, listu, nawet pocztówki czy maila. Nic. Kompletne milczenie. Ta zbyt długo trwająca cisza z każdym dniem coraz bardziej Marii ciążyła. Nie potrafiła się przemóc, pokonać dumy, sięgnąć po słuchawkę i wybrać numeru Rosie.

Był to zresztą jedyny numer, jaki pamiętała. Wiedziała, że te cyfry pomogły jej wyjść z niejednej opresji. Co prawda to nie do Rosie miała bezgraniczne zaufanie. Najbliższa jej sercu była Paquita, której się zwierzała, czasem aż do północy wiodły długie, niekończące się rozmowy. Mogły plotkować godzinami na każdy temat, najbardziej osobisty, a nawet intymny. Ale Paquita, o siedemnaście lat starsza, cieszyła się w ich rodzinie opinią największej sekutnicy. W tej konkretnej sytuacji i w obecnym stanie ducha Maria nie życzyła sobie żadnych kłótni ani reprimend, słów krytyki na temat braku odpowiedzialności czy nagany za ciągle nieposłuszeństwo i hardość ani też czezej gadaniny o jej typowym dla krnąbrnych nastolatek zachowaniu. Nie był to również właściwy moment na wysłuchiwanie kazań na temat konieczności myślenia o własnej przyszłości. Maria potrzebowała natychmiastowej pomocy. Żadnych pytań, żadnych „ale”, żadnych: „Anie mówiłam?” czy „Ostrzegałam cię”. Miała konkret-

ny problem i musiała go natychmiast rozwiązać. Nie miała czasu na wysłuchiwanie zbędnych słów.

Zbyt długo tkwiła uwięziona w Afganistanie, bez tożsamości, odrzucona, poniżana, obserwując, jak stopniowo uchodzi z niej życie, dostrzegając, jak jej wrodzona odporność i siły witalne rozpadają się jak domek z kart, i mając świadomość, że jej cierpliwość znika w tym samym tempie, w jakim wyczerpują się pokłady nadziei na wydostanie się z tego kraju bez pomocy przyjaciół. Tym razem naprawdę potrzebowała wsparcia. Nie mogła sobie poradzić sama. Tym razem opuściła ją cała odwaga i tupet.

„Muszę zadzwonić do Rosie - postanowiła. - Dłużej nie wytrzymam. Zadzwonię do niej, opowiem wszystko, wysłucham kazań, wytrzymam grad oskarżeń i lawinę pytań, którymi na pewno mnie obrzuci. Muszę do niej zadzwonić. Nie mogę czekać. Dłużej nie wytrzymam”.

Rodzina Marii przyzwyczaiła się do jej długich, zaskakujących okresów milczenia. Kiedy jako siedemnastolatka postanowiła opuścić rodzinną Majorkę i przytulne poddasze, dzielone ze starszym bratem Pedrem, również nikogo nie uprzedziła, że znika i rzuca się wprost w londyńską przygodę. Przede wszystkim nie powiedziała nic ojcu, z którym toczyła codzienne kłótnie i spory.

Co miesiąc odkładała część pieniędzy ze skromnego wynagrodzenia kelnerki. Kiedy zgromadziła wystarczające fundusze, około tysiąca euro, udała się do agencji turystycznej w Palmie i kupiła bilet do Londynu. Tylko w jedną stronę. Bez powrotu.

- Jeśli kupisz otwarty bilet powrotny, wyjdzie taniej. Zaoszczędzisz dużo pieniędzy i jeszcze mi za to podziękujesz, kiedy wrócisz - przekonywał ją młody pracownik agencji.

Maria się uśmiechnęła, pokręciła przecząco głową i to miało mu wystarczyć za odpowiedź. Jeszcze przyjdzie czas na kupno biletu powrotnego do domu. Miała całe życie przed sobą, więc bilet też mógł poczekać.

Im mniej rodzina Marii wiedziała o jej życiu, planach i zamiarach, tym bardziej ona sama czuła się niezależna. Tak jakby darowano jej więcej wolności w życiu i możliwości wyboru. „Kiedy jestem sama, lepiej się czuję - myślała. - Nie muszę się nikomu tłumaczyć. Ani ojciec, ani ro-

dzeństwo nie będą mieli okazji do gadania, co powinnam, a czego nie wolno mi robić, skoro nie będą wiedzieli, gdzie jestem. Kocham ich, ale w końcu nadszedł czas, abym żyła, tak jak chcę".

Zwlekała aż siedem lat, zanim powiadomiła rodzinę, że mieszka w Londynie, wyszła za muzułmanina i urodziła syna Abdullaha.

Gdy pewnego dnia postanowiła zadzwonić do swojej siostry Rosie, poinformowała ją o tym ot tak, po prostu, wyrzucając z siebie słowa jednym tchem. Nie tłumaczyła się, nie brała sobie do serca wyrzutów padających w słuchawce. Miała wówczas ochotę zadzwonić do domu, bo zamierzała spędzić parę dni na Majorce, żeby jej rodzina, a zwłaszcza ojciec, poznali małego Abdullaha.

Tym razem okoliczności były zupełnie inne. Maria potrzebowała pomocy ze strony rodziny. Musiała przynajmniej powiadomić bliskich o swojej sytuacji, bo odkąd wyjechała z Anglii, nie mogła się z nimi skontaktować. Z pewnością nie wiedzieli, gdzie jest ani co się z nią dzieje.

„Muszę do niej zadzwonić - powzięła decyzję. - Dłużej nie wytrzymam. Muszę zadzwonić do Rosie. Nie mogę tego odkładać na później. Jutro do niej zadzwonię".

Maria poprosiła Nasrada, żeby poszedł z nią do najbliższej rozmównicy telefonicznej, gdyż musi zadzwonić do siostry. Chciała mieć go blisko siebie, żeby pokonać strach i zapanować nad wirem mieszanych uczuć, które budziła w niej czekająca ją rozmowa z Rosie po tak długim okresie milczenia. Tego dnia w Kabulu było bardzo zimno. „Coś takiego. Dlaczego nie jest nadal ciepło i słonecznie? - zastanawiała się. - Być może to znak. Powinnam chyba odłożyć tę sprawę do jutra". Potrząsnęła lekko głową, jakby pragnąc przegnać tę smutną i zniechęcającą myśl z głowy. Skończyła podawać śniadanie i jak zawsze, sprzątajac ze stołu kubki i talerze, zebrała skórki i okruchy chleba, który jedli na śniadanie do herbaty, włożyła do ust i łapczywie żuła. Nasrad mawiał z uśmiechem, że przypomina ptaszka uwijającego się wśród resztek jedzenia i skubiącego rozsypane na obrusie okruszki. Tego dnia komentarz męża rozbawił Marię. „Ptaszek. Coś podobnego. A ja przez kilka lat nawet nie pisałam. Ptaki przynajmniej się odzywają...". Bała się chwili, kiedy bę-



dzie musiała stanąć przed telefonem i zadzwonić do siostry. To było ponad jej siły.

Gdy już nie mogła znaleźć żadnego zajęcia w domu, trzy razy wytarła stół, przestawiła krzesła, chyba z dziesięć razy składała i rozkładała obrus, ubrała dzieci i przygotowała się do wyjścia. Nosiła prawie zawsze taki sam strój: długą, szeroką suknię, płaskie i miękkie obuwie, w którym mogła chodzić bezszelestnie. Przed wyjściem z domu wkładała na to wszystko burkę.

Opuściwszy mieszkanie, Maria nabrała powietrza. Chciała choć na parę sekund zamknąć oczy, skupić się i wyobrazić sobie przebieg rozmowy z siostrą. Obawiała się jednak, że z zamkniętymi oczami może się potknąć i przewrócić. Już kilka razy przeżyła taką groteskową i śmieszoną sytuację, ponieważ niewiele widziała przez otworki w burce. Nie chciała znowu stać się przyczyną blamażu na ulicach Kabulu.

Drogę z domu do publicznej rozmównicy telefonicznej odbyli autobusem. Czekala ich prawie dwugodzinna podróż. W autobusie musiała rozstać się z mężem i przejść na drugi koniec, za słomianą matę, dzielącą przestrzeń na dwie części. Tam tłoczyły się w duchocie kobiety, podczas gdy ich mężowie lub towarzysze podróżowali z przodu, gdzie było przestronniej, wygodniej, więcej światła i powietrza. Zawsze osobno. Kobietom nie pozwalano jeździć razem z mężczyznami. Już się do tego przyzwyczaiła i dlatego przestały ją prześladować myśli, którymi zadreślała się podczas pierwszych dni pobytu w Afganistanie. Już się nie wściekała w duszy, odbierając ten zakaz jako ohydny przejaw dyskryminacji, takiej samej, jaka dotykała ludność afroamerykańską w Stanach Zjednoczonych. Siedząc z tyłu autobusu, przypomniała sobie o pewnej czarnej kobiecie, Rosie Louise Parks, która odmówiła ustąpienia miejsca białemu. Po prostu nie chciała wstać i przenieść się do tyłu, zgodnie z surowymi prawami segregacji rasowej, jakie w tamtych latach obowiązywały na południu Stanów Zjednoczonych. Postępek tej kobiety zainicjował ruch obrony praw obywatelskich w całym kraju. Rosa Parks została zatrzymana i oskarżona o zakłócanie porządku publicznego. Był to rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty piąty. Maria nie mogła zrozumieć, dlaczego w początkach dwudziestego pierwszego wieku

sama musiała znaleźć się w podobnej sytuacji. Gdyby ona albo jakakolwiek inna kobieta afgańska zajęła miejsce przeznaczone dla mężczyzn, zostałaby zachłostana na śmierć. Lepiej nie ryzykować. Gdy osaczały ją takie wątpliwości, a w głowie kołatało się pytanie: „Czemu muszę znosić to wszystko? Dlaczego?“, odpowiadała sobie niezmiennie: „Z miłości do Nasrada. Dla niego jestem gotowa znieść wszystko, nawet najgorsze traktowanie i największą niesprawiedliwość“.

Całą drogę milczała. Pragnęła, aby zaułki Kabulu choć przez chwilę zmieniły się w londyńskie ulice albo w aleje jej rodzinnej Palmy na Majorce, a ona sama mogła jechać razem z mężem, trzymać go za rękę, słuchać jego słów dodających jej odwagi i otuchy. Właśnie tego najbardziej potrzebowała. Ale to było niemożliwe. Tumany kurzu unoszone przez jej trzewiki przy każdym kroku przywróciły ją do brutalnej rzeczywistości. Była w Kabulu. I nie był to czas na pogrążanie się w marzeniach. Na taki luksus już od dawna nie mogła sobie pozwolić.

Kiedy po trzech godzinach dotarli do publicznej centrali telefonicznej, Maria weszła do kabiny. Mąż poprosił o żeton pracownika centrali i podał jej.

- Poczekam na zewnątrz. Porozmawiaj spokojnie z siostrą.

Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek wybrała tak szybko numer jak wtedy, dzwoniąc do Rosie. „Im szybciej, tym lepiej“ - pomyślała.

Usłyszała sygnał, potem kolejny. Trzeci i czwarty. „Nie ma jej“. Piąty i szósty. „Pewnie wyszła. Nic dziwnego, przecież pracuje“. Siódmy, ósmy. „Może już tam nie mieszka“. Dziewiąty...

- Halo... Słucham... - rozbrzmiał w końcu w słuchawce odbijający się dziwnym echem głos. - Słucham...

Cisza. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie umiała zaczerpnąć oddechu. Minęło kilka sekund - trzy, może cztery. Maria odłożyła słuchawkę. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Głos siostry wyrwał ją tego świata, z otaczającej rzeczywistości. Poczula, jakby ktoś popchnął ją na drzwi kabiny i tam utknęła jak przyklejona. Paraliżował ją strach. Dopiero po paru minutach była zdolna do reakcji. „Naprawdę zachowałam się jak idiotka. Po co odłożyłam słuchawkę?“ - wyrzuciła z siebie.

Znowu wybrała numer, spokojnie, wolno i starannie: 971... Tym razem Rosie natychmiast odebrała.

- Słucham... Kto mówi? Halo... - Maria znowu przerwała połączenie. To było ponad jej siły. Ogarnął ją wstyd, strach. Nie wiedziała, co powiedzieć ani od czego zacząć.

Wyszła z kabiny. Brakowało jej powietrza, bolała ją głowa, serce waliło pospiesznie. Nie wiedziała, czy najpierw pęknie jej głowa, czy serce. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że coś się musi z nią stać.

Na zewnątrz czekał Nasrad z dziećmi. Zdziwił się, że tak prędko skończyła rozmowę.

- Już? Rozmawiałaś z siostrą?

- Nie. Miała włączoną sekretarkę automatyczną.

- Zostawiłaś wiadomość?

- Nie. Wolę spróbować kiedy indziej. Tak dawno z nią nie rozmawiałam i nie chcę nagrywać suchej wiadomości. Mogłaby się przestraszyć. Chcę z nią porozmawiać bezpośrednio. Chodźmy. Jutro wrócimy.

Nie lubiła okłamywać Nasrada i rzadko jej się to zdarzało. A zresztą on zawsze potrafił odkryć kłamstwo. Może dlatego podczas tej krótkiej rozmowy ani razu nie spojrzała mu w oczy. Nie chciała, żeby mąż się domyślił, iż zabrakło jej odwagi, aby porozmawiać z własną siostrą. Duma walczyła o prymat z rozsądkiem i, niestety, w tej walce wygrała.

Musiała czekać prawie tydzień, żeby znowu pojechać do centrali, pokonując te same trudności, między innymi wytrzymać długą podróż autobusem. I znowu powtarzała te same czynności co poprzednim razem, kiedy zawiodły ją nerwy. Czekając na sygnał połączenia, spojrzała na męża. Stał na zewnątrz, na ulicy, trzymając za rączki ich dzieci: Abdullaha i Nu-rię. Ten obrazek dodał jej siły i otuchy. „Teraz albo nigdy - powiedziała sobie. - Bo na zawsze utkniesz w Afganistanie. Tylko dlatego, że jesteś niedojrzała i zamiatasz problemy pod dywan, pozbawisz dzieci prawa do lepszej przyszłości. A zatem trzymaj się, kochana, i do dzieła. Jeśli znowu zawalisz sprawę i odłożysz słuchawkę, urwę ci głowę". Postanowiła być twarda dla samej siebie, choćby w myślach, żeby przygotować się na to, co ją czeka, kiedy siostra się odezwie.

Znajomy i słodki głos Rosie wyrwał ją ze smutnych myśli.

- Słucham...

- Rosie... To ja, Maria. Twoja siostra.

- Maria?... Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje? Dobrze się czujesz? Czemu tak długo nie dzwoniłaś? Od dawna nie mieliśmy od ciebie żadnych wiadomości. Co robisz? Mario...

- Rosie, nie mam pieniędzy na rozmowy telefoniczne. Od ponad dwóch lat jestem w Afganistanie. Na zielonej granicy okradli nas przemytnicy. Straciliśmy wszystkie dokumenty i pieniądze. Nie możemy stąd wyjechać. Jestem w okropnej sytuacji. Urodziłam córeczkę. Nie chcę takiego życia dla moich dzieci. Dłużej już tego nie wytrzymam. Musisz mi pomóc, Rosie, musisz mnie stąd wyciągnąć. Błagam cię...

- Boże święty, Mario... Co ty robisz w Afganistanie? Czy ktoś cię tam więzi? Czy ktoś cię skrzywdził? Jak się czujesz, kochanie?... Mario, Mario, Mario...

Gdy po raz trzeci usłyszała swoje imię, nagle urwało się połączenie. Znowu rozszlochała się w samotności, tak jak wielokrotnie wcześniej.

W życiu nie płakała tak dużo jak w Afganistanie, odkąd tylko stanęła na tej wypalanej słońcem ziemi. Pewnego dnia zaczęła się nawet zastanawiać, skąd bierze się w niej tyle łez. Bała się, że się odwodni. Zastanawiała się, czy siostra zrozumiała tę całą litanię skarg i żalów, którą wyrzuci-

ła z siebie po latach nieuzasadnionego milczenia, przerwane jedynie krótkim pobytem na Majorce. Od tamtej chwili minęły prawie trzy lata i znowu zapadła między nimi głucha cisza. Nie była pewna, czy zdołała cokolwiek zrozumieć z jej zagłuszonych łkaniem słów. „Mam nadzieję, że jednak coś do niej dotarło. Błagam, Boże, żeby mnie zrozumiała”.

Rosie wręcz nie mogła uwierzyć w to, co wyrzuciła z siebie jednym tchem Maria. Gapiła się na aparat telefoniczny, jednocześnie zakrywając usta prawą ręką, jakby tym gestem mogła zatamować uczucia, które kłębiły się w jej duszy. Nagle poczuła, że brak jej tchu. Oderwała rękę i wreszcie mogła wypuścić nieświadomie nagromadzone w płucach powietrze. „Maria, Maria...”. Powoli odchodziła od telefonu, cofała się, nie potrafiła jednak oderwać wzroku od aparatu, tak jakby paraliżowała ją jakaś straszliwa, hipnotyzująca wizja. W końcu opadła na fotel. Na dłuższą chwilę zastygła na siedzeniu. Sama nie umiałaby określić, jak długo tkwiła tam nieruchomo. Zdenerwowana poderwała się raptownie, rozejrzała wkoło i znowu usiadła. Czowała się zupełnie zagubiona, spojrzała w kąt salonu, potem w drugi. Sama nie wiedziała, czego szuka. „Muszę coś zrobić - myślała gorączkowo. - Tylko co? Mario, gdzie jesteś, kochanie? Jak mam ci pomóc? Co mogę dla ciebie zrobić?”.

Rosie spodziewała się, że następnego dnia jej młodsza siostra znowu się do niej odezwie. Musiała się dowiedzieć, gdzie ona właściwie przebywa. Maria poprosiła ją o pomoc, ale nie poinformowała, o co dokładnie chodzi. Czekala przez cały dzień, od świtu aż do zmroku. Ani na moment nie odeszła od telefonu. Od czasu do czasu wbijała w aparat uporczywy wzrok. Co chwila podnosiła słuchawkę, żeby sprawdzić, czy działa i czy żadna awaria nie przeszkodzi siostrze zadzwonić się do niej. Miotła się bez przerwy po salonie, z jednego kąta w drugi, i powtarzała głośno: „Musisz natychmiast zadzwonić!”. Niestety, siostra nie odezwała się ani tego dnia, ani następnego, ani nawet kolejnego. Przez półtora miesiąca w salonie nie zabrzmiał tak niecierpliwie wyczekiwany i upragniony dzwonek telefonu. Brak wiadomości od Marii sprawiał, że Rosie stopniowo pogrążała się w rozpacz. Uważała, że nie może siedzieć beczynnie, z założonymi rękami, musi sprawić, aby ktoś pomógł jej siostrze. Nie

mogła zapomnieć rozedrganego i przytłumionego łzami głosu Marii. Wyobrażała sobie, w jak ciężkiej musi być sytuacji, skoro nie ma pieniędzy na telefon. Była prawie pewna, że siostra jest przetrzymywana w Afganistanie wbrew własnej woli. W końcu postanowiła zwrócić się do policji. Zrobiła to już trzy lata temu, kiedy Maria, opuściwszy Majorkę po kilkudniowej wizycie, podczas której przedstawiła synka rodzinie, znowu przestała się odzywać. Rosie wiedziała jedynie, że wróciła do Londynu. Znowu jednak wybrała milczenie, zrywając wszelkie kontakty. Po długiej ciszy, której starsza siostra nie umiała zaakceptować, próbowała dzwonić do londyńskiego mieszkania Marii. Nadaremnie. Nikt nie odbierał. Udało jej się dodzwonić do firmy, w której siostra kiedyś pracowała, i tam o nią zapytać, ale to również nie na wiele się zdało. Zatelefonowała także do ciotek w Barcelonie, z którymi Maria zawsze miała dobry kontakt. One też nic nie wiedziały. W tej sytuacji postanowiła zgłosić zaginięcie siostry na policję.

Rosie nie ograniczyła się do powiadomienia policji hiszpańskiej. Złożyła doniesienie o zaginięciu także w Wielkiej Brytanii, ponieważ Londyn był ostatnim miejscem pobytu siostry i być może tam się znajdował jakiś trop. Miała nadzieję, że policja dotrze do kogoś, kto zna miejsce pobytu Marii. Policja przyrzekła zająć się tą sprawą oraz powiadomić angielskich kolegów o zaginięciu młodej Hiszpanki.

Pewnego dnia, po tygodniach, a nawet miesiącach poszukiwań, funkcjonariusze Interpolu zjawili się w ostatnim miejscu zamieszkania Marii w Londynie. Nie zastali tam nikogo, kto mógłby udzielić im informacji. Nikt nie wiedział, dokąd wyjechała. Sąsiedzi zeznali tylko, że pewnego dnia zniknęła wraz z mężem i z synkiem prawdziwie po angielsku, bez pożegnania i bez słowa wyjaśnienia. Maria, jak zwykle, okryła mgłą tajemnicy swoje podróże, wyjazdy i ewentualne powroty.

Nawet jej serdeczna przyjaciółka i londyńska sąsiadka, Julia, nic nie wiedziała. „Wiem tylko tyle - zeznała - że nigdy się nie rozstawała z mężem i któregoś dnia zniknęła razem z Nasradem i dzieckiem. Oczywiście, że jestem jej najlepszą przyjaciółką, ale dla Marii przyjaźń nie oznacza zwierzeń, jak na kozetce u psychoterapeuty albo przy konfesjonale.

Nie lubiła się tłumaczyć. Okropnie się bała, że ktoś będzie kontrolował jej życie albo dowie się o niej za dużo. A ja nie zamierzałam wtrącać się w jej prywatne sprawy, jeśli sama mi czegoś nie powiedziała. Wiem tylko tyle, że pewnego dnia zniknęła. I tym razem nie powiedziała mi, dokąd jedzie".

Wszelkie informacje, które dotarły do Rosie, wskazywały na to, że Marię wywieziono do Afganistanu wbrew jej woli. Nie mogła siedzieć z założonymi rękami, czekając, aż kiedyś zadzwoni telefon, i wyobrażając sobie, że jej młodsza siostra przeżywa gdzieś na krańcu świata prawdziwe piekło.

Rosie poinformowała policję o swoich podejrzaniach, a raczej obawach, że Maria została porwana przez własnego męża, który siłą wywiózł ją do Afganistanu, i prawdopodobnie grozi jej niebezpieczeństwo. Co prawda trochę się obawiała, że może się mylić w ocenie sytuacji: jej siostra była zakochana do szaleństwa w swoim mężu i to z wzajemnością. Sądząc z jej zwierzeń podczas ostatniej wizyty na Majorce, domyśliła się, że stanowią rodzaj współczesnej wersji Romea i Julii. Poza tym nic więcej nie wiedziała. Nic nie rozumiała. Męża siostry nie znała osobiście. Była jednak przekonana, że Marii grozi niebezpieczeństwo, że potrzebuje pomocy, a ona nie wie, jak to zrobić.

Po dramatycznym telefonie od siostry z prośbą o pomoc Rosie nie miała innego wyjścia, jak ponownie zwrócić się do policji. Funkcjonariusze nie dodali jej jednak otuchy. Prawdę mówiąc, nic nie mogli zrobić. W aktach leżało jeszcze poprzednie doniesienie o zaginięciu Marii i nie można było przyjąć kolejnego, dopóki pierwsza sprawa nie zostanie rozwiązana.

Dni mijały, a przeklęty telefon milczał. Zdenerwowana i niespokojna Rosie zadzwoniła nawet do centrali telefonicznej, żeby się dowiedzieć, czy nie ma jakiejś awarii na linii z Afganistanem. W końcu Maria się odezwała. Tym razem była spokojniejsza, odprężona i miała więcej czasu, żeby rozmawiać.

- Rosie, to ja.

Rosie nigdy nie myślała, że te trzy proste słowa przywrócą jej spokój utracony podczas poprzedniej rozmowy. Wreszcie jej prośby i błagania zostały wysłuchane.

- Czemu nie zadzwoniłaś wcześniej? Już od tygodni chodzę jak w amoku, nie mogę sobie znaleźć miejsca... Co się z tobą dzieje? Chcesz mnie wykończyć?

- Rosie, przepraszam. Gdybyś wiedziała, jak trudno mi dotrzeć do rozmównicy telefonicznej, pomyślałabyś, że i tak szybko zadzwoniłam.

- Gdzie dokładnie jesteś? W jakiej miejscowości w Afganistanie? Jak mogę cię stamtąd wyciągnąć? Czy coś ci jest potrzebne? Czy przetrzymują cię wbrew twojej woli? Powiedz, Nasrad jest z tobą? Czy to on nie pozwala ci wyjechać? Gdzie mieszkasz? Czy masz co jeść? Jak się czuje Abdullah?

- Nie zadawaj mi tylu pytań naraz, bo nie wiem, od czego zacząć. Jestem tu z Nasradem i z dziećmi...



- Z dziećmi? - przerwała z niedowierzaniem Rosie. - Masz więcej dzieci oprócz Abdulla i nie zawiadomiłaś mnie o tym?

- Powiedziała ci podczas naszej pierwszej rozmowy, ale chyba mówiłam za szybko i nie dotarło to do ciebie. Tak, Rosie. Mam prześliczną córeczkę. Ma na imię Nuria i nie ma jeszcze dwóch lat. Podobna do ciebie. I śliczna. Jeszcze mała, ale śliczna.

Rosie nie wiedziała, jak ma przyswoić wiadomości przekazywane jej w błyskawicznym tempie przez młodszą siostrę. Bała się zrobić krótką przerwę, aby zaczerpnąć oddech, zrozumieć informacje i ponownie skupić się na słuchaniu relacji Marii.

- Poczekaj, nie tak szybko - starała się mówić opanowanym, zrównoważonym głosem. W ten sposób pragnęła dodać siostrze otuchy i uspokoić, chociaż sama w duszy płonęła i rozpadała się jak słynne *ninots* ze Święta Ognia w Walencji. Porównała się do tej figury, może dlatego, że podczas rozmowy z Marią miała przed oczami jedną z nich, przywiezioną z Walencji, rodzinnego miasta jej męża, gdzie spędzili kiedyś wakacje. Od tamtej pory ta prawie półtorametrowa figura, pomalowana w pastelowe kolory, zajmowała główne miejsce w przedpokoju. - Posłuchaj, siostrzyczko. Czy my się dobrze rozumiemy? Co robisz w Afganistanie? Dlaczego nie jesteś w Londynie?

- To długa historia, Rosie...

- Lepiej od razu mi wszystko opowiedz... Zbyt długo nie miałam od ciebie żadnych wiadomości i naprawdę mam już dość...

Maria świetnie rozumiała, że ta niespodziewana zmiana tonu siostry nie dopuszcza żadnej możliwości wykrętów ani obrony. Wyobrażała sobie, że w jej spojrzeniu można teraz odczytać zarówno „wszystko rozumiem”, jak i „zejdź mi natychmiast z oczu”. Rosie zawsze patrzyła na nią w taki sposób, kiedy chciała sprawdzić, czy to, co Maria opowiada, to prawda, półprawda czy wierutne kłamstwo. Musiała opowiedzieć jej logicznie i spójnie całą prawdę o tym, co się z nią działo od ich ostat-

---

<sup>1</sup>Kolorowe figury, wykonywane z drewna i papieru na Święto Ognia w Walencji; po przemarszu przez miasto manekiny są uroczyście palone (przyp. tłum.).

niego spotkania. Pierwszy raz od dawna postanowiła wyrzucić z siebie wszystko.

- Rosie, ponad dwa lata temu musieliśmy polecieć do Afganistanu, ponieważ ojciec Nasrada był ciężko chory i ktoś z rodziny zadzwonił, żeby natychmiast przyjechać. Na granicy skradziono nam pieniądze, paszporty i inne dokumenty oraz wszystkie wartościowe przedmioty. Zostało nam tylko trochę ubrań i to, co mieliśmy przy sobie. Chciałam zgłosić na policji doniesienie o kradzieży. Nie mogliśmy jednak tego zrobić, bo to my sami skontaktowaliśmy się z małym przemytnikiem, żeby nie przekraczać granicy z pieniędzmi i obcymi paszportami. Baliśmy się, że straż graniczna nas ograbi. Potem pojechaliśmy do Kabulu, chociaż nie przypominam sobie tego dobrze, ponieważ byłam ubrana w burkę i przez pewien czas nie mogłam się do niej przyzwycząić. Zamierzałam od razu do ciebie zadzwonić, ale nie mogłam. W wiosce rodziców Nasrada, gdzie potem zamieszkaliśmy, nikt nie ma telefonu, więc nie miałam nawet kogo o to poprosić. A zresztą wszystko się skomplikowało. Potem urodziła się Nuria. Przeżyłam koszmarny poród. Była wojna i znaleźliśmy się w okropnym położeniu. Nawet nie myślałam o żadnym telefonie. Przez kilka tygodni mieszkaliśmy w ziemiance, żeby przeżyć bombardowanie.

Maria mówiła prawie bez wytchnienia, a łzy, zamiast spływać jej po policzkach, ściekały wprost do gardła. Czują nawet ich słonawy smak. Ale to nie był właściwy moment na przerywanie wyznań, tym bardziej z powodu paru łez wywołanych nagłym przypływem tkliwości. Ten nieoczekiwany płacz wydał się Marii czymś dziwnym. „Przecież odkąd przyjechałam do Afganistanu, wylałam już morze łez!” - pomyślała. Nie przeszkadzą jej jednak mówić. Musi być silna. Opowiadała więc dalej:

- Teraz mieszkamy w Kabulu, w wynajętym pokoju. Wyobraź sobie, Rosie, cztery osoby stłoczone w ciasnym, niespełna dwudziestometrowym pomieszczeniu. Dwa materace rzucone na podłogę, cztery koce, stolik i to wszystko. Nie mamy pracy, pieniędzy, brakuje nam jedzenia, chociaż cała rodzina Nasrada stara się nam pomóc. W stolicy mamy jednak przynajmniej przez kilka godzin wieczorem światło, chyba że z jakiegoś powodu przerywają dostawę elektryczności.

Rosie chciała przerwać ten nietypowy dla siostry potok słów, aby zapytać, o co dokładnie chodzi z tym prądem elektrycznym. „Dziewczyno, czy ty mieszkasz w slumsie, że nie masz światła?” - nasuwało się jej pytanie. Stwierdziła jednak, że to nie jest właściwy moment. Trzymając kurczowo słuchawkę w dłoni, postanowiła dalej słuchać nerwowej, pospiesznej relacji Marii.

- Okropnie się czuję, Rosie. Naprawdę źle ze mną. Niekiedy zmuszam się, żeby myśleć pozytywnie. Wmawiam sobie, że jestem wystarczająco silna, żeby wytrzymać ten koszmar. Próbuję siebie przekonać, że potrafię wziąć się w garść i jakoś przeżyć w tym kraju. Ale czasami, najczęściej w nocy, mam wrażenie, że świat się wali. Duszę się, zalewam łzami, a na dodatek nie mam komu o tym opowiedzieć, Rosie. Nie mam się komu zwierzyć. Sama muszę wszystko wytrzymać i przełknąć. Dzieci są za małe, a ja nie chcę się skarżyć Nasradowi i przysparzać mu zmartwień. I tak źle znosi tę sytuację. Uważa, że to wszystko jego wina. Nawet nie wiesz, jak cierpi. I nie wyobrażasz sobie, jak mi z tego powodu ciężko. Nie mogę patrzeć, jak się zadrecza. Już sama nie wiem, jak mu pomóc. Modlę się nawet do Allacha, żeby zesłał całe cierpienie i zgryzotę na mnie zamiast na mojego męża. Wolę sama znosić ten ból.

Rosie zwróciła uwagę, że jej siostra wznosi modły do Allacha. Gdyby Maria była blisko, czas nie naglił i nie bałaby się, że nagle połączenie zostanie przerwane i znowu nie będą rozmawiały ze sobą przez wiele tygodni, Rosie zapytałaby ją, dlaczego modli się do Allacha, a nie do chrześcijańskiego Boga. W tej chwili jednak najmniej ją to obchodziło, do kogo siostra się modli. Najważniejszy był jej los, więc nie zamierzała tracić czasu na rozważanie kwestii wiary.

- Nie mogę patrzeć, jak mój mąż się zadrecza, Rosie. Chyba oszaleję. Nikt mi nie chce pomóc. Ambasada hiszpańska nie podsuwa mi żadnego rozsądnego rozwiązania, same wykręty i czcze obietnice. Wymówki, kochana, wyłącznie wymówki. Mówią, że skoro nie mam paszportu ani innego dowodu tożsamości, nie mogą uwierzyć mi na słowo, iż jestem Hiszpanką. A ponieważ nie mogłam złożyć doniesienia o kradzieży do

kumentów i nie mam zaświadczenia z policji, nie wydadzą mi nowego paszportu. Każą mi udowodniać, kim jestem. Myślą, że kłamię. Rozmawiam z nimi po hiszpańsku i proszę, żeby skontaktowali się z tobą, ale mi nie wierzą. Może nie chcą uwierzyć. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka się czuję bezsilna.

Przez chwilę Rosie pomyślała, że głos, który słyszy, nie należy do jej siostry. To było niewiarygodne. Albo była pod wpływem jakiegoś narkotyku, albo bredziła w malignie, ale ta nakręcona katarynka nie mogła być jej siostrą, dawną królową ciszy, niemal wzorcem milczenia. Teraz gadała jak najęta. Trudno było zrozumieć tę nagłą przemianę.

- Dlatego do ciebie dzwonię, Rosie. Już dłużej tego nie wytrzymam. Wiesz co? Wystarczy, że słyszę twój głos i już się lepiej czuję. Gdyby ktoś mi zagwarantował, że mogę z tobą porozmawiać codziennie przynajmniej przez pięć minut, zniosłabym wszystkie cierpienia i kłopoty. Nawet nie wiem, czy chcę, żebyś pomogła mi się stąd wydostać. Pragnę tylko usłyszeć twój głos i mieć pewność, że jesteście, pamiętacie o mnie i jeśli pewnego dnia będę was potrzebować, wiem, gdzie mam dzwonić, i wcale nie muszę wam udowodniać, kim jestem ani jak się nazywam.

Przez parę sekund w słuchawce panowała głucha cisza. Żadna z sióstr nie wypowiedziała ani jednego słowa. Obie milczały. Wydawało się, że czas stanął w miejscu, a dzieląca ich odległość tysięcy kilometrów skróciła się, zmniejszyła, a nawet zupełnie znikła. Wiedziały jednak, że nie mogą sobie pozwolić na luksus milczenia. Przez chwilę się bały, że połączenie zostało ostatecznie zerwane i każda z nich znowu jest sama, zamknięta w swoim świecie.

- Rosie, jesteś tam? - spytała Maria z wyraźnie wyczuwalnym lękiem, że nie usłyszy odpowiedzi.

- Oczywiście, że jestem, kochana. Zawsze byłam i będę, siostrzyczko.

- Rosie nie rozumiała, skąd wzięła w sobie tyle siły, żeby się nie rozplakać i nie pogрузić w rozpacz. Postanowiła powiedzieć coś, co uspokoi siostrę i doda jej choć trochę otuchy. - Posłuchaj, skarbie. Zaraz coś wymyślimy. Wyciągniemy cię stamtąd. Na razie nie wiem, jak i kiedy, ale jestem pewna, że się uda. Obiecuję ci. Już niedługo. Uwierz mi. Zaraz za-

czniemy działać. Za wszelką cenę wyciągnę cię stamtąd. Słyszysz mnie, Mario? Czy ty mnie słyszysz?

Maria nawet nie próbowała ukrywać łez i smutku, który ją opanował. Płacz nie pozwalał jej mówić.

- Słyszysz mnie, Mario...? Jesteś tam? Odezwij się. Powiedz coś! Mario!

- Jestem, Rosie. Oczywiście, że cię słyszę. I bardzo cię kocham. Musisz mi przebaczyć wszystko, co do tej pory źle robiłam. Nie chciałam sprawić ci problemu. Nie chciałam przysporzyć wam kłopotów. Ale wyszło inaczej. Jestem chodzącym nieszczęściem. Strasznie cię kocham, Rosie. Ciebie i całą naszą rodzinę. Przekaż to moim braciom, kuzynkom, ciotkom i tacie... A właśnie, jak się czuje tata? Dalej jest w szpitalu?

Rosie wiedziała, że między pytaniem siostry a jej odpowiedzią nie może zapaść zbyt długa cisza. Niestety, przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. W końcu wydukała:

- No cóż, coraz lepiej... Mario. - Nagle zmieniła temat: - Gdzie mieszkasz w Kabulu? Na jaki adres mogę ci wysłać trochę pieniędzy i ubranie? Masz w pobliżu jakiś bank?

- Tak, ale w tej chwili nie mogę ci podać nazwy ani adresu. Nie znam tych danych na pamięć. Muszę spytać Nasrada. Ale przysięgam, że jutro, najdalej pojutrze znowu do ciebie zadzwonię i podam ci wszystkie informacje. Nie mogę ci tylko powiedzieć, o której, bo nie wolno mi wychodzić nigdzie bez Nasrada. Miałabym kłopoty z mężczyznami na ulicy i z talibami. Do rozmównicy, z której dzwonię, trzeba jechać dwie i pół godziny autobusem, a potem jeszcze iść spory kawał piechotą.

Rosie już nie słuchała opowieści o dwuipółgodzinnej podróży autobusem z domu Marii do publicznej rozmównicy. Wyłowiła zaledwie dwa słowa: mężczyźni i talibowie. Oglądała dzienniki telewizyjne i coś niecoś wiedziała na ten temat.

- Czy miałaś już jakieś kłopoty z talibami, Mario? Czy coś ci się stało?

- Nic mi jeszcze nie zrobili, ale tutaj codziennie giną kobiety tylko dlatego, że wyszły na ulicę same, bez mężczyzny, albo dlatego, że podmuch wiatru zadarł poły ich burki i odsłonił fragment nagiego ciała. Nie

wyobrazasz sobie, jak tu jest. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić, nawet gdybym ci opisała.

Instynkt ostrzegł Rosie, żeby nie wypytywać dłużej siostry na ten temat. Nie chciała nawet słuchać, z jak błahych powodów giną kobiety w Afganistanie. Interesowało ją tylko to, jak znaleźć siostrę i w jaki sposób jej pomóc, dostarczyć pieniądze i ubrania. Reszty dowie się później. Jeszcze przyjdzie na to czas.

- Chcę ci przesłać telefon komórkowy, żebyś nie musiała tak daleko jeździć, kiedy masz ochotę albo musisz ze mną porozmawiać. I oczywiście kiedy ja będę chciała porozmawiać z tobą. Musimy mieć stały kontakt. Mario, nie chcę, aby znowu minęły lata, zanim do mnie zadzwonisz. Nie możesz tak długo milczeć. Po prostu nie możesz. Zapamiętaj to. Nie wolno ci. - Rosie powiedziała te trzy ostatnie słowa dobitnym i stanowczym głosem, żeby Maria wzięła je sobie do serca.

- Nie martw się, Rosie. Już nigdy więcej tak nie zrobię - obiecała siostra, co prawda nie do końca przekonana i pewna tego, co mówi, ponieważ dobrze siebie знаła. - A jeśli chodzi o komórkę, to lepiej nie wysyłaj jej pocztą. To na nic. Przy pierwszej okazji ukradną ją, albo w urzędzie celnym, albo na poczcie. Nawet nie próbuj, i tak do nas nie dotrze. Lepiej prześlij mi pieniądze. Tutaj ją sobie kupię.

Maria zobaczyła, jak do centrali zagląda Nasrad. Odszukał wzrokiem rozmównicę, w której była żona. Widząc zniecierpliwioną i niespokojną minę męża, pomyślała, że chyba upłynęło wiele czasu, odkąd weszła do kabiny, aby zadzwonić do siostry. Stwierdziła, że pora skończyć rozmowę.

- Rosie, muszę już kończyć. Zadzwonię jutro i przekażę ci wszystkie konieczne dane. Dzięki za wszystko, kochana. Nie wiesz, ile dla mnie znaczy rozmowa z tobą. Nawet sobie tego nie wyobrażasz.

- Skarbie, koniecznie zadzwoń do mnie jutro. Nie zwlekaj za długo. I nawet nie próbuj zniknąć jak duch. Pomogę ci się wydostać z Afganistanu, ale muszę mieć z tobą stały kontakt.

Rosie wiedziała, że zaraz skończą rozmawiać, i w końcu, bez kluczenia i podchodów, musiała zadać siostrze bezpośrednie i osobiste pytanie. Spytała jasno i wyraźnie.

- Mario, musisz mi powiedzieć szczerze i otwarcie. Czy Nasrad jest dla ciebie dobry? Czy nie przetrzymuje cię wbrew twojej woli? Skarbie, to bardzo ważne. Nie wolno ci kłamać. To bardzo ważne, nawet sobie nie wyobrażasz jak.

- Ależ co ty opowiadasz, Rosie? Skąd ci to przyszło do głowy? Oczywiście, że jest dla mnie dobry. Jasne, że zachowuje się tak, jak powinien. Dzięki niemu żyję. O co ty mnie pytasz, Rosie? O czym ty mówisz, dziewczyno? Jestem z nim, bo sama tego chcę. Jest moją jedyną podporą, miłością, nadzieją. Uwierz mi, Rosie. I nigdy więcej nie zadawaj takich pytań. Bardzo cię o to proszę. Nigdy więcej tego nie rób, bo to mi się nie podoba.

- Zapomnij o tym. Już nigdy więcej tego nie zrobię. Ale musiałam się upewnić. Tyle strasznych rzeczy opowiadają o muzułmanach. Mario... najważniejsze, żebyś do mnie jutro zadzwoniła. Nie zapomnij. Pamiętaj, że im szybciej to zrobisz, tym szybciej cię stamtąd wyciągnę.

- Daj spokój, Rosie. Muszę już kończyć. Całuję. Bardzo cię Kocham, siostrzyczko.

- Ściskam cię, skarbie. Uważaj na siebie. Kocham cię. Skończyły rozmowę. Chyba po raz pierwszy w życiu poczuły, że są tak

sobie bliskie. Zupełnie nieświadomie obie zamknęły oczy i odrzuciły w tył głowy, tak jakby chciały zatrzymać czas, jakby pragnęły zachować obrazy, głosy, słowa i tę chwilę na zawsze w pamięci.

Obie siostry potrzebowały czasu, żeby opuścić tę stworzoną w ich wyobraźni szklaną kulę, w której schroniły się przed rzeczywistością podczas długiej rozmowy telefonicznej. Nie umiały i nie chciały niczego udawać. Oddałyby pół życia za to, żeby się teraz objąć i przytulić.

Rosie wyciągnęła się na kanapie. Dziękowała niebu za to, że jest w domu sama. Nie dałaby rady podzielić się z kimkolwiek swoimi uczuciami.

Maria wyszła z rozmównicy jak ogłuszona. Szczelnie okryła się burką, zasłoniła starannie twarz. Rozmawiając przez telefon, w zaciszu kabiny, zdjęła część osłaniającą głowę, aby materiał nie tłumił wypowiedzanych słów i jej wyznania wyraźnie dochodziły do uszu Rosie.

- Wszystko w porządku, Mario? Bardzo długo rozmawiałaś. Nie stać nas na takie wydatki.

Nie odebrała słów męża jako wyrzutu. Prawdę mówiąc, nic, co padało z ust Nasrada, nie mogło tak brzmieć.

- Pomoże nam, Nasradzie. Rosie poprosiła mnie o adres banku i numer konta, na które przekaże nam trochę pieniędzy. Obiecała, że w miarę możliwości nam pomoże.

Mąż nic nie odpowiedział. Nie wiedziała, jak rozumieć jego milczenie, ale była pewna, że on cieszy się z tej nowiny tak samo jak ona. Zaslugiwał na promyczek nadziei, jaki się pojawił w zgliszczach ich marzeń i planów na przyszłość. Być może nadeszła pora, żeby wreszcie, choć na chwilę, zaświeciła dla nich szczęśliwa gwiazda.

Przez całą długą drogę powrotną do domu była zamyślona. Dziękowała niebu, że przez dwie i pół godziny podróży autobusem nikt przy niej nie siedział i z nikim nie musiała się dzielić uczuciami, nadziejami i planami na przyszłość, które jeszcze przed chwilą snuła razem z siostrą. Nasrad jechał w przedniej części wozu, przeznaczonej wyłącznie dla męż-



czynn, Maria zaś z tyłu, oddzielona od męża starą, wyświechtaną i postrzępioną zasłoną. Tak jak nakazywało prawo w Afganistanie. Jakże inaczej wygląda jazda autobusem w jakimkolwiek mieście europejskim!

Nazajutrz Maria nie mogła pojechać do publicznej rozmównicy, żeby zadzwonić do siostry, tak jak zamierzała. Nie zrealizowała swoich planów także przez następne dni, a nawet tygodnie. Sytuacja na przedmieściach Kabulu bardzo się skomplikowała i nie było wskazane, aby ktokolwiek, zwłaszcza kobiety, wychodził z domu, chyba że było to konieczne. Lepiej jednak unikać ryzyka. Za każdym razem, kiedy działo się coś niepokojącego, rząd wprowadzał stan wyjątkowy, obowiązujący nie tylko kobiety, ale i mężczyźni. Krążyły wtedy z ust do ust różne wstrząsające opowieści, docierając w końcu do wszystkich mieszkańców Kabulu, chociaż oficjalnie usta wszystkich były zamknięte, zasznurowane. Ludzie musieli milczeć.

Właśnie wtedy rozeszła się wieść o chłopaku zabitym przez patrol talibów. Chłopiec był bardzo młody, miał może piętnaście, szesnaście lat. W Afganistanie wiek nie był jednak pewny, ponieważ często nie rejestrowano w urzędzie niemowląt, szczególnie płci męskiej, aby w przyszłości uniknąć kłopotów, przede wszystkim związanych z powołaniem do wojska podczas nieustannych wojen pustoszących ten kraj.

Chłopaka zabił pięcioma strzałami w plecy żołnierz patrolujący ulicę. Przyczyna była nieznana. Może nie spodobała się żołdakowi jego twarz albo spojrzenie. Jakikolwiek powód był wystarczająco dobry, żeby kogoś zabić. Rodzina postanowiła natychmiast go pochować. Zgodnie z regułami i wymogami islamu krewni chcieli przez szybki pogrzeb zapewnić zbawienie i wieczny spokój jego młodej duszy. Niestety, okazało się, że nie jest to takie proste. Kiedy wieźli ciało na miejsce ostatniego pożegnania, grupa wojskowych zatrzymała furgonetkę.

Kazali wyciągnąć ciało. Nie dbając o szacunek i poważanie dla zwłok, zdarli okrywający je całun. Sinofioletowy trup chyba nie budził w nikim jakichkolwiek wątpliwości. Widać było, że chłopak jest martwy i trzeba go pochować. A jednak dla wojskowych sprawa nie była prosta i jednoznaczna. Zaczęli przesłuchiwać żałobników, z góry przeświadczeni, że

żadna z odpowiedzi udzielonych przez rodzinę zabitego nie odwiedzie ich od realizacji ich haniebnych zamiarów. Szybko zadali najważniejsze pytanie, które miało usprawiedliwić profanację zwłok: dlaczego chłopak jest ogolony i nie nosi tradycyjnej brody przepisowej długości, jak prorok Mahomet. Krewni zamordowanego, oczywiście mężczyźni - bo kobiety musiały milczeć i zachowywać się, jakby wcale ich nie było, jakby już za życia zostały pochowane - wyjaśnili żołnierzom niepewnym, wylęknionym głosem, że chłopak był jeszcze nastolatkiem, miał skąpy zarost i nie zdążył zapuścić wymaganej przez talibów brody.

Te wyjaśnienia jednak nie zadowolili ani nie przekonały żołnierzy. Obudziły się w nich najgorsze i najniższe instynkty: bez żadnego logicznego uzasadnienia, bez poczucia wstydu, bez szacunku dla ludzkich zwłok żołdacy brutalnie i bezwzględnie wyciągnęli martwego chłopaka z furgonetki i wyrzucili na drogę. Zbezczeszcili zwłoki. Kopali, deptali i miażdżyli kolbami karabinów martwe ciało. Któryś z nich nawet oddał parę strzałów. Martwy chłopak przedstawiał okropny widok, jego ciało było zmasakrowane - posiniaczone, okaleczone, ze śladami kul i ciosów kolb; przez liczne otwarte rany wypływały zmiażdżone wnętrzności. Żołnierze działali jak w amoku, jakby nie docierało do nich, że ten nieszczęsny chłopiec, zabity z jakiegoś błahaego, absurdalnego powodu, już od wielu godzin nie cierpi i nie czuje. Ale żądza gwałtu i krwi pozbawiła ich rozumu i dopóki starczyło im sił, okrutnie i bestialsko pastwili się nad zwłokami. Potem ciągnęli je po wyboistej i kamienistej drodze jakieś pięćset metrów.

Wreszcie wskoczyli do terenówki, zawrócili i odjechali. Wcześniej jednak zagrozili krewnym, którzy obserwowali tę scenę ze zgrozą i przerażeniem, nie mogąc okazać bólu, rozpacz czy też zaprotestować przeciwko bezczeszczeniu zwłok, i nakazali im natychmiast usunąć z maltretowane ciało. Zdążyli jeszcze najechać ciężkim, opancerzonym samochodem na zmasakrowane, porzucone na środku drogi szczątki. Odjechali, pozostawiając trupa jak zniszczoną szmacianą kukłę. Ta scena wywarła na wszystkich wstrząsające wrażenie. Trudno sobie wyobrazić, ile zła i okrucieństwa może się mieścić w istocie ludzkiej.

Gdy żołnierze zniknęli w dali i wiadomo było, że już nie zawrócą, żeby kontynuować bestialski spektakl, pięciu mężczyzn z rodziny chłopca zbliżyło się do zwłok i próbowało zebrać resztki ciała. Starali się okryć je całunem, ale widząc ogromne ilości krwi i rozrzucone na drodze szczątki, wrócili do furgonetki po grubą słomianą matę. Owinięto w nią resztki ciała, zbierając zakrwawione wnętrzności. Z obrzydzenia, bezsilności i nienawiści mężczyźni wymiotowali do przydrożnego rowu.

Dopiero po dwóch tygodniach, kiedy wyciszyły się nastroje w mieście, Maria mogła wyruszyć do Kabulu i zadzwonić do Rosie. W powietrzu unosiła się jeszcze aura niebezpieczeństwa i odór strachu. Ludzie się obawiali, że w każdej chwili może się zdarzyć coś, co znowu roznieci atmosferę grozy, od lat panującą w Afganistanie.

Weszła do kabiny. Jak zwykle był przy niej Nasrad. Nie mogła i nie chciała się z nim rozstawać. Tylko on mógł załatwić konieczne formalności i zamówić rozmowę z Hiszpanią u pracownika centrali. Maria potulnie stała parę kroków za mężem i cierpliwie czekała, aż on dogada się z urzędnikiem, który łaskawie skinie głową i zgodzi się na zrealizowanie połączenia. Zwykle trzeba było na nie czekać od pięciu minut do pół godziny. W końcu, nie zwlekając nawet sekundy i bojąc się, że pracownik telekomunikacji zmieni zdanie, Maria, która od dwóch tygodni gorąco pragnęła porozmawiać z siostrą i nie mogła przez to spać, weszła do kabiny, chwyciła słuchawkę i błyskawicznie wybrała numer.

- Rosie, to ja, Maria.

- Boże, a już myślałam, że nie zadzwonisz i znowu wywiniesz ten sam numer co zawsze. Tak długo się nie odzywałaś... Czy coś się stało?

- Tak, zabito chłopca, a potem zbezczeszczone jego zwłoki tylko dlatego, że nie miał przepisowej brody, wymaganej przez talibów. Nie mogłam zadzwonić, bo nie wolno było wychodzić z domu.

Szczerze mówiąc, Rosie sama nie była pewna, czy wolała, żeby siostra wyjaśniała jej dokładnie przyczyny spóźnienia, czy nie, bo nie potrafiła zrozumieć sytuacji, o której Maria opowiadała w najbardziej naturalny sposób. Nie czuła się również na siłach prosić ją, aby zrelacjonowała wszystko ze szczegółami.

- Nie martw się, kochana. Może już wiesz, gdzie mam wysłać pieniądze?

- Tak, mam adres banku i numer konta. Cokolwiek wyślesz, Rosie, pomoże nam to bardziej, niż myślisz. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka ci jestem wdzięczna, siostrzyczko. Nie wiesz, jak bardzo potrzebujemy pieniędzy. Nigdy byś nie uwierzyła...

- Nie dziękuj mi. Chcę tylko, żebyś jak najszybciej kupiła komórkę. To bardzo ważne. Musisz natychmiast kupić telefon, żebyśmy mogły do siebie dzwonić, kiedy tylko zechcemy. Nie chcę znowu wariować z niepokoju, że się nie odzywasz, i szukać cię po całym świecie. Wysyłam ci sto pięćdziesiąt euro. Potem przekażę więcej, jeśli będę mogła.

Głos Rosie zaczął zanikać, oddalać się, ledwie dochodził do uszu Marii. Miała wrażenie, że słowa siostry unoszą się w górę, giną gdzieś w dali, jak dziecięcy latawiec trzymany za sznurek przez małego właściciela. Gdy usłyszała wysokość kwoty, którą ma otrzymać, już nic więcej do niej nie docierało. Sto pięćdziesiąt euro to ogromna suma w Kabulu. Rozmyślała, co kupi do jedzenia dla swoich dzieci; marzyła o kawałku mięsa, które rzadko pojawiała się na ich stole. Może kupi nową pieluszkę dla małej, bo szorstkie szmatki, jakich używała zamiast pieluch, wywoływały alergię i obcierały dziecięce, delikatne ciało. Sto pięćdziesiąt euro. Aż sto pięćdziesiąt euro. Gdyby tak co miesiąc dostawać taką kwotę, a nawet mniejszą... „Sto pięćdziesiąt euro, Boże, tyle pieniędzy - myślała gorączkowo. - Ile rzeczy mogę za to kupić”.

Dopiero dochodzący ze słuchawki krzyk Rosie otrzeźwił Marię, ogłuszoną niespodziewaną nowiną o ogromnej kwocie stu pięćdziesięciu euro.

- Mario, czy ty mnie słyszysz? Jesteś tam? - dopytywała się niespokojna siostra w obawie, że coś się stało albo połączenie zostało przerwane.

- Tak, tak. Nie krzycz. Słyszę cię. Naprawdę wyślesz mi sto pięćdziesiąt euro?

- Wiem, że to mało, ale na razie mogę tylko tyle. Mam trochę problemów finansowych. Przysięgam jednak, że przy następnej okazji prześlę więcej. Niedużo zarabiam, ale jeśli będzie trzeba, pożyczę od kogoś. Chcę zaciągnąć kredyt w banku, chociaż przy moich dochodach raczej nie dadzą mi dużej kwoty na dobrych warunkach.

Maria nie mogła uwierzyć, że Rosie usprawiedliwia się przed nią. Chyba opacznie zrozumiała jej słowa. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała, czy śmiać się z tego powodu, czy płakać.

- Mało? Uważasz, że to mało? - Uświadomiła sobie, że jedyne, co może zrobić w tej chwili, to wybuchnąć płaczem. I rzeczywiście się rozplakała. Po raz pierwszy od dawna płakała ze szczęścia i radości. - Sądziś, że sto pięćdziesiąt euro w Kabulu to mało? Rosie, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, nie masz pojęcia, ile ta kwota znaczy dla mnie i moich dzieci. I lepiej, żebyś nie wiedziała. Dziękuję, Rosie. Kocham cię. Bardzo cię kocham.

Poczuła się śmieszna, a nawet żałosna, i nie wiedziała, jak wyrazić wdzięczność. Z jej ust padało tylko jedno słowo „dziękuję” i czuła, że te osiem nic nieznaczących, nieważnych liter to za mało, aby okazać, jak bardzo jest siostrze zobowiązana, i oddać uczucia kłębiące się w jej duszy.

- Daj spokój, Mario. Musisz tylko zacząć działać i robić to, co ci mówię. Za parę dni wpłyną na twoje konto pieniądze. Zawiadom mnie, jak przyjdą, dobrze?

- Nie martw się, Rosie. Na pewno zadzwonię. Zrobię to.

Zauważyła, że mówi tylko z czystej potrzeby wyrzucania z siebie potoku słów. Tak bardzo czuła się uniesiona radością z powodu tej wspaniałej nowiny, że usta same się otwierały. Nie była w stanie opanować potoku słów i prawdę mówiąc, wcale tego nie chciała. Jej umysłem i duszą zawładnęła jedna wizja: ogromnej sumy pieniędzy, o jakiej marzyła od dawna.

- Nie martw się. Jak tylko przyjdą pieniądze, zawiadomię cię, Rosie -zapewniała. - Nie bój się.

Starsza siostra znów nie mogła się powstrzymać od zadania jej ostatniego pytania, zanim zakończą rozmowę. Była kobietą zdecydowaną i ciekawą. Nie miała żadnych zahamowań, jeśli chciała coś wyjaśnić. Lubiła, żeby wszystko było uporządkowane i ustalone. Spytała zatem bez wahania:

- Mario... pamiętasz, wspomniałaś o chłopcu zabitym z powodu jakiejś brody... - Nagle zamilkła. Pomyślała, że może lepiej tkwić w niewiedzy i nie wyrywać siostry ze szczególnego stanu euforii, jaki przeżywała po usłyszeniu dobrej nowiny. - Zresztą wszystko jedno. Nie musisz mi odpowiadać.

- Tak będzie lepiej, Rosie. Jeszcze nadejdzie czas, kiedy wszystko ci opowiem. Przyrzekam. Jeszcze będziemy miały na to czas. - Maria zauważyła, że Nasrad daje jej znaki, aby skończyła rozmowę. Urzędnicy w publicznych rozmównicach nie lubili, kiedy połączenia trwały za długo. Patrzyli podejrzliwie na wszystkich, którzy długo rozmawiali przez telefon, tym bardziej z zagranicą. Obawiano się, że ludzie przekażą jakieś niepożądane informacje, a potem wynikną z tego kłopoty. - Muszę już kończyć. Całuję, Rosie. Niedługo znowu zadzwonię.

- Na razie, siostrzyczko. Do usłyszenia wkrótce.

- Poczekaj, Rosie. Jak się czuje tata? Ciągle jeszcze jest w szpitalu czy już wrócił do domu? Nie miałam od niego żadnych wiadomości. Ty też nic mi nie mówisz. - Maria wypytywała pospiesznie, żeby zdążyć się czegokolwiek dowiedzieć. - Jak się czuje tata?

Cisza trwała zaledwie ułamek sekundy, dla Rosie jednak, zanim odpowiedziała na to pytanie, czas włókł się w nieskończoność. Poczowała skurcz żołądka. Rozważała nawet, czy nie odłożyć słuchawki, udając, że przerwano połączenie z Hiszpanią.

W końcu postanowiła skłamać. Co prawda nie było to zgodne z jej zasadami ani naturą, ale ujawniona w tym momencie prawda pogorszyłaby tylko sytuację. To nie był czas na wyjaśnianie tego, co się stało.

- Dobrze, Mario. Lepiej skup się na swoich sprawach i nie myśl o czym innym. Na razie to my musimy pomóc tobie. - Nie umiała kłamać i siostra dobrze o tym wiedziała. Znały się przecież doskonale i wiele ra-

zem przeżyły. Maria świetnie wyczuwała, kiedy coś było nie w porządku. A w tym wypadku tak było.

- Ależ Rosie...

Siostra przerwała jej jednak szorstkim głosem:

- Mario, zadzwoń do mnie, jak tylko wpłyną pieniądze do banku. Wtedy porozmawiamy, skarbie. Bardzo cię kocham. Wszyscy cię kochamy i całym sercem jesteśmy z tobą. I zawsze będziemy. Tata też. On chyba najbardziej, siostrzyczko. Całuję cię, skarbie.

- Ja też cię całuję, Rosie.



W tym momencie Marię ogarnął smutek i niepewność. Miała wrażenie, jakby na jej barki runął tysiactonowy mur i przygniótł ją do podłogi. Jakieś dziwne uczucie owładnęło jej duszą, uciskało pierś i sprawiało, że nie mogła złapać oddechu. Tętno pulsowało pospiesznie. Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, skąd pojawiło się nagle to nieznane dotąd uczucie. Nawet nie próbowała porównywać go z lękiem i niepewnością, jakie przeżywała podczas działań wojennych, czekając przez wiele godzin na męża. Wtedy pragnęła tylko, żeby wrócił cały i zdrowy do ziemianki, w której schronili się przed bombardowaniami i ostrzałem. Wówczas czuła strach, a teraz jakiś nieokreślony niepokój. Skąd się wzięła ta niezachwiana pewność, że Rosie unika rozmów na temat stanu zdrowia ojca? Czy tacie coś się stało, a rodzina ukrywa przed nią ten fakt?

Nie namyślała się długo i natychmiast postanowiła zadzwonić do szpitala, w którym leżał ojciec. To był ten sam szpital miejski, do którego tata wielokrotnie ją woził, kiedy była mała i ciągle rozbijała sobie kolana albo skręcała kostkę lub łamała rękę na boisku szkolnym podczas dzikich gonitw i szalonych zabaw.

Wybrała numer szpitala. W słuchawce odezwał się jakiś znudzony, monotony głos kobiety. Recepcjonistka przywitała ją oschle i spytała, o co chodzi.

- Dzień dobry - odrzekła Maria. - Czy może mnie pani połączyć z pokojem, w którym leży pan Galera? Pięć miesięcy temu został przyjęty na onkologię.

- Galera... - powtórzyła kobieta znudzonym tonem. Po długim milczeniu odpowiedziała: - Nie ma u nas takiego pacjenta. Jest pani pewna, że przyjęto go do szpitala pod tym nazwiskiem?

- Tak. Galera - potwierdziła zdenerwowana Maria.

- Połączę panią z onkologią, boja nie widzę takiego pacjenta na liście. Może już go zwolnili do domu albo gdzieś przenieśli. Łączę.

Po pięciu długich sygnałach ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

- Onkologia, słucham.

Tym razem głos kobiecy był suchy i rzeczowy. Maria pomyślała, że jej rozmówczyni pewnie jest lekarką albo kimś, kto ma więcej do powiedzenia w szpitalu.

- Proszę mnie połączyć z pokojem pacjenta Galery.

- Chwileczkę.

Kobieta przełączyła rozmowę na numer wewnętrzny. To jedno słowo „chwileczkę” uspokoiło Marię. Przestała obawiać się najgorszego, dopóki znowu nie usłyszała w słuchawce głosu kobiety zamiast ojca.

- Kto mówi?

- Maria Galera. Chciałam rozmawiać z pacjentem o nazwisku Galera. Zajmował ten pokój.

- Ale tu go nie ma. I to od dawna! W tym pokoju jestem tylko ja.

- Nie ma go? Ale dlaczego? Został wypisany do domu czy...? - Nagle zamilkła, jakby się zlekła, że usłyszy straszną prawdę, na którą jeszcze nie była przygotowana. - Od jak dawna nie ma go w tym pokoju? - zapytała znów po chwili.

- Trudno mi powiedzieć. Może lepiej spyta pani kogoś z personelu. Na pewno będzie wiedział lepiej...

- Dobrze. Proszę mi przynajmniej powiedzieć, od kiedy pani zajmuje ten pokój? - W jej głosie wyraźnie dało się słyszeć proszący ton.

- Jestem tu już od trzech i pół miesiąca. Nic więcej nie potrafię pani powiedzieć. Proszę porozmawiać z pracownikiem szpitala.

Maria odłożyła słuchawkę. Drżały jej ręce, a serce łomotało. Nie tracąc czasu, zadzwoniła do Paąity. Nie zamierzała tego robić. Nie chciała z nią rozmawiać, dopóki znowu nie znajdzie się w Hiszpanii, ale była to jedyna osoba, która mogła jej coś powiedzieć o stanie zdrowia ojca, skoro Rosie nie chciała tego zrobić.

- Słucham - odezwał się znajomy głos wywołujący wzruszenie.
- Paąito, to ja, Maria. Gdzie jest mój tata? Co się z nim dzieje?
- Twój ojciec nie żyje, Mario. Umarł cztery miesiące temu.

Suchy ton Paąity, jakim wypowiedziała te słowa, wstrząsnął Marią. Jeszcze nigdy żadne zdanie nie wywołało w niej takiego szoku. Żadne słowa nie wstrząsnęły nią tak jak te. „Twój ojciec nie żyje. Twój ojciec nie żyje. Twój ojciec nie żyje” - rozbrzmiewało jej w uszach, dudniło w głowie, sprawiając ból, prawdziwy, niemal fizyczny ból. Słowa tak wyraźnie rozlegały się w jej głowie, że niemal czuła, jak tłuką się w czaszce.

Miała wrażenie, że za chwilę padnie trupem. Przysięgłaby, że w jej żyłach nie ma ani jednej kropli krwi, jakby utraciła ją w ułamku sekundy. Ogarnął ją lodowaty chłód. Nie mogła zrobić żadnego ruchu.

Słuchawka wypadła jej z ręki, a ona sama opadła bezwładnie na podłogę. Nie wiedziała nawet, czy Paąita jeszcze coś do niej mówi.

Wstrząsnęły nią dreszcze. Z oczu trysnęły łzy i popłynęły tak silnym i wartkim strumieniem, że Maria po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co to znaczy fontanna łez. Niepowstrzymana, tryskająca fontanna łez.

Jej ojciec umarł i nikt jej nawet o tym nie zawiadomił. Nikt z rodziny nie raczył jej odszukać i poinformować, że tata, którego tak bardzo kochała i z którym łączyła ją głęboka więź, pomimo tysięcy dzielących ich kilometrów i odmiennego stylu życia, odszedł na zawsze. Nawet w tym byli do siebie podobni - odchodzili bez słowa pożegnania. Bez uprzedzenia. Bez słowa wyjaśnienia.

Już nigdy go nie zobaczy. Nie będzie więcej podziwiała jego silnych, umięśnionych rąk, muskularnego, pomimo wyniszczającego raka, ciała, dobrodusznej twarzy. Spojrzenie jego oczu już nigdy nie skrzyżuje się

z jej wzrokiem, tak jak w dzieciństwie, kiedy porozumiewali się bez słów. Już nigdy nie spędzą popołudnia na wspólnych bez troskich pogawędkach, nigdy też nie zwierzy mu się ze swoich tajemnic. Niczego się nie cofnie. To już koniec. A ona nawet nie miała czasu, żeby powiedzieć ojcu, jak bardzo go kocha, jak bardzo za nim tęskni i nawet w najdalszym zakątku świata zawsze o nim myśli. Zbyt wiele spraw zostało niedopowiedzianych. Tak dużo, że Maria nie wiedziała, jak je teraz wyciszyć i ukryć w głębi serca.

Gdy Nasrad wszedł do kabiny, zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością żony, zastał ją przycupniętą na podłodze i duszącą się od łez. Miała odkrytą twarz. Szok spowodowany wiadomością o śmierci ojca sprawił, że nawet nie pomyślała o podstawowym obowiązku każdej kobiety afgańskiej: żeby ukrywać ciało i twarz przed obcymi. W tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Nie zareagowała, kiedy mąż nakazał jej zakryć twarz. Było jej wszystko jedno, co się z nią stanie: czy ją pobiją, wybatożą, ukamienują, skazą na śmierć. Nie czułaby bólu... Ogarnął ją tylko ogromny żal, że nigdy więcej nie zobaczy ojca. Tata nie żyje i nikt na świecie nie wiedział, jak bardzo była zrozpaczona.

Nasrad od razu spytał, co się stało. Kiedy zrozumiał, że nadaremnie wyciera żonie łzy, bo z jej oczu płynie nieprzerwany strumień, zakrył ją szczelnie burką, wyprowadził z kabiny i centrali telefonicznej. Maria dała się potulnie prowadzić. Nawet nie wiedziała, czy mąż ciągnie ją za sobą, niesie na rękach, czy może ona sama unosi się w powietrzu. Nie była nawet świadoma tego, czy ciągle jeszcze żyje.

W tym momencie to nie burka przesłaniała jej widok ulicy. Przed oczami miała wyłącznie obraz zmarłego ojca i tylko to chciała widzieć. Ojca, któremu przysporzyła tyle trosk swoim zachowaniem, postępowaniem i nieprzewidywalnymi wyborami. Ojca, z którym przez całe życie się kłóciła - o godzinę powrotu do domu, o nagłe postanowienie porzucenia szkoły... Ojca, który nigdy nie rozumiał jej decyzji ani tego, co robi ze swoim życiem, a jednak kochał ją bezgranicznie. Ojca, który nie potrafił pozbiierać się po śmierci żony, ale także nie mógł żyć bez najmłodszej có-

reczki. Ojca, którego Maria nigdy nie informowała o najważniejszych sprawach w swoim życiu ani o podjętych decyzjach, chociaż mogła mu wszystko wytłumaczyć i go uspokoić.

Ojciec nie żył. Maria także chciała umrzeć. Już nie myślała o ucieczce z Afganistanu. Teraz pragnęła tylko umrzeć i dołączyć do niego.

Ocknęła się dopiero w domu. Siedziała na tym samym materacu, na którym co noc spała z Nasradem. Nie pamiętała, jak tam dotarła ani jak ściągnęła z siebie burkę i zdjęła buty. Nie mogła uwierzyć, że straciła kontakt z rzeczywistością. To nie jedna czarna chmura na nią spadła, lecz całe ołowiane niebo. Maria czuła się zdruzgotana, opuszczona, oszołomiona, przepelniona smutkiem, nieskończenie samotna... i osierocona. Bez matki, a teraz także bez ojca. Sierota. Nigdy nie sądziła, że to słowo mieści w sobie tyle rozpaczy, tak wielkie, przejmujące cierpienie. Sierota.

Nagle dostrzegła męża. Siedział obok niej, na brzegu materaca. Nie wiedziała, jak długo był przy niej, wpatrywał się w nią, nie mając pojęcia, co się stało. Nie rozumiał, co się dzieje. Czekał na jakiegokolwiek wyjaśnienie. Wydawało się, że Maria straciła zmysły: nie słyszała, nie mówiła, nie widziała, nie wyczuwała zapachów ani smaków, nie reagowała na dotyk, nie czuła nawet bólu. Tak jakby nie istniała. Dopiero ciepły, serdeczny głos Nasrada stał się remedium na wszelkie zło. Głos męża sprawił cud.

- Przyniosłem ci herbatę. Wypij. Od razu poczujesz się lepiej.

Słowa męża pieściły jej uszy ciepło, delikatnie, subtelnie. Były jak nieznana dotąd pieszczota.

Wtedy po raz kolejny zrozumiała, że był mężczyzną, który potrafił wesprzeć kobietę, bez zadawania zbędnych pytań, bez nalegania, bez

użalania się, bez wywierania nacisku. Po prostu pozwalał, aby upłynął konieczny do ukojenia czas. Spokojnie czekał, aż nadejdzie właściwa pora. Nie ponaglał, nie przyspieszał. Pozostawił wszystko naturalnemu biegowi.

Wiedziała, że musi się uśmiechnąć do męża i wyjaśnić, co się stało. Dokładnie w tej kolejności.

- Nasradzie... mój tata nie żyje.

Zauważyła, że zdanie to nie zabrzmiało tak sucho i oficjalnie jak w ustach Paauity. Nie rozumiała dlaczego, ale zrobiło się jej lżej.

Byli sami w pokoju. Zapadła między nimi pełna współczucia i zrozumienia cisza, która ich połączyła, tak jak wiele razy przedtem. Milczenie stało się elementem ich zbratania. Przytulili się, objęli i pocałowali, wspólnie przeżywając tę pełną ciepła chwilę, wypełnioną ciszą i ukojeniem, których Maria tak bardzo potrzebowała. Od momentu, kiedy odgrodziła się od rzeczywistości i ukryła w swoim świecie tylko ze wspomnieniem ojca, pogrążona w bólu i spowita mrokiem, upłynęło wiele godzin.

- Tata umarł, Nasradzie. A ja nie zdążyłam mu powiedzieć tego, co pragnęłam.

Przy każdym wypowiedzianym przez nią zdaniu mąż coraz mocniej ją obejmował. Z jego ust nie padło ani jedno słowo pociechy czy otuchy, bo takie słowa po prostu nie istniały. Jego obecność była dla Marii najlepszym i jedynym wsparciem. A jednak to nie wystarczało.

Zapadła w głęboką depresję. Dni ciągnęły się w nieskończoność, godziny się wlokły, minuty grzebały ją za życia. Nikt nie mógł jej pomóc. Nie miała siły nic robić. Nawet obecność dzieci, ich uśmiechy i paplanina nie przynosiły ukojenia, nie wyrwały z rozpacz, jękają ogarnęła, odkąd dowiedziała się o śmierci ojca. Nie jadła, nie piła, z trudem wstawiała, żeby pójść do ubikacji. Tylko spała. Spała całymi dniami. I rozmyślała. Tysiące razy wspominała swój ostatni pobyt na Majorce, kiedy ojciec poznał wnuczka, Abdullaha. Był taki szczęśliwy, taki dumny z wnuka, stali się niemal nierozłączni.

Ojciec Marii wolał udawać, że nie wie, co się dzieje. Oczywiście wcale nie był zadowolony z tego, że jego najmłodsza córka wyjechała

bez uprzedzenia i bez żadnych wyjaśnień do Londynu. Nigdy nie potrafił zrozumieć tak wielkiej potrzeby niezależności, jaka zawsze determinowała wszelkie czyny i decyzje Marii. Postanowił jednak nie jątrzyć tej rany. Zbyt wiele przeżyli chwil pełnych napięcia. Kłótnie i nieporozumienia zwiększyły tylko dystans między nimi, na szczęście wyłącznie w geograficznym sensie, bo więź uczuciowa między ojcem a córką nigdy nie osłabła.

Teraz Maria miała swoje życie, dziecko i pochodzącego z Afganistanu męża - muzułmanina. „Moja córka wyszła za mąż za Maura. I koniec. Poślubiła Araba. Koniec i kropka”. Tak mawiał jej ojciec. Jego sąsiedzi i znajomi, słysząc to, nie wiedzieli, czy to było oznajmienie faktu, czy też lekko pogardliwy komentarz. Ale nikt nie wypytywał, żeby rozwiązać swoje wątpliwości.

„Moja córka wyszła za mąż za Maura”. Uśmiechała się pobłaźliwie, słysząc, jak ojciec wypowiada te słowa. A robił to często. Wiedziała, że małżeństwo z muzułmaninem i przejście na islam nie było tym, co ojciec sobie wymarzył i planował dla niej. Według niej życie właśnie na tym polegało: należy je przyjmować takie, jakie jest, a nie starać się postępować według ustalonych planów i schematów opartych na kalkulacji. Nie da się wszystkiego z góry przewidzieć.

Oboje wiedzieli, że żadne z nich nie potrafi się pogodzić z decyzjami tego drugiego, ale łączyła ich głęboka i silna miłość, której nic nie mogło osłabić.

Maria uwielbiała się przyglądać, jak ojciec bawi się z wnuczkiem. Mogła bez końca przypatrywać się tej pięknej scenie. Wtedy na jej twarzy pojawiał się uśmiech dumy i szczęścia, którego nic nie mogło zmazać. Kiedy ona i jej rodzeństwo byli mali, ojciec nigdy nie kładł się na podłogę, żeby się z nimi bawić, natomiast podczas jej wizyty na Majorce na porządku dziennym była taka oto scena: tata wyciągnięty na dywan albo usadowiony wygodnie w fotelu i bawiący się z wnukiem, jakby to było najważniejsze w życiu.

Trochę za późno się zorientowała, że właśnie o to chodzi: z ojca powoli uchodziło życie. I to dosłownie, nie w przenośni, tak jak po śmier-



ci żony, matki Marii, kiedy to pragnął odejść z tego świata, albo wtedy, gdy dowiedział się, że córka uciekła z domu, a potem przez siedem długich lat się nie odzywała. Tym razem naprawdę umierał. Miał raka i rokowania nie były pomyślne, wręcz przeciwnie. Rodzina świetnie zdawała sobie sprawę z jego stanu, gdyż diagnozy lekarskie były jak nóż wbijany prosto w serce. Raniły i sprawiały ból. Maria próbowała sobie poukładać wspomnienia związane z ojcem, tak aby te ostatnie spędzone z nim chwile nie były oderwane od reszty. Całymi dniami usiłowała odtworzyć rozmowy z tatą, przypomnieć sobie porozumiewawcze spojrzenia, przywołać w pamięci długie okresy milczenia, które zamiast sprawiać ból, raczej leczyły zadawnione rany. Przeżywała słowa ojca, tak jakby słyszała je na nowo, analizowała jego rady, upomnienia, kazania, morały.

Z bólem przypomniawszy sobie ostatnie zdania, jakie usłyszała od niego, zanim wsiadła do samolotu odlatującego do Londynu, gdzie czekał na nią mąż: „Wiem, że nigdy więcej nie zobaczę mojego wnuka ani ciebie. Po prostu to wiem”. Umierał i wiedział o tym.

Maria żałowała, że nie spędziła z nim więcej czasu, nigdy go uważnie nie słuchała, nie zdążyła porozmawiać o sprawach, które ich łączyły, a tym bardziej podyskutować o tym, co ich dzieliło, że nie miała czasu mu powiedzieć, jak bardzo go kocha, ani wyznać, jak bardzo się cieszy, iż ojciec jest szczęśliwy, bawiąc się i gaworząc ze swoim wnukiem. Miała do siebie pretensje i żal o to, że nie zadzwoniła do niego z wiadomością o swoim ślubie i odebrała mu tyle miesięcy radości, nie pokazując mu od razu nowo narodzonego wnuczka. Zadręczała się myślą, że obecność jej i małego pomogłaby mu odzyskać zdrowie. Była pewna, że nigdy sobie tego nie wybaczy i z tą świadomością będzie musiała żyć aż do śmierci. Zgrzeszyła egoizmem, dostrzegając jedynie swoje własne szczęście, a zamykając oczy na potrzeby człowieka, który dał jej życie. Tyle spraw pozostało jeszcze niewypowiedzianych. Jego odejście wywołało w niej dojmujący, przeraźliwy ból. Wyrzuty sumienia nie pozwalały jej swobodnie oddychać. Cierpiała całymi tygodniami, ale ani razu nie poskarżyła się głośno. Traktowała to jako karę, na którą według siebie za-

służyła. Opuściła ojca, a teraz straciła go na zawsze. Tym razem to on ją opuścił.

Nie chciała wychodzić na ulicę, rozmawiać z sąsiadkami ani odwiedzać krewnych Nasrada. Nawet perspektywa szukania pomocy w ambasadzie hiszpańskiej nie pomogła jej wyjść z depresji.

Na nic się zdały wszelkie środki i sposoby, które miały ją wydobyć z tego stanu. Zamknęła się w sobie i tak chciała pozostać.

Tylko ktoś naprawdę dla niej ważny mógł jej pomóc. I tak się stało.

Pewnego dnia Nasrad wrócił wcześniej, niż się spodziewała. W rękę trzymał jakieś dokumenty. Wszedł do pokoju, usiadł obok niej i powiedział:

- Twoja siostra przysłała nam pieniądze. To może być otwarcie furtki do twojej ojczyzny, do twojego świata, do lepszej przyszłości. Teraz już tylko od ciebie zależy, czy dalej chcesz tkwić w tym stanie zawieszenia i rozpacz, czy przeciwnie, wreszcie wstaniesz, ubierzesz się i zaczniesz działać. Udowodnisz, że jesteś kobietą mądrą, inteligentną, odpowiedzialną, silną i pewną siebie. Kobieta, w której się kiedyś zakochałem i którą ciągle Kocham i będę kochał aż do śmierci. Niech się dzieje, co chce. Tym razem ty decydujesz, Mario. Zresztą tak jak zawsze. Decyzja należy do ciebie. Albo poddasz się i przegrasz, albo będziesz walczyć i zwyciężysz. Niezależnie, co postanowisz, będę z tobą. Tuż obok ciebie. Na zawsze.

Usłyszawszy te słowa, poczuła, że w jej duszy budzi się coś, co nakazuje jej wyrwać się ze stanu, w którym tkwiła przez długi, ciężki dla niej czas - przygnębiona, pogrążona w rozpacz i apatii, powalona losem. Przez kilka tygodni leżała, w ogóle się nie podnosząc, dlatego nagła zmiana pozycji spowodowała zawroty głowy. Ale tylko przez chwilę. Cudowne lekarstwo, jakim były dla niej słowa Nasrada, przyniosło natychmiastowy efekt. Mąż miał rację. Ojciec umarł i już nic nie mogło tego

odwrócić. Teraz siostra przychodzi jej z pomocą, przesyłając pieniądze, a ona ma się podnieść i zacząć działać. Poczwała, że jest to winna wszystkim, także swojemu ojcu.

Pierwsze minuty powrotu do życia poświęciła na toaletę, posiłek, zabawę z dziećmi - przytulała je tak mocno, jakby od lat ich nie widziała. Oczywiście musiała też przeprosić Nasrada.

- Bardzo mi przykro. Wiem, że strasznie się zachowywałam, a ty, widząc mnie w takim stanie, cierpiełeś. Przyrzekam ci, że to już koniec. Znowu zacznę walczyć i wiem, że uda nam się z tego wyjść. Wydostaniemy się wszyscy razem. - Zrobiła przerwę dla zaczerpnięcia oddechu. Nagle poczuła się silna i pełna nadziei, i podobał jej się ten nowy stan. - Jeszcze dziś chcę się wybrać do miasta i jak najszybciej zadzwonić do siostry. Pojedziesz ze mną?

Wiedziała, że to pytanie retoryczne, bo mąż na pewno zgodzi się jej towarzyszyć. Miała rację. Nasrad był zachwycony, widząc ją pełną woli działania, śmiałą i odważną, tak jak zawsze - tych cech nawet rządy tali-bów nie zdołały stłumić. Musiała je tylko głęboko ukrywać.

Pragnęła porozmawiać z Rosie, opowiedzieć jej, co się z nią działo. Musiała odzyskać wolę życia, nabrać chęci do kontaktów z ludźmi i do działania, tak aby jak najszybciej mogli wrócić do domu. Musiała natychmiast działać.

Kiedy wchodziła do rozmównicy, dygotały jej nogi, zwłaszcza że kazano jej zająć tę samą kabinę, w której kilka tygodni temu Paquita przekazała jej suchym głosem bolesną nowinę, co zapadło w nią na całe życie: „Mario, twój ojciec umarł”.

Nabrała odwagi, tak jak czyniła to w wielu innych sytuacjach, i weszła do środka. Wybrała numer Rosie i czekała na sygnał.

Po kilku monotonnych dźwiękach w słuchawce odezwał się głos siostry. Nie potrafiła powstrzymać łez. Załamała się.

- Rosie, tata nie żyje. Tatuś umarł. - Łzy nie pozwalały jej dalej mówić. Dusił ją w gardle. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Przecież wiem, kochanie - uspokajała ją zdziwiona siostra. - Wiem, że tata nie żyje. Ale kto tobie to powiedział? Skąd się dowiedziałas?

- Zadzwoiłam do szpitala i jego pokój zajmowała jakaś kobieta - opowiadała Maria, usiłując zapanować nad czkawką, której dostała od płaczu. - Potem zadzwoniłam do Paąuity i ona mi powiedziała. Boże, jaka ona głupia, wywaliła prawdę, tak jakby mówiła najbanalniejszą rzecz pod słońcem: „Twój ojciec nie żyje”. Nie mogłam tego wytrzymać. Załamalam się. Okropnie to przeżyłam, Rosie.

- Rozmawiałaś z Paąuitą? - Siostra zdziwiła się, ale nie chciała dłużej indagować Marii, w jaki sposób dowiedziała się o śmierci ojca, postanowiła nie zadawać więcej pytań. - Wybacz, to ja powinnam ci powiedzieć, ale myślałam, że będzie lepiej, jeśli się na razie o tym nie dowiesz. Jeszcze tego ci brakowało w tej ciężkiej sytuacji... A jednak w końcu się dowiedziałaś. I to nie ode mnie.

- Rosie, kiedy umarł tata?

- W styczniu. Miał przerzuty, nastąpił kryzys, a on nie potrafił go przezwyciężyć, chociaż poprzednio mu się udało. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Przynajmniej tak mówili lekarze. Był przytomny, ale mam nadzieję, że nie cierpiał.

- Rosie, czy choć raz o mnie wspomniał? - spytała Maria nieśmiałym głosem. Bała się, że odpowiedź siostry rozwieje jej nadzieje.

- Oczywiście, skarbie. Jasne, że pytał o ciebie. Mówił o tobie codziennie i bezustannie. Nie było dnia, żeby nie dowiadywał się o ciebie i twojego syna. Ciągłe powtarzał, że chyba już nigdy nie zobaczy wnuczka i córki. Był bardzo smutny z tego powodu, chociaż starał się, żeby nikt tego nie zauważył. Sama wiesz, jaki był tata... - W słuchawce zapadła cisza. Rosie wyczuwała, że siostra chce się dowiedzieć czegoś więcej, pragnie usłyszeć, jak wyglądały ostatnie chwile ojca. - Wiedział, co przeżywasz, Mario. Chociaż ty nic mu nie mówiłaś, a z moich ust również nie padło ani jedno słowo na temat twojej sytuacji. On jednak wszystko wiedział. Nawet nie pytaj skąd, ale wiedział. Był świadom, że przeżywasz okropne chwile, że cierpisz, i zadrećzał się myślą, że nic nie może dla ciebie zrobić. Wyobraź sobie, kiedyś biedaczek powiedział, że gdyby miał pewność, iż uda mu się tobie pomóc, sam wyruszyłby z Palmy, aby dotrzeć tam, gdzie jesteś. Gdyby tylko wiedział, że na pewno cię spotka i przytuli.

Kiedy Maria słuchała słów Rosie, czuła, że serce trzepocze się w jej piersi. Myślała o tym samym godzinami, kiedy podczas bezsennych nocy snuła plany ucieczki i powrotu do Europy. Tysiące razy zastanawiała się, ile czasu zabrałaby jej wędrówka, jeśli którejs nocy wymknęłaby się z domu i wyruszyła na Majorkę. Może to śmieszne, nierealne, szalone, ale zdarzały się chwile, kiedy musiała spojrzeć na Nasrada i na dzieci, żeby zrezygnować z tego pomysłu.

Głos siostry przywracał ją stopniowo do rzeczywistości:

- Ostatnie jego słowa były skierowane do ciebie, Mario. Nie myślał o żadnym z nas, stojących wokół jego łóżka, ale o tobie.

Milczała. Czekwała, aż siostra powie, jakie były ostatnie słowa ojca. W końcu spytała niecierpliwie:

- Co ci powiedział, Rosie? Co tato mówił o mnie?

- Prosił, abym cię strzegła - odrzekła Rosie łamiącym się ze wzruszenia głosem. - Żebym o ciebie dbała, Mario. Bym zawsze była blisko ciebie, nie pozwalała ci na zbyt długie milczenie ani na żaden kolejny wybryk, który mógłby cię rozdzielić z rodziną, z nami. Tata prosił, żebym cię pilnowała, abyś nie robiła już więcej głupstw. A ja mu to przyrzekłam i chcę dotrzymać słowa. - Rosie nabrała powietrza i mówiła dalej: - Zapewnił mnie, że z góry będzie widział wszystko i dowie się, czy go posłuchaliśmy.

- Takie były jego ostatnie słowa? - wydusiła przez zęby Maria.

- Tak mi powiedział. A ja ci mówię, że mu to obiecałam. I mam zamiar dotrzymać słowa. Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz.

Obydwie zrozumiały, że nadszedł moment, aby przestać płakać, załamywać ręce, pograżać się w rozpacz, i wreszcie zacząć działać.

- Nasrad mówił, że wpłynęły pieniądze do banku. Są już na naszym koncie. - Maria, zmieniając temat, odezwała się innym głosem, tak jakby w ciągu ostatnich trzech sekund nagle wydorowała.

- Mario, nie chcę, żeby Nasrad pobierał te pieniądze. One są dla ciebie i masz je wykorzystać tak, jak uznasz za stosowne. Nie życzę sobie niemiłych niespodzianek. Chcę, żebyś wydała tę sumę zgodnie ze swoją wolą. Czy to jasne?

Rosie poczuła, że być może nie użyła odpowiedniego tonu i właściwych słów. Była twarda i wymagająca, zresztą tak jak zawsze. Przestraszyła się, że siostra nie odbierze tego tak, jak powinna.

- Właśnie to zamierzałam zrobić - odrzekła Maria. - Nasrad nic nie wypłacił. Chcę ci jednak przypomnieć, że jest moim mężem i tylko on pomógł mi jakoś przetrwać. Nie powtarzaj ciągle, że mu nie ufasz, bo na to nie pozwolę.

- Mario, nie o to chodzi. Przepraszam, jeśli nie umiałam ci tego właściwie wytłumaczyć. Chcę ci tylko powiedzieć, że to ty jesteś dla mnie najważniejsza. Nie twierdzę, że Nasrad jest zły, ale to ty jesteś moją siostrą. To ciebie kocham i o ciebie walczę. - Rosie wolała zmienić temat. Nie chciała, żeby rozmowa zeszła na złe tory z powodu jakiegoś głupstwa. - Kupiłeś komórkę? Pamiętaj, to najważniejsze. Najpierw musisz to zrobić.

- Jak tylko skończymy rozmawiać, pójdę z Nasradem do banku, wypłacimy pieniądze i natychmiast kupimy telefon.

- Jak idzie załatwianie spraw w ambasadzie hiszpańskiej?

- Źle, Rosie. A nawet beznadziejnie. Nikt nie chce mi pomóc, a może rzeczywiście nie mogą. Za każdym razem, kiedy tam wchodzę albo wysyłam pismo, czuję się głupia, bezradna, niekompetentna, tak jakbym z góry wiedziała, że to na nic. Nic i nikt nie pomoże mi wydostać się z Afganistanu. Naprawdę nie rozumiem, po co jest ambasada, skoro nikt nie chce albo nie może pomóc obywatelce hiszpańskiej, znajdującej się w tak trudnym położeniu jak ja. Myślałam, że właśnie po to są dyplomaci i urzędnicy konsularni. Nic z tego nie rozumiem. To mnie przerasta.

- Próbuje dalej. Nie poddawaj się, nie ustępuj. Nie załamuj rąk. To najgorsze, co mogłabyś zrobić. Przyrzekam, że zrobię wszystko, żeby cię stamtąd wyciągnąć. - Rosie przez chwilę się zastanawiała, czy podzielić się z siostrą pomysłem, który od paru dni krążył jej w głowie. - Mam zamiar zwrócić się do prasy i opowiedzieć twoją historię. Dziennikarze zawsze mogą działać więcej, a takie sprawy jak twoja przyciągają uwagę. Udało mi się także dotrzeć do pewnych oficjalnych instytucji. Opowiem

ci, jak mi idzie. Dlatego to takie ważne, żebyś kupiła telefon. Muszę być z tobą w stałym kontakcie, a nie wyczekiwać, aż do mnie zadzwonisz.

- Nie martw się. Jeszcze dziś wieczorem się odezwę i podam ci numer. Dzięki za wszystko, Rosie.

- Już ci mówiłam, żebyś sobie darowała podziękowania. Jesteś moją siostrą, a zresztą przyrzekłam to tacie.

Rosie było głupio, że siostra ciągle jej dziękuje. Czuła się źle za każdym razem, kiedy z ust Marii padało to słowo. Miała wtedy wrażenie, że nie robi wszystkiego, aby wyciągnąć ją z Afganistanu.

- W takim razie czekam na twój telefon wieczorem. Nie zapomnij. Całuję, Mario.

- Do usłyszenia, kochana.



Kolejne dni po rozmowie telefonicznej z siostrą minęły bez większych zmian. Na początku wiadomość o pieniądzach przekazanych przez Rosie podniosła ich na duchu. Wystarczyły na zaspokojenie, choćby chwilowo, najpilniejszych potrzeb rodziny. Żyli przecież w ciągłym niedostatku. Maria kupiła komórkę, o co tak bardzo prosiła siostra, ale szybko zrozumiała, iż zbyt wiele nadziei wiązała z tym, że telefon będzie służył do przekazywania wyłącznie dobrych wiadomości, i to od razu. Ponieważ tak się nie stało, znowu ogarnęło ją zniechęcenie i rozpacz. Straciła nadzieję.

Postanowiła zwrócić się do tych ambasad, w których, jak się spodziewała, w końcu jej uwierzą. Była w ambasadzie angielskiej, francuskiej, a nawet amerykańskiej. Wszędzie to samo. Bardzo uprzejmie, co prawda, ale spławiali ją, twierdząc, że najlepiej będzie, jeśli się zwróci o pomoc do ambasady Hiszpanii.

Tam jednak piętrzyli przed nią same trudności. Odnalazła adresy organizacji międzynarodowych i wysłała do nich listy, w których przedstawiła swoją sytuację oraz opisała pasmo nieszczęść, jakie ją dotknęły w ciągu ostatnich lat. Niektóre z tych instytucji, na przykład organizacja Pomoc Kobiecie, włączyły się w jej sprawę i załatwiły pieniądze, jedzenie, ubrania, a nawet tymczasową pracę.

Na Majorce sprawy również szły nie najlepiej. Rosie skontaktowała się z różnymi lokalnymi środkami przekazu i opowiedziała o perype-

tiach swojej siostry. Nie czuła się dobrze w tej sytuacji. Nie lubiła być wypytywana, nie sprawiało jej przyjemności opowiadanie z detalami o życiu Marii i przyczynach jej obecnego położenia. Rozumiała jednak, że to najszybszy i najskuteczniejszy sposób, aby świat się dowiedział, że jej siostra jest sama, opuszczona, w obcym, dalekim kraju i nikt nie chce jej pomóc.

Nie miała także szczęścia w swoich wędrówkach po gabinetach ważnych osobistości, do których przychodziła, mamiona miłymi gestami i gładkimi słowami. Kiedy dochodziło do konkretów, nie pomogła jej jednak żadna z ważnych figur. Co więcej, w końcu ci sami ludzie, robiący uprzejme miny i karmiący ją pustymi frazesami, nie odbierali telefonów, kiedy dzwoniła po raz enty, skarżąc się, że jej siostra zbyt długo siedzi w Afganistanie i ktoś powinien jej wreszcie pomóc się stamtąd wydostać. Te dowody hipokryzji nie zaskoczyły zbytnio Rosie. Zawsze podejrzewała, że jedyna reakcja, na jaką może liczyć w ważnych urzędach, to obojętność i osławione biurokratyczne milczenie.

Ogarnęła ją rozpacz i zniechęcenie. Zastanawiała się czasem, czy nie byłoby lepiej spróbować wyciągnąć siostrę z Afganistanu innymi sposobami, mniej oficjalnymi, niemającymi nic wspólnego z legalną drogą. Prawdę mówiąc, niewiele ją obchodziło, czy ucieczka Marii z afgańskiego piekła będzie zgodna z prawem, skoro oficjalna droga służbowa nie gwarantowała jej szybkiego powrotu do domu. Rosie pragnęła tylko, żeby siostra jak najszybciej się stamtąd wyrwała. To nie był czas, aby się zastanawiać nad kwestiami etyki i rozważać legalność stosowanych środków.

Przez znajomego dowiedziała się, że w więzieniu w Saragossie siedzi więzień - muzułmanin, który zmienił wiarę i zrzekł się obywatelstwa afgańskiego. Rosie całymi nocami rozmyślała, jak zorganizować wyprawę do Afganistanu przy pomocy tego człowieka, mającego układy z lokalną mafią i tamtejszymi gangsterami, którzy pomogliby Marii wydostać się stamtąd, oczywiście w zamian za sowite wynagrodzenie. Ale do tego potrzebna była brawura i pieniądze. Rosie, co prawda, dysponowała tym pierwszym, nawet w nadmiarze, natomiast brakowało jej tego

drugiego. Przez wiele dni usiłowała przekonać się do zorganizowania tej niebezpiecznej wyprawy, łudziła się, że jej się uda. Jeśli nawet nie zraziła się trudnościami związanymi z przeprowadzeniem tego ryzykownego planu, zaufany prawnik przestrzegł ją, że takie eskapady udają się tylko w filmach sensacyjnych, ale nie w życiu. Co prawda niezupełnie przekonało ją zdanie adwokata, ale w końcu sama doszła do wniosku, że to nie ma sensu.

Postanowiła znów spróbować rozwiązać problem legalną drogą, mając nadzieję, że tym razem jej się uda. Ponownie pukała do dziesiątek drzwi gabinetów, małych i dużych, bardziej i mniej ważnych, lokalnych i państwowych, oficjalnych i pozarządowych. Wszędzie słyszała to samo: „Bardzo nam przykro, nie możemy pani pomóc. To zbyt trudna i skomplikowana sprawa. Tam toczy się wojna i szanse, aby z Afganistanu wyciągnąć pani siostrę z dziećmi, są zerowe”.

Rosie opuszczała gabinety notabli z jeszcze większą wolą działania niż wtedy, gdy przestępowała ich progi. Była pewna, że da sobie radę bez pomocy ważnych figur - odzianych w drogie garnitury, rozpartych w skórzanych fotelach, stąpających po puszystych perskich dywanach i oferujących uprzejmie napoje petentom - i wydobędzie siostrę z Afganistanu. Bezradność, jaką prezentowali obojętni urzędnicy, którzy przecież jednym kiwnięciem palca mogliby załatwić sprawę, paradoksalnie dodawała jej siły do działania na własną rękę.

Prawdziwa iskierka nadziei pojawiła się jednak zupełnie gdzie indziej.

Przed niespełną tygodniem ciotka z Barcelony, ta, z którą Maria spędzała najwięcej czasu w dzieciństwie, zadzwoniła do Rosie, żeby powiedzieć, iż ma znajomych, którzy pracują jako kucharze w ambasadzie hiszpańskiej w Kabulu. Oni z kolei przyjaźnią się z funkcjonariuszem Guardia Civil, czyli hiszpańskiej Straży Obywatelskiej, o imieniu Jose, człowiekiem o bardzo dobrym sercu.

Ciotce przyszło do głowy, że może ów funkcjonariusz mógłby w jakiś sposób pomóc jej siostrzenicy i tak nią pokierować, aby w końcu załatwiła swoje sprawy i unormowała sytuację.

Rosie nie wiedziała, czy krzyczeć z radości, czy ze złości i rozpacz, że wcześniej nie opowiedziała krewnej o kłopotach Marii.

- Moi znajomi poprosili mnie o twój numer komórkowy - powiedziała ciotka - i oczywiście im podałam. Powiedzieli, że już rozmawiali z Jose, a ten obiecał, że zrobi wszystko, co będzie mógł, aby pomóc Marii. Najpierw jednak chciałby poznać jej historię i powody, dla których tak długo pozostaje w Afganistanie, nie mogąc wyjechać. Dlatego pragnie z tobą porozmawiać. Pewnie wkrótce odezwie się do ciebie, o ile już tego nie zrobił.

- Nie, ciociu. Nikt jeszcze do mnie nie dzwonił. Ale nawet nie wiesz, jak się cieszę, jeśli to, co mówisz, jest prawdą.

- Oczywiście, kochanie, że to prawda. Moi znajomi to poważni ludzie

i kiedy się dowiedzieli o sytuacji Marii, natychmiast zaoferowali swoją pomoc.

- W porządku, ciociu. Nie mam wątpliwości, ale nasłuchałam się już tylu zapewnień, tylu gładkich słów i fałszywych obietnic, że sama nie wiem, komu wierzyć i czego słuchać.

Telefon od ciotki Rosie odebrała w chwili, kiedy przeżywała prawdziwy kryzys. Jej odporność psychiczna spadła do zera, podobnie jak optymizm życiowy i odwaga. Za każdym razem, kiedy nadaremnie spodziewała się cudów po jakimś telefonie, spotkaniu z politykiem czy udzielonym dziennikarzowi wywiadzie, czuła się jak przygnieciona płytą nagrobną.

Zbyt długo żywiła się złudnymi nadziejami i nierealnymi oczekiwaniami, że ktoś pomoże siostrze wyjechać z Afganistanu. Kiedy myślała, że jest już blisko celu, zawsze zjawiał się ktoś, kto ją brutalnie sprowadzał na ziemię z taką samą łatwością i bezmyślnością, z jaką rozwala się zamki z piasku wzniesione przez dziecko na plaży. Czuła się wtedy tak samo jak to dziecko, które widzi, jak ktoś bezmyślnie burzy jego budowlę, w którą włożyło tyle serca i pracy, a potem zostaje samo, patrząc na ruiny swojego dzieła.

Tym razem było jednak inaczej. Nie czekała długo na telefon.

- Rosa? Mówi Jose. Dzwonię z Kabulu. Pewnie wiesz, kim jestem.

- Oczywiście, proszę pana. Bardzo mi miło i dziękuję za telefon - odpowiedziała. Niepokój, który nie dawał jej spać ani jeść przez ostatnie dni, sprawił, że od razu przeszła do rzeczy: - Czy może pan coś zrobić dla mojej siostry?

Rosie wydawało się, że widzi lekki uśmiech malujący się na ustach Jose, jakby świetnie rozumiał niecierpliwość, z jaką zadała mu to pytanie.

- Mam nadzieję, że tak - odrzekł. - Proszę mi wierzyć, że postaram się zrobić wszystko, co mogę, dla pani siostry. Ale najpierw proszę mi opowiedzieć, co się właściwie stało, i podać mi jej dane. - Pewnie uznał, że jego słowa nie do końca przekonały rozmówczynię, dlatego postanowił nadać im większą wiarygodność, aby ją uspokoić i złagodzić napięcie. - Proszę posłuchać, nie mam żadnego interesu w tym, żeby kłamać. Dowiedziałem się o sprawie pani siostry i chcę jej pomóc.

- Dziękuję. Nawet pan nie wie, jaka jestem wdzięczna za to, że pan dzwoni i oferuje pomoc. Przepraszam, że na początku byłam trochę napastliwa, ale żyjemy w wielkim stresie.

- Spokojnie. Jeśli pani woli, przejdźmy na ty. Tak będzie łatwiej rozmawiać. Nie sądzi pani... nie sądzisz?

Rosie natychmiast zaznajomiła José z sytuacją siostry. Opowiedziała mu tyle, ile sama wiedziała. Przedstawiła mu, jakie prawne i urzędowe kroki podjęła Maria w celu załatwienia dokumentów, i dodała, że nikt nie chce jej pomóc. Stwierdziła, że ze zdziwieniem zaobserwowała, iż pracownicy ambasady udzielali siostrze mętnych odpowiedzi, jakby bardziej im zależało, żeby uwolnić się od sprawy, a nie wyciągnąć ją z afgańskiego piekła. W Hiszpanii twierdzono, że dokumenty trzeba załatwić na miejscu, w Afganistanie, tam z kolei wmawiano Marii, że należy to zrobić w ministerstwie, w Madrycie. I tak, z powodu braku kompetencji jednych i niechęci do działania drugich, dziewczyna ciągle tkwiła wraz z dziećmi w Kabulu.

José zapewnił Rosie, że w najbliższych dniach skontaktuje się z jej siostrą. Poprosił ją, aby nie wspominała Marii, że on jest funkcjonariuszem Guardia Civil. Lepiej powiedzieć jej, że jest wolontariuszem z ambasady, a nie zatrudnionym tam policjantem. Takie środki ostrożności były niezbędne na wypadek, gdyby któryś z jego przełożonych się dowiedział, że José pomaga samowolnie i na własną rękę obcym ludziom, na dodatek nie w sprawach związanych z jego służbą. Miałby kłopoty. I to duże.

Rosie chciała natychmiast uprzedzić Marię. Po namyśle jednak postanowiła się najpierw przekonać, czy istnieją jakieś realne szanse na pomoc. Nie chciała sprawiać siostrze kolejnego zawodu.

Komórka odezwała się, kiedy Marii kąpała dzieci we wspólnej łazience. Kazała im grzecznie siedzieć w wannie i myć się, dopóki nie wróci, po czym pobiegła do pokoju, gdzie leżący na stole telefon wydawał znajome dźwięki, kojarzące się jej z siostrą. Rosie była jedyną osobą znającą ten numer i jedyną, która do niej dzwoniła. Być może miała jakieś nowiny albo chciała dodać jej otuchy i wesprzeć na duchu.

Tymczasem w okienku aparatu wyświetlił się nieznany numer. Zaskoczyło to Marię. Zmarszczyła brwi: „Kto to dzwoni? Przecież nikt nie zna mojego numeru. Dziwne” - pomyślała.

Przez chwilę się zastanawiała, czy w ogóle odebrać, czy raczej poczekać, aż na sekretarce automatycznej nagra się wiadomość. Szybko jednak uznała, że to bez sensu. „Może dzwoni ktoś, kto chce mi pomóc. Nie czas teraz na rozterki”.

Odebrała połączenie i odezwała się trochę nieufnym i niepewnym głosem:

- Słucham...

- Maria Galera? - Ktoś nieznajomy poczekał na potwierdzenie, a potem zaczął mówić, żeby uspokoić zaskoczoną niespodziewanym telefonem kobietę. - Mam na imię José, jestem wolontariuszem z ambasady hiszpańskiej. Dostałem pani numer od pani siostry Rosy.

- Rosa dała panu mój numer? Nic mi o tym nie mó... - Dopiero teraz sobie przypomniała, że siostra podczas ostatniej rozmowy wspomniała o jakimś młodym człowieku zatrudnionym w ambasadzie, który obiecał jej pomóc. - Ach tak, José! Przepraszam, jestem taka rozkojarzona. Oczywiście, że Rosie mówiła mi o tobie. Ale, szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że tak szybko zadzwonisz. Wolę się już nie łudzić. Chyba rozumiesz?

- Oczywiście. Nie przejmuj się. Mam zamiar wpaść do ciebie i wypytać o parę szczegółów. Wtedy powiesz mi, co mogę dla ciebie zrobić. Może potrzebna ci jakaś żywność, ubranie albo coś innego... sam nie wiem. Będiesz w domu po południu?

- Oczywiście. Nie zamierzałam nigdzie wychodzić. Może wpadniesz do mnie na herbatę? Po południu wraca mój mąż, Nasrad. Będziesz miał okazję go poznać. Zaraz podam ci adres. Czekam na ciebie.

- Dobrze. Jestem po południu. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, José. I dziękuję.

Pojawienie się José w życiu Marii było cudownym zrządzeniem losu. W ciągu zaledwie paru tygodni przekonała się, jak niezliczone kłody rzucano jej pod nogi, kiedy chciała załatwić jakikolwiek dokument czy uzyskać pomoc w ambasadzie. Znikały natomiast, wręcz przestawały istnieć, kiedy José się do tego zabierał.

Ten funkcjonariusz Guardia Civil, ukrywający swoją prawdziwą funkcję pod przykrywką pracy wolontariusza w ambasadzie hiszpańskiej, okazał się dla Marii prawdziwym aniołem stróżem. Długo też nie poznała prawdy o jego prawdziwym zajęciu.

Miała wrażenie, że ten człowiek wie o niej więcej, niż sama mu o sobie powiedziała podczas licznych rozmów. José stał się niemal spowiednikiem Marii, człowiekiem, któremu zwierzała się ze wszystkich swoich pragnień, wątpliwości, lęków, nie bojąc się, że ją zdradzi. Poznał też największe marzenie Marii: wydostać się z Afganistanu razem z mężem i z dziećmi. Cała czwórka razem w Hiszpanii - to było jedyne jej pragnienie, ale niemożliwe do zrealizowania z powodu braku dokumentów, permanentnego braku pieniędzy i silnie zakorzenionych w tradycyjnej społeczności afgańskiej przekonań, że kobieta nie może podejmować sama decyzji. Obawiała się także, że jej urodzone w Afganistanie dzieci nie będą mogły opuścić tego kraju tak łatwo, jakby urodziły się w Hiszpanii czy jakimkolwiek innym państwie europejskim. Gdyby miały obywatel-



stwo hiszpańskie, byłoby dużo prościej. Najpierw jednak trzeba było zdobyć pieniądze na bilety i dokumenty. Maria wiedziała, że nie uda jej się tego załatwić, wołała więc nie żywić złudzeń, gdyż na dłuższą metę przysparzały jej więcej cierpienia niż radości.

José stał się mężem zaufania Marii w Kabulu. Czasami miała wrażenie, że wyprzedzają o krok lub dwa. Zanim zdążyła zdobyć jakieś dane czy dokumenty lub sprawdzić, jak postępuje załatwianie spraw, on już o tym wiedział i popychał je do przodu. I tak naprawdę było. Maria była nieświadoma prawdziwych źródeł wiedzy swojego anioła stróża. Większość informacji na jej temat José miał od Rosie, o czym Maria dowiedziała się znacznie później. Mogłaby bowiem zrujnować niechcący plany wyjazdu, obmyślane za jej plecami przez oboje. José z Rosie planowali wszystko w tajemnicy dla jej własnego bezpieczeństwa.

Pewnego dnia Maria zadzwoniła do José bardzo wzburzona, niemal w hysterii. Nie mógł jej uspokoić. Z jej ust wypływał potok niezrozumiałych słów, które zlewały się z sobą, tworząc beładny, chaotyczny bełkot, serię dźwięków, krzyków i łkań. Nie mógł nic zrozumieć.

Była w szoku pod wpływem wydarzenia, które rozegrało się na jej oczach zaledwie parę minut wcześniej na jednej z kabulskich ulic. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Była pewna, że tego obrazu nie pozbędzie się z pamięci do końca życia, niezależnie od tego, ile potwornych rzeczy przyjdzie jej jeszcze w życiu zobaczyć.

Była tak bardzo zdenerwowana i przerażona, że z trudem łapała oddech. Zaskoczony José słuchał jej relacji przez telefon, na próżno próbując ją uspokoić. Obawiał się najgorszego. Wydawała z siebie pasmo szlochów, skarg i lamentów: „Zabili dziecko na ulicy! To byli znowu oni. O mój Boże. O Boże święty!”.

José kurczowo trzymał w ręku słuchawkę i miał wrażenie, że twarz mu tężeje, a oczy wychodzą z orbit. Próbował znaleźć jakiś sens w wyrzucanych przez kobietę bez ładu i składu słowach, ale to nie było takie proste.

- Uspokój się, Mario, bo nie będę mógł ci pomóc. Rozumiesz, o co cię proszę? - Dziękował Bogu za to, że był opanowany. Zawsze potrafił kontrolować emocje. Te cechy charakteru pomagały mu nie uzewnętrzniać

uczuciu. W przeciwnym razie bowiem już dawno by wybuchnął i wtedy byłoby jeszcze gorzej. - A teraz mów, co się dzieje.

Pod wpływem stanowczych słów Jose Maria zaczęła się powoli uspokajać. Starła się oddychać normalnie, kontrolować roztrzęsione, rozdygotane ciało, opanować czkawkę. Nie była pewna, czy będzie w stanie odtworzyć to, co się zdarzyło na oczach jej, Nasrada i ich dzieci, ale musiała przynajmniej spróbować.

Zaczęła opowiadać:

- Wyszliśmy kupić oliwę i chleb. Skorzystaliśmy z ładnej pogody i zabraliśmy ze sobą dzieci, bo już od dawna nie wychodziły na dwór. Chciałam, żeby odetchnęły świeżym powietrzem.

Na ulicach było pełno ludzi, ponieważ tego dnia odbywały się tradycyjne targi w Kabulu. Maria z rodziną krążyli od straganu do straganu, na których wystawiono różnorodne towary we wszystkich kolorach tęczy. Barwny widok afgańskiego bazaru zawsze fascynował Abdullaha i Nurię.

- Właśnie przechodziliśmy obok stoiska ze słodyczami - ciągnęła - i dzieci poprosiły o jakieś łakocie. Zazwyczaj nic im nie kupujemy, bo nie możemy sobie pozwolić na takie fanaberie, ale Nasrad stwierdził, że nic się nie stanie, jeśli choć raz ulegniemy ich prośbom. Zatrzymaliśmy się przy kramie ze specjałami z migdałów i miodu. Abdullah je uwielbia i prawdę mówiąc, już sam widok jego rozpromienionej buzi, kiedy dostaje ulubione smakołyki, sprawia, że warto mu je kupować.

Na chwilę zamilkła. Jej relacja zbliżała się do momentu, o którym usilnie pragnęła zapomnieć. Na samą myśl, że musi dobrać odpowiednie słowa, aby to opisać, wpadła w panikę. A jednak mówiła dalej:

- Kiedy mój mąż płacił za słodycze, spojrzałam na plac i zauważyłam wśród tłumu ludzi małego chłopca, mniej więcej w wieku Abdullaha, który bawił się pistoletem, pewnie wystruganym z drewna przez ojca czy starszego brata. Był sam, trzymał zabawkę w ręce. Nagle nie wiadomo skąd pojawił się jakiś żołnierz. Wyraźnie widziałam, jak szedł w kierunku chłopca zdecydowanym krokiem, stanowczy i poważny. Bez słowa wsadził rękę do kabury, wyciągnął broń, wycelował w głowę dziecka... i strzelił!

Maria przypomniała sobie, jak ludzie znajdujący się w pobliżu przerażeni rozbiegli się na wszystkie strony, byle dalej od zwłok. Tylko nieliczni gapili się na martwe dziecko, leżące w kałuży krwi tryskającej z jego głowy. Żołnierz, który je zabił, spokojnym ruchem schował broń do kabury i odszedł.

Kiedy jego towarzysz z patrolu spytał, co się stało, bezwzględny morderca odpowiedział z tym samym chłodem, z którym wcześniej wypalił z broni w głowę chłopca, że smarkacz mierzył do niego z pistoletu, a on nie wiedział, czy broń jest prawdziwa, dlatego musiał go zabić. Zdaje się, że ta odpowiedź zadowoliła drugiego żołnierza, bo obaj spokojnym krokiem oddalili się z miejsca zbrodni.

Martwe ciało chłopca długo leżało na ziemi nieruchome, okrwawione, w takiej samej pozycji, w jakiej mały upadł. Kilka centymetrów od jego stóp leżała zabawka, którą bawił się tuż przed śmiercią. Nikt nie odważył się go dotknąć. Nikt nawet nie podszedł, aby sprawdzić, czy chłopiec jeszcze żyje, w obawie, że to rozwścieczy wojskowych. Ludzie bali się zemsty albo takiej samej śmierci, jaką poniósł chłopiec.

Po upływie paru minut na miejscu, z którego zniknęli naoczni świadkowie zbrodni, pojawił się mężczyzna w średnim wieku z twarzą siną z rozpacz. Podszedł do zwłok swojego czteroletniego syna, wziął je na ręce i wyszeptał cicho jakieś słowa, których nikt nie dosłyszał, a potem popatrzył na wojskowych, na mordercę swego dziecka, który z niewzruszoną, obojętną miną, a nawet z odrobiną pogardy obserwował z dala tę scenę. Przez chwilę ludzie obawiali się najgorszego. W końcu mężczyzna wstał z klęczek i trzymając zwłoki syna na rękach, odwrócił się i zniknął w tłumie. Jeden Bóg czy też Allach wie, jakie myśli kłębiły się w głowie ojca niosącego martwe dziecko w ramionach.

Maria spojrzała na czteroletniego Abdullaha. Nie zdążyła jeszcze wręczyć mu łąkoci zrobionych z miodu i migdałów. Nie przestawała myśleć o tym, co by było, gdyby jej syn zamiast słodczy zażyczył sobie pistoleciku zabawki i tak jak ten chłopiec, którego zwłoki niósł teraz na rękach jego ojciec, pobiegł się nim pobawić na plac. Ogarnął ją strach, którego nie potrafiła opanować.

Na szczęście dzieci nie widziały tej sceny. Nasrad starał się odwrócić ich uwagę. Były świadome, że coś się stało, ponieważ wyczuwały u rodziców napięcie, ale nie widziały sceny morderstwa.

- Co się stało, mamó? Co się dzieje, tato?

- Nic, kochanie. Naprawdę nic. Trzymaj mocno słodycze w ręce. Uważaj, żeby ci nie wypadły na ziemię. Idziemy stąd. - Nasrad zwrócił się do żony: - Natychmiast stąd chodźmy.

Nawet teraz, opowiadając o tym, była wstrząśnięta i przerażona. Nie potrafiła się z tym pogodzić ani zapomnieć tej strasznej sceny, choć bardzo tego pragnęła. W słuchawce słyszała jednak głos José. Wiedziała, co chce mu powiedzieć.

- José, musisz nam pomóc się stąd wydostać. Dłużej tego nie wytrzymam. Przecież na miejscu tego dziecka mógł być mój synek. Tak się może zdarzyć choćby jutro. A ja nie chcę, żeby tak się stało. Błagam, jeśli tylko możesz to dla mnie zrobić, wyciągnij mnie stąd jak najszybciej.

- Mario, uspokój się. I nie opowiadaj tego przez telefon. Zostań w domu, dopóki znowu do ciebie nie zadzwonię. Nie wychodź z nikim, nawet z własnym mężem. Słyszysz mnie? Z nikim. Czekaj na mój telefon. Obiecuję jak najszybciej zadzwonić. Zrozumiałaś?

Od dawna nikt jej nic nie obiecywał. Była tym zaskoczona, ale w pozytywnym sensie. Postanowiła posłuchać swojego anioła stróża.

- Dobrze, José. Nie wyjdę z domu. Ale nie znikaj bez słowa. Wolę, żebyś mi wszystko szczerze powiedział. Po wszystkich naszych przejściach nie zniosłabym kolejnego zawodu, zwłaszcza z twojej strony.

- Maria mówiła uroczystym, poważnym głosem, w którym można było wyczuć pewien chłód, wyraźnie kontrastujący z pełnymi przerażenia lamentami, jakie wydawała z siebie jeszcze parę minut temu.

- Przyrzekam ci, że nie zniknę. Zaufaj mi, Mario. - José wypowiedział te słowa ze specjalnym naciskiem, akcentując każde z nich z osobna, tak jakby pragnął ją uspokoić.

- Zawsze ci ufałam - odpowiedziała kategorycznym tonem.

Minął tydzień, a José wciąż nie odzywał się do Marii. Obawiała się najgorszego, ale ku swemu zdziwieniu i wbrew temu, czego się spodziewała przez pierwsze dni, kiedy jej anioł stróż nie dawał znaku życia, nie czuła do niego nienawiści ani złości. Nagłe milczenie José nie załamało jej, nie rozczarowało. Po prostu pogodziła się z tym. „Skoro nie dzwoni, to znaczy, że nie ma żadnych nowin. Może tak jest lepiej” -myślała.

Zdumiewająco łatwo nauczyła się akceptować zmienne koleje losu. To była tylko jedna z wielu sytuacji, z którymi musiała się pogodzić.

Nie czuła urazy ani niechęci do José. Ani śladu żalu. Nic, absolutnie nic. Po prostu przestała ufać ludziom. Postanowiła poddać się przeznaczeniu i zaakceptować nowe życie. Będzie żyła w Kabulu jako jedna z wielu afgańskich kobiet, jej dzieci wyrosną na muzułmanów, a mąż będzie harował do śmierci, aby zapewnić im nędzną egzystencję. Cała jej przyszłość to Kabul i Afganistan. Nie ma już miejsca na wielkie marzenia, na dalekosiężne plany. Koniec z nierealnymi snami. Stanęła przed brutalną rzeczywistością. Postanowiła zatem dźwigać to brzemie, znosić je z pokorą i godnością. Tylko to jej pozostało.

Przepelniający jej serce pesymizm nagle się rozwiął na dźwięk dzwonka komórki. Przez chwilę się łudziła, że to może José w końcu się odzywa, żeby wnieść w jej życie promyczek nadziei. Pomyliła się jednak. Na

ekranie telefonu wyświetlił się numer Rosie, która z niecierpliwością czekała, aż Maria odbierze.

- Maria?

- Tak, Rosie. Co słychać?

- Dzwonił do ciebie José? Widziałaś go?

Maria była trochę zaskoczona niecierpliwym wypytywaniem o tego człowieka. Siostra nawet nie zapytała o zdrowie dzieci, o jej nastrój i samopoczucie, tak jak to zawsze robiła. Tym razem Rosie interesowało tylko to, czy dzwonił José.

- Jeszcze nie. Nie dzwonił. Już od wielu dni nie daje znaku życia. Boję się, że już go nigdy nie zobaczę. Lepiej przywyknąć do tej myśli.

- Co ty pleciesz? Nie dzwoni, bo jest zajęty pewną bardzo ważną sprawą, o której nic ci nie mogę powiedzieć. Nie mów bzdur i czekaj na jego telefon. Masz zrobić dokładnie to, co on ci każe. Słyszysz mnie? Zrozumiałaś?

Nie mogła pojąć, po co tyle sekretów. Cóż to za ważna sprawa, którą był pochłonięty José, a jej siostra nic nie chciała powiedzieć? Czemu tak długo nie dzwonił do niej, chociaż go prosiła, żeby się odezwał jak najszybciej? I czemu Rosie mówi, żeby Maria nie plotła bzdur?

Przez chwilę miała wrażenie, że jest pod wpływem środków halucynogennych, które nie dają jej jasno myśleć. A może ktoś za plecami, bez jej wiedzy, organizuje jej życie, a ona nie ma na nic wpływu?

- Mario, czy ty mnie słyszysz? Rozumiesz, co do ciebie mówię, siostrzyczko?

- Nie, Rosie. Nic nie rozumiem. Jak mam rozumieć, skoro nikt mi nic nie wyjaśnia ani nie tłumaczy, co się dzieje? Trochę to trudne. Nie sądzisz?

Posłuchaj, kochanie. José może do ciebie zadzwonić w każdej chwili, kiedy tylko będzie mógł. Gdy skończy załatwiać pewną ważną sprawę... Posłuchaj, Mario, niedługo to zrozumiesz. Czekaj cierpliwie. Zaufaj mi.

Po raz drugi w ciągu dwóch tygodni ktoś ją prosił, aby mu zaufała. Najpierw zrobił to José, który po tych słowach zniknął z jej życia bez śladu.

A teraz Rosie mówi: „Zaufaj mi”. Maria wiedziała, że siostra jej nie zawiedzie. W takim razie nie powinien jej zawieść także Jose.

- Dobrze. Poczekam, Rosie. Tak czy siak już od dawna nic innego nie robię, tylko czekam. W końcu cóż to za różnica, jeśli poczekam trochę dłużej. Nie uważasz?

Maria zgodziła się czekać, ale bez entuzjazmu ani zniecierpliwienia. Jej zupełna obojętność zaskoczyła siostrę.

- Kochana, jesteś doprawdy dziwna. Nie wiem, co ci jest. A więc postanowione. Bądź spokojna, Mario. Niedługo do ciebie zadzwonię. Zgoda?

- Dobrze, Rosie. Całuję. Do usłyszenia.

W końcu José się odezwał, chociaż przestała już czekać na jego telefon. Zapomniała także, a przynajmniej próbowała, o tych zobowiązujących słowach: „Zaufaj mi”, które do niej powiedział, a potem powtórzyła je siostra. Tamtego ranka Maria usłyszała dzwonek komórki i w słuchawce rozległ się znajomy męski głos. Przez parę sekund się zastanawiała, czy to na pewno on. Tak dawno do niej nie dzwonił, że z trudem sobie przypomniała ten głos. A jednak bez wątpienia był to José. W końcu się odezwał. Miał dla niej jakieś nowiny, które chciał przekazać osobiście, a nie przez telefon. Umówili się, że natychmiast się spotkają, ale kiedy zaproponowała, aby wpadł do niej do domu, kategorycznie odmówił. Nawet nie nalegała, nie tłumaczyła, że tak będzie dla nich lepiej i bezpieczniej. Zaproponował spotkanie w zupełnie innym miejscu, a Maria się zgodziła. Trochę ją zaniepokoiła jego prośba, żeby nie mówiła o spotkaniu Nasradowi. Nie rozumiała tego i nie widziała ku temu powodów. Uważała, że to nie w porządku ukrywać cokolwiek przed mężem. Nie znając powodu, zgodziła się jednak. Na spotkanie poszła razem z synkiem, dobrze wiedząc, że samotna wyprawa do miasta to dla kobiety niemal samobójstwo.

Przez całą drogę do lokalu, w którym byli umówieni, zastanawiała się, co zrobi, kiedy stanie przed José. Cisnęło jej się na usta tysiące pytań i tyle samo wyrzutów. W końcu zrezygnowała z rozważania tego, co mu powie, bo miała wrażenie, że pod naporem myśli pęknie jej czaszka.



Dotarłszy na miejsce, nie miała najmniejszych problemów z rozpoznaniem znajomego mężczyzny. Podeszła i stanęła przed nim. Widziała, że José próbuje wypatrzeć, czy pod burką naprawdę kryje się ona, ale się nie odzywała. Zupełnie zapomniała, że ludzie, patrząc na postać odzianą w burkę, nie widzą, kto się pod nią ukrywa. Dopiero po chwili sobie uświadomiła, że jej twarz jest szczelnie zasłonięta i wątpliwości José są uzasadnione. Nie umiał, tak jak Nasrad, rozpoznać jej po butach albo po charakterystycznym niezdarnym chodzie.

- Dzień dobry, José.

- Witaj, Mario. - Spuścił wzrok i przez dłuższą chwilę bez słowa wpatrywał się w Abdullaha. - To twój syn, prawda? Miło cię poznać, kawalerze.

Chłopiec się zawstydził i schował za matką, nie spuszczał jednak z oczu tego dziwnego pana, który mówił do niego w jakimś nieznanym języku.

- Nie mówi po hiszpańsku? - spytał José Marię.

- Jeszcze nie zdążył się nauczyć, a przede wszystkim, jak sam wiesz, nie miał do tego okazji.

Wiedziała, choć nie rozumiała powodów, że nie zarzuci José lawiną wyrzutów, które kłębiły się w jej głowie przez całą drogę, kiedy to sama podsycala swoje wzburzenie. A przynajmniej nie wypowie ich w tym momencie.

Usiedli przy stoliku, przy którym pił herbatę, czekając na nią. Zamówiła to samo. Nie ściągnęła burki z twarzy, chociaż zrobiły tak wszystkie kobiety siedzące wokół niej w tym dość eleganckim lokalu. Nie rozumiała, dlaczego mężczyźni i kobiety siedzą w tej samej sali, popijając spokojnie herbatę czy kawę. José wyjaśnił, że ta kawiarnia przeznaczona jest wyłącznie dla cudzoziemców, stanowi neutralny teren misji dyplomatycznych, więc Maria może się tu czuć swobodnie i bezpiecznie. Wolą jednak nie zdejmować burki.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego nie zadzwoniłem wcześniej.

- Siostra mi wyjaśniła, że zajmujesz się jakąś ważną sprawą. Ale nie chciała powiedzieć czym.

- To moja wina. Prosiłem ją o to, niemal wymusiłem na niej, żeby zachowała dyskrecję. Dolać ci jeszcze herbaty?

Maria nie mogła już dłużej wytrzymać. Musiała się dowiedzieć, co się dzieje, i to natychmiast. Była spięta i zdenerwowana. Nagły niepokój wywołał w niej falę gorąca. Miała wrażenie, że zaraz się udusi pod burką, dlatego podniosła delikatnie część zakrywającą twarz, spojrzała na José i nachylając się nad stolikiem, spytała:

- Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? Co masz mi do przekazania? Czemu nie mogłam przyjść z mężem? Dlaczego wolałeś, żebym była sama? To nam może przysporzyć kłopotów. Powinieneś o tym wiedzieć lepiej ode mnie.

- Mario, proszę cię, nie obraż się, aleja nie ufam twojemu mężowi. - Kiedy zobaczył jej minę, zrozumiał, że musi dokładnie wytłumaczyć, o co mu chodzi. - Spróbuj mnie zrozumieć. Znam cię. Słyszałem o twoich losach. Wiem, jak bardzo pragniesz się stąd wydostać i zabrać ze sobą dzieci. Wiem także, że masz rodzinę, która czeka na ciebie w Hiszpanii, i nigdy się nie dowiesz, ile zrobiła twoja siostra Rosie, żeby cię wyrwać z Afganistanu. To wszystko wiem. Nie wiem natomiast nic, bo nikt nie umiał mi nic powiedzieć, na temat twojego męża.

Postanowił mówić do Marii konfidencjonalnym tonem, nie spuszczać z niej wzroku. Specjalnie wymawiał słowa wolno i starannie, starając się łagodzić te, które w jego mniemaniu mogły ją rozgniewać bądź obrazić.

- Mario, nie wiem, jakiego rodzaju stosunki was łączą. Nie wiem, czy ci grozi, szantażuje, może wywiera na ciebie presję. Nie wiem nawet, czy tak jak w większości afgańskich małżeństw twój mąż stosuje wobec ciebie przemoc, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Nie wiem, czy wpływa na twoje decyzje. Nie mam pojęcia, czy cię maltretuje. Nie wiem nic, Mario. Tego mogę się dowiedzieć tylko od ciebie, a to nie pierwszy podobny przypadek, z jakim się spotykam. Czy dobrze mnie rozumiałaś? Mam nadzieję, że tak, bo muszę dowiedzieć się prawdy, jeśli mam cię stąd wydostać.

Maria nie dostrzegała sensu w słowach José. Wiedziała, że jego pytania nie są bezpodstawne, ale nie chciała przyjąć do wiadomości, iż ktoś

mógłby nawet przypuszczać, że Nasrad źle traktuje ją i dzieci. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ktokolwiek wątpi w jej męża, jego szczere intencje i szlachetny charakter.

- Już ci o tym kiedyś mówiłam, ale widzę, że ciągle jeszcze tego nie rozumiesz, więc wyjaśnię ci po raz kolejny. Mój mąż mi pomaga. Wspiera mnie. Podtrzymuje na duchu. Jest moim przyjacielem, towarzyszem. Kocham go i bezgranicznie ufam. Oddałabym za niego życie i jestem gotowa to zrobić. Jest przy mnie i gdyby nie on, już by mnie nie było na tym świecie. - Zamilkła, lecz za chwilę podjęła wątek, starając się nadać wypowiedzanym słowom więcej uczucia i wiarygodności. - José, kocham mojego męża do szaleństwa, a on mnie. Nie wiem, jak mam ci udowodnić albo przekonać cię, że to, co mówię, jest prawdą. Nie potrafię tego zrobić. Nie mogę ci udowodnić, że Nasrad jest prawdziwą siłą napędową i sensem mojego życia. Jak mam cię przekonać? Nie wiem, jak to zrobić, chyba że mi pomożesz.

- Przecież już od dawna to robię. Wielokrotnie okazałem ci zaufanie i nieraz ci pomogłem. A tu masz tego najlepszy dowód.

José rozejrzał się czujnie dokoła, sprawdził, czy ktoś ich nie podsłuchuje, po czym włożył rękę do kieszeni. Maria przypatrywała się temu z uwagą. Nie chciała stracić ani jednego szczegółu. Serce waliło jej pospiesznie, ciekawość została wystawiona na ciężką próbę. Filiżanka wypadła jej nagle z drżących rąk. Usłyszała głośny brzęk, z jakim stuknęła o blat stolika. José trzymał w prawej dłoni jakiś dokument. Patrzyła bez słowa, czekała na wyjaśnienie.

- To twój paszport, Mario. W końcu go zdobyłaś. Leży przed tobą dokument, o którym marzyłaś od przyjazdu do Afganistanu. Pierwszy szczebel drabiny, która zawiedzie cię do wolności. Obejrzyj go.

Przez chwilę przypatrywał się Marii. Cieszył go wyraz jej twarzy. W ciągu ułamka sekundy stała się zupełnie inną osobą. Postanowił przedłużyć moment jej szczęścia i przekazać kolejną dobrą nowinę.

- Mam dla ciebie coś więcej. Coś jeszcze udało mi się załatwić. Na razie nikomu o tym nie mów, a przede wszystkim nie tłumacz, skąd to masz.

Znowu włożył rękę do kieszeni i wyciągnął jakieś dokumenty. Właśnie dlatego tak długo się nie odzywał. Z tego powodu Maria czekała tyle czasu, aż się z nią skontaktuje.

- Twoje dzieci są obywatelami Hiszpanii. A tu masz na to dowód. Wyraźnie słyszała przyspieszone bicie swego serca. A przynajmniej tak jej się wydawało. Dotknęła delikatnie paszportów. Był to najlepszy prezent, jaki jej dzieci mogły dostać: obywatelstwo hiszpańskie. Prezent, który wpłynie na całe ich życie, a nawet pomoże im przeżyć. Obywatelstwo hiszpańskie. Dzięki tym dokumentom i opatrnościowej roli José jej dzieci są Hiszpanami. Właśnie o tym marzyła Maria, odkąd się dowiedziała, że jest w pierwszej ciąży, i z tego powodu płakała nocami po obydwu porodach.

Oboje, Abdullah i Nuria, urodzili się w miejscowościach położonych gdzieś na krańcu świata, na zapadłej afgańskiej prowincji, i nikt się nawet nie trudził wpisaniem nazwisk dzieci do oficjalnych ksiąg metrykalnych. To się zresztą często zdarzało w Afganistanie. Rodzice starali się oszczędzić kłopotów przede wszystkim synom w obawie, że wojsko się o nich upomni, nie czekając nawet, aż staną się pełnoletni. Wcielano ich do armii i prowadzono prosto na śmierć. Rodziny młodych mężczyzn pozostawały wtedy bez środków do życia. W przypadku dziewczynek nikt nie zaprzętał sobie tym głowy. Dorastały, stawały się kobietami i skazywano je na życie pod burką. Kogo obchodziły imię, nazwisko i wiek bezkształtnej, anonimowej postaci schowanej pod tradycyjnym strojem?

- José, jak to zdobyłeś? Jak ci się to udało? W jaki sposób? Ja... - Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Ta sytuacja ją przerosła.

- To nieistotne. A teraz powiem ci to, co najważniejsze. Słuchaj uważnie. Musisz zrozumieć, co masz natychmiast zrobić.

José zaciągnął się papierosem, wydmuchał dym i zdusił niedopałek w popielniczce w charakterystyczny dla niego sposób. Już wcześniej Maria zwróciła na to uwagę, zastanawiając się, dlaczego tak uparcie wgniała papierosa w dno popielniczki.

- Mario, musisz przenieść się wraz z dziećmi i mężem do hotelu. - Wyjął czystą kartkę papieru z kieszeni i coś na niej zapisał. - To nazwa

hotelu, w którym od tej pory zamieszkacie. To znaczy ty z dziećmi. Choć przypuszczam, że po tym, co mi opowiadałaś o mężu, on także przeprowadzi się z wami.

Bez słowa skinęła głową.

- Gdy zamieszkacie tam, postaraj się nie opuszczać pokoju. To oczywiście nie znaczy, że pokój ma się stać twoim więzieniem. Ale im rzadziej będziesz kusila los i ściągała na siebie niebezpieczeństwo, tym lepiej. Zawiadomię cię, kiedy wszystko będzie gotowe.

- Jakie wszystko? Czemu mówisz o tym tak, jakby to była tajna misja, jakaś wojskowa operacja? O co tu chodzi?

Chodzi o bezpieczny powrót twój i twoich dzieci do domu, do rodziny. Na Majorkę. Masz czekać na mój telefon w hotelu i być w każdej chwili gotowa do wyjazdu. Musisz być spakowana, ty i dzieci. - José był wyraźnie zdenerwowany. - To nie jest żadna tajna misja, ale wymaga od ciebie zachowania najwyższej dyskrecji. Może się zdarzyć, że będzie ci trudno zachować milczenie, dlatego lepiej, żebyś nie znała wszystkich szczegółów. Niewiedza może uratować ci życie. Tobie i twoim dzieciom.

- A mój mąż? Nie ma paszportu dla Nasrada. Nie będzie mógł wyjechać razem z nami?

- Dla niego nie mogę nic zrobić. Jest Afgańczykiem. Teraz, kiedy międzynarodowy terroryzm jest tak ogromnym zagrożeniem, Nasrad musi mieć oficjalne pozwolenie na wyjazd z Afganistanu, i oczywiście wizę. Twój mąż ma paszport, ale nie ma wizy. Bez niej nie może wyjechać. Żaden kraj europejski nie zechce zaryzykować i wpuścić do siebie muzułmanina. Przypomnij sobie ataki terrorystyczne z jedenastego września w Nowym Jorku.

- Przecież mój mąż nie ma z nimi nic wspólnego.

- Nie ma, ale wyjaśnij to ambasadam i biuram emigracyjnym państw zachodnich. Wolą dmuchać na zimne. Wydaje mi się, że najmniejszym z twoich problemów jest wyjazd męża. To ty z dziećmi powinnaś wyjechać. On dołączy do was później. Najtrudniejsza sprawa jest z tobą. Nasrad musi tylko poczekać na przyznanie mu wizy.

Maria spojrzała na syna, który od dłuższej chwili przyglądał się matce i obcemu panu. Zrozumiała, że José ma rację. Przede wszystkim oni musieli za wszelką cenę wyjechać z Afganistanu, a mąż potem do nich dołączy. To było jedyne sensowne rozwiązanie. Miała jednak jeszcze inne wątpliwości.

- Powiedz, jak stąd wyjadę? Nie mam pieniędzy. Za co mam kupić bilety lotnicze? Musiałabym harować latami i pewnie do śmierci bym nie uzbierała. Skąd wziąć pieniądze?

Osaczały ją wątpliwości i pytania.

- O pieniądze się nie martw. To drobiazg. Żeby cię uspokoić, powiem tylko, że koszty pokryje ta sama osoba, która opłaca hotel aż do waszego wyjazdu. Ta sama osoba wysyła pieniądze na moje konto zamiast na twoje, ponieważ boi się, że ktoś może ci je zabrać bez twojej zgody i wiedzy, a ty znowu znikniesz bez śladu, jak zwykle. To twoja siostra Rosie. A któż by inny, Mario?

- Rosie... Rosie... Skąd ona wzięła tyle pieniędzy? Przecież to są ogromne koszty. To niemożliwe, José. Mylisz się. Moja siostra nie ma tyle oszczędności, żeby pokryć takie wydatki.

- Twoja siostra zaciągnęła pożyczkę w banku, żeby cię wydostać z Afganistanu. Nie było to wcale takie łatwe. Wydała prawie sześć tysięcy euro, czyli około miliona peset. Mówię to na wypadek, gdybyś nie zdawała sobie sprawy z wartości tej sumy. - Miał już dość wyjaśniania i postanowił przejść do konkretów. - Najważniejsze jest to, i zrozum mnie dobrze, żebyś jeszcze dzisiaj przeprowadziła się do hotelu. Zabierzcie ze sobą wyłącznie niezbędne rzeczy i nie rozpowiadajcie o swoich planach. Nikt nie powinien się o nich dowiedzieć, bo ktoś, nawet się nie spodziewasz kto i kiedy, może cię zdradzić, donieść na policję i zrujnować nasze plany. A przede wszystkim pamiętaj o tym, że to ja będę do ciebie dzwonił, a nie ty do mnie. Nie wolno ci nikomu mówić, że widziałas paszporty, a tym bardziej że ja je załatwiłem. Czy rozumiesz, o co cię proszę?

- Spokojnie, José. Nie popełnię żadnego głupstwa. Na pewno cię nie zawiodę. Tym razem ja cię proszę, żebyś mi zaufała.

Kiedy się zegnali, musiała się bardzo starać, aby nikt nie zauważył jej euforii i nie domyślił się, dlaczego jest taka szczęśliwa i podniecona. Cieszyła się, że kawiarnia, w której umówiła się z Jose, znajdowała się daleko od domu. Dzięki temu miała czas, żeby w drodze wszystko przemyśleć i zastanowić się, w jaki sposób przekaże te wspaniałe nowiny Nasradowi.

Gdy dotarła do domu, mąż od razu dostrzegł, że stało się coś ważnego. Przed obcymi ludźmi mogła udawać, ale przed nim niczego nie potrafiła ukryć.

Próbowała streścić Nasradowi szczegóły spotkania z José. Tylko jeden temat pominęła milczeniem, ten dotyczący braku zaufania do męża. Pomyślała, że nie musi o tym wspominać, bo to wcale nie jest potrzebne do realizacji ich planów. Nasrad zrozumiał, że takie rozwiązanie jest najlepsze dla ich rodziny, i nie zwlekając ani chwili, spakowali skromny dobytek. Tak jak radził José, zabrali ze sobą tylko niezbędne rzeczy. Po niespełna dwóch godzinach weszli razem z dziećmi do hotelu. Wszystko już na nich czekało.

Ponad miesiąc mieszkali w skromnym i mało przytulnym pokoju hotelowym. Czuli się dziwnie, jakby się przed kimś ukrywali. Czasami czekanie wlokło się w nieskończoność. José przez miesiąc ani razu się nie odezwał. Zadzwoił tylko na początku, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Maria miała ochotę zatelefonować do niego, ale rozumiała, że dla dobra ich wszystkich nie jest to wskazane.

Rzadko opuszczali hotel i nawet wtedy miała wrażenie, że ktoś ich śledzi. Być może był to efekt wybujałej wyobraźni, ale wydawało jej się, że ktoś idzie za nimi, tak jakby nie chciał przegapić żadnego jej kroku, gestu ani zachowania. Ta sytuacja ją krępowała, a jednak gdy poskarżyła się mężowi, radził jej, by odpoczęła i odprężyła się. Stwierdził, że takie poczucie jest prawdopodobnie rezultatem zbyt długiego życia w stresie i w napięciu oraz przedłużającego się oczekiwania na telefon z wiadomo-



ścią, że wreszcie może wyjechać. Maria posłuchała go i próbowała się zrelaksować. Przez cały miesiąc pobytu w hotelu nie mogła się jednak pozbyć wrażenia, że ktoś ją obserwuje.

Dziwiła się, że ilekroć wychodzi z budynku albo wygląda przez okno, patrząc na codzienny ruch na ulicach Kabulu, zawsze widzi twarz kogoś ze znajomych José. Ani przez chwilę nie pomyślała jednak, że kazał ją śledzić. Uznała to raczej za zwykły zbieg okoliczności, dochodząc do wniosku, że Kabul nie jest w końcu taki wielki. „No cóż, szczerze mówiąc, nie wiem nawet, jaki naprawdę jest Kabul. Prawie nie znam tego miasta” - pomyślała.

Pewnego dnia usłyszała jakieś zamieszanie w hotelu. Po korytarzach krążyli pospiesznie w tę i z powrotem jacyś ludzie, biegali z góry na dół. Zaniepokoiła się. Miała ochotę uchylić drzwi, wyrzeć przez szparę i sprawdzić, co się dzieje, ale powodowana strachem i ostrożnością zrezygnowała z tego pomysłu. Nagle odezwała się jej komórka. Szybko ją odebrała, pełna nadziei, że może nadeszła już pora wyjazdu. Dzwonił José.

- To ty, Mario?

- Oczywiście, José, że to ja. A któż by inny? Przecież dzwonicz do mnie.

- Mario, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? Twój mąż jest razem z tobą?

- Tak, jest razem ze mną. To znaczy wyszedł na chwilę, ale prawie zawsze jest ze mną. O co chodzi? Czy coś się stało? Powiedz.

- Na pewno wszystko w porządku? Mario, doszła do nas wiadomość, że porwano jakąś dziewczynę podobną do ciebie i nieznany mężczyzna przetrzymuje ją w twoim hotelu. Powiedziano nam, że dziewczyna jest Włoszką, ale ktoś mógł się pomylić. Obawiam się, że Afgańczycy nie odróżniają hiszpańskiego od włoskiego. Posłuchaj, bardzo mi przykro, ale będę spokojniejszy, jeśli moi koledzy cię odwiedzą.

- Nie rób sobie kłopotu, José. Zapewniam cię, że u mnie wszystko w porządku. Jestem bezpieczna razem z dziećmi. I daj już sobie spokój z tymi insynuacjami na temat mojego męża. Jestem w hotelu i czekam na twój telefon. Nasrad wcale mnie nie przetrzymuje wbrew mojej woli. Czy

ty to w końcu wbijesz sobie do głowy? Czy już wiesz, kiedy będę mogła wyjechać?

- Nie, Mario. Jeszcze nie wiem. Ale niedługo. Bardzo niedługo. Bądź przygotowana, zresztą już o tym wiesz.

- Jestem gotowa. Dziękuję. Na razie.

Ledwie skończyła rozmowę, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Była tym zaskoczona. Nie spodziewała się nikogo. Nasrad miał klucze. Nie miała zatem pojęcia, kto może stukać do drzwi. Donośne głosy przestraszyły ją i przerwały jej myśli.

- Proszę pani, proszę otworzyć drzwi. Jesteśmy z dyrekcji hotelu. Proszę otworzyć albo użyjemy służbowego klucza. Niech pani otworzy. Nic się pani nie stanie. Musimy tylko coś sprawdzić. Proszę się nie bać.

Maria wpatrywała się przerażona w drzwi, potem spojrzała na zaskoczone dzieci. Nie wiedziała, co robić. José prosił, żeby nikomu nie mówiła, iż mieszka w hotelu. Nie rozumiała, kto może zatem wiedzieć, że jej rodzina zajmuje ten pokój. Gdy zastanawiała się gorączkowo nad tym wszystkim, dostrzegła, że drzwi się otwierają. Z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami rzuciła się, by ratować dzieci.

- Proszę się nie bać. Nie zrobimy pani krzywdy. Czy pani jest sama z dziećmi, czy jest tu ktoś jeszcze?

Nie odpowiedziała. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Nie potrafiła zareagować, jakby straciła zmysły. Nie rozumiała, dlaczego obcy mężczyźni wchodzą do jej pokoju i dopytują się, czy jest sama.

Jeden z nich podszedł do Marii.

- Jestem kolegą José. Mam na imię Miguel - przedstawił się i wyciągnął do niej rękę, ale nie doczekał się reakcji. - Nic się nie stało. Sprawdzamy tylko, czy to nie o panią chodziło, kiedy opowiadano o Włoszce przetrzymywanej przez jakiegoś mężczyznę. Mam nadzieję, że José dzwonił do pani i uprzedził, że sprawdzimy osobiście, czy u was wszystko w porządku. Skoro tak, to już wychodzimy. Proszę się uspokoić. Przepraszamy za wtargnięcie, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Musieliśmy sprawdzić, czy naprawdę jesteście bezpieczni. Już dobrze?

Tym razem Maria w odpowiedzi nieśmiało skinęła głową, choć kosztowało ją to sporo wysiłku.

Odprężyla się dopiero, kiedy mężczyźni wyszli z pokoju. Spojrzała na dzieci bawiące się spokojnie na podłodze i w duchu dziękowała Bogu, że są jeszcze małe i nie rozumieją tego, co się dzieje. Nic też nie powiedziała Nasradowi, gdy wrócił z pracy. Nie chciała go martwić i denerwować. Im dłużej siedzieli w tym hotelu, tym bardziej pogarszał się jej nastrój. Wiedziała, że mąż był zadowolony z jej powrotu do Hiszpanii, a jednocześnie nie potrafił pozbyć się smutku, że niedługo opuści go razem z dziećmi i wyjedzie. Taka sytuacja dla Afgańczyka była nie do zniesienia i nieakceptowana w jego społeczności.

Nadszedł wreszcie ten wielki dzień. Jose zadzwonił czterdzieści osiem godzin wcześniej i oświadczył, że upalnego lipcowego dnia Maria z dziećmi wracają w końcu do domu, do Hiszpanii. Była zdenerwowana, ale nie można było porównać jej stanu do niepokoju Nasrada. Nie spał przez dwie kolejne noce przed ich wyjazdem. Co chwila się zrywał, żeby dorzucić coś do bagażu dzieci.

- Jabłko na wypadek, gdyby były głodne. Jogurt, gdyby miały niestrawność. Wodę, jeśli będą chciały pić. Sweter, bo może być im zimno...

Maria patrzyła na męża miotającego się bezradnie po pokoju bez żadnej logicznej przyczyny. „To dobrze - pomyślała. - Jeśli przestanie działać, będzie jeszcze gorzej”. W każdym razie uspokajała go, żeby się nie martwił, bo w samolocie dostaną wszystko, czego im będzie trzeba. On jednak nadal zrywał się co chwilę z łóżka i dokładał nowe rzeczy. W milczeniu obserwowała jego bezładną krzątaninę.

Samolot według rozkładu odlatywał o piątej po południu, ale musieli być na lotnisku dwie godziny wcześniej. Gdyby to od niej zależało, koczowałyaby w terminalu już od dwóch tygodni. Starła się jednak nie okazywać zdenerwowania, zbytniego smutku ani nadmiernej radości. Oczywiście, że się cieszyła, ale do pełni szczęścia czegoś jej brakowało - obecności Nasrada.

W przeddzień wyjazdu brat i bratowa męża, z którymi utrzymywali

najbliższe kontakty w Kabulu, wyprawili na ich cześć kolację. Na stole królowały lokalne specjały, oczywiście oprócz tych najdroższych, których nigdy nie było w jadłospisie rodziny. Goście i gospodarze żartowali, snuli wspomnienia, przyrzekali sobie, że wkrótce znowu się spotkają, i na zakończenie wręczyli Marii własnoręcznie wykonany prezent. Na widok ślicznego naszyjnika, nad którym napracowała się szwagierka, dziewczyna wybuchła płaczem. Zdołała z siebie wydusić tylko krótkie „dziękuję”. Ale to wystarczyło. Zauważyła, że Nasrad nie potrafi ukryć smutku. Próbował się uśmiechać, kiedy żona na niego patrzyła, a jednak świetnie go znała i wiedziała, że tego wieczoru był nieswój. Nie pocieszyła jej nawet wizyta José, który wpadł do nich z bucikami i ubrankami kupionymi dla dzieci. Pragnęła wrócić do Hiszpanii, ale razem z mężem. Rozstanie z nim było dla niej bolesnym przeżyciem.

José i Miguel zobowiązali się zawieźć ich na lotnisko. Gdy nadeszła pora odlotu, Maria z dziećmi zaczęła obawiać się najgorszego, nieprzewidzianych problemów, nieoczekiwanych komplikacji. Była tak poruszona, że w końcu cała trójka wybuchła płaczem. Abdullah szlochał, krzyczał, że nie chce rozstawać się z ojcem. Przytulił się kurczowo do jego nóg i nie można było go oderwać. Kiedy się przekonał, że rozłąka z tatą jest nieunikniona, stał się agresywny. Zaczął go obwiniać, krzyczał, że ojciec ich porzuca, że nie chce lecieć z nimi. Malutka także się rozpląkała, ale raczej pod wpływem ogólnego napięcia i niepokoju oraz słysząc rozpaczliwe krzyki braciszka. Była za mała, aby cokolwiek zrozumieć. Przytulała się do matki, która trzymała ją w ramionach.

Zarówno dzieci, jak i dorośli płakali. Maria żegnała się po kolei ze wszystkimi, najpierw ze szwagrem i szwagierką, potem z José i Miguelem, a na końcu z Nasradem. Bała się momentu rozstania, obawiała się, że wybuchnie płaczem, tak jak przed chwilą jej syn. Dzielnie jednak zniosła tę próbę, częściowo dzięki krzepiącym słowom męża:

- Niczym się nie przejmuj, Mario. Niedługo będziemy razem. Będę szczęśliwy, wiedząc, że ty z dziećmi macie co jeść, gdzie mieszkać, że jesteście bezpieczni i dobrze ubrani, że rodzina o was dba, a wy cieszyć się życiem. Złe chwile minęły, Mario.

Chciała coś powiedzieć, ale łzy, zatkany nos i czkawka nie dawały jej wydukać ani słowa. Nasrad dodał jeszcze:

- Będę za tobą bardzo tęsknił. Ale wolę, żebyś była bezpieczna. To mi doda siły. Kocham cię, Mario. Uważaj na nasze dzieci. Jak tylko dolecicie, zadzwoń do mnie.

Wzruszyły ją słowa męża. Zdołała tylko wydusić z siebie wśród szlochu:

- Nasrad, nie chcę wyjeżdżać. Chcę zostać z tobą.

José miał nadzieję, że Maria nie mówi poważnie, że wypowiedziała te słowa tylko pod wpływem emocji, z powodu wielkiej miłości do męża. Nie chciał jednak kusić losu. Bał się nieprzewidzianych sytuacji wynikłych w ostatniej chwili, więc ponaglał kobietę, żeby pospieszyła do odprawy, bo samolot zaraz odlatuje.

Maria, trzymając córkę w ramionach i chwytając za rączkę synka, ruszyła do stanowiska odprawy celno-paszportowej. Wołała nie oglądać się za siebie. Nie chciała widzieć żegnającej ich, być może na zawsze, rodziny. Przede wszystkim jednak bała się zobaczyć, jak zwiększa się odległość między nią a Nasradem. Obawiała się, że nie znajdzie w sobie wystarczająco dużo siły, żeby iść dalej i wsiąść do samolotu. Postanowiła zatem nie oglądać się za siebie, tylko iść naprzód. Bez słowa. Tak będzie lepiej. Dla wszystkich.

Niestety, musiała na chwilę wrócić, żeby złapać synka, który jej się wyrwał i pobiegł do ojca. Nawet wtedy nie podniosła jednak głowy, żeby spojrzeć Nasradowi w oczy. Wiedziała, że tego nie wytrzyma. Nie odrywała więc wzroku od podłogi, póki José nie przyprowadził jej Abdullaha.

- Spokojnie, Mario. Już jesteś w drodze powrotnej do domu. Musisz być silna. Przekonasz się, że za chwilę będziesz w znacznie lepszym nastroju - pocieszał ją, uśmiechając się do niej życzliwie.

Maria obdarzyła go równie ciepłym uśmiechem. Była mu wdzięczna za wszystko. Nie wiedziała jeszcze, że widzi José po raz ostatni.

Później Rosie wyjaśniła jej, kim naprawdę był ten człowiek, który z własnej woli i wiele ryzykując, załatwił jej bilet do raju. Była zaskoczona-

na, dowiedziawszy się, że należał do Guardia Civil i wcale nie był zatrudnionym w ambasadzie hiszpańskiej wolontariuszem. Wzruszyła się, kiedy siostra jej opowiedziała, ile ryzykował, pomagając wyjechać z Afganistanu jej, a przede wszystkim dzieciom, dla których załatwił paszporty hiszpańskie, chociaż de facto z powodu miejsca urodzenia byli Afgańczykami. Maria wielokrotnie próbowała skontaktować się z nim telefonicznie, ale na próżno. Za każdym razem, kiedy wybierała numer, odzywał się nieznajomy głos, zapewne kogoś, kto przejął po nim stanowisko. Później dowiedziała się, że jej anioł stróż po czterech latach służby w ambasadzie, maksymalnym okresie pobytu na placówce, wrócił do Hiszpanii. Pomoc Marii w powrocie do kraju była pewnie jego ostatnim zadaniem.

Nigdy nie zdołała się odwdziaczyć temu człowiekowi, który, choć ledwie ją znał, zrobił dla niej tak wiele. „W końcu, pomimo wszystkich perypetii życiowych, miałam szczęście do dobrych ludzi, którzy zawsze wyciągali do mnie pomocną dłoń. Naprawdę miałam niewiarygodne szczęście” - stwierdziła później.

Właśnie miał się odmienić jej los, ale na razie położyła głowę na oparciu fotela lotniczego i zamknęła oczy. Próbowała przypomnieć sobie wszystko, co przeżyła w Afganistanie, i zapadła w drzemkę. Wreszcie pozbyła się nagromadzonego od wielu godzin napięcia.

Wracała do domu.

Lot do Hiszpanii był długi i męczący. Musieli się wielokrotnie przesiadać, a kolejne lotniska i zmiana samolotów budziły w Marii ciągły niepokój. Nie mogła się doczekać spotkania z rodziną. Nie lubiła obcych portów lotniczych, zwłaszcza tranzytowych, które nie były ostatecznym celem podróży. Przesiadki okazały się szczególnie uciążliwe dla dzieci. Abdullah i Nuria byli wykończeni, półżywi ze zmęczenia. Miało to swoją dobrą stronę, bo przynajmniej nie rozrabiały.

Gdy po długim locie z wieloma przesiadkami dotarli wreszcie na Majorkę, Maria, spoglądając przez otwarte drzwi, usiłowała wypatrzeć w hali przylotów, wśród czekających tam ludzi, jakąś znajomą twarz. Wreszcie dostrzegła siostrę Rosie i brata Pedra. Łzy przesłoniły jej widok. Jej bliscy czekali na nią i na dzieci z balonikami, słodyczami i powitalnymi planszami. Zabawki i łakocie poszły jednak w ką, kiedy zaczęli się witać, całować i przytulać. Maria rzuciła się w ramiona Rosie i nie mogła się od niej oderwać. Pedro obejmował dzieci i także nie potrafił powstrzymać łez. Wyściskali się, wycelowali i pojechali do mieszkania Rosie, które na pewien czas miało stać się ich domem.

Chociaż zapadła już noc i przez szyby samochodu nie było nic widać, Maria nie spuszczała wzroku ze spowitego mrokiem miasta. Wróciła do domu. Przynajmniej tej nocy zaśnie w łóżku, w czystej pościeli i na miękkich poduszkach. Dzieci wreszcie zjedzą smaczny i zdrowy posiłek



oraz łakocie, jakich do tej pory nie znały. Pewnie szybko się do nich przyzwyczajają, tak jak ich matka, kiedy była w ich wieku i po raz pierwszy spróbowała specjału majorkańskiego, słynnych *ensaimadas*. Uśmiechnęła się na myśl, że jutro rano nie będzie się zadreć oczekiwaniem na telefon czy tym, jak dotrzeć do budynku ambasady. Już nigdy nie będzie musiała zrywać się wcześniej i pędzić po wodę, rozpałać ognia pod kuchnią czy oporządzać bydła. Była w domu. Z powrotem. Tyle czasu o tym marzyła. Pomyślała jeszcze o Nasradzie. To była jej ostatnia myśl, zanim zapadła w głęboki sen, w wielkim łóżu, w którym tej nocy dzieci spały razem z nią.

Następnego ranka obudziła się po dwunastu przespanych godzinach. Otworzyła oczy i rozejrzała się wkoło. Poczula obok siebie ciepłe ciała synka i córeczki. Przez chwilę nie mogła wręcz uwierzyć, że tu jest. Natychmiast jednak przypomniała sobie poprzednią dobę, noc i dzień spędzone na lotniskach, pożegnanie, płacz, uściski, obietnice, zapewnienia o miłości, sprzeczne emocje. W końcu była w swoim rodzinnym domu.

Zaskoczona poczuła zapach, który niemal zapomniała - przenikający aromat świeżo parzonej kawy. Upewniła się, czy dzieci są dobrze opatulone, potem wstała i wyszła z sypialni. Usłyszała głosy i dochodzącą z głębi mieszkania krzątanie. Dobiegały z przestronnego, widnego pomieszczenia. Domyśliła się, że to kuchnia, bo właśnie stamtąd unosiła się apetyczna woń świeżej kawy, o której marzyła już od dawna.

- Mario, jak się czujesz? Wypałaś się, kochana?

Poczula się taka szczęśliwa, słysząc powitania i na dodatek widząc zastawiony stół pełen ciasteczek, biszkoptów, magdalenek i innych słodczy obok półmisek z serami, szynką i wędlinami. Już na sam widok tych smakołyków pociekła jej ślinka.

- Świetnie, Rosie. Spałam jak zabita. Wiesz, od jak dawna nie czułam się taka wyspana?

Siostra wzięła ją za rękę i posadziła przy stole.

- Musisz być strasznie głodna. Wczoraj prawie nic nie jadłaś... Byłaś taka wykończona!

Maria próbowała wszystkich smakołyków, których już od lat nie jadła,

a przede wszystkim otulała dłońmi filiżankę z kawą, którą naląa jej siostra, i rozkoszowała się jej aromatem.

- O mój Boże, Rosie, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jestem razem z tobą. Nie wyobrażasz sobie, przez co przeszłam, ile wycierpieliśmy ja i dzieci, jak bardzo się o nie zamartwiałam. A także o was, bo byliście tak daleko, a ja zachowywałam się wobec was okropnie.

Rosie przypuszczała, że siostra zaraz wybuchnie płaczem, dlatego postanowiła zmienić temat.

- Jeszcze będzie czas i wszystko mi opowiesz. Teraz zjedz spokojnie śniadanie i pomyśl, co chcesz robić pierwszego dnia w Hiszpanii. Gdzie chcesz pójść? Czy masz ochotę na coś specjalnego do jedzenia? A może chcesz się wybrać na zakupy? Czy masz jakieś specjalne życzenia, siostrzyczko?

Maria nawet przez chwilę nie wahała się z odpowiedzią. Szybkość, z jaką jej udzieliła, była zdumiewająca.

- Chcę pójść do ambasady albo do jakiejś organizacji rządowej zajmującej się emigrantami. Muszę się dowiedzieć, jak wyrwać mojego męża z afgańskiego piekła. - Upiła łyk kawy i zamoczyła w niej kawałek magdalenki. - Pomożesz mi, Rosie?

Siostra wstała z krzesła, podeszła do niej i pocałowała w czoło. W tej właśnie chwili, pokrzykując z radości, wpadły do kuchni dzieci, nie musiała więc natychmiast odpowiadać na pytanie Marii. Wyobrażała sobie, że jej pierwsze życzenie po powrocie do Hiszpanii będzie zupełnie inne. A jednak dla siostry najważniejsze było to, by mieć przy swoim boku Na-srada. Bez niego nie potrafiła się cieszyć pierwszym dniem pobytu w swoim kraju i korzystać z tego jak prawdziwa Europejka.

Przez dwa miesiące, które Maria spędziła na Majorce, nie było dnia, żeby nie udała się do biura emigracyjnego, aby zasięgnąć informacji, złożyć podanie, poprosić o radę i po raz tysięczny przedstawić sprawę swego męża jakiemuś urzędnikowi, który zechciał ją wysłuchać. Ajednak nikt nie mógł lub nie chciał jej pomóc. Urzędnicy piętrzyli tylko trudności i kłopoty. Nikt nie potrafił jej też doradzić. Wszyscy zgadzali się co do jednego, że Nasrad musi szukać rozwiązania swojego problemu w Afganistanie.

Niemal codziennie dzwoniła do męża, opowiadała, jak się czuje, co robią dzieci i oczywiście jak postępuje sprawa ściągnięcia go do Hiszpanii, choć prawdę mówiąc, niewiele się tu zmieniało. Na koniec zapewniała, że bardzo go kocha i tęskni. Nasrad dodawał jej otuchy, pocieszał, zapewniał, że także tęskni, ale muszą być silni i żyć dalej. Z dnia na dzień Maria coraz ciężiej znosiła rozłąkę i codzienne problemy. Chociaż świetnie się czuła w domu Rosie, nie mogła wytrzymać rozstania z mężem. Było jej bardzo ciężko. Całe dni spędzała zamknięta w domu, nie odzywała się, nie zajmowała dziećmi, tak jakby życie z niej uciekło. Wszyscy starali się otaczać ją opieką i troską - nie tylko rodzina, ale także sąsiedzi i inni mieszkańcy dzielnicy, którzy dobrze znali jej losy. Nic jednak nie mogło uleczyć jej z melancholii wywołanej rozłąką z Nasradem.

Pewnego dnia, nie pytając nikogo o radę, postanowiła wrócić do męża, do Afganistanu. Po krótkim namyśle - bała się, że przebudzą się w niej

resztki rozsądku i zrezygnuje z podjętej decyzji - postanowiła udać się do tej samej agencji turystycznej, w której tuż po uzyskaniu pełnoletności kupiła bilet w jedną stronę do Londynu. Śmiało weszła do biura agencji. Nie zastała już tam owego sympatycznego chłopaka, który radził jej wówczas, żeby od razu kupiła bilet powrotny, choć to nie mieściło się w jej planach. „Jeśli kupisz powrotny, wyjdzie taniej” - pamiętała to zdanie tak wyraźnie, jakby słyszała je wczoraj.

- Dzień dobry. Chciałam kupić trzy bilety do Kabulu. Jeden normalny i dwa dla dzieci.

- Do Afganistanu? - Pracownica wolała się upewnić, ponieważ poprzedniego dnia widziała reportaż w telewizji o sytuacji kobiet afgańskich, pozbawionych jakichkolwiek praw.

- Tak, do Afganistanu. Czy nie ma połączeń lotniczych z Kabulem?

- Ależ tak. Oczywiście, że są. Nie ma problemu. Tylko... przepraszam, ile biletów chciała pani kupić? - Kobieta z agencji postanowiła poskromić swoją ciekawość, nie zadawać niezręcznych pytań ani nie robić niestosownych uwag, tylko zająć się sprzedażą biletów.

- Chciałam kupić trzy bilety. Moje dzieci są jeszcze małe, więc chyba przysługuje im taryfa ulgowa. Proszę dokładnie sprawdzić cenę. Zależy mi na czasie.

Pracownica zasiadła przed komputerem i wystukiwała coś na klawiaturze, a potem wpatrywała się w ekran i dzwoniła w różne miejsca. Prawie dwadzieścia minut zabrało jej dowiadywanie się o ceny i wyszukiwanie wszelkich możliwych połączeń. W końcu poinformowała Marię, że nie ma lotów bezpośrednich.

- Jedyne dostępne połączenie to Palma-Madryt, Madryt-Londyn, Londyn-Iran. Stamtąd musi pani polecieć do Pakistanu i dopiero do Kabulu.

Lot był bardzo skomplikowany, z licznymi przesiadkami, ale Maria pamiętała, że dwa miesiące temu przebyła podobną trasę.

- W porządku. W takim razie proszę zrobić rezerwację. Chcę wyjechać jak najszybciej, proszę o tym pamiętać.

Kobieta sprawdziła, że najbliższe wolne miejsca na tej trasie są za dwa

dni, i Maria bez chwili wahania kupiła bilety, wybierając najtańszą taryfę, niepozwalającą na zmianę trasy ani daty lotu. Nie zamierzała jednak nic zmieniać i nikt z rodziny też nie mógł wpłynąć na jej decyzję.

Wiedziała, że siostra będzie wściekła. Zrobiła, co mogła, żeby wyciągnąć ją z afgańskiego piekła, a ona wytrzymała na Majorce zaledwie dwa miesiące. A jednak Maria czuła, że to jedyna słuszna decyzja. Znowu dała się ponieść impulsowi i emocjom. Nie słuchała zdrowego rozsądku. Taka już była. Nigdy się dłużej nie zastanawiała ani nie rozważała swoich decyzji. Szczególnie gdy w grę wchodziła miłość.

- Czy ty oszalałaś? Czy to jakiś głupi kawał? - Rosie nie mogła uwierzyć w to, co zamierza zrobić jej siostra. - Znowu to samo? Czy nie wystarczy ci to, co przeżyłaś? Chyba do reszty zgłupiałaś. Wiesz, ile taki szczeniacki numer może znaczyć dla twoich dzieci? Czy ty naprawdę wiesz, co robisz Abdullahowi i Nurii? Nie wiem, co mam z tobą zrobić. Nie wiem, co ci powiedzieć. Nie wiem, czy mam cię zabić, czy puścić do Afganistanu i raz na zawsze o tobie zapomnieć. Nie ma na ciebie sposobu. Zawsze taka sama. Wiesz, ile mnie kosztowało wyciągnięcie was stamtąd? Czy ty to rozumiesz?

Dokładnie takiej reakcji spodziewała się Maria po siostrze, kiedy postanowiła ją powiadomić, że za dwa dni wraca z dziećmi do Afganistanu. Wiedziała, że wszystkie zarzuty Rosie są słuszne, a ona niewiele ma na swoją obronę.

- Rosie, skarbie, bardzo mi przykro. Naprawdę. Wybacz mi. Uwierz mi jednak, że nie mogę żyć bez Nasrada. Duszę się bez niego. Mam wrażenie, że zaraz umrę, jeśli z nim nie będę... Naprawdę, bardzo mi przykro, ale muszę lecieć. Ty i tak tego nie zrozumiesz.

Rosie nagle przycichła, jakby uszło z niej całe powietrze albo zażyła fiolkę środków uspokajających. Maria musiała odczekać wlokące się w nieskończoność sekundy, by ponownie usłyszeć jej głos.

- Wiedziałam, Mario. W głębi duszy spodziewałam się, że tak zrobisz. Wiesz co? Ja sama nigdy bym na to nie wpadła, ale uprzedził mnie o tym Jose. Widząc, co robię, żeby cię stamtąd wyciągnąć, powiedział: „Rosie, nie łudź się. Twoja siostra wróci do Afganistanu. Jest za bardzo zakocha

na w swoim mężu. Wróci tam wcześniej czy później". I jak widać, wracasz wcześniej niż później.

Zapadło milczenie. Rosie w końcu przytuliła siostrę i tak objęte siedziały przez dłuższą chwilę.

Wieczorem, gdy reszta rodziny poznała tę niespodziewaną nowinę, niemal takich samych słów i argumentów użył Pedro.

- W porządku, jeśli chcesz jechać, to ruszaj w drogę - powiedział w końcu. - Nikt cię tu nie trzyma. Ale nie zabieraj ze sobą dzieci. One na to nie zasłużyły. Nie wytrzymają tego. Zostaw je u nas. My się nimi zajmiemy. Nie zmuszaj ich do przeżywania powtórnie tego samego piekła. To niesprawiedliwe. Nie masz do tego prawa.

- Pedro, jeśli nie zabiorę dzieci ze sobą, rodzina męża mnie zabije. Najpierw mnie, a potem jego. Nie możesz tego zrozumieć, ale ja wiem, co robię.

- Ty, Mario, nigdy nie wiedziałaś, co robisz. I dalej tego nie wiesz. Słowa Pedra były twarde, zarzuty surowe, lecz słuszne, i musiała się

z nimi pogodzić. Brat miał rację, ona jednak dysponowała argumentem o największej mocy. Była nim ogromna miłość do męża. Poczula, że nie potrafi wyjaśnić i uzasadnić swojego postępowania, a przede wszystkim wytłumaczyć wielkiego uczucia do Nasrada. Dlaczego nikt nie chciał tego zrozumieć? Czemu nie było nikogo, kto przyznałby jej rację, kto by ją rozumiał? Czy ludzie nie potrafią naprawdę kochać?

Równie ciężko było przekazać nowinę mężowi. Musiała do niego zadzwonić. Nasrad, dowiedziawszy się, że żona kupiła bilety lotnicze i wraca do Afganistanu, poczuł, jak kamień spada mu z serca. A jednak próbował za wszelką cenę odwieść ją od tego pomysłu, twierdząc, że nie powinna wracać i tracić pieniędzy na bilety. Na nic się zdała jego perswazja wobec pewności Marii, że aż do śmierci nie opuści męża.

Była zdecydowana i gotowa zrobić to, co uznała za słuszne. Nie zamierzała zmieniać decyzji, niezależnie od tego, co ludzie powiedzą.

Nadszedł dzień powrotu do Afganistanu. Na próżno usiłowała uniknąć takich samych rozdzierających scen, jakie przeżyła dwa miesiące wcześniej na kabulskim lotnisku. Tym razem rozpłakał się Pedro i z nim nie chciał się rozstać mały Abdullah. Przyczepił się kurczowo do nogi wuja, a potem puścił dłoń matki i popędził do niego, tak jak poprzednio uciekł do ojca.

Wszyscy płakali. Cała rodzina była zrozpaczona kolejnym rozstaniem. Nikt o nic nie pytał, nie udzielał rad ani niczego nie obiecywał. Objęli się tylko na pożegnanie. To wszystko.

Gdy Maria po raz ostatni przytulała Rosie, wyszeptała jej na ucho:

- Błagam, przebacz mi albo umrę z żalu. Zabiją mnie wyrzuty sumienia.

Siostra objęła ją mocno i powiedziała:

- Mario, możesz zwracać się do mnie o pomoc, ile razy będzie ci potrzebna. Dzwon, gdy się zdarzy coś złego. Pamiętaj, zawsze możesz na mnie liczyć. Nie wybaczę ci, jeśli znowu gdzieś znikniesz.

Lądowania, przesiadki, biegania Abdullaha po halach lotnisk, to wszystko powtarzało się za każdym razem, kiedy zmieniali samolot. Przed ostatnim lotem do Kabulu, gdzie czekał na nią stęskniony Nasrad, wspominała rodzinę na Majorce. „Czy mój przyjazd był pomyłką? Czy będą za mną tęsknić? Czy powrót do Afganistanu to kolejny błąd?”. Po-

myślała nawet, że nigdy i nigdzie nie będzie naprawdę szczęśliwa. Tak jakby nie miała własnych korzeni. Czuła wyrzuty sumienia wobec swoich dzieci, że zgotowała im taki los. „Dlaczego nie umiem nigdzie być szczęśliwa? - zadawała sobie pytanie. - Dlaczego, niezależnie od tego, gdzie jestem i z kim, muszę przeplakiwać noce? Czemu to wszystko jest takie trudne, skoro pragnę jedynie być razem z Nasradem i z dziećmi? Czy to naprawdę takie dziwne? Może to ze mną jest jakiś problem? Czy to wszystko moja wina?”.

Podczas podchodzenia do lądowania Maria wyglądała przez okienko. Nie zauważyła żadnych zmian. To samo wypalone pustkowie, kamienista sucha ziemia, gdzieniegdzie tylko mącząca monotonię krajobrazu kępa drzew. Złapała szybko swój skromny bagaż, w którym miała zresztą głównie prezenty dla krewnych Nasrada, tych, którzy okazali jej ciepło i życzliwość. Uśmiechnęła się na samą myśl, że wiezie w walizce koronkową bieliznę - figi i biustonosze dla Mahtab oraz sióstr i bratowych Nasrada. „Zwariują ze szczęścia” - wyobraziła sobie. Dotrzymała obietnicy. Powróci do rodzinnej wioski męża z prezentami dla jego rodziny. Kupiła dla nich bieliznę, szminki, komplety do makijażu, cienie do oczu, lakiery do paznokci. Odważyła się nawet zabrać szpilki. Miała dla nich także kupony materiału i ciepłe rzeczy na chłodne zimowe dni.

Od razu zobaczyła męża, czekającego na nich w drzwiach hali przylotu kabulskiego lotniska. Włożyła na siebie burkę, aby uniknąć kłopotów, i szybko do niego pobiegła razem z dziećmi. Objęła go. Do taty przytuliła się także stęskniona Nuria. Tylko mały Abdullah trzymał się na uboczu, bo czuł jeszcze żal i urazę, że ojciec pozwolił im wyjechać. Był obrażony i chciał, żeby tata to widział. Nasrad zrozumiał zachowanie syna i postanowił uszanować jego decyzję. Dobrze wiedział, że złość szybko dziecku minie.

Wypytał żonę o podróż, po raz kolejny zarzucił jej, że wróciła do Afganistanu, i to razem z dziećmi, oraz powiedział, że są zaproszeni na obiad do jego brata.

- Pragną cię zobaczyć. Ciebie i dzieci. Nie wierzyli, że wrócisz. Byli



pewni, że razem z dziećmi zostaniesz w Hiszpanii. I wiesz co? Uważają, że jesteś szalona.

- Oczywiście, że jestem. Oszalałam z miłości do ciebie, Nasradzie. Nawet nie wiesz, jak bardzo tęskniłam. Nie mogłam zostać w Hiszpanii, wiedząc, że jesteś tu sam i źle ci bez nas. Wolę być z tobą. A może ty wcale nie chciałeś, żebym do ciebie wróciła?

- Doskonale wiesz, że chciałem. Nie chcę tylko, żebyście znowu cierpieli: ty i dzieci. Nie zasługujecie na to. Zresztą...

Zamilkł. Ta cisza zaniepokoiła Marię. Nie rozumiała, dlaczego mąż przestał mówić.

- O co chodzi? Ty... co? Co się stało?

- Znowu mieszkam u rodziców. Przez ten czas, kiedy ciebie nie było, mieszkalem u nich. Nawet nie wiesz, jak źle znosiłem rozłąkę. Wszyscy mnie krytykowali, obgadywali za plecami, wyśmiewali się ze mnie, drwili, że żona odeszła ode mnie i zabrała dzieci. Zarzucali mi, że nie umiałem cię zatrzymać. Wszyscy byli przekonani, że już nie wrócisz, że w Hiszpanii szybko o mnie zapomnisz i wybierzesz lepsze, wygodne życie. Nie słuchali moich argumentów. Dla nich wszystko było jasne. Czuję się przez ten czas jak zadżumiony. Mario, nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę.

- A mnie wyrzucasz, że wróciłam?

- Oczywiście najważniejsza jesteś ty i dzieci. W końcu bym się przyzwyczaił do drwin i plotek. To, iż wiedziałem, że u was wszystko w porządku, wystarczało mi, abym spokojnie żył dalej. Teraz, kiedy wróciłaś, wszystko się zmieni. Pomyślałem, że pojedziemy do rodziców, zabiorę swoje rzeczy i znów zamieszkamy w Kabulu.

Zauważył, że żonie wcale się nie spodobał pomysł spotkania z teściową, dlatego szybko dodał:

- Nie martw się. Spędzimy tam tylko kilka dni. Potrzebuję tego. Muszę odzyskać stracony honor. Rozumiesz to, prawda?

- Oczywiście, Nasradzie. W porządku. Zresztą przywiozłam trochę prezentów dla twoich sióstr i bratowych. Ciekawa jestem, jakie zrobią miny.

Następnego dnia wyruszyli do rodzinnej wioski Nasrada. Wszystkich zaskoczył przyjazd Marii. Zdziwili się, że wróciła, w dodatku z dziećmi. Od razu dostrzegli, że Abdullah i Nuria wyglądają inaczej. Poprawili się w Hiszpanii.

Z tłumu czekającego na ich przybycie wyrwała się Mahtab i podbiegła do Marii, aby ją uściskać:

- Mario, wróciłaś. Naprawdę wróciłaś!

Za nią podeszły inne kobiety. Były szczęśliwe, że znowu widzą Hiszpankę, z którą tyle razem przeżyły, miały tyle wspólnych wspomnień, zarówno dobrych, jak i złych. Pamiętały jeszcze chwile spędzone na pogawędkach, śmiechach i ploteczkach. Zawsze ciekawiła je ta cudzoziemka nosząca burkę z miłości. Nagle, kiedy rozdawała krewnym Nasrada prezenty, wyjaśniając im, do czego służą darowane im przedmioty, usłyszała charakterystyczny głos, którego nie zapomniała nigdy i z żadnym innym nie mogła pomylić. Poznałaby go wśród miliona innych.

- Po co wróciłaś?

Stała przed nią teściowa, kobieta, która wyrządziła jej najwięcej zła, która ze wszystkich sił uprzykrzała jej życie w domu rodzinnym męża.

Tym razem Maria odbierała ją jednak inaczej. To już nie była ta sama osoba, która ją zadrezczała, której sama obecność wywoływała w niej

strach i mdłości, a głos powodował skurcze żołądka. A może to Maria się zmieniła, była silniejsza niż dawniej i postrzegała teściową w zupełnie inny sposób. Teraz stała przed nią stara, pełna jadu kobieta, która już nie budziła w niej lęku.

- Bo kocham twojego syna. Kocham Nasrada i nikt ani nic tego nie zmieni. Rozumiesz? Mam nadzieję, że tak. Chciałabym, żebyś to zrozumiała, bo nie zamierzam tracić czasu i słów na zbędne wyjaśnienia.

Mogła powiedzieć dużo więcej, ale nie chciała, żeby mąż poczuł się niezręcznie. W końcu to była jego matka. Mieli spędzić w jej domu zaledwie parę dni. Nie warto wyrównywać długów z przeszłości.

Teściowa nie raczyła nic odpowiedzieć. Odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Mam mnóstwo pracy - rzuciła na odchodnym. Nikt za nią nie poszedł, nawet Nasrad.

Wszyscy wypytywali Marię o to, jak było w Hiszpanii, co robiła i co widziała.

Na cześć gości wyprawiono uroczystą kolację. Z dala od mężczyzn kobiety pokazywały sobie upominki. Mahtab nie mogła uwierzyć, że w końcu dostała wymarzoną bieliznę. Nawet przywieziona przez Marię lalka Barbie wprawiła ją w zachwyty. Oglądała ją ze wszystkich stron, podziwiała, zdejmowała i wkładała ubranka.

Po pięciu dniach spędzonych na wsi wrócili do stolicy. Przez cały czas pobytu u teściów Maria była traktowana jak honorowy gość. Nie wykonywała żadnych prac domowych, chyba że z własnej woli pomagała innym kobietom. Nie starała się jednak zadowolić teściową. Wiedziała, że to niemożliwe. W towarzystwie Nasrada odwiedzała znajomych i sąsiadów. Gdy wracała do domu teściów, osaczały ją wspomnienia, zwłaszcza te złe: wyprawy do studni, rozniecanie ognia, ciężkie baniaki z wodą, taczka, na której z trudem je wiozła, drugi, skomplikowany poród, pranie brudów w balii...

Po pięciu dniach wrócili do Kabulu. Tak się umówiła z Nasradem i mąż dotrzymał słowa. Znowu nastąpiły ciężkie chwile pożegnania, uściski, obietnice. Mahtab wybuchła płaczem.

- Nigdy już nie wrócisz. - Jej słowa wstrząsnęły Marią. - Przyrzeknij, że spróbujesz zrobić wszystko, co w twojej mocy, żebym mogła żyć jak kobieta z Europy - prosiła.

Maria znowu zadrżała.

- Przysięgam, że zrobię wszystko, co mogę, Mahtab. Możesz na mnie liczyć.

Nasrad oznajmił, że będą mieszkać w tym samym domu, co przed podróżą na Majorkę. Maria uznała, że to idealne rozwiązanie. Zaprzyjaźniła się z sąsiadkami i pragnęła je zobaczyć, usiąść z nimi przy herbacie i poplotkować o znajomych, co było ich jedyną rozrywką. Lubiła takie spotkania. Czuła się dobrze wśród afgańskich koleżanek.

Nie chciała jednak za bardzo przyzwyczajać się do życia w Afganistanie. Bała się tego. Postanowiła więc pozostać w stałym kontakcie z siostrą, starając się tymczasem załatwiać formalności w ambasadach, żeby zdobyć wizę dla Nasrada. Dopiero wtedy chciała wrócić do Hiszpanii. Albo razem z mężem i z dziećmi, albo wcale.

Na próżno próbowała skontaktować się z Jose. W końcu znalazła siedzibę ambasady hiszpańskiej, chociaż wcześniej nie mogła tam trafić. On sam nie podał jej adresu, nigdy też nie spotkał się z nią w budynku misji. Jak się później domyśliła, obawiał się, aby Maria się nie dowiedziała, iż jest funkcjonariuszem Straży Obywatelskiej.

Szukała także pracy, ale to nie było łatwe. W Kabulu panowało bezrobocie, a jeśli nawet trafiała się jakaś robota, to na ogół źle płatna. Znowu wpadli w tarapaty finansowe. Coraz trudniej było zdobyć podstawowe produkty żywnościowe. Nie mieli zatem pracy, pieniędzy, jedzenia. Nasrad znowu wpadł w rozpacz. Jego rodzina pomagała im, dzieląc się ryżem, chlebem, fasolą, oliwą.

Maria przekonywała męża, żeby posłać dzieci do szkoły. Szybko zorientowała się jednak, że władze wcale nie uważają, iż dzieci powinny chodzić do szkoły czy przedszkola, zwłaszcza dziewczynki, dopóki nie skończą sześciu, siedmiu lat. Abdullah i Nuria spędzali więc większość czasu w domu, bawiąc się z dziećmi sąsiadów i lokatorów z tego samego mieszkania.

W końcu Marii udało się załatwić pracę w ambasadzie hiszpańskiej. Zauważyła, że gmach jest zupełnie nowy albo gruntownie wyremontowany, dlatego wpadła na pomysł, że zaproponuje swoje usługi przy sprzątaniu piętrzących się po kątach śmieci, kurzu, resztek farb i tapet. Personel placówki wyraził na to zgodę. Księgowy ostrzegł ją, że ambasada dysponuje skromnym budżetem, ale oprócz ustalonego wynagrodzenia mogła liczyć na żywność. Ustaliła, że zapłacają jej dziesięć dolarów za sześciogodzinny dzień pracy i pozwolą ugotować obiad w kuchni ambasady. Nie próbowała nawet tych posiłków. Zanosila je dzieciom, to one przede wszystkim musiały się dobrze odżywiać. Praca była jednak chwilowa, na parę tygodni. Po upływie tego czasu oświadczone jej, że już jest niepotrzebna, gdyż nie ma dla niej więcej zajęć. Zaproponowała więc, że może pracować jako tłumaczka; ojczystym językiem Marii był hiszpański, świetnie też mówiła po angielsku i opanowała afgański. Urzędnicy w ambasadzie powiedzieli jej jednak, że wszystkie stanowiska są już obsadzone i że zawód tłumacza podejmują ludzie wyłonieni z konkursu, zawodowi dyplomaci lub pracownicy ministerstwa. Wyjaśnili, że nie mogą podpisać z nią umowy, bo w Afganistanie wszyscy szukają stałego zajęcia i każdy chciałby pracować w misji dyplomatycznej. Był to dla Marii poważny cios, bo z zatrudnieniem w ambasadzie wiązała duże nadzieje. Nie traciła jednak wiary i dalej szukała.

Wykorzystała swoje kontakty w ambasadzie, aby zwrócić się o pomoc finansową dla swoich dzieci oraz wielokrotnie ponawiać prośby o repatriację męża i o przyznanie mu obywatelstwa hiszpańskiego. Dostała skromną zapomogę pieniężną, dzięki której jej rodzina mogła jakoś przeżyć. Jeśli chodzi o sprawę męża, w wydziale konsularnym oświadczone, że nic nie można zrobić, gdyż załatwienie repatriacji nie zależy od urzęd-

ników ambasady. Nigdy nikt nie powiedział jednak stanowczo i kategorycznie „nie”. W końcu jeden z nich otworzył Marii oczy i sprawił, że przestała się łudzić. „Pieniądze, proszę pani - powiedział. - Do załatwienia tych spraw potrzeba dużo pieniędzy. Przede wszystkim musi pani je zdobyć. Życzę pani szczęścia. To trudna sprawa”.

Poproszono ją także o zdjęcia męża i jakikolwiek dokument tożsamości. Nie rozumiała wprawdzie po co, ale nie podejrzewała niczego złego. Zauważyła natomiast, że wypytują ją szczegółowo na temat ich wspólnego życia: w jaki sposób się spotkali, co robili w Londynie, dlaczego przyjechali do Afganistanu, czym zajmował się mąż, gdzie pracował, gdzie mieszkali, z kim utrzymywali kontakty towarzyskie, jakie miał związki ze swoją rodziną.

Zadawali również pytania, które szczególnie irytowały Marię i które przypominały jej rozmowy z Jose: indagowali, czy mieszka w Afganistanie z własnej, nieprzymuszonej woli, czy nie jest maltretowana, czy zna jakieś szczegóły z przeszłości kryminalnej męża, czy kiedykolwiek był zatrzymany i pod jakim zarzutem, czy ktokolwiek składał na niego doniesienie na policję i czy ona o tym wie. Maria wszystkiemu zaprzeczyła, bo o niczym takim nie wiedziała. Nie rozumiała tylko, po co ją o to wypytują. Potwierdziła, że Nasrad jest dobrym, uczciwym człowiekiem, który dba o rodzinę i pomimo wielkich trudności pragnie ją utrzymać, a jego jedyny kłopot to bezrobocie, bo nawet jeśli ma pracę, to nie na miarę swoich umiejętności i aspiracji.

Urzednicy ambasady interesowali się także tym, czego nie mogli pojąć, a mianowicie dlaczego wróciła z Hiszpanii, zwłaszcza po tak długich staraniach, aby się wydostać z Afganistanu, i czemu zgadza się wegetować tu w biedzie i niedostatku, skoro w swojej ojczyźnie mogłaby wieść dużo lepsze, dostatnie życie. Znowu musiała wyjaśniać, że woli poczekać, aż jej mąż zdobędzie niezbędne dokumenty, a władze udzielią mu zgody na wyjazd wraz z rodziną. Nie mogła zrozumieć, dlaczego to dla nich takie trudne i zawile.

Nawet przesłuchali ich osobno. Znacznie później Maria dowiedziała się, że nagrywano ich zeznania, nie uprzedziwszy ich o tym, a więc bez

ich zgody. Wszystkiemu się jednak poddawała, skoro zmierzało to do wspólnego wyjazdu z Afganistanu. Całej czwórki razem. Albo razem, albo wcale.

Coraz częściej spotykała się ze swoimi przyjaciółkami. Co prawda były dużo od niej starsze, ale prawie wszystkie mieszkały w tym samym bloku, niektóre dzieliły z nią nawet mieszkanie, zajmując osobne pokoje. Miała wtedy okazję, aby oderwać się od kłopotów, i jeśli nawet nie zapominała o problemach, to przynajmniej na chwilę się od nich uwalniała. Od czasu do czasu, w wolnej chwili, wybierali się razem z Nasradem i dziećmi do jego brata i bratowej. Pogawędki z nimi stanowiły dla Marii miłe urozmaicenie. Czuła się też bardzo swobodnie, rozmawiając z ciotką męża, zwierzała się tej doświadczonej kobiecie ze wszystkich swoich kłopotów. To właśnie ona po raz pierwszy otworzyła jej oczy na sytuację i pozycję kobiet w kraju rządzonego przez talibów oraz opowiedziała o tragicznych losach niektórych z nich. Maria wyznała też ciotce coś, co ją niepokoiło od kilku miesięcy: Nasrad był coraz bardziej milczący i zamknięty w sobie, wyglądał na zmęczonego, smutnego, przygnębionego i przede wszystkim zniechęconego. Nie wiedziała, co się z nim dzieje, a ilekroć próbowała go o to pytać, unikał odpowiedzi i natychmiast zmieniał temat rozmowy.

- Musisz być cierpliwa, Mario. To mu przejdzie. To nie jest najlepszy czas na znalezienie pracy i twój mąż o tym wie. Martwi się, tak jak zawsze, o byt rodziny. I na pewno te myśli go prześladują. Bądź przy nim i dbaj o niego. Na razie tylko tyle możesz dla niego zrobić.



Po prawie rocznym pobycie w Kabulu Maria odebrała telefon od Rosie. Często ze sobą rozmawiały. Siostra wypytywała, co u nich słychać, jak się czują dzieci i jak wygląda sytuacja Nasrada. Zarówno ona, jak i pracownicy ambasady nie potrafili zrozumieć, dlaczego Maria wróciła do Afganistanu, w którym spotkało ją tak wiele zła. Rosie nigdy nie pojęła, dlaczego siostra wytrzymała na Majorce zaledwie dwa miesiące po kilku latach starań i bataliach stoczonych z urzędnikami, aby wyciągnąć ją z Kabulu. Obiecała sobie jednak, że nigdy więcej nie spyta jej o powody tej decyzji. Wiedziała, że takie pytania sprawiają jej przykrość. Maria wysuwała zawsze ten sam argument, który Rosie trudno było przyjąć: miłość do męża. Nie ustawała jednak w wysiłkach, żeby siostra, siostrzeńcy i szwagier, którego znała wyłącznie z fotografii i opowiadań, mogli wreszcie stanąć na ziemi hiszpańskiej. Nie oszukiwała się, robiła to tylko dla Marii, chociaż w głębi duszy pragnęła wreszcie poznać osobiście człowieka, dla którego siostra zrezygnowała z praw obywatelskich, wolności i perspektywy na lepszą przyszłość, a także straciła radość życia. Chciała zadać tysiące pytań mężczyźnie, który nieświadomie i wbrew woli sprawił, że życie jego żony zmieniło się w koszmar. Zamierzała nawet spisać je na kartce, ale doszła do wniosku, że to tylko strata czasu i papieru, gdyż miała je wyryte w pamięci i wiedziała, że tam pozostaną.

Tymczasem Maria nie ustawała w wysiłkach. Poruszała niebo i ziemię,

chodziła od urzędu do urzędu, próbowała załatwić jakikolwiek dokument czy zaświadczenie, które pomogłoby jej mężowi wyjechać z Afganistanu. Rosie zresztą robiła to samo. Miesiącami pukała do różnych drzwi, wystawała przed okienkami w urzędach, antyszambrowała w ministerstwach, zasiadała przy stołach w salach konferencyjnych, wszystko w jednym celu: zapewnić szybki, bezpieczny i legalny wyjazd Nasrada. Działania obu siostr kończyły się jednak takim samym rezultatem: ciszą, zdawkowymi zdaniami: „Niech pani przyjdzie jutro”, „Nic nie możemy zrobić”, „Przykro nam”. W tych ostatnich słowach wyczuwało się wyraźnie cynizm i hipokryzję. Żadna z nich jednak się nie poddała i nie zaprzestała starań. Jeśli chodzi o upór i determinację, siostry były do siebie podobne. Miały to w genach.

Maria cieszyła się, słysząc przez telefon głos Rosie, wiedziała bowiem, że siostra nigdy jej nie zawiedzie ani nie opuści w potrzebie, chociaż miała powody, aby to zrobić. Jej głos zawsze przynosił pociechę. Tym razem także.

- Mario, skarbie, słyszysz mnie? Czy są jakieś postępy w sprawie Nasrada?

- Nie, Rosie. Jestem zrozpaczona. Czasem miesiącami szukam jakiegoś biura, ulicy, adresu i nikt nie potrafi mi ich wskazać. W każdej ambasadzie, do której zwracam się o pomoc, twierdzą, że to nie należy do ich kompetencji. Chyba już nikt nie zechce mi pomóc. Trudno uwierzyć, że to takie skomplikowane. Czy naprawdę tak trudno to załatwić, żeby Afgańczyk mógł wyjechać z kraju razem z rodziną i zamieszkać gdzie indziej? Dlaczego? Przecież mój mąż nie jest przestępcą ani terrorystą, nikogo nie chce skrzywdzić. Skąd tyle piętujących się trudności, tyle pytań? Słyszę tylko, że nic się nie da zrobić. Naprawdę nie rozumiem tego. Straciłam energię. Nie mam już siły.

- Musisz być silna. Pewnego dnia los się odmieni. Tak jak ty miałaś szansę, żeby wyjechać, Nasrad też ją dostanie.

- Być może, Rosie, być może. Tylko skąd wziąć pieniądze? Wszyscy mi mówią, że jeśli nawet załatwię dokumenty, będę musiała za nie sporo zapłacić. Skąd mam wziąć kasę? Chyba napadnę na jakiś bank...

- Lepiej idź do banku. Nie musisz na niego napadać, tylko wypłać

z konta pieniądze, które ostatnio ci wysłałam. Co prawda niedużo, ale ciągle spłacam kredyt, który wzięłam, żeby cię ściągnąć na Majorkę. Na razie tylko tyle mogę ci przekazać.

Rosie dzwoniła do siostry z zupełnie innego powodu, ale nie chciała budzić podejrzeń ani złudnych nadziei. Powiedziała jej o przekazie i zmieniła temat.

- Mario, o mało nie zapomniałam. W najbliższych dniach wpadnie do ciebie pewna kobieta, poznałam ją przez znajomych. Przywiezie ubranie dla ciebie i dzieci. Przyjmij jajak najlepiej. Przyjmij i wysłuchaj, dla twojego dobra.

Słowa siostry trochę zaskoczyły Marię. Miałyby słuchać kogoś obcego? Ucieszyła ją jednak informacja o ubrankach dla dzieci.

- W porządku, Rosie. Tak zrobię.

- Jak się czują dzieci?

- Dobrze. Bawią się z tatą... Nasrad nie ma teraz pracy, więc spędza z nimi więcej czasu.

Rosie wyczuła, że siostra coś ukrywa. Poznała to wyraźnie po tonie jej głosu.

- Macie co jeść? Na pewno?

- Oczywiście - skłamała Maria. - Nie martw się.

Nie chciała, żeby siostra zamartwiała się z jej powodu. Przecież to ona sama postanowiła wrócić do Afganistanu. Najpierw zaangażowała wszystkich, zwłaszcza Rosie i Pedra, aby ją stąd wyciągnęli, a potem po dwóch miesiącach uciekła. Czuła, że nie ma prawa się skarżyć.

- Na pewno dobrze się czujesz? - dopytywała się Rosie.

- Tak, ale muszę ci coś powiedzieć.

Słyszając te słowa, siostra przestraszyła się. Za każdym razem, kiedy Maria je wypowiadała, chodziło o coś ważnego i przykrego.

- Jestem w ciąży, Rosie. W trzecim czy czwartym miesiącu, nie jestem tego pewna. Nie mam jednak wątpliwości, że to ciąża.

W słuchawce zapadła cisza. Maria czekała na reakcję siostry. Modliła się, żeby usłyszeć szybko odpowiedź, bo będąc w odmiennym stanie, nie powinna przeżywać silnych emocji.

- W ciąży... Mario... i...

- Dobrze się czuję. Mam typowe objawy, poranne wymioty, ale wszystko w porządku. Nie martw się, naprawdę dobrze się czuję. Po prostu jestem w ciąży.

- Po prostu jesteś w ciąży... Bardzo się cieszę. Nie wiem, czy to najlepszy moment na rodzenie dzieci, ale naprawdę bardzo się cieszę.

Rosie zrozumiała, że najwyższy czas, żeby znów wyciągnąć siostrę z Afganistanu. Nie mogła tam urodzić trzeciego dziecka.

Odkąd Rosie postanowiła poświęcić wszystkie siły i czas na to, by wydostać Marię z Afganistanu, musiała zrezygnować z dawnej pracy. Nie mogła usprawiedliwiać ciągłych nieobecności ani podporządkować się sztywnym godzinom. Porzuciła więc dawne zajęcie i znalazła inne, z elastycznymi godzinami pracy, blisko domu - w skromnej kafejce M i M, oferującej menu dnia za osiem euro. Barek nie był najwyższej kategorii, nawet do niej nie aspirował, ale miał wierną klientelę - stałych bywalców, którzy wpadali, jedli, opowiadali o swoich problemach i wysłuchiwali zwierzeń. Rosie pracowała jako kucharka cztery godziny dziennie, w idealnej dla niej porze dnia. Przychodziła bowiem przed obiadem i wychodziła wtedy, kiedy mogła jeszcze doprowadzić do końca sprawy, których nie zdążyła załatwić rano.

Pewnego dnia, kiedy przygotowywała się do podania posiłków na stół, wpadła do niej przyjaciółka.

W tej dzielnicy wszyscy znali historię Marii. Rosie poruszyła niebo i ziemię, żeby ludzie usłyszeli o ciężkim położeniu jej siostry. Wizyta przyjaciółki nie była przypadkowa ani tym bardziej kurtuazyjna. Do niej także dotarła opowieść o kłopotach młodej kobiety w Afganistanie i sądziła, że może jej pomóc.

Rosie przysłuchiwała się ze skupieniem słowom koleżanki. Początkowo niewiele z tego rozumiała, nie wiedząc, w jaki sposób dotyczącej siostry, ale powoli zaczął się wyłaniać z nich sens:

- Przekonasz się, że możemy przynajmniej spróbować. Mój znajomy pracuje z pewną kobietą, niejaką Marią Angeles, w jakiejś niemieckiej organizacji humanitarnej. Jej pracownicy działają w Afganistanie i pani Angeles wielokrotnie tam podróżowała. Dlatego pomyślałam, że może jakoś pomóc twojej siostrze. Pomogła już wielu kobietom. To naprawdę bardzo dobry człowiek. Posłuchaj, możemy ją o to poprosić, w końcu nie mamy nic do stracenia.

Twarz Rosie stopniowo się rozjaśniała podczas opowieści koleżanki. Miała wrażenie, że nawet dostała rumieńców.

- Co robić? Jak mam się z nią skontaktować? - spytała podekscytowana.

- Nie martw się. Dam ci jej numer telefonu. Ona zna zresztą twój, więc może pierwsza zadzwoni. Zna historię twojej siostry, ja jej opowiedziałam. Maria Angeles powie ci, co powinnaś zrobić.

Rosie nie potrafiła ukryć radości, jaką sprawiły jej słowa przyjaciółki. Przez cały dzień była podenerwowana, nie mogła się skoncentrować. Przesuwała i ustawiała bez ładu i składu talerze i szklanki na ladzie, bez potrzeby ścierała i pucowała stoły. Nie umiała ukryć podekscytowania i prawdę mówiąc, nie była pewna, czy w ogóle chce opanować emocje, teraz, kiedy dostrzegła w końcu światło w tunelu.

Nie czekała długo na telefon od Marii Angeles. Wkrótce na ekranie komórki wyświetlił się prywatny numer i Rosie miała przeczucie, że to ona dzwoni. Nie myliła się.

- Rosa Galera? - odezwał się czysty, miły i bardzo kobiecy głos.

- Czy to Maria Angeles?

- Tak, to ja. Chciałam z tobą porozmawiać. Jak się czujesz? I przede wszystkim co u Marii?

- Jesteśmy zrozpaczone. Nawet nie wiesz, przez jakie piekło przechodzimy... i to po raz drugi.

- Wyobrażam sobie. Wierz mi, że mogę to sobie wyobrazić. Najpierw muszę ci wyjaśnić dwie sprawy. Pierwsza, bardzo ważna: ambasada hiszpańska, a jeśli jej nie ma, to konsulat, ma obowiązek zająć się sprawą twojej siostry i pod żadnym pozorem pracownicy placówki dyplomatycz-

nej nie mogą się beczynnie przypatrywać, kiedy obywatelka hiszpańska potrzebuje pomocy. To ich obowiązek, a wasze prawo. Nigdy nie możecie ustąpić.

Rosie była zdziwiona, z jaką szybkością Maria Angeles wyrzuca z siebie słowa. Miała wrażenie, że ta kobieta w ogóle nie robi przerw na zaczerpnięcie oddechu, i widać było, że chyba ma dobre rozeznanie w sytuacji. Sądząc po pewności siebie, z jaką mówiła, prawdopodobnie tak samo skutecznie działała.

- A teraz druga sprawa. W przyszłym tygodniu lecę do Afganistanu i chcę się spotkać z twoją siostrą. Co prawda nie dam rady jej stamtąd wyciągnąć, ale za to mogę pomóc. Musisz do niej zadzwonić i powiedzieć, że twoja znajoma przywiezie ubrania dla niej i dla dzieci. Powiedz, że mam dla niej paczkę, ale nie mów, że jestem z organizacji pozarządowej. Ktoś mógłby się o tym dowiedzieć i pomyśleć, że szykujemy jakąś niebezpieczną, wywrotową akcję albo występujemy przeciwko interesom państwowym. Nawet sobie nie wyobrażasz, jacy podejrzliwi są urzędnicy i władze w Afganistanie. Możesz się skontaktować z siostrą?

- Oczywiście. Za pierwsze pieniądze, które jej wysłałam, kupiła komórkę.

- Świetnie. Musisz mi dać jej numer. I pamiętaj, masz być rozsądna i dyskretna. Jakikolwiek przeciek, każdy błąd popełniony wobec władz afgańskich może nas sporo kosztować. Nie zamierzam cię straszyć. Chcę cię tylko ostrzec.

- Rozumiem. Nie martw się. Zrobię tak, jak mówisz. I dziękuję. Jestem ci serdecznie wdzięczna. Nawet nie wiesz, jaką robisz mi przysługę.

- To moja praca. I na razie nic wielkiego nie zrobiłam. Ale zrobię. Nie bój się. Muszę już kończyć. Skontaktuję się z tobą po powrocie z Afganistanu. Ściskam cię i trzymaj się. Odwagi, kochana.

Rosie przekonała się, że Bóg istnieje. W końcu ktoś się zainteresował losem Marii. Chciała natychmiast zadzwonić do siostry i wszystko jej opowiedzieć, ale pamiętała słowa pani Angeles. Powie jej zatem tylko to,

co niezbędne, aby uniknąć niepotrzebnego ryzyka. Jeszcze nadejdzie pora na dobre wiadomości. Teraz trzeba zachować ostrożność.

Maria odebrała wiadomość o rychłym przyjeździe pani Angeles z radością i nadzieją. „Kim jest ta kobieta?” - pytała. Rosie nie bawiła się w szczegóły. Opisała ją dość sucho i oszczędnie. Powiedziała tylko, że to jej znajoma pracująca w firmie prowadzącej interesy z Afganistanem. I to wszystko. Im mniej siostra wiedziała, tym mniej mogła wygadać swoim sąsiadkom i przyjaciółkom.

Ich pierwsze spotkanie było nadzwyczajne. Maria czuła się podczas rozmowy tak, jakby zaczerpnęła haust świeżego powietrza. Miała wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę, że to tylko sen. A jednak to była prawda. Przede wszystkim ta atrakcyjna blondynka rozmawiała z nią po hiszpańsku, choć z lekkim akcentem niemieckim. Po drugie, była inna, nie miała nic wspólnego z tym miejscem, kulturą, krajem. Po trzecie, przywiozła rzeczy dla dzieci i pełne otuchy słowa, napędzające na nowo nadzieją serce Marii.

Wypiły razem herbatę, opowiedziały o swoich marzeniach, udzieliły sobie wzajemnie rad, wsparły się. Maria Angeles nalegała, żeby jej rozmówczyni nie ustawała w wysiłkach i dalej naciskała ambasadę oraz konsulat hiszpański w Kabulu, bo właśnie urzędnicy tych placówek mają obowiązek udzielić jej pomocy. Nie mogą umywać rąk. To właśnie oni powinni zdobyć pieniądze na bilety lotnicze dla niej i dzieci.

- Już wiem - mówiła - bo opowiadała mi o tym twoja siostra, że nie chcesz stąd wyjechać bez męża. Posłuchaj, nie wiem o tobie nic więcej, tyle tylko, co słyszałam od Rosie. Nie znam twojego męża, ale z pewnością musi być wspaniałym mężczyzną, skoro zakochałaś się w nim do szaleństwa i jesteś w stanie popełnić dla niego każde głupstwo. I masz do tego prawo. Ale w ten sposób wcale mu nie pomagasz. A przede wszystkim nie pomagasz dzieciom. Wiem, że na razie mnie nie zrozumiesz, ale grzeszysz egoizmem i w rezultacie za parę miesięcy lub lat okaże się, że wyrządziłaś krzywdę sobie i dzieciom. A wtedy będzie już za późno. Dla ciebie. Dla dzieci. I dla Nasrada.

Maria Angeles wiedziała, że ma nadzwyczajny dar perswazji. Jej sze-



fowie też dobrze o tym wiedzieli, dlatego zazwyczaj powierzali jej trudne do wykonania zadania. Byli bowiem pewni, że poradzi sobie lepiej niż inni. Dlatego teraz, wykorzystując cały swój wdzięk i umiejętności przekonywania, spojrzała bacznie na Marię i ściskając jej dłonie, wytoczyła kolejny argument:

- Mario, musisz zainteresować kogoś z ambasady swoją sprawą. Muszą pokryć koszty trzech biletów lotniczych. Nie proszę cię, żebyś zapomniała o mężu. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, nie jestem aż tak szalona. Przeciwnie, ta decyzja bardziej pomoże twojemu mężowi, niż sobie w tej chwili wyobrażasz. Łatwiej wyjedzie z kraju sam niż obarczony żoną i dwojgiem dzieci. To, że jesteś razem z nim w Afganistanie, wcale mu nie pomaga ani tym bardziej nie przyspiesza załatwienia koniecznych zezwoleń. Przeciwnie, utrudnia. Mario, zrozum, że jesteście jak dwoje rozbitków uczepionych jednego masztu. Jeśli dalej będziecie się trzymali kruchego drzewca, zamiast szukać pomocy, zatonicie oboje. Jeśli natomiast jedno z was wyruszy po pomoc, a drugie będzie mu ufało, wszystko się uda. W przeciwnym wypadku delikatne drewno pęknie, bo nie wytrzyma ciężaru dwojga osób. A chyba tego nie chcesz... prawda?

Maria rozważała jej słowa. Być może to samo mówili inni, ale tym razem brzmiało to zupełnie inaczej, bardziej wiarygodnie, choć sama nie wiedziała dlaczego.

Żegnając się, Maria Angeles obiecała, że będzie śledzić postępy w tej sprawie. Zapewniła, że zawsze będzie blisko i będą się regularnie kontaktowały. Maria wolała pożegnać się z nią w domu, gdzie mogła uściskać i ucałować gościa oraz podziękować wylewnie za wsparcie i rady.

Kiedy pani Angeles schodziła na dół, młoda kobieta obserwowała ją, starając się nie stracić ani jednego szczegółu z jej zachowania, ruchów i gestów. Chciała się w ten sposób upewnić, że jej nowa znajoma jest realna, istnieje naprawdę i wcale jej się nie przyśniła. Odprowadzając ją wzrokiem, domyśliła się, że to osoba bywała w świecie, pewna swych racji, podejmująca najtrudniejsze wyzwania i zawsze osiagająca wyznaczo-

ne cele. Modliła się, żeby jednym z nich stało się rozwiązanie problemu jej rodziny.

Tamtej nocy po raz pierwszy od dawna Maria zasnęła, snując plany, skąd zdobyć pieniądze, a nie jak przyspieszyć załatwienie zezwolenia na wyjazd i wizy dla męża. Być może Maria Angeles miała rację. Nie była przecież jej krewną ani osobą bezpośrednio zainteresowaną, a zatem emocje nie miały wpływu na jej rady.

Przez kolejne tygodnie i miesiące Maria realizowała plan ustalony przez jej nową znajomą. Codziennie stawiała się w ambasadzie hiszpańskiej i zabiegała o to, aby ktoś jej wysłuchał. Wszyscy już dobrze znali jej historię, ale nikt nie wspominał o pieniądzach.

Wydzwaniała do siostry, prosząc ją o szereg dokumentów wymaganych przez urzędników ambasady. Prawdę mówiąc, większość z nich była niepotrzebna. Wszystkie te żądania miały prawdopodobnie służyć temu, aby czymś zająć petentkę i odwlec załatwienie jej sprawy. Rosie chętnie spełniała wszystkie prośby siostry. Sama natomiast poprosiła ją, żeby zrobiła zdjęcia sobie oraz dzieciom i wysłała je do Hiszpanii. Maria nic z tego nie rozumiała.

- Czy ty wiesz, co mogą mi zrobić, jeśli mnie złapią na robieniu zdjęć, Rosie? W najlepszym wypadku obiją mnie kijami na śmierć.

- Mario, te zdjęcia są tylko do mojego prywatnego użytku. Możesz je zrobić w domu. Chcę tylko wiedzieć, jak wyglądasz i jak się zmieniły dzieci.

- Kiedy to wcale nie jest takie proste... Skąd mam wziąć aparat fotograficzny?

Posłuchaj. Poproszę, żeby wpadła do ciebie koleżanka pani Angeles i zrobiła wam zdjęcia. Zgadzasz się?

Maria nie rozumiała, skąd u Rosie to nagle zainteresowanie fotografiami-

mi. Pomyślała, że nawet pracy związanej z załatwianiem spraw pomieszał pewnie siostrze w głowie, ale w końcu przystała na jej prośbę. Nie chciała się jej w niczym sprzeciwić.

Po paru dniach, zgodnie ze słowami Rosie, zadzwoniła do niej znajoma pani Angeles. Maria ze zdziwieniem stwierdziła, że kobieta mówi z wyraźnym afgańskim akcentem. Musiała być Afganką. Jej przypuszczenia się potwierdziły, gdy doszło do spotkania. Nieznajoma nalegała, żeby zrobić zdjęcia w plenerze. Umówiły się w odludnym miejscu, położonym nieopodal centrum handlowego w Kabulu. Nie chciały zwracać na siebie uwagi i uznały, że na pustym placu będą z dala od ciekawskich spojrzeń. Myliły się. Kiedy fotografka zrobiła kilka ujęć Marii w burce, ale z odkrytą głową, rozległy się nagle jakieś krzyki. Wrzeszczały przechodzące nieopodal Afganki, obsypując je wyzwiskami, a nawet groźbami. Głośno protestowały przeciwko dwóm kobietom łamiącym najbardziej podstawowe islamskie prawa. Patrzyły na nie oskarżającym wzrokiem i krzyczały: „Patrzcie, takie jak one występują przeciwko nam, przeciwko naszej kulturze. Nie szanują nas ani naszej tradycji. Drogo za to zapłacą”.

Maria była przerażona. Stwierdziła, że zrobiły już wystarczająco dużo zdjęć, aby jej siostra się przekonała, jak się czują i jak wyglądają. Wbrew pozorom to odludne miejsce również okazało się niebezpieczne. Postanowiły jak najszybciej stamtąd uciekać. I tak miały szczęście, że nie przechodził tamtędy żaden mężczyzna. Nawet nie próbowały sobie wyobrazić, co by się z nimi stało.

Maria pożegnała się z fotografką, która okazała się bardzo sympatyczną, piękną i młodą Afganką.

- Oby szczęście ci dopisało, Mario. Tobie i kobietom z mojej rasy. Obyśmy mogły któregoś dnia robić zdjęcia bez strachu, że ktoś nas zobaczy. Mam nadzieję, że uda ci się stąd wyjechać, i to szybko, a my, kobiety afgańskie, będziemy mogły wkrótce podejmować decyzje w swoim imieniu i rządzić w tym kraju.

Była zaskoczona, że Afganką tak dobrze zna jej sytuację. Choć z początku nieufna, postanowiła zawierzyć instynktowi. Pewnie Maria Ange-

les opowiedziała jej historię fotografce i innym osobom, żeby zorganizować jakąś pomoc.

Rzeczywiście tak było. Zdjęcia zrobione Marii w kabulskim plenerze wcale nie były przeznaczone do rodzinnego albumu siostry, tylko dla lokalnej gazety na Majorce, w której opisano jej dzieje i warunki, w jakich żyła od kilku lat. Rosie nie chciała zdradzić prawdziwego przeznaczenia zdjęć, aby nie budzić złudnych nadziei. Bała się także, że ktoś niepowołany dowie się o tym i wtedy zaczną się prawdziwe kłopoty. Mógłby donieść afgańskim władzom o fotografiach.

Artykuł wzbudził żywe zainteresowanie historią Marii wśród czytelników. Telefony się urywały. Dzwonili dziennikarze, wypytując o szczegóły związane z jej losem. W miejscowym dzienniku „Ultima hora” ukazały się reportaże, a w wydaniu krajowym gazety „El Mundo” artykuł opisujący dzieje kobiety uwięzionej w Afganistanie.

Pewnego wieczoru zadzwonił do niej ktoś z hiszpańskiego radia. Program, emitowany o wpół do drugiej w nocy przez rozgłośnie Punto Radio, nosił tytuł *Cinco Lunas*. Przez ponad pół godziny Maria opowiadała szczegółowo o swoim życiu, o ekstremalnie trudnych warunkach, w jakich wegetowała przez kilka ostatnich lat, o niedostatku, niezaspokojonych potrzebach dzieci, o swoich doświadczeniach z noszeniem burki, o surowym prawie stosowanym wobec kobiet w Afganistanie. Przed zakończeniem wywiadu prezenterka spytała, co mogą dla niej zrobić w Hiszpanii, w jaki sposób można jej pomóc. Maria ani przez chwilę się nie wahała. Przypomniała sobie słowa i rady Marii Angeles i nie zająknawszy się nawet, poprosiła:

- Chciałabym, żeby ktoś zapłacił za bilety lotnicze do Hiszpanii dla mnie i dla dzieci. Nie mam pieniędzy, a ambasada nie chce udzielić mi pomocy. Błagam, jeśli ktoś mnie słyszy i może mi pomóc, będę dozgonnie wdzięczna. To może nam uratować życie. Proszę tylko o pieniądze, dzięki którym będę mogła się stąd wydostać. I to wszystko.

Po niespełna dwudziestu czterech godzinach na dramatyczny apel Marii zgłosił się ktoś, kto gotów był wyłożyć trzy tysiące euro na bilety lotnicze dla niej i dla dzieci. Jej losy śledził w prasie pewien przedsiębiorca majorkański, Bartolome Esbert. Potem usłyszał opowieść i prośbę kobiety w radiu.

Po potwierdzeniu wiadomości, że znalazł się ktoś chętny do zapłacenia za przelot i że nie jest to żart, Rosie natychmiast zadzwoniła do Marii:

- Szykuj się, siostrzyczko. Wkrótce wyjedziesz z Afganistanu. Wrócisz do domu, Mario. Wrócisz do domu razem z dziećmi. Znalazł się ktoś, kto pokryje koszty biletów, zapłaci za podróż: twoją i dzieci.

Maria się domyśliła, że nieznajomy dobroczyńca usłyszał wywiad w radiu oraz jej apel o pomoc. Nie chciała w to uwierzyć. Przecież to nie mogło być takie proste: ona prosi o pieniądze, a ktoś nieznajomy je daje. „To niemożliwe” - myślała. Zastanawiała się, czy to czasem nie jakiś dziennikarz wyłożył tę sumę jako zaliczkę w zamian za wyłączną zgodę na opublikowanie jej historii w prasie. Wypytywała Rosie, kim jest ten człowiek i dlaczego chce jej pomóc, a przede wszystkim o to, kiedy będą mogli wyjechać z Afganistanu. Rosie nie umiała jej na to odpowiedzieć.

- Wiem tylko tyle, że masz opłaconą podróż. Nie potrafię ci powiedzieć, czy polecicie samolotem wojskowym, czy rejsowym. Do tej pory

nikt mi nic o tym nie mówił. Poinformowano mnie, że ktoś zapłacił za bilety i możesz wrócić. Mam nadzieję, że nie zrobisz żadnego głupstwa. Błagam cię, nie wywiń jakiegoś numeru. W końcu dobrze cię znam.

Tego samego wieczoru wątpliwości Marii się rozwiały. Znowu zadzwoniono do niej z programu radiowego *Cinco Lunas*. Dowiedziała się, że człowiek, który zobowiązał się opłacić przelot jej i dzieci do Hiszpanii, będzie w nocy w studiu. Powiedziano jej, że może się z nim przywitać i podziękować za ten hojny gest. Początkowo przedsiębiorca wzbraniał się przed wzięciem udziału w programie, woląc zachować swój wspaniałomyślny gest w ukryciu. Pragnął pozostać anonimowy, a przede wszystkim nie chciał, aby ktokolwiek uznał to za kryptoreklamę jego firmy. Poprosił zatem, aby nie ujawniano nazwy jego przedsiębiorstwa. Spełniono tę prośbę.

Program zaczynał się o wpół do drugiej w nocy, w czwartek siódmego grudnia dwa tysiące szóstego roku. Większość Hiszpanów szykowała się do przedłużonego weekendu z okazji Święta Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Prezenterka rozpoczęła swoją audycję słowami:

- Czasami zdarzają się cuda. Tej nocy będzie nam dane przeżyć jeden z nich. Być może ma to związek ze zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia, a może cud się zdarzył, bo na świecie są jeszcze dobrzy ludzie, gotowi pospieszyć innym z pomocą.

Po raz pierwszy Maria miała okazję porozmawiać z człowiekiem, który przekazał dla niej kwotę trzech tysięcy euro, aby mogła wydostać się z Afganistanu. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów wdzięczności. Nieznany z nazwiska przedsiębiorca czuł się zmieszany i skrepowany tym, że Maria mu dziękowała. Zapewnił ją, że może na niego liczyć w potrzebie, w tej konkretnej sytuacji i w przyszłości. Rosie także włączyła się do prowadzonej na falach radiowych rozmowy. Właśnie wtedy Marię zawiódł głos. Nie mogła wytrzymać napięcia i wybuchła płaczem, jednocześnie wylewnie dziękując nieznanemu dobroczyńcy i swojej siostrze za to, co zrobili dla niej i jej dzieci.

Machina zmierzająca do sprowadzenia ich do domu została wprawiona w ruch. Rosie cały czas pozostawała w kontakcie z anonimowym

przedsiębiorcą, który wpłacił pieniądze na jej konto. Natychmiast przekazała je siostrze, żeby to ona kupiła bilety dla siebie i dzieci. Brakowało tylko dokumentów zezwalających na wyjazd Marii z Afganistanu. Wyczekiwała niecierpliwie telefonu z ambasady z potwierdzeniem zgody. Nienawidziła nadciągającego weekendu, bo wtedy wszystkie urzędy stawały. W piątek wieczorem dowiedziała się, że aż do poniedziałku będzie musiała cierpliwie czekać na jakąkolwiek wiadomość.

W końcu odebrała telefon z potwierdzeniem. Miała już zgodę i chciała jak najszybciej kupić bilety. Dowiedziała się, że nie ma biletów na trasie Kabul-Majorka, dlatego szukała innych połączeń. W końcu znalazła skomplikowaną trasę, gwarantującą jednak powrót do domu: Kabul-Du-baj, Dubaj-Wiedeń, Wiedeń-Barcelona, a z Barcelony ostatni odcinek trasy prowadził wprost do Palmy na Majorce. Jeszcze tego samego popołudnia kupiła bilety na następny dzień. Nie chciała dłużej czekać. Nie mogła.

Nasrad pomógł jej spakować walizki. Powtórzył się ten sam rytuał, co przy poprzednim wyjeździe. Mąż zrywał się w nocy i ciągle coś dorzucał do bagażu dzieci: herbatniki, sok, jogurt, wodę. Zauważyła, że jest bardzo smutny, chociaż próbował to ukryć. Dobrze wiedziała, że jej kolejny wyjazd skomplikuje jego relacje z rodziną, które już i tak nie należały do najłatwiejszych.

- Przekonasz się, że wkrótce do nas dołączysz. Zrobię wszystko co w mojej mocy. A z Hiszpanii mogę działać skuteczniej.

Nasrad podjął pieniądze z banku, żeby zapłacić za taksówkę na lotnisko. Zaledwie dziesięć dni temu jego żona je dostała i już wracała do domu.

Zobowiązał ją, aby natychmiast po przylocie zadzwoniła do niego i aby przyrzekła nie robić głupstw. Zastrzegł sobie, żeby poprosiła do telefonu Rosie, która potwierdzi, iż Maria z dziećmi naprawdę dotarła na Majorkę, a nie wskoczyła w samolot powrotny do Kabulu.



CZEŚĆ CZWARTA

POWRÓT DO DOMU

O trzeciej w nocy Maria z dziećmi wylądowała na Majorce. Rosie i Pedro, nie mogąc dłużej znieść oczekiwania, dołączyli do nich już w Barcelonie.

Mając pod opieką dwójkę małych dzieci i sama będąc w ciąży, Maria czuła się wykończona podróżą. Przez ostatnie dni plamiła, ale na razie nie przejmowała się tym zbyt. Zdarzało jej się to już w poprzednich ciążach i nic złego z tego nie wynikło.

Pierwszą noc w Hiszpanii przespała spokojnie, chociaż parę razy się budziła i zastanawiała, gdzie jest. Rozglądała się wkoło, szukając męża. Dopiero później przypominała sobie, że przyleciała na Majorkę bez niego. Znowu była w swoim kraju.

Późnym rankiem usłyszała w domu krzątanicę i czyjeś głosy. W mieszkaniu Rosie kłębił się tłum krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy dopytywali się o Marię. Chcieli ją zobaczyć, uściskać, serdecznie przywitać.

Cieszyło ją to, ale nie miała czasu na zbyt wylewne powitania. Czeką ją mnóstwo spraw do załatwienia. Musiała zaprowadzić dzieci do lekarza. Sama także chciała pójść do ginekologa, gdyż najpierw plamiła, a teraz wręcz krwawiła, co ją niepokoiło. Odkąd wsiadła do samolotu w Kabulu, odczuwała dziwne symptomy. Pragnęła zatem wykorzystać powrót do cywilizowanego świata, aby swój trzeci poród odbyć w odpo-

wiednich, higienicznych warunkach, w jakich nie udało jej się urodzić synka i córeczki.

Zamierzała również posłać dzieci do szkoły. Zapisła je do najbliższej, znajdującej się niedaleko domu siostry. Oboje, Abdullah i Nuria, szybko przystosowali się do nowego życia i błyskawicznie opanowali język hiszpański. Okazali się bystrzy i zdolni. Maria była z nich bardzo dumna. Abdullah potrafił spędzać całe dni, naciskając guzik kontaktu i obserwując żarówkę, która zapalała się i gasła. Dla niego to była dobra zabawa. W ciągu swojego krótkiego życia rzadko bowiem miał do czynienia z elektrycznością.

Intrygowała go także bieżąca woda. Odkręcał i zakręcał krany, żeby patrzeć, jak woda wypływa wartkim strumieniem, a nie ciurka rdzawą strużką, tak jak w Kabulu. Miał również zwyczaj siadać na podłodze. Trudno to było wykorzenić.

Chłopiec miał jeszcze pewien gorszy nawyk, którego zresztą sobie nie uświadamiał. Lubił nosić przy sobie kozik. Wychodził z nim na dwór, nosił do szkoły, niemal nie wypuszczał go z ręki. Mały wielokrotnie widział, jak jego ojciec, stryjowie i dziadek podrzynali gardło bydłu, na przykład podczas rytualnych świąt. Naśladował ich gesty, tyle że nie wobec zwierząt, ale ludzi, co pewnego dnia wywołało panikę w szkole. Nawet jego ciotka Rosie była przerażona, kiedy zobaczyła go z nożem w dłoni. Abdullah oznajmił poważnym głosem, że poderżnie jej gardło i wydłubie oczy, tak jak to robił jego ojciec z owcami. Oczywiście to była tylko zabawa, a jednak nikt z dorosłych ani dzieci nie odbierał dobrze takiego zachowania. Trudno go było od tego odzwyczaić, a także od wielu innych złych nawyków. Zarówno matka, jak i ciotka Rosie przekonały się wkrótce, że najlepszym sposobem na wykorzenienie dziwaczkich zwyczajów jest telewizja oraz słodczyce z cukierenki mieszczącej się naprzeciwko domu. Chłopiec mógł oglądać filmy czy objadać się ciastkami pod warunkiem, że natychmiast porzuci pomysł podrzynania gardeł i nie będzie nosił przy sobie noża. Prawdę mówiąc, dzieciak nie uświadamiał sobie, że postronni obserwatorzy dostrzegali w jego słowach i gestach przemoc czy agresję.

Nie było również łatwo przyzwyczaić go do siusiania na stojąco, a nie na siedząco, tak jak robili to mężczyźni w Afganistanie. „Tata i dziadek robią siku na siedząco, to ja też tak będę robił. Koniec i kropka” - upierał się.

Zaraz po powrocie do domu Maria udała się do biura pośrednictwa pracy. Chciała natychmiast znaleźć jakieś zajęcie. Wiedziała, że w ciąży nie będzie jej łatwo dostać pracę, chociaż była gotowa podjąć się każdej: kasjerki, sprzątaczkki, ekspedientki, kelnerki. Odpowiadałoby jej wszystko, tak bardzo pragnęła zarabiać pieniądze. Dobrze wiedziała, że będą potrzebne: jej, mężowi, dzieciom. Zamierzała także zwrócić Rosie wszystkie wydatki związane z jej poprzednią podróżą i pobytem na Majorce.

Miała tyle spraw na głowie, że zupełnie zapomniała zadzwonić do męża. W wolnych chwilach przypominała sobie, że od przylotu na Majorkę nie zadzwoniła do niego. Czuła z tego powodu wyrzuty sumienia. „Jak mogłam zapomnieć zadzwonić do Nasrada?” - zadawała sobie pytanie. Spoglądała wtedy na zegarek i stwierdzała, że jest już za późno na telefon. Powtarzało się to przez wiele dni. Zbliżało się Boże Narodzenie i w domu trwała związana ze świętami gorączkowa krzątania: nieustanne zakupy, przygotowywanie świątecznych przysmaków, szukanie prezentów. Ustalono, że Wigilię spędzą u brata, natomiast sylwestra i Nowy Rok u Rosie oraz w barze, w którym pracowała. Dopiero po dziesięciu dniach zadzwoniła do męża. Nasrad był kłębkiem nerwów.

- Myślałem, że coś wam się stało. Nie miałem od ciebie żadnych wiadomości. Prosiłem, żebyś natychmiast do mnie zadzwoniła. Dlaczego tego nie zrobiłaś? Jak się czują dzieci? Czy wszystko w porządku?

Wypytywał o wszystko, a Maria wyczerpująco mu odpowiadała. Wolą jednak nie wdawać się w szczegóły, bo wiedziała, że mężowi nie jest łatwo, i nie chciała, żeby usłyszał, iż oni opływają we wszystko i szykują się do szczęśliwych i dostatnich świąt Bożego Narodzenia. Była świadoma, że mąż jest w Kabulu sam, i chociaż się nie skarży, przeżywa kłopoty, przykrości i smutki. Później opowiedział jej, że rodzice, a właściwie matka, wyrzucili go z domu. Gdy dowiedzieli się, że Nasrad z rodziną wrócili do mia-

sta tylko po to, żeby Maria z dziećmi mogła polecieć do Hiszpanii, matka dostała szału i wykrzyczała w złości, że nigdy więcej nie chce ich widzieć. Podarła na strzępy wszystkie ubrania i inne rzeczy należące do syna i synowej, które zostały w ich domu. Nie chcieli więcej o nich słyszeć. Nasrad bardzo źle zniósł odrzucenie przez rodzinę.

Już od dawna Maria nie spędzała tak radosnych i szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia jak u siostry i brata. Tęskniła za mężem, ale wiedziała, że to tylko kwestia czasu i znowu go zobaczy. Formalności zmierzające do uzyskania wizy były już w toku i ten sam przedsiębiorca majorkań-ski, który zapłacił za przelot do Hiszpanii Marii i dzieci, zobowiązał się kupić także bilet dla Nasrada, kiedy tylko Afgańczyk dostanie pozwolenie na wyjazd z Kabulu.

Minęły pierwsze święta Bożego Narodzenia, które Maria po wielu latach spędziła razem ze swoją hiszpańską rodziną na Majorce. Czowała się szczęśliwa. Dzieci łatwo przystosowały się do nowego stylu życia i nowych warunków. Pediatra zapewnił ją, że oboje, oprócz lekkiego niedożywienia, są zupełnie zdrowi. Najbardziej niepokoiły ją jednak nietypowe symptomy ciąży. Nie przypominała sobie, żeby w czasie poprzednich ciąż występowały tak długo i uporczywie. Alarmujące były przede wszystkim krwawienia, co prawda niezbyt obfite, ale uciążliwe i ciągłe.

Pewnego dnia Maria postanowiła pojechać do centrum Palmy. Musiała załatwić w urzędach jakieś dokumenty, ale przede wszystkim chciała pochodzić po sklepach. Miała ochotę napić się kawy, pospacerować ulicami, popatrzeć na ludzi wypoczywających na głównym placu, odwiedzić katedrę, przejść się po porcie, powłóczyć po plażach. Bardzo tęskniła za urokliwymi zakątkami Palmy i chciała napatrzeć się na wszystkie wyteśczone obrazy. Przechadzała się godzinami, odwiedziła wszelkie znane i zapomniane miejsca w swoim mieście, zatrzymywała się przy wystawach sklepowych, obserwowała bacznie, co nowego i modnego oferują markety. Jej szczególną uwagę przyciągały występy ulicznych grajków i inne atrakcje pokazywane na miejskich placach. Zapadł już zmierzch, kiedy przypomniała sobie, że musi wracać. Zorientowała się wtedy, że się zgubiła. Pamiętała, że musi trafić pod pewien konkretny adres, żeby odebrać jakieś druki, ale nie wiedziała, gdzie się znajduje. Poczła się nagle tak samo przerażona jak pierwszego dnia, kiedy wyszła na ulicę w burce. Brakowało jej powietrza. Miała wrażenie, że się dusi. Kręciła się w kółko, żeby znaleźć tabliczkę z nazwą ulicy. Dostała klasycznego ataku paniki. Była tak zrozpaczona, że wybuchła płaczem. Postanowiła przysiąść na kamiennej ławce i się uspokoić. Niestety, nie umiała się opanować. Nie miała odwagi zapytać przechodniów o ulicę, której szukała. Nie chciała z nikim rozmawiać. Bała się i wstydziła. Wyjęła komórkę

i zadzwoniła do Rosie, żeby po nią przyjechała. Nie umiała skorzystać ze wskazówek podanych jej przez telefon. Siostra musiała wsiąść w autobus, dojechać do śródmieścia Palmy i odszukać Marię. Dziewczyna była zupełnie roztrzęsiona. Uspokoili się dopiero, kiedy Rosie zapewniła ją, że nic się nie stało i razem wrócą do domu.

Po tym zdarzeniu nie mogła spokojnie zasnąć. Prześladowały ją koszmary. Rano obudziła się z podkrążonymi oczami, bolącym brzuchem i podwyższoną temperaturą. Ociekała potem. Nagle poczuła między nogami wilgoć, tak jakby coś się z niej wylało. Miała wrażenie, że ma lepkie nogi. Zdołała zwlec się z łóżka i zobaczyła, że prześcieradło jest czerwone od krwi. Zawołała Rosie. Postanowiły natychmiast pojechać na pogotowie. Niestety, ginekolog potwierdził najgorsze obawy Marii, z których nie zwierzała się siostrze, żeby jej nie martwić. Miała ciężki stan zapalny - skutek porodów w Afganistanie - nieleczony w porę i odpowiednimi środkami. Infekcja zaatakowała płód. Szanse na donoszenie ciąży były niewielkie. Groziło jej poronienie. Ginekolog przepisał jej środki zwalczające infekcję i kazał zgłosić się na wizytę kontrolną za tydzień. Nie musiała nawet tak długo czekać. Poroniła jeszcze tej samej nocy. Płód miał prawie pięć miesięcy.

To był wielki cios dla niej i jej bliskich. Najciężej było zawiadomić o tym Nasrada, który bardzo się cieszył z bliskich narodzin trzeciego dziecka. Wszyscy się obawiali, że po tym bolesnym przeżyciu Maria wpadnie w depresję. Lekarz zalecił jej wizytę u psychologa i leczenie antydepresyjne przez trzy miesiące. Ale ona zaskoczyła wszystkich, szybko dochodząc do siebie. „Muszę walczyć o moje dzieci - mówiła. - Jestem u siebie, nie mam wielkich kłopotów, żyję jak przeciętna kobieta w Europie. Marzyłam o tym przez siedem lat pobytu w Afganistanie. Wkrótce przyjedzie mój mąż. Nie mogę się poddawać. Nie tym razem”.

Po dwudziestu dniach Maria poszła do pracy. Rosie pomyślała, że stałe zajęcie dobrze jej zrobi, oderwie od smutnych myśli. zaproponowała więc siostrze swoje stanowisko w barze M i M, gdzie do jej obowiązków należało przygotowanie posiłków i podawanie do stołu. Szybko polubiła tę pracę. Czuła się pożyteczna, chociaż pracowała tylko przez pięć godzin dziennie.

Dzięki temu miała wystarczająco dużo czasu, żeby zajmować się dziećmi i załatwiać sprawy, związane ze ściąganiem męża do Hiszpanii. Od czasu powrotu na Majorkę Maria znowu zaczęła pić i palić. Malowała się, układała włosy, ubierała się tak, jak zawsze lubiła, to znaczy w dzinsy, obcisłe sweterki i T-shirty. Przestała się modlić, nie prowadziła dzieci do meczetu. Na islam przeszła tylko z miłości. W głębi duszy nigdy nie przejmowała się kwestiami wiary - ani katolicyzmem, wiarą, w jakiej została wychowana, ani islamem, przyjętym wyłącznie dla męża.

W jej jadłospisie znowu pojawiła się wieprzowina, chociaż dzieci jej nie jadały ze względu na szacunek dla wiary ojca. Od czasu do czasu spoglądała w lusterko i podobało jej się to, co widziała. „Ależ się zmieniłam - stwierdzała. - Mam nadzieję, że Nasrad szybko się przyzwyczai do mojego wyglądu. Nie mam zamiaru niczego się wyrzekać. Już nie”.

Dawna Maria się odrodziła i obiecała sobie, że pozostanie już taka na zawsze. Bywały jednak dni, kiedy Rosie, jej dzieci, koledzy z pracy lub przyjaciele zastawali ją jakby nieobecna, ze wzrokiem wbitym w jeden punkt lub zagubionym w dali, z szeroko otwartymi oczami. Wyglądała, jakby duchem udała się w jakąś daleką podróż. Bywały także chwile, w których oddawała się wspomnieniom. Znowu przeżywała zarówno ciężkie, złe momenty, jak i te dobre, zabawne. Widziała wtedy Mahtab i inne szwagierki piorące brudną bieliznę, idące po wodę, zaśmiewające się podczas rozmów o damskiej bieliźnie albo krytykujące teściową. Widziała samą siebie, jak niezgrabnie stąpa w burce, potyka się o jej poły, prawie przewraca, potem przypominała sobie swój pierwszy poród. We wspomnieniach prała jedyną suknię, jaką dostała od matki Nasrada, i wkładała wilgotną. Pamiętała o przepłakanych nocach, kiedy planowała ucieczkę z Afganistanu, gdzie tak wiele wycierpiała, o długich tygodniach spędzonych w śmierdzącej ziemiance, z której nie mogła wyjść, bojąc się kul snajpera i bombardowań. Przed jej oczami pojawił się znowu obraz czteroletniego chłopca bawiącego się pistoletem zabawką, dziecka, które zabił siedmioma strzałami w głowę jakiś żołnierz, ponieważ nie wiedział, czy broń jest prawdziwa. Miała tyle wspomnień, że wydawało się, iż starczą jej na całe życie.



Nigdy nie zapomni tego, co zgotował jej los. Nigdy nie wybaczy ludziom, którzy nie podali jej pomocnej dłoni, chociaż mogli to zrobić. Nigdy też nie zapomni funkcjonariusza Straży Obywatelskiej, który stał się jej aniołem stróżem. Nie wymaże również z pamięci chwili, kiedy ostatni raz widziała ojca żywego. Nigdy też nie pozbędzie się niebieskiej burki, w której kazano jej chodzić - spoczywała teraz na górnej półce w szafie w jej nowym domu. Nigdy nie będzie również żałowała tego, co zrobiła dla swojego męża, tego, co zrobiła z miłości. Nigdy.

Po trzech miesiącach od przylotu do Hiszpanii Maria odebrała telefon od męża. Za parę dni miał przylecieć na Majorkę.

W marcu dwa tysiące siódmego roku w towarzystwie siostry pojechała na lotnisko taksówką, bo tego dnia Pedro nie mógł się zwolnić z pracy, żeby je zawieźć. Droga dłużyła się w nieskończoność. Poprosiła nawet taksówkarza, żeby przyspieszył. Miała wrażenie, że samochód zbyt wolno posuwa się do przodu. Gdy dotarły w końcu do terminalu, Nasrad nie wyszedł jeszcze z odprawy. Wreszcie go zobaczyła. Podbiegła ku niemu. Przytuliła się. Pragnęła pozostać w tym kurczowym, gorącym uścisku przez całe życie. Pragnęła je spędzić razem z mężem i nawet na chwilę się z nim nie rozstawać, niezależnie od okoliczności. Być z nim zawsze i wszędzie. Tylko z miłości.